



**NIE  
JESTEM  
POTWOREM**

Carme Chaparro

Zaledwie  
w trzydzieści sekund  
twoje życie może stać  
się koszmarem...

**NIE  
JESTEM  
POTWOREM**

Carme Chaparro

przełożyła  
Agnieszka Rurarz



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: ***No soy un monstruo***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Korekta: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© VT\_studio/Shutterstock

© Carme Chaparro, 2017

Translation rights arranged by DOS PASSOS Agencja Literaria.

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Agnieszka Rurarz

ISBN 978-83-287-1130-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2019

*Dla Berny, Lai i Emmy za to, że dały mi tyle szczęścia.  
Dla mamy. Za wszystko.  
Dla ojca*

*Now they'd come so far,  
and they'd waited so long,  
just to end up caught in a dream  
where everything goes wrong.*

Bruce Springsteen, *The price you pay*

*Rozorać ziemię całą chcę zębami,  
chcę ją mozolnie przegryźć piędź po piędzi,  
z żarliwą złością rozgryźć najzwyczajniej.*

*By cię odnaleźć, chcę przekopać ziemię  
i ucałować twą szlachetną czaszkę,  
oddech ci wrócić i przywrócić cię.*

Miguel Hernández, *Elegía* (fragment)

Vertical line of text, possibly a page number or header.

# Spis treści

\* \* \*

1. INÉS
2. ANA
3. INÉS
4. ANA
5. INÉS
6. ANA
7. ANA
8. INÉS
9. LAURA/JOAN
10. ANA
11. INÉS
12. NORI/JOAN
13. ANA
14. NICOLÁS
15. ANA
16. INÉS
17. ANA
18. ANA
19. INÉS
20. ANA
21. ANA
22. INÉS
23. ANA
24. PATRICIA
25. SAM/PATRICIA
26. RAMÓN
27. PATRICIA
28. JESÚS/RAMÓN
29. ANA
30. ANA
31. INÉS

32. INÉS/ANA

33. ANA

34. ANA

35. ANA

36. INÉS

37. ANA

38. ANA/JESÚS

39. INÉS/ANA

40. ANA

41. INÉS/ANA

42. ANA/INÉS

43. ANA

44. ANA

45. INÉS/ANA

46. INÉS

47. RICHI

48. ANA

49. INÉS

50. INÉS

OD WYDAWCY

PODZIĘKOWANIA





Tego dnia trzeba było znów spróbować.

Nie chodziło o obojętnie jakie dziecko.

Trzeba wybrać starannie. Bo inaczej miesiące wyczekiwania, pracy i układania w głowie całego planu nie zdałyby się na nic.

I nie powiodłoby się to, czemu plan miał służyć. Czy się uda, czy nie, zależało od dziecka wybranego po południu.

Więc to nie mogło być dziecko wybrane przypadkowo.

Przede wszystkim uważnie się przyglądać. To kluczowe w całym misternym planie i to nie mogło się nie powieść. Nie tym razem.

Na przykład ten chłopiec. Wygląda na jakieś pięć lat, może na trochę więcej. Czy to on? Ileż nerwów mnie to kosztuje!

Aczkolwiek gdy się lepiej przyjrzeć, to jednak on się nie nadaje.

Jest już trochę za duży i za posłuszny. Trzyma się kurczowo matczynej dłoni i stale spogląda w górę, żeby się upewnić, że matka jest przy nim, że ta dłoń jest częścią jej ramienia, a ramię częścią jej ciała zwieńczonego głową. Póki tak jest, jego świat trwa uporządkowany.

Może nie przestanie płakać. I spędzi dzień bez ruchu, zwinięty w kłębek, umierając ze strachu.

Nie nadaje się.

Trzeba szukać dalej.

A może dziewczynka? Zbyt ryzykowne. Za dużo małych księżniczek. A tu trzeba kogoś odważnego. Dziecka, które poczuje się superbohaterem.

Tam stoi jakiś chłopiec. Co mówi jego ubranie? Na przykład buciki, jakie

nosi, coś sugerują. Niezbyt wysoki, ale ma na pewno cztery lata, może pięć.  
I właśnie puścił się matczynej ręki. Co tam zobaczył? Co zwróciło jego uwagę?

Może się nada? Może.

Może dziś dopisze mi szczęście.

Na samą myśl aż się oblizuję.

A jednocześnie umieram ze strachu.

Od drugiego wejrzenia mam pewność, że to on.

Ten chłopiec będzie wybawieniem.

Zaczyna się gra.

Tym razem na dobre.

To punkt bez odwrotu.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

# 1.

## INÉS

W amerykańskich filmach zawsze są donuty. One zawsze pierwsze zdradzają, że to spotkanie ludzi uzależnionych. Od alkoholu. Od miłości. Od klęski. Kiedy kamera przesuwa się po wnętrzu pomieszczenia oświetlonego smętym światłem neonu i cuchnącego starym moczem – odór moczu nie przenika przez ekran, ale wyczuwasz go, dociera do twoich nozdrzy, kwaśny i przyprawiający o mdłości, jakbyś wetknął nos w publiczny urynał – wiesz, że za chwilę ktoś wyzna wstydlive, ukrywane fakty ze swojego życia.

Ale my jesteśmy w Hiszpanii, a tutaj na spotkaniach terapeutycznych nie ma donutów. Przynajmniej nie grozi nam, że zostaniemy Anonimowymi Diabetykami. Jeżeli trafisz do jakiejś grupy wsparcia oznaczonej skrótem AUC – Anonimowi Uzależnieni od Czegoś tam – to najprawdopodobniej tragedia, którą przeżywasz, jest tak ogromna, że uczestnictwo w terapii staje się alternatywą dla samobójstwa. Ostatnią rzeczą, jakiej próbujesz przed zamknięciem się w domu z butelką dobrej whisky i dwiema fiolkami tych pastylek, które miały ci pomóc przewyciężyć depresję – tak przynajmniej zapewniał lekarz. Ale nie. Nie pomagają.

Wszyscy ci, którzy są tutaj dzisiaj ze mną, pragnęliby umrzeć. Lepiej umrzeć, niż siedzieć w tej sali. Lepiej nawet siedzieć w samym piekle – na które niektórzy uważają, że zasłużyli – niż tu i teraz.

Coś musiało ich tu przyciągnąć. Zapewne jakaś dziwna mieszanina poczucia winy, cierpienia, wściekłości i woli przeżycia. To ostatnia rzecz, jaka ich łączy z życiem, bo wszyscy oni wiedzą, że lepiej byłoby dla nich, gdyby umarli. Jak ja. Choć tego nie byłam jeszcze świadoma. Nie na tym etapie tej historii.

Rozejrzyjmy się po sali. Na przykład ten mężczyzna, łysy i krępy, ma na sobie bluzę należącą chyba do kogoś młodszego o trzydzieści lat i spodnie kogoś o dwadzieścia lat starszego. Jakby sam składał się z części pochodzących od różnych osób. Nie jest nawet w stanie otworzyć oczu. Od jak dawna nie potrafi na niczym skupić wzroku? Od jak dawna nie stawia jednej stopy przed drugą, bo chce dokądś dojść, tylko bezwolnie pozwala im się nieść? Od jak dawna niczego

nie przyjmuje – nawet szklanki wody – mimo że tak naprawdę chce ją przytrzymać, jego mózg przesłał wyraźne polecenie: chce ci się pić, wyciągnij rękę, rozstaw palce, ujmij szklankę, podnieś ją do ust, napij się? Gdybyśmy mogli zajrzeć do jego głowy, zobaczylibyśmy, że zapanowała w niej jedna wielka pustka, próżnia, w której bez przerwy rozbrzmiewają te same fale, rozbijając się kolejno o wnętrze czaszki. Czasami wydaje się, że w tym oku cyklonu, którym jest jego umysł, utrzymuje się jakiś przebłysk światłej myśli – nie wie, nie pamięta, nie ogarnia – ale to zaledwie złudzenie, że wiatr osłabł i niebo ponownie jest bezchmurne. Atmosfera, w jakiej żyje, nie daje mu chwili wytchnienia. To twoja wina. To twoja wina. Nie zasługujesz, żeby żyć.

Albo ta młoda dziewczyna z tłustymi włosami i w spodniach tak wielkich, że zmieściłaby się cała w jednej nogawce. Od jak dawna nie postrzega siebie jako istoty ludzkiej? Widzę, że przyciska do siebie torebkę tak kurczowo, że krew niemal nie dociera do dłoni, jakby ten przedmiot był jej jedynym łącznikiem z życiem i bez niego, bez możliwości uczipienia się go, miałyby wpaść bezpowrotnie w czarną dziurę, z której usiłuje się wydostać. Co jej się przytrafiło? To niemal dziecko. Powinno mi być jej żal.

No a co ja tutaj robię? Co robię pośród tych zbolałych dusz, choć nie mam potrzeby tu być? Mój wydawca – tak, do diabła, mam wydawcę – wymyślił, że takie spotkanie terapeutyczne to doskonały pomysł na znalezienie inspiracji do kolejnej książki. Po światowym sukcesie *Gęstego lasu*, mojej pierwszej powieści, ciągle namawia mnie, żebym znowu coś napisała.

Czasami ogarnia mnie tak silna obsesja, że jestem gotowa uwierzyć, iż udziela się ona ludziom, z którymi codziennie się stykam. Ostatnio wydaje mi się, że sprzątaczkę z biura spoglądają na mnie wrogo, popychając swoje wózki wyładowane toksycznymi detergentami. Stwórz kolejną książkę. Stwórz kolejny sukces. Stwórz kolejną maszynkę do robienia pieniędzy.

Na szczęście istota ludzka nie posiadała jak dotąd umiejętności telepatycznych.

Początkowo było delikatnie, subtelnie, kulturalnie. Teraz mam wrażenie, że mój wydawca byłby zdolny do wszystkiego, byleby tylko znalazła pomysł na nowy bestseller. Czasami zastanawiam się, jak daleko zdołałby się posunąć, żeby tylko zasugerować mi główny wątek. I im dłużej powtarzam, że nosiłam w sobie tylko tę jedną książkę i że nigdy nie zdołam napisać niczego więcej, on – a właściwie oni, całe wydawnictwo – upierają się, że potrafię, że muszę tylko wiedzieć, gdzie kliknąć, żeby zmienić swojego macbooka w generator tekstów cierpiący na biegunkę. Ale ja nie mam pomysłów. Miałam jeden i koniec. Jedna

książka i koniec.

I właśnie dlatego wylądowałam tutaj, ażeby mój wydawca na jakiś czas zostawił mnie w spokoju. Jak uwierzy, że nad czymś pracuję, uspokoi się.

Ale nie jest mi łatwo robić takie rzeczy. Zawsze istnieje ryzyko, że ktoś mnie rozpozna. A to mnie nie urządza. Nie teraz i nie tutaj. Jeśli się wyda, kim jestem, nie pozwolą mi tu zostać. Już wcześniej zdarzało mi się wykorzystywać różne przebrania, peruki i akcesoria. Dzisiaj też założyłam ciemne szkła kontaktowe i perukę z krótkimi blond włosami. Z żółtawym podkładem pod makijaż i odrobiną fioletowego korektora pod oczami sprawiam wrażenie jakiejś kruchej istoty emanującej smutkiem.

Co doskonale współgra z tutejszą atmosferą.

Lecz chociaż zdarzało się, że brano mnie za kogoś innego, zawsze zdradza mnie jeden szczegół: głos. Jest tak charakterystyczny, że nie mogę z nim nic zrobić. Każde „s” na końcu wyrazów wyslizguje mi się z gardła w tak specyficzny sposób, jakbym nie mogła w porę powstrzymać tej głoski, która wycieka mi przez zęby niczym czekoladowa polewa na kulkę lodów. Czaszsz. Sukceszsz. Nawet mój logopeda nie umiał tego skorygować. Co więcej, uważa, że to moja specyficzna cecha wymowy, która składa się na osobowość. Więc będę musiała siedzieć cicho. Przynajmniej podczas dzisiejszej sesji.

Na całe szczęście nie ma tutaj donutów, które ułatwiłyby zebranym zwierzenia. Dobrze też, że prowadzący spotkanie jest punktualny i od razu przechodzi do rzeczy. A może po prostu nie bardzo mu się uśmiecha być tutaj i chce jak najszybciej skończyć, oddalić się od tych dusz zakotwiczonych w piekle, żeby przypadkiem nie pociągnęły go za sobą.

– Czy możecie, proszę, zajmować miejsca? – pyta łagodnym tonem psycholog.

Sprawdziłam go przed przyjściem tutaj. Ma konto na Facebooku: wyłącznie zdjęcia potraw, madryckich ulic i paru książek. Podręcznikowy przykład singla. Smutnego singla. Mam nadzieję, że pójdzie mi z nim łatwo, gdybym musiała wyciągnąć od niego jakieś informacje.

– Czy możecie zajmować miejsca?

Zatem siadamy.

Nie patrząc na siebie. Skuleni w sobie. Wstydzący się samych siebie. A może wstydzimy się tego, czego mamy wysłuchać, jak jakieś stare plotkary wyciągające uszy w stronę konfesjonału. Pałające rumieńcem rozkoszy i zawstydzienia.

– Dziś Lucía ma nam coś do opowiedzenia, prawda?

Dziewczyna z torebką zaczyna mówić.

A ja nie powinnam była słuchać tego, co właśnie miała nam opowiedzieć.

Vertical line of text, possibly a page number or header.



## 2.

# ANA

– Mówisz, że jak się nazywa?

– Arén. Ana Arén. Stare wygi nazywają ją „Cenzurka z czerwonym paskiem”.

– Bo taka dobra?

– Ha, ha, ha! Cii, mów ciszej. O ile wiem, nikt z tej komendy jej nie próbował. Nie, nazwano ją tak od inicjałów: A.A., sam wiesz. Jak ocena w ratingu, jak szóstka na egzaminie. – Luis Arcos miał oczy jak spodki, gdy obiema rękami kreślił w powietrzu kształty i wypukłości pani nadinspektor.

– Szóstka? Ja bym jej dał dziewiątkę. Ma po prostu skandaliczny tyłek – stwierdził José Barriga, który z racji własnej sylwetki przynoszącej zaszczyt jego nazwisku<sup>[1]</sup> od dnia, gdy ukończył lat dwadzieścia, nie był raczej najwłaściwszą osobą do wyrażania opinii na temat cielesnych atrybutów kogokolwiek.

– Ty jesteś nowy, tak? – doleciał go czyjś głos. Agentka Charo Domínguez słyszała całą rozmowę i nie mogła się powstrzymać. – Chcesz dobrej rady? Dostaniesz gratis. Nie patrz na jej tyłek. Patrz na stopy. Przypatrz się dobrze. Myślisz, że są małe? To poczekaj, aż cię jedną z nich kopnie, a zapewniam cię, że zatęsknisz za kopytami osła ze swojej wsi. Nadinspektor Arén okazuje w takich kwestiach swój legendarny zły charakter. Lepiej nie kuś losu, chłopie.

– Już się dość nakusiłem, pozwalając się kopać po jajach – zaśmiał się agent Barriga, świeży nabytek jednostki policyjnej, nie pojmując nic z tego, co mu przekazała nowa koleżanka. – Nawet nie wiecie, co czuję na widok przełożonej w stroju roboczym.

– Panienki, przestańcie się śmiać niczym hieny – usłyszeli. Zdecydowanie zbyt wiele osób przysłuchiwało się całej rozmowie. – A ty to kto? Nowy?

– Eee – wyjąkał Barriga na widok naszywek, które pojawiły się przed jego oczami. – Eee, panie komisarzu, tak, panie komisarzu, tak.

– Coś takiego, chłopie, na dodatek się jąkasz?

– Eee, panie komisarzu, nie chciałem...

– Dosyć, wystarczy – uciął komisarz Bermúdez. – Nie chcę używać nieparlamentarnych wyrażen o tej porze. Lekarz mi zabronił. To szkodzi mojemu zdrowiu. A jak szkodzi mojemu, to i waszemu. Wy dwoje migiem do sali odpraw. I to zaraz. A ty – spojrzał złośliwie na nowego – uważaj, żeby cię nie usłyszała pani nadinspektor, bo wtedy nie zostanie ci skóry na dupie nawet tyle, żeby ją umyć patyczkiem do uszu. Jasne?

Sala odpraw śmierdziała stęchlizną. Tak naprawdę śmierdział nią cały budynek. Przez całe lata w jego strukturę wnikał pot i inne wydzieliny ciała dziesiątek agentów i aresztantów, którzy się przez niego przewinęli.

Podobno wszystkie komisariaty cuchną podobnie, ale to nie do końca prawda. Pewnie inaczej Melitonowi Manzanasowi, specjaliście od tortur, a inaczej terroryście, który wpadł w jego ręce. Inaczej wystraszonemu nowicjuszowi, a inaczej staremu wydze, obeznanemu ze strachem po jaja. Poza tym każdy komisariat ma swój specyficzny odór. W jednych człowiekowi zbiera się na wymioty od smrodu tytoniu i niemytych nóg, którego nie usunie żaden odświeżacz powietrza. W innych wciąż jeszcze można wyczuć woń wody kolońskiej Varón Dandy, której używali agenci i którą wciąż jeszcze można znaleźć w szafkach niektórych starych wyg. Jeszcze inne cuchną odorem potu nagromadzonym od czasów ich budowy.

Wszystkie jednak mniej lub bardziej cuchną strachem.

Komenda policji, gdzie pracuje Ana Arén, cuchnie ponadto perwersją. Ze ścian unosi się smrodek starego satyra przyłapanego na czyhaniu pod szkołą. Budynek znajduje się w dzielnicy willowej, aczkolwiek kiedy go wznoszono sześćdziesiąt lat wcześniej, był jeszcze otoczony rudkami; nie brakowało tam szkół i zarośli, w których można było się ukryć, by podglądać, samemu nie będąc widzianym. Cii, cii, mamrotali zboczeńcy, gdy sam widok dzieci nie wystarczył im, by dość się podniecić, i musieli dodatkowo zwrócić na siebie uwagę maluchów. Im bardziej malcy byli przerażeni, tym im lepiej stawał. Tak, tak, tak.

W latach siedemdziesiątych Hiszpania miała na głowie inne problemy niż ten, ale dla Luisa Bermudeza była to sprawa osobista. Od czasu rozpoczęcia pracy w policji Bermúdez widział niejedną taką zboczoną świnię. I to nimi brzydził się najbardziej. Udusiłby ich wszystkich własnymi rękami: za tymi buźkami niewiniątek, co to niby muchy nie skrzywdzą, za tępym wzrokiem zdechłej ośmiornicy ukrywali się niekiedy najaktywniejsi deprawatorzy dzieci. W ostatnich latach komisarz dowodził technologiczną walką z tymi potworami. Jako jeden z pierwszych policjantów w Hiszpanii zdał sobie sprawę, że

zbożczy przestali ukrywać się w zaroślach i w samochodach i przyczaili się w sieci, za programami informatycznymi chroniącymi ich IP i adresy, przez co tak trudno ich namierzyć. Jeszcze zanim z hiszpańskich komisariatów pozniwały wszystkie egzemplarze maszyny do pisania Olivetti, Bermúdez ściągnął do siebie największych speców informatycznych w korpusie policji. Wyklócał się o stworzenie grupy agentów buszujących w internecie w poszukiwaniu dewiantów już wtedy, gdy modemy podłączało się do sieci przez gniazda telefoniczne i płacono się za każdą minutę połączenia.

Rotacja była olbrzymia. Niewielu policjantów wytrzymało wieczorne powroty do domu, podczas których towarzyszyły im wizje dzieci poddawanych wszelkim seksualnym perwersjom, trudnym do wyobrażenia nawet dla chorych umysłów. Takie obrazy nigdy nie znikają z myśli. Nie sposób ich zapomnieć. Agent zaangażowany w walkę z internetową pedofilią jest w niej ubabrany na zawsze, a jego mózgu nie da się całkowicie zresetować.

Upłynęło już wiele lat od chwili, gdy komisarzowi Bermudezowi odebrano kontrolę nad grupą informatycznych szpicli i przeniesiono jednostkę do madryckiej centrali w Canillas. Nazwano ją pompatycznie BTD – Brygadą Technologiczno-Dochodzeniową – co potem przemianowano na JTD –

Jednostkę Technologiczno-Dochodzeniową. Agenci, którzy tam trafiali, poświęcali czas już nie tylko na wykrywanie pedofilów, jak w początkach działalności grupy. Teraz cała światowa przestępczość funkcjonowała w sieci. Cała obecna na ziemi zgnilizna, okrucieństwo i deprawacja sprowadzały się do zer i jedynek przekazujących wszelkie zło z prędkością światła.

Ana Arén, nadkomisarz dowodząca jednostką do spraw nieletnich w madryckiej Służbie Pomocy Rodzinie[2], oparła się o brzeg jednego ze stołów ustawionych z tyłu sali. Ze skrzyżowanymi nogami i ramionami sprawiała wrażenie zrelaksowanej. Nie lubiła siadać z przodu. Z głębi wszystko widać lepiej. Życie można obserwować dokładniej, jeśli stworzy się odpowiednią perspektywę i mocno skupi wzrok na kierunku odwrotnym niż ten, w którym patrzą wszyscy. Czasami sama reakcja oka przyniesie więcej informacji niż to, co się widzi.

– Cześć, pani nadinspektor. – Obok Any usadowiła się Charo Domínguez.

– Cześć, Charo. Jak ci idzie adaptacja w nowej placówce?

– Nie takiej znowu nowej, Ano, jestem tu już czwarty miesiąc – odparła zapytana, popijając z termosiku, z którym wkraczała codziennie do komendy, oryginalną mieszankę herbaty, mleka i miodu. – Zaczekaj, aż poznasz nowego. Przyłapałam go, jak komentował twój tyłek.

Ana wolała zmienić temat. Nie miała ochoty się obrażać.

– Jak możesz codziennie pić to paskudztwo?

– I kto to mówi! Ktoś, kto już do śniadania popija coca-colę. Fakt, niezły środek do przetkania przewodu pokarmowego – zaśmiał się ktoś za jej plecami.

Podinspektor Javier Nori podszedł do nich szybkim krokiem. Dotarł na dyżur lekko spóźniony. Policzki miał jeszcze nieco zaczerwienione, oznaka jakiegoś wysiłku. Pewnie wyszedł pobiegać, zatonął w rozmyślaniach i stracił poczucie czasu, pomyślała Ana. Nie ma rady.

– Powtarzasz ciągle tę samą śpiewkę, Nori, nawet Shazam już ją rozpoznaje – odparła. – A jak cię ktoś odrywa od biegania i od komputerów, to wszystko cię dziwi, biedny Biczysku.

Biczyskiem ochrzcili podinspektora Javiera Noriego koledzy z jego pierwszej placówki, komisariatu w Strefie II w Barcelonie, w okolicy Ramblas, bo stanowił prawdziwy bicz na złodziei na motocyklach w rejonie Ciutat Vella. Stworzył pierwsze cyfrowe archiwum przestępstw popełnianych w mieście przez posiadaczy jednośladów i miał je zawsze przy sobie, w jednym z pierwszych palmtopów[3], które się pojawiły na rynku i które w połowie lat dziewięćdziesiątych kosztowały więcej, niż dziś trzeba zapłacić za komputer.

– Przysięgam, Ano, że jeśli kiedykolwiek ktokolwiek z tej jednostki usłyszy, jak mnie przezywasz, moja zemsta będzie bezlitosna. – Nori pokazał gestem, że poderżnąłby swojej szefowej gardło.

– Biczysko? Nazywają cię Biczysko? – Charo zaniósła się śmiechem i niemal upuściła termos ze swoją miksturą.

– A ty, Pałacowa Panienko, lepiej siedź cicho, bo i dla ciebie znajdę przezwisko, w tym też jestem dobry. Nie tylko bieganiem i komputerami żyje człowiek.

Ana wyciągnęła Charo z ochraniania „pałaców”, jak w policji określało się ambasady i konsulaty. Dziewczyna umierała z nudy, chroniąc obcych dyplomatów i ich rodziny. Podczas niekończących się wart sterczała na ulicy, strzegąc nie tylko rezydencji, ale także całego ekosystemu luksusu, w jakim obracali się dyplomaci. Spotkały się z Aną przypadkiem na jakiejś konferencji na temat bezpieczeństwa i Ana od razu dostrzegła, że młoda policjantka ma dobrze poukładane w głowie i zależy jej na pracy. Potrafiła tego dowieść. W ciągu kilku miesięcy stała się jednym z najlepszych oficerów śledczych w komendzie. Miała niesamowitą umiejętność łączenia faktów.

– Nori, a ty nie tęsknisz aby za twoimi dżihadystami? – spytała Charo. – Bo ja za swoimi dyplomatami jakoś nie. Ani trochę. A tym bardziej za ich

dzieciakami. Przez nie zarywaliśmy całe noce.

– Proszę o ciszę – przerwał rozmowy komisarz usadowiony po drugiej stronie stołu. – Mam ważną sprawę. Wracam z zebrania komisarzy.

Podczas gdy koledzy rozsiadali się, gdzie mogli, Ana przymknęła oczy i wciągnęła w nozdrza zapach strachu, którym przez lata nasiąkły ściany. Dzięki niemu pamiętała, gdzie jest i na czym polega jej praca. Przenosił ją do początków, do fundamentów jej policyjnego powołania, do tego, co naprawdę się liczy, a co niekiedy ginęło gdzieś w codziennej gównianej rutynie.

– Bardzo proszę wszystkich o ciszę – upomniał zebranych komisarz Bermúdez. – A więc słuchajcie, czekają nas zmiany.

Zapadła cisza. Zmiany. Magiczne słowo. Wystrzał, przy którym wszyscy otwierają uszy i zamykają usta, w oczekiwaniu, aby ich nie dosięgnął. Są i tacy, którzy instynktownie pochylają się lekko w prawo lub w lewo, aby kula ich nawet nie drasnęła. Ale komisarz nie zdążył oddać strzału. Bo nagle rozdzwoniły się wszystkie komórki. A to na każdym komisariacie policji oznacza złe wieści.

Zawsze.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

### 3.

## INÉS

– W moim przypadku liczba to trzydzieści – zaskakująco zdecydowanym tonem zaczęła wyjaśniać dziewczyna z torbą. – Trzydzieści sekund, które dzielą życie, jakie prowadzę teraz, od tego, jakie wiodłam wcześniej, a które już nigdy nie będzie moim udziałem. Czasami trzydzieści sekund to zaledwie spojrzenie, obserwujesz owady, jak gdyby ktoś nacisnął pauzę w twoim mózgu, albo przyglądasz się butom na wystawie, zastanawiając się, czy możesz sobie na nie pozwolić, czy nie. I nie zdajesz sobie sprawy, że dziecka już nie ma. A potem walisz głową w ścianę, chcesz rozbić czaszkę o mur i zostawić na nim resztki mózgu, umazać wszystko we krwi. Bo sobie nie zdawałaś sprawy. A jak tu nie zauważać tej pustki? Jak nie zauważać, że ono ci się wymyka, wyslizguje, że odchodzi, że już go przy tobie nie ma? Rączka twojego synka jest ciepła, miękka, mała. Jego rączka tkwi w twojej, jest uczepiony jedynej rzeczy, jaką uważa za pewną na tym świecie: matczynej miłości. I nagle tej rączki już nie ma, a ty sobie tego nie uświadomiłaś.

W miarę jak opowiadała swoją historię, dziewczyna uczepiona torebki wydawała się odłączać od świata, odrywać od rzeczywistości. Już nie patrzyła na nic, jakby jej oczy zwróciły się w głąb własnej duszy – w tę nieustanną spiralę rozpacz, w której trwała – usiłując wydobyć z siebie cały swój ból, tak żeby nigdy więcej nie musieć międlić go w gardle, żeby móc go porządnie zwymiotować, żeby nigdy już nie powrócił. Błagam.

– Ale w moim przypadku to nie było tak. To nie było tak – ciągnęła. – Bo wtedy przynajmniej miałabym wymówkę. Jakaś chwila roztargnienia, która codziennie przytrafia się wszystkim rodzicom. Kto się nigdy nie lękał o własne dziecko? Bo je stracił z oczu. Nie wie, gdzie jest. Serce nagle podchodzi do gardła. Kontury świata się zamazują. Dopóki znów się nie pojawi. Bo pojawia się zawsze. No dobrze, prawie zawsze. Lecz w moim przypadku było gorzej. Nie chodzi o chwilę nieuwagi. To ja pozwoliłam swojemu dziecku zniknąć. I celowo puściłam rękę Bruna, żeby zginął. To ja go zabiłam.

Jak jej się udaje powstrzymać łzy? Nie mogłam przestać na nią patrzeć, jej

ciało przyciągało uwagę jak magnes, głos wdzierał mi się w duszę. Staralam się zapamiętać możliwie jak najwięcej szczegółów. Szczeka, która opada bezsilnie, jakby dziewczyna miała zemdleć, nadaje całej twarzy groteskowy wyraz. Stopy wykręcone na zewnątrz dziwnie wykrzywają łydki, jakby kolana uznały, że nie mogą utrzymać ich płasko na ziemi. Sześć litrów krwi dopływające do rąk, które niczym szpony kurczowo czepiają się tego świata.

– Gdybym tylko wyszła od mamy trzydzieści sekund wcześniej, to wszystko by się nie wydarzyło i w taką środę jak dziś, o tej samej porze, krzyczałabym na Bruna, że zapaprał mi całą kuchnię jedzeniem ze słoiczka. Był niezależny niemal od urodzenia. Na pewno nie znosiłby karmienia papkami. Chciał sam pić z butelki już w wieku trzech miesięcy! Pamiętam, jak obiema rączkami usiłował objąć butelkę, jak wymachiwał nimi w powietrzu, próbując jej dosięgnąć. Był...

Słuchacze patrzyli na dziewczynę skonsternowani, uzależnieni od jej historii jak ćpuny od heroiny. Zamknęli oczy w zażenowaniu, ale także po to, by wczuć się w nią lepiej, by skupić się wyłącznie na narkotyku krążącym w żyłach. Ja zresztą podobnie. Może to dlatego w tych spotkaniach uczestniczy zawsze tylu chętnych? Bo ludzie wciąż potrzebują dawki czyjegoś nieszczęścia. Jesteśmy uzależnieni od cudzego bólu. Czy ja też? Czy potrzebuję cudzego bólu, żeby samej czuć się dobrze? Albo do pracy? Jedna z moich komórek zawibrowała w torebce. Nie zwróciłam na to uwagi.

– Lucía wykazuje się wielką odwagą, opowiadając nam swoją historię – przerwał prowadzący spotkanie, przypuszczam, że wyłącznie po to, by utrzymać nas w przekonaniu, iż jego obecność tutaj ma jakikolwiek sens. – Wszyscy wiele wycierpieliście. Ale każdy ból, własny czy cudzy, uczy was, jak się wyleczyć.

Cudzy ból ma nam pomóc się wyleczyć? Przyszło mi na myśl, że ten facet to większy palant, niż się wydaje, ale w gruncie rzeczy ma rację. Może to prawda. Może cudze nieszczęścia sprawiają, iż zaczynamy widzieć, że nasze własne główniane życie nie jest takie złe. Poza tym miłosierdzie zawsze idzie w parze z pychą.

– Byłam u matki – ciągnęła dziewczyna. – Odebrała dzieci z przedszkola, bo mnie wpadła robota na trzy godziny dziennie przy sprzątaniu biur. Nie pozwalano nam tam wchodzić, póki wszyscy nie wyjdą o trzeciej po południu, żebyśmy nikomu nie przeszkadzały. Sami wiecie, że niski status sprzątaczkii nie pozwala mieszać się w pewne klimaty. W owym czasie uczyliśmy Lucasa, mojego średniego syna, robić siusiu i kupkę do sedesu, więc zawsze, gdy był w domu, zdejmowaliśmy mu pieluchę, aby go nauczyć, że ma wołać. Moja



matka mówiła, że nic nie szkodzi, jeśli nasusia na podłogę, nic nie szkodzi, że zmoczy spodnie, jest przecież u siebie, przebierzemy go i już, bo tylko tak zorientuje się, że nie zdążył zawołać, i nauczy się kontroli. I tym się zajmowałyśmy: uczeniem Lucasa, jak korzystać z łazienki. Więc kiedy punkt o czwartej, gdy wychodziliśmy od babci, żeby wrócić do siebie, już w skafandrze i czapce powiedział: „Siusiu, mamoo, siusiu”, musiałam go posłuchać. „Ale przecież masz pieluchę – odparłam – możesz zrobić siusiu”. „Ale nieee! Mamooo! Fuuuuj!”, zapiszczał. No i co mogłam odpowiedzieć? Zacisnęłam zęby. Oddałam najmłodszego mamie, powiedziałam Edu, żeby pilnował obojga, babci i Bruna (czuł się już taki duży i tak odpowiedzialny, że aż pokraśniał z dumy), i ściągnęłam Lucasowi kurtkę. Ileż to razy myślałam o tamtej chwili, o tym siusiu stanowiącym różnicę między życiem a śmiercią! Muszę się przyznać, że często kusiło mnie, żeby rzucić winę na Lucasa za śmierć brata. Bo przecież gdyby zrobił siusiu w pieluchę, to Bruno by żył. Przez pewien czas nie mogłam patrzeć mu w oczy, zaczęłam go nienawidzić, musiałam go nienawidzić, żeby sama się nie zabić. I żeby nie zabić wszystkich.

W mojej torebce znowu zawibrował iPhone. Nie zamierzałam odbierać. Nie w najbardziej emocjonującym punkcie opowieści. Ale dokładnie trzy sekundy po tym, jak wibrowanie ustało, odezwał się mój prywatny telefon. Tego numeru nie znało zbyt wiele osób, więc najwyraźniej dzwonił ktoś znajomy, na tyle zaufany, że dostał ode mnie prywatny numer. I widocznie musiał pilnie się ze mną skontaktować. Może to coś ważnego? Nie potrafiłam zidentyfikować kontaktu, numer na ekranie był długi, centrala jakiegoś biura. Starając się robić jak najmniej hałasu, dyskretnie wyszłam z pomieszczenia, skulona, żeby nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Musiałam wyjść zupełnie niezauważona.

– Gdzie się podziewa ta idiotka? – ryczał do telefonu Manuel, coraz bardziej wkurzony, nie zauważywszy, że po kolejnym sygnale już odebrałam i słucham. Gafy były jego specjalnością. – Dzwonię na oba telefony. Co ona do cholery robi?

– Manuel? – zapytałam półgłosem, udając, że nie dosłyszałam jego tyrady.

– Coś ci się porobiło z głosem? Jakoś dziwnie mówisz.

– Nie, nie – odparłam, wychodząc przed budynek i usiłując znaleźć jakieś odludne miejsce. – Przez dłuższy czas nic nie mówiłam i pewnie zaschło mi w gardle.

– Ty nic nie mówiłaś?! Przez dłuższy czas? Zdradź mi, kto dokonał takiego cudu, a wyniosę go na ołtarze.

– No przecież chciałbyś, żebym milczała, szefie, przynajmniej nie miałbyś ze

mną problemu, zwłaszcza w określonych sytuacjach – odparowałam, powstrzymując ochotę, by przerwać połączenie. – Stało się coś pilnego? Jestem na... spotkaniu.

– Muszę się pilnie skontaktować z tym hakerem, którego znasz.

Po jakie licha on chce rozmawiać z Joanem?

– Zadzwoń do niego, jeśli chcesz – skłamałam.

Zawsze sprzedawałam mu bajkę, że mój znajomy to informatyczny geniusz żyjący z dala od świata. Ktoś, kto nigdy nie odpowiada na telefony, a jego tożsamości nie znam nawet ja. Osoba, z którą można się skontaktować, przekazując określone kody na skrzynkę głosową. A potem czekać. Jeżeli zechce, to odpowie.

– Zadzwoń do niego zaraz i zostawię mu kod, żeby oddzwonił. Ale sam wiesz, że oddzwania, jak chce, i że rozmawia tylko ze mną, nikomu nie ufa.

– Spróbuj zadzwonić, Inés, spróbuj.

– I co mam mu powiedzieć?

– Jest sprawa.

– Jest sprawa. Uwielbiam twoją umiejętność syntezy – zakpiłam. – Sądysz, że „sprawa” jest wystarczającym powodem, żeby się z tobą skontaktował?

– Sprawa osobista. Nie mogę teraz wchodzić w szczegóły. Ale potrzeba mi kogoś, kto mnie wyciągnie z kłopotu.

No coś takiego, pomyślałam, ciekawe. Coś musiało pójść rzeczywiście źle, skoro Manuel Grana dzwoni do mnie, żebym mu pomogła rozwiązać jakąś prywatną sprawę. Komórki nerwowe w moim mózgu sygnalizowały mi ochoczo, że słusznie się domyślam. – Okay, szefie. Zostawię mu kod w skrzynce i zobaczymy, czy się odezwie – zapewniłam z udawanym zaangażowaniem.

Zakończyłam połączenie, zastanawiając się, co u licha mój szef ma do ukrycia, że potrzebuje pomocy Joana. Aż przypomniałam sobie, gdzie jestem i po co tu przyszłam. Pędem wróciłam do sali na spotkanie terapeutyczne. Może uda mi się dobiec na czas, by usłyszeć finał opowieści dziewczyny z torebką.

– Kiedy wreszcie udało mi się wpakować wszystkich trzech do samochodu: Bruna obok mnie, w dziecięcym foteliku, Edu za mną, bo był najstarszy i nie musiałam tak bardzo na niego uważać, i Lucasa z tyłu, za siedzeniem pasażera, żeby go widzieć w lusterku, zrobiło się już ciemno i drobny siąpiący deszcz zamienił się w ulewę. W marcu bardzo wcześnie robi się ciemno, sami wiecie. Temperatury także szybko spadają, dlatego nie rozebrałam dzieci z kurtek, kiedy zapinałam je w fotelikach. Tak, wiem, że to niewłaściwe i niebezpieczne przypinać dzieci pasami, kiedy są w skafandrach, zwłaszcza tak grubych jak

tamte, które wtedy mieli na sobie. Pasy nie trzymają dobrze i gdy dochodzi do zderzenia, ciało dziecka wypada do przodu z taką siłą, że może dojść do ucięcia głowy. Ale był wieczór, a nam się spieszyło. Czekwały nas jeszcze kąpiel, kolacja, karmienie Bruna piersią, piżamki, bajki i wszystko to, co dwaj starsi wymyślali, byle tylko opóźnić chwilę pójścia do łóżka. No więc upakowałam dzieci i ruszyliśmy. Odległość między miasteczkiem, w którym mieszka moja matka, a moim domem wynosi tylko pięć kilometrów. Droga była wąska, nieoświetlona i pełna zakrętów, ale znałam ją jak własną kieszeń. Ileż to razy przemierzałam ją o świcie nawet pieszo, kiedy jako nastolatka wracałam po długiej nocy poza domem. Mogłam nią jechać z zamkniętymi oczami, także tamtego wieczoru, kiedy lało jak z cebra. Na prawo, pięćdziesiąt metrów, zmiana kąta nachylenia, trochę w lewo i znowu krótka prosta. Wycieraczki nie nadążały, widoczność spadała prawie do zera, ale z naprzeciwnika nic nie jechało, nie było widać na asfalcie żadnych odbłasków świateł, mogłam więc jechać powoli i spokojnie środkiem drogi. I nagle koła zaczęły się ślizgać na asfalcie. Tylko odrobinę, jednak samochód stracił przyczepność, wpadł w lekki poślizg i w czymś ugrzązł. Nie mogłam jechać dalej. Zaciągnęłam hamulec ręczny, włączyłam światła awaryjne i opuściłam szybę, żeby sprawdzić, co się stało. Może drogę zasypał żwir i dlatego koła nie mogły się ruszyć? Niczego jednak nie dostrzegłam, a jedyny dźwięk, jaki słyszałam, to szum lejącej się z nieba wody. Spojrzałam do tyłu. Edu i Lucas spali. Tylko Bruno na przednim siedzeniu obok mnie nie spał. Był głodny. Niebawem zacznie się domagać piersi. Lepiej się pośpieszyć.

Lucía niespokojnie poruszyła się na krześle. Chociaż pozostawała opanowana i zdawała się błędzić myślami gdzieś daleko, dało się wyczuć, jak nasila się jej ból, a dusza wyziera z ciała, jak gdyby wywinęło się ono na drugą stronę. Rzuciłam okiem na zebranych. Wszyscy siedzieli ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wstyd im było słuchać czegoś tak intymnego i bolesnego, jak gdyby byli starymi wiejskimi plotkarami. Ale nie mieli wyjścia. Byli uczepliwi tej tragedii.

– Jeszcze o tym nie wiedziałam, ale po raz ostatni widziałam wtedy Bruna. Mój synek siedział tam, na swoim foteliku na przednim siedzeniu peugeota, oświetlony lampką na suficie. To ostatni obraz Bruna, jaki mam w pamięci, i przysięgam na Boga, że jest gówniany. Nie widać było ani dołeczka w brodzie, ani tych jego długich rzęs, które tak wszystkich rozczulały. Ostatni raz, gdy go widziałam, Bruno miał buzię jak pomarańcza ze smugami cienia, w której zaledwie dało się rozróżnić zarys oczodołów. W pewnej chwili coś silnie uderzyło w samochód, w drzwi od mojej strony, i zaczęliśmy ześlizgiwać się na

prawo. Pomyślałam, że wypadniemy z drogi. Boże, wypadniemy z drogi.

Lucia zamarła, przestała oddychać. Jeśli nie oddychasz, mniej boli. Jeśli nie oddychasz, możesz ucisnąć ból tak mocno, że pęknie niczym ropny wrzód. Rzecz w tym, żeby na długo wstrzymać powietrze, a potem powoli je wypuszczać, podczas gdy coraz mocniej uciskasz. I to właśnie instynktownie robiło ciało Lucii: przygotowywało się na intensyfikację bólu, która miała nadejść. Ponownie.

– Próbowałam otworzyć drzwi od swojej strony i nie mogłam. Z tej strony napływała woda i blokowała je. Opuściłam okienko i wydostałam się przez nie. Wiedziałam, gdzie jesteśmy – na odcinku drogi, który biegnie nad wyschłym strumieniem. W niektórych miejscach opad był tak intensywny, że strumień ponownie ożył. Zdjęłam buty na obcasach. Niezbyt wysokich, ale i tak nie dało się na nich chodzić w tych warunkach. Gdy postawiłam stopę na ziemi (nie byłam pewna, czy to był asfalt), zdałam sobie sprawę, z jaką siłą pędzi woda. Mielśmy szczęście; samochód musiał w czymś ugrzęznąć, bo gdyby nie to, już by płynął poza wszelką kontrolą. Musiałam się bardzo spieszyć. Usiłowałam otworzyć drzwi od strony Edu, który siedział za mną, i też nie mogłam. Blokowała je woda. Cholera, cholera, przecież trzeba ich stamtąd wyciągnąć. Waliłam w szybę, żeby obudzić Edu, kochanie, budź się, kochanie, szybko, dojechaliśmy do domu i nie chcę, żebyś przemókł. Ale on mnie nie słuchał. Mój głos zagłuszany przez deszcz rozbijał się bez sensu o szybę, doprowadzając mnie do rozpacz. Musiałam spróbować z drugiej strony, jeżeli chciałam wydostać dzieci. Naprawdę wiele wysiłku mnie kosztowało, żeby obejść samochód, nic nie widziałam, zrobiłam błąd, że przekręciłam kluczyk, przez co znalazłam się w całkowitych ciemnościach. Ponadto huk wody – tej lejącej się z nieba i tej spływającej dnem strumienia, był straszny. W takim hałasie nie da się myśleć. Ale może to właśnie było najlepsze w tamtej chwili. Nie myśleć, działać. Trzymając się kurczowo czegokolwiek, co tylko wystawało z karoserii (i wczepiając się w nią paznokciami), obeszałam samochód. Gdy znalazłam się z jego prawej strony, na chwilę poczułam ulgę. Auto utworzyło w wezbranej wodzie tamę, dzięki czemu mogłam otworzyć tylne prawe drzwi. Po omacku wypięłam Lucasa („kochanie, chodź, kochanie, obejmij mamę”), a jednocześnie mówiłam do Edu, starając się, żeby mój głos nie brzmiał histerycznie i mały się nie przestraszył, żeby odpiął pasy, że to bardzo ważne, żeby wyszedł przez prawe drzwi. Przycisnęłam Lucasa do lewego biodra. Odetchnęłam. „Edu, kochanie, wychodź, pełno tu wody, ale nie bój się, trzymaj się mocno mamy”. Edu miał sześć lat, mógł stamtąd wyjść, trzymając się mocno paska u moich

jeansów. Nie było innego sposobu. Najtrudniej było wydostać Bruna, bo przecież lewym ramieniem obejmowałam Lucasa, a całym ciałem osłaniałam Edu, jednak jakoś mi się udało. Utrzymując kruchą równowagę, zaczęliśmy się przesuwając całą czwórka, krok po kroku. „Edu, zachowujesz się jak prawdziwy mistrz! – wołałam, przekrzykując huk wody. – Trzymaj się mocno, z całej siły, paska mamy. Z całej siły, kochanie, tak jakbyś zjeżdżał na tyrolce. Z całej siły. Zobaczysz, że zaraz przebrniemy przez rzekę”. Dzieci nie płakały. A może zresztą tak. Może ryczeli wszyscy trzej (może ryczeliśmy wszyscy czworo), ale nie zdawałam sobie wtedy z tego sprawy, bo wszystkie moje zmysły skupione były na tym, jak się stamtąd wydostać. Wierzyłam, że nam się uda, naprawdę w to wierzyłam, aż do chwili, gdy samochód przestał nas osłaniać i woda uderzyła w nas z całą siłą. Omal nie upadłam. Sięgała mi powyżej kolan. Ślizgałam się, woda mnie zalewała. Napierała z coraz większym impetem. Po kolejnych czterech czy pięciu krokach upadłam. Odruchowo puściłam Lucasa i Bruna, żeby rękami zamortyzować upadek. Lucas zdołał chwycić się mojego swetra. Edu jakimś cudem trwał uczepony moich spodni, ale Bruno, który miał niewiele ponad rok, poślizgnął się i przepadł. Chyba nigdy tak strasznie nie krzyczałam. W rozpacz, w ataku paniki macałam na oślep prawą ręką, aż natrafiłam na jego głowę, złapałam za włosy i wyciągnęłam go z wody. Nie uda nam się, pomyślałam, nie uda nam się. Próbowałam zrobić kolejny krok, gdy nagle poczułam, że nie mam już gruntu pod stopami, i zapadliśmy się wszyscy czworo. Trzymałam ich wszystkich kurczowo, usiłując ich wypchnąć do góry, wydostać ich głowy nad wodę, żeby się nie potopili. I wtedy uświadomiłam sobie prawdę. Cholerną, przeklętą, kurewską prawdę: że mogę ich uratować, ale nie wszystkich. Że we czwórkę nie mamy szans. Że muszę wybrać, kto przeżyje, a kto zginie. Pewnie miałam w głowie gonitwę myśli. Edu był najstarszy, mój pierworodny, ten, który zmienił moje życie na zawsze. Lucas, średni, był moim ulubieńcem, zawsze obsypywał mnie pocałunkami. A Bruno... Bruno wciąż jeszcze pachniał jak niemowlę, można było schrupać te jego pucołowate policzki. Długo sądziłam, że te wszystkie myśli o moich dzieciach przelatowały mi przez głowę po to, żebym zdecydowała, które muszę posłać na śmierć. Ale uświadomiłam sobie, że to wszystko zrodziło się w moim mózgu już później i że wówczas miałam w głowie jedynie pustkę, a decyzję podjęło moje ciało. „Przepraszam, Bruno, przepraszam – mówiłam przez łzy. – Kocham cię, Bruno, ale muszę pozwolić ci odejść. Muszę pozwolić ci odejść, żeby uratować twoich braci. Żegnaj, Bruno, żegnaj. Wybacz mi, proszę. Kocham cię”.

I puściłam go.

Żegnaj, malutki. Żegnaj.

Lucia nie była w stanie mówić dalej. Cały długo powstrzymywany ból rozlał się niczym ów strumień, który porwał jej dziecko. Wśród szlochów dały się jedynie rozróżnić dwa słowa, które powtarzała jak w transie: trzydzieści sekund, trzydzieści sekund, trzydzieści sekund. Atmosfera w pomieszczeniu była tak napięta, że wszyscy wstrzymali oddech. Po raz pierwszy naprawdę pojęłam ból matki, której umiera dziecko.

I nie wytrzymałam tego.

Wybiegłam z sali, nie oglądając się, nie zwracając uwagi na to, że ktoś to zauważy albo mnie rozpozna. Gdy tylko znalazłam się w samochodzie, zaczęłam szukać w Google'u finału tej historii. I znalazłam cały opis w lokalnym periodyku sprzed dwóch lat. „Puściwszy najmłodszego synka, matka walczyła, by doprowadzić pozostałych dwóch w bezpieczne miejsce. Starszy syn uczeplił się gałęzi drzewa i w ten sposób ocalał życie. Ona i średni syn, zaledwie dwuletni, zostali porwani przez nurt, ale zdołali się wydostać z wezbranej wody trzydzieści metrów niżej. Według relacji agentów z Guardia Civil, zanim kobieta straciła przytomność, powtarzała: »Edu, Edu, ratujcie, proszę, Edu, tam, na drzewie«. Człowiek, który zdołał w porę zatrzymać jej samochód dokładnie po drugiej stronie drogi, poza strumieniem, usłyszał krzyki i wezwał Guardia Civil. Cała trójka dochodzi do siebie po przebytej hipotermii w miejscowym szpitalu. Zapewniono im opiekę psychologa. Agenci oświadczyli, że rwący strumień uformował się w ciągu zaledwie pół minuty i że woda, która porywała wszystko, co stanęło na jej drodze, parła naprzód w sposób niekontrolowany, niczym tsunami. Zwłoki dziecka znaleziono wczoraj po południu, w czterdzieści osiem godzin po tragedii, piętnaście kilometrów poniżej miejsca wypadku, zaplątane w gałęzie drzew porwanych przez wodę. Pogrzeb odbędzie się jutro”.

Nie zdążyłam jeszcze przetrwać tego, co przeczytałam, gdy w rękach zawibrowała mi komórka. Z początku myślałam, że to moja ręka tak drży, ale to był sygnał połączenia. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero po szóstym czy siódmym sygnale, gdy połączenie się przerwało, a następnie powtórzyło. Znowu dzwonił mój szef, Manuel. Cholerny nudziarz.

– Inés. Kolejne dziecko. Właśnie zaginęło kolejne dziecko w tym samym centrum handlowym co dwa lata temu. Pamiętasz?

Czy pamiętam? Czy pamiętam? Poczulałam skurcz w żołądku.

– Jedź tam pędem. Wysyłam ci plecak, żebyś mogła nadać bezpośrednią relację w wieczornym wydaniu wiadomości. Zaczynamy od tej historii. Daj znać, jak tylko dotrzesz.

- Posłuchaj, Manuel – zaczęłam.
- Czego mam posłuchać?
- Wiesz przecież, że... – I co ja mam mu powiedzieć? Jak mam usprawiedliwić się przed szefem, że nie mam ochoty tam jechać? – Wiesz przecież, że nie odpowiada mi temat zaginionych dzieci.
- Czy ty słyszysz, co mówisz? Wiesz przecież, że nie odpowiada mi temat zaginionych dzieci. Wiesz przecież, że nie odpowiada mi temat zaginionych dzieci – przedrzeźniał mnie głosem rozkapryszonego dziecka. – Jedź tam natychmiast, Inés. Zadzwoń, jak będziesz w drodze, to podam ci więcej szczegółów. Czekam na potwierdzenie, że mamy wyłączność. Jeżeli to, co sugeruje moje źródło, to prawda, sprawa jest poważna. Bardzo poważna.

Vertical line of text, possibly a page number or header.



## 4.

# ANA

Kiedy nadinspektor Ana Arén dotarła do centrum handlowego, miała ochotę powiesić za jaja całą ochronę. Nie zamknięto ani jednych drzwi i nikt nie kontrolował wejść. Jeżeli rzeczywiście doszło do porwania dziecka – i nie był to tylko fałszywy alarm – mały i jego porywacz mogli już być daleko. Nie mówiąc już o śladach, jakie prawdopodobnie zostawiali po drodze. Poprzyklejały się do setek podeszew osób krążących po centrum, zniknęły nieodwołalnie w szeregowcach na madryckich peryferiach. Czy naprawdę wydarzenia, które rozegrały się tu dwa lata temu, niczego ich nie nauczyły? Czy tamta lekcja nie była wystarczająca dla hiszpańskiego społeczeństwa?

– Pani nadinspektor! Pani nadinspektor! – usłyszała za plecami. – Tutaj!

Przy takiej liczbie ludzi krążących wokół bez celu trudno jej było zorientować się, skąd dochodzi głos. Zawsze zadziwiało ją zachowanie rodzaju ludzkiego w centrach handlowych. Żywa ludzka masa przelewała się przez alejki w pozornym bezładzie, snując się bez konkretnego celu, noga za nogą, mechanicznie – prawa, lewa, prawa, lewa – jak gdyby znajdowali się w tym miejscu wyłącznie dla zabicia czasu. Wewnątrz klient miał wszystko, czego potrzebował: klimatyzację w lecie i ogrzewanie zimą, banki, toalety, fontanny i gładkie powierzchnie, po których można łązić bez obawy, że się człowiek potknie.

– Tutaj.

Ana spodziewała się zobaczyć mundur, jednak ujrzała dziewczynę w cywilu. Czy to już ktoś z grupy analityczno-laboratoryjnej? Jedyne ich agenci występowali bez mundurów, tak jak ta dziewczyna. Zazwyczaj na miejsce przestępstwa – Boże, oby jednak do niego nie doszło! – wysyłano jakiegoś biednego stypendystę świeżo po Akademii Policyjnej w Ávili.

– Pani nadinspektor, witam, dzień dobry. Dzięki za szybkie przybycie – odezwała się dziewczyna. – Przepraszam, ależ jestem niewychowana, to przez te nerwy. Pani jest prawdziwą instytucją w korpusie, sama pani wie. Och, jeszcze raz przepraszam. Nie przedstawiłam się. Jestem Sonia Calero

z komisariatu policji dla Madrytu Zachód. Czekaliśmy na panią.

– Kiedy przyjechaliście?

– Wóz był na miejscu już po dziesięciu minutach od zawiadomienia nas przez jednego ze świadków. Jak zeznał, natknął się na kobietę, która krzyczała, że ktoś porwał jej syna. Natychmiast zdali sobie sprawę, że to nie fałszywy alarm, i nas powiadomili. Ja jestem po służbie, robiłam zakupy w okolicy i przybiegłam.

To było to samo miejsce, gdzie dwa lata wcześniej zniknął Nicolás. Zupełny koszmar.

– Co mi możesz powiedzieć o tym przypadku? – spytała Ana, gdy obie pędziły w kierunku miejsca, gdzie zniknął chłopiec.

– No cóż, przesłuchujemy matkę. Ojca usiłujemy zlokalizować. Matka wpadła w histerię, nie potrafi wypowiedzieć pełnego zdania, więc wezwaliśmy lekarza, żeby się nią zajął.

– Jak dawno zniknął chłopiec?

– Dwie godziny temu. Zawiadomiono nas natychmiast, przyjechaliśmy szybko, ale w całym centrum handlowym i okolicy nie ma po nim śladu. Dzieciak ma cztery lata, nazywa się Enrique. Matka trzymała go za rękę. Zatrzymał się przy wystawie sklepu z zabawkami, zagapił na figurki z czegoś, co się nazywa *Psi patrol*.

Sonia mówiła szybko, ciężko ją było zrozumieć, wypowiadała słowa tak samo, jak szła, niemal nie oddechając, potykała się, jakby uczestniczyła w jakichś zawodach.

– Co to jest? Jakaś kreskówka w telewizji? – spytała Ana.

– Chyba tak. Widać, że pani nie ma dzieci. Och, przepraszam, nie chcę się mieszać w pani prywatne sprawy! Przepraszam! Już dobrze? Najwyraźniej – ciągnęła, wracając do tematu – to ulubiona kreskówka dzieciaków, teraz najmodniejsza. Moi kuzyni ją uwielbiają. Psy jako policyjni agenci.

– Psy jako agenci? Tylko tego brakowało. A nikt nie wpadł na to, by zrobić małą prokuratorem? Na razie jeszcze nie, co? – W głosie Any pobrzmiwała gorycz, lecz Sonia się roześmiała.

– No wie pani, nasze mundury dobrze leżą nawet na psach. Tu, w tym sklepie, proszę spojrzeć, urządziliśmy nasze centrum operacyjne.

Był to sklep z zabawkami, pewnie ten sam, o którym wspominała Sonia. To on przyciągnął uwagę chłopca, który potem zniknął. Dobre miejsce, jeśli chodzi o sprzedaż, złe, gdy chodzi o zniknięcie. Znajdował się bowiem tuż przy drzwiach, które prowadziły do wind i schodów ewakuacyjnych. Jeżeli chłopca porwano, to łatwo było stamtąd wyjść w ciągu paru sekund.

W środku lokalu właściciel cierpliwie odpowiadał na pytania agentów, ale o tej porze wyrzucał już sobie zapewne, że pozwolił urządzić w sklepie bazę połową policji. Na pewno zaoferował to w dobrej wierze, pewnie też dlatego, że czuł się trochę winny, bo przecież mały zniknął sprzed jego wystawy.

Ana i Sonia minęły grupę, która przesłuchiwała mężczyznę, i skierowały się w głąb sklepu. Za półotwartymi drzwiami, w pomieszczeniu będącym magazynkiem bez okien czy wentylacji, na pudłach z zabawkami siedziała matka chłopca z ciśnieniomierzem na ramieniu. Lekarz spojrzał na Anę i dyskretnie pokręcił głową. Poczekaj chwilę, proszę, daj mi jeszcze chwilę, poprosił spojrzeniem.

– Sto sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt. Zawrotne.

Kobieta nie odpowiadała. Skoro jej syn zniknął dwie godziny temu, z każdego pora na jej skórze musiała sączyć się adrenalina. Ana potrzebowała tej kobiety w dobrej formie. A przynajmniej w formie możliwie dobrej, zważywszy na okoliczności.

– Jak się nazywa matka? – spytała szeptem Sonia.

– Lola. A syn Enrique.

– Powiedz lekarzowi, żeby dał jej coś na uspokojenie, ale nic silnego. Ma mieć jasność myślenia.

– Zgoda.

– Ale tak, żeby matka nie słyszała.

– Jasne, jasne – przytakiwała Sonia. – Powiem mu, ale tak, żeby ona nie słyszała.

– Lola, witaj, Lolule. Jestem Ana. Nadinspektor Ana Arén – przedstawiła się Ana miękko głosem, gładząc kobietę po rękę.

Ana lubiła delikatnie dotykać ofiar. Skóra stanowi największą i najwrażliwszą część organizmu: dwa metry kwadratowe czystej wrażliwości, najlepszy sposób, by wejść w kontakt z uczuciami rozmówcy i zakomunikować: jestem tutaj, przy tobie, żeby ci pomóc. Chociaż czasami należy uważać. W przypadku pewnych osób, kiedy ból jest zbyt silny, kontakt skóra do skóry może wywołać bolesne wyładowanie elektryczne. Przy dużym cierpieniu ofiara kuli się w sobie w pozycji embrionalnej, aby osłonić organy ukryte we wnętrzu. I jakkolwiek kontakt zewnętrzny odbierany jest i odczuwany fizycznie jako bezpośrednia agresja, wdarcie się w sam środek fizycznego i emocjonalnego bólu.

– Lolule, jestem tutaj, żeby znaleźć twojego syna.

Kobieta popatrzyła na Anę, jakby nie rozumiała dokładnie sensu wypowiedzianych przed chwilą słów. Tutaj? Znaleźć? Syna? Sprawiała

wrażenie, że szuka ich znaczenia w jakimś zakamarku mózgu.

– Musisz mi pomóc, Lolu, musisz mi pomóc. Liczy się każda minuta. Jeśli chcemy odnaleźć Enrique, musisz mi pomóc.

– Ja... ja... ja już wszystko powiedziałam policji – odpowiedziała w końcu kobieta bełkotliwie, jakby wyrwana ze snu. – Nie wiem nic więcej. Gdzie jest moje dziecko? Gdzie?

Lola zaczęła się trząść i szlochać. Jej ciało kołysało się rytmicznie w takt kapiących łez.

– Lolu, Lolu, kochanie – nalegała Ana – spójrz mi w oczy. Znajdziemy Enrique.

– Kike. Mówimy na niego Kike. Jeśli się zgubił i będą szukać Enrique, to się nie zgłosi. Kike. Szukajcie Kike.

– Dobrze, Lolu, dobrze. Kike. A więc ty i ja odnajdziemy Kike.

Ana nie lubiła formy „pan/pani” w tego typu sytuacjach. Uważała, że tworzy ona dziwną barierę: ja, policjantka, po jednej stronie, ty – ofiara – po drugiej. Wolała zwracać się per „ty”. Choć dla niektórych brzmiało to dziwnie.

– Będziemy szukali Kike, ale musisz się skupić. W porządku? Już dobrze, kochana, jesteśmy we dwie. Zacznijmy od początku. Co się stało?

– Ja... ja... Spacerowaliśmy, obiecałam mu, że pójdziemy do kręgielni, jeśli nie będzie płakał w drodze do przedszkola. Bo wie pani, zmieniliśmy mu przedszkole w tym roku. Jestem w separacji i już nie możemy płacić za prywatne przedszkole. Kike wiele kosztuje przyzwyczajenie się do tego wszystkiego, do nowego domu, do separacji, do przedszkola. Dlatego obiecałam mu, że pójdziemy do kręgielni, żeby nie płakał.

– Jak zapamiętałaś moment, kiedy zniknął?

– Dla Kike... – westchnęła, pociągnęła nosem, wciągając gromadzące się w nim wydzieliny – jedną z niewielu rzeczy, jakie go uspokajały w ostatnich dniach, był *Psi patrol*. Wie pani, te kreskówki o psach policjantach i strażakach. Uwielbia je. Codziennie spóźniamy się do przedszkola, bo chce obejrzeć jeszcze jeden odcinek. Więc kiedy zobaczył na wystawie te figurki z *Psiego patrolu*, przystanęliśmy. Trzeba było widzieć jego twarz, te jego oczy jak spodki. Puścił mnie, żeby widzieć lepiej. Stał tam z rękami i twarzą przyklejonymi do wystawy. Jakby można było przejść przez szkło, toby to zrobił. Ja, ja... zagapiłam się. Zadzwęczał telefon, ktoś się odezwał na WhatsAppie, sprawdziłam.

– Kto się odezwał?

– Mój mąż. To znaczy mój były mąż. Chciał zabrać Kike na weekend. To nie jego kolej, bardzo się oburzyłam.

– Mogę zobaczyć komórkę?

Wszystko się zgadzało. Wiadomość od byłego męża. Ricardo, widniało w nagłówku. Ana się odwróciła.

– Czy były mąż już tu jest? Zlokalizowaliście go? – spytała Sonię.

– Nie, o ile wiem, to nie. Zapytam na zewnątrz. Zaraz pani powiem, pani nadinspektor.

Wiadomość przyszła o 17.13. „Lola, zabieram Kike jutro i spędzimy razem weekend. Niech nie idzie do przedszkola w piątek. Przygotuj mu walizkę i zostaw ją w sekretariacie. Odbiorę ją”. Odpowiedzią Loli był długi tekst, w którym stwierdzała, że ma już dość i że co on sobie myśli, że nie zgadza się, by zabrał małego. Że jak ma zmienić zamek i wezwać policję, to to zrobi. Wiadomość od męża przyszła o 17.13, Lola odpisała o 17.19.

– Lololu, odpisałaś od razu na tę wiadomość?

– Tak. Jak tylko odezwał się na WhatsAppie, wyjęłam komórkę i odpisałam.

– Ale z zapisu wynika, że czekałaś sześć minut, żeby odpisać.

– Ja... ja... odpisałam od razu, przysięgam.

Wyglądało na to, że wiadomość od męża miała zdenerwować żonę. Wywołać określoną reakcję. Sześć minut na napisanie pięciolinijkowej odpowiedzi na WhatsAppie to zbyt dużo. Ale kto wie? Może pisała i usuwała tekst i znowu pisała i usuwała, zanim w końcu wysłała to, co chciała? Jeśli ją rozgniewał, nic dziwnego, że napisanie odpowiedzi mogło być dla niej trudne.

– Pani nadinspektor, może pani na chwilę podejść? – Sonia stała w drzwiach łączących magazynek ze sklepem. – Nie znaleźliśmy męża – oznajmiła szeptem, prowadząc Anę w odległy kąt sklepu. – Jego komórka pozostaje wciąż poza zasięgiem. Sama pani wie.

– Tak, wiem, że w przypadku większości porwań nieletnich zamieszany jest w nie ktoś z rodziny lub z najbliższego kręgu znajomych. Ale równie dobrze facet może być w kinie albo u panienki, dla której zostawił żonę, albo na zebraniu.

– W pracy mówią, że wyszedł po lunchu.

– Nie możemy zakładać, że zrobił to mąż, Soniu. Może tak, a może nie. W tej chwili nie możemy wykluczyć żadnej możliwości. Jeśli chcemy uratować Kike, trzeba mieć otwarty umysł.

Ileż to razy powtarzałam tę samą śpiewkę nowicjuszom przychodzącym do jednostki? Otwarty umysł. Niczego nie wykluczać. Czasami eliminujemy pierwsze rozwiązanie, które nam przychodzi do głowy, bo sądzimy, że jest zbyt proste. Albo wręcz niemożliwe.

– Poprosiliśmy o listę pracowników centrum handlowego. Ochrona i sprzątanie to firma zewnętrzna. Mamy grupę agentów sprawdzających sklep po sklepie, kontaktujących się z właścicielami, żeby udostępnili dane pracowników. Również tych, których ostatnio zwolniono.

– Zawiadomiłaś JTD?

– Tych od internetu?

– Tak, zadzwoń tam w moim imieniu. I zawiadom też grupę. Niech cię połączą z podinspektorem Javierem Norim. Powiedz mu, niech wejdzie na listę notowanych pedofilów i sprawdzi, czy był tam jakiś dziwny ruch.

– A, jeszcze jedno, pani nadinspektor. Komuś się wypsnęło. Media czekają już na ulicy. Właściwie to tylko jedna telewizja. Jeden z agentów, którzy pilnują obszaru, zauważył technika przygotowującego stanowisko do bezpośredniej relacji.

– Nie mogą wejść do centrum handlowego. Postaw patrol, żeby ich dyskretnie śledził i żeby nie wybuchła panika wśród ludzi, kiedy usłyszą, co się stało. Jak dziennikarz wejdzie na wizję, rozdzwonią się komórki w całym budynku. Nie chcę lawiny. Jest jeszcze pół godziny do serwisu informacyjnego o ósmej, mamy trochę czasu. Na razie powstrzymałyśmy tę historię, ale jak tylko powiedzą o niej w telewizji, portale społecznościowe rozgrzeją się do czerwoności i będzie piekło.

– Zgoda, pani nadinspektor.

Ana westchnęła. Jak media mogły dowiedzieć się tak szybko? Jeżeli pojawi się tu Inés Grau, będą problemy. Szlag by ją trafił. Inés.

Wróciła na zaplecze sklepu.

– Lol, czy masz może zdjęcie syna?

– Tak, tak, oczywiście. Proszę spojrzeć. – Lola wyjęła ponownie komórkę. – To zrobiłam mu na chwilę przed tym, jak zniknął.

Lola zaczęła się trząść. Zniknął. Wypowiedzenie na głos tego słowa uświadomiło jej, że syna rzeczywiście przy niej nie ma. Że go straciła. Albo że ktoś go zabrał.

Lecz Ana Arén ujrzała coś więcej. Coś, co ją zmroziło. Zdjęcie Kike. Cztery lata. Brunet. Gładkie włosy obcięte na pazia. Wielkie brązowe oczy. Ten chłopiec był taki sam jak Nicolás.

To niemożliwe.

Nie Nicolás po raz drugi.

Nie Slenderman po raz drugi.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 5.

# INÉS

Wszędzie panował spokój. Zdawało się, że to kolejny wieczór w jednym z nudnych – i zadziwiająco zawsze pełnych – centrów handlowych na peryferiach Madrytu. Zaledwie kilka osób wiedziało, co się tu wydarzyło.

A jeszcze mniej ludzi wiedziało o czymś znacznie gorszym. Wyglądało na to, że wszystko stało się dokładnie tak samo, jak dwa lata wcześniej.

Slenderman.

Zbyt wiele złych wspomnień. Poczułam ucisk w żołądku, a potem w gardle, kiedy mój szef, Manuel, przekazał mi wiadomość.

– Jesteś już w drodze?

– Wyluzuj, szefie, dobrze? Tak, dzwonię z samochodu. Będę tam za dziesięć minut – oznajmiłam, ściągając jednocześnie z głowy blond perukę, którą założyłam na spotkanie terapeutyczne. Potem zaczęłam zmywać makijaż, nadający mojej twarzy żółtawego koloru i sztucznie podkrążający oczy. Używałam chusteczek dla niemowląt, które nieco wyschły, spędziwszy kilka miesięcy w schowku samochodowym, w na pół otwartej paczce.

– Czy jednostka mobilna do transmisji na żywo jest już w drodze?

– Nie chcemy wywoływać sensacji jednostką mobilną. Jak ludzie zaczną tweetować, że widzieli ogromny wóz transmisyjny Kanału Jedenaście najeżony antenami, konkurencja zacznie wydzwaniać do swoich kontaktów w policji i koniec z naszą wyłącznością. Chcemy być jedyni z tą wiadomością w serwisie informacyjnym o ósmej. Wszyscy się posrają.

– To znaczy, że plecak?

– Tak.

– Jak wyjdzie źle, to sam się posrasz. Tylko nie zrzucaj odpowiedzialności na mnie.

– Inés, do cholery, przestań wreszcie marudzić – wypalił. – Jak może nie być fantastycznego zasięgu 4G w jednym z najwspanialszych centrów handlowych w Madrycie? Wyobrażasz sobie, że operatorzy telefonii komórkowej mieliby tracić tę gigantyczną kasę, jaką generuje tłum znudzonych klientów łączących



w tę i we w tę? Jaką mają inną rozrywkę, prócz gapienia się w komórki? A poza tym nie wierzę, żeby gliny użyły jakiejś blokady. Nie w przypadku zaginięcia dziecka.

– Mam ci przypomnieć, jak kiedyś zerwała się transmisja z powodu przeklętego plecaczka? Mam ci przypomnieć?

Jednostki mobilne do bezpośredniej transmisji telewizyjnej wysyłają sygnał przez satelitę. Gdy połączenie zostanie nawiązane, praktycznie nie jest możliwe, by zostało przerwane lub zerwane – chyba że dojdzie do nadzwyczajnego wybuchu na słońcu albo ktoś naciśnie niewłaściwy guzik. Tymczasem ostatnio stały się modne transmisje „z plecakiem”, nazywane tak od niewielkiego nadajnika umieszczonego w plecaku na ramionach kamerzysty, wysyłającego sygnał do redakcji za pośrednictwem sieci komórkowej. Wystarczy chwilowy brak zasięgu i żegnaj transmisjo na żywo. Czasami na oczach milionów widzów.

Jechałam ponad sto czterdzieści na godzinę. Ryzykowałam niejedną mandat, byle dotrzeć na czas do centrum handlowego i móc porozmawiać z kimś z policji, kto poda mi więcej informacji na temat zaginięcia dziecka, zanim wejdę na wizję. Gdyby przez przeklęty plecak zerwała się moja relacja, miałam zamiar zrobić nieliczną awanturę po powrocie do telewizji.

– Nie będę się wygłupiać przed widzami. Nie chcę ci przypominać naszych historycznych dokonań z plecakami. Wystarczy, że pogrzebiesz na YouTube, jeśli pamięć cię zawodzi – dodałam ironicznie, ale nie byłam pewna, czy mój szef załapie. – Tyle razy ci mówiłam, że nie będę więcej robić wejść na żywo z tym szmelcem, bo to ja potem świecę oczami, rozumiesz, złotko? Nie ty. Ludzie nie wiedzą, o co chodzi, i uważają, że to ja odpowiadam za wszystko, nawet za problemy techniczne. Idę sobie ulicą, a ktoś nagle rzuca: „A co ci się stało wczoraj? Co zrobiłaś, że było cię widać w postaci kratek?”. Znoś to sam, szefie. Nie, przecież to nie ciebie ludzie zatrzymują na ulicy, ty się nie pojawiaasz na wizji!

– To jest wyjątkowa sytuacja, Inés, mówiłem ci już. Nie chcę, żeby nam odebrano wyłączność. Zostały dwa dni do końca miesiąca. Musimy sobie zapewnić największą oglądalność.

– Przestaję z tobą dyskutować – przerwałam mu – bo jadę sto czterdzieści na godzinę po M40 i zaraz spowoduję wypadek. A przy okazji, jak złapię mandat, to płaci telewizja. No dobra, opowiadaj, co wiesz.

– Zniknął chłopiec. Cztery lata. Był z matką. Rodzice są w separacji od kilku miesięcy. Ojca jeszcze nie zlokalizowano. Szli do kręgielni, kiedy matka na chwilę zapatrzyła się w telefon, dzieciak puścił jej rękę i zniknął.

– Naprawdę? To ci dopiero wiadomość. Chłopie, słuchaj, to tylko dziecko, które się zgubiło. Pewnie się zagapiło. Albo zabrał je ojciec. Mówiłeś, że są w separacji?

– Inés, posłuchaj, policja uważa, że mógł je porwać ten sam osobnik, który uprowadził Nicolasa dwa lata temu. Slenderman. Wyobrażasz sobie, że Slenderman mógłby znowu działać?

Slenderman. Strach ogarnął mnie nagle całą, wypełnawszy z jakiegoś zakamarka skrytego w najpierwotniejszej, gadziej części mojego mózgu, w najstarszej części świadomości. Szok był tak duży, że niemal straciłam panowanie nad samochodem. Z całej siły ścisnęłam kierownicę. Byłam cała spięta. To niemożliwe. To nie może być Slenderman.

– Skąd mogą tak szybko wiedzieć? Kto ci to powiedział? – starałam się mówić wyraźnie, chociaż pytania cisnęły mi się na usta istną lawiną. – Któryś z gliniarzy, z którymi chadzasz na spektakle dla „intelektualistów”? – Kurwa. Po co się z tym wyrwałam?

– Nie mów do mnie w ten sposób, uważaj, Inés, przekraczasz granice.

– Przepraszam, szefie, ale wiesz, że wkurwiają mnie te gliny, od których przecieku mogą się spodziewać wyłącznie dziennikarze. Kompani od kielicha i kto wie, od czego jeszcze. Nie twierdzą bynajmniej, że należysz do zapraszających.

– Widzisz duchy, Inés, nakręcasz się coraz bardziej. Nie żyjemy już w latach osiemdziesiątych. Tego się już nie robi.

– To ty tak uważasz.

– Zostaw to, dobrze? Nie mamy czasu. Za ile dotrzesz na miejsce?

– Wjeżdżam na parking. Kto przyjedzie z plecakiem?

– Czeka, zapytam w produkcji. Carmeen!!! – usłyszałam, jak wrzeszczy na szefową produkcji serwisu o ósmej, która siedzi pięć metrów dalej. – Kogo wysłałaś z plecakiem na bezpośrednią z centrum handlowego? Adriana – oznajmił po chwili. – Masz tam Adriana za dziesięć minut. Zadzwoń do ciebie, jak będzie na miejscu. Wchodzisz w skrót informacji, a potem otwierasz pierwszy blok.

W środku wszystko wyglądało normalnie. Nie działo się nic dziwnego. Policja jak na razie zdołała powstrzymać wyciek informacji o zaginięciu, tak więc w alejkach centrum handlowego wszystko wyglądało jak w każdy inny wieczór. Ale spokój nie miał trwać długo.

Przemierzyłam biegiem parter i już miałam pomyśleć, że mój szef dostał chyba fałszywkę, gdy ujrzałam dwóch policjantów w sklepiku z rzemiosłem.

Rozmawiali z właścicielką, a jeden z nich zapisywał coś w notesie. Przesłuchiwali ją. Nie słyszałam ich, ale mogłam sobie wyobrazić tę rozmowę. Widziała pani coś podejrzanego? Poznaje pani to dziecko? Widziała je pani tutaj? Widziała pani kogoś, kto kręcił się tu bez celu? Może nam pani dać listę swoich pracowników?

Ale mnie martwiło co innego. Nicolás? Slenderman znaczyło Nicolás. Skąd policja mogła mieć ślad pozwalający powiązać te dwa przypadki? Skąd podejrzenie, że obu chłopców porwała ta sama osoba? Przecież ten drugi dopiero co zniknął. To niemożliwe.

Musiałam jednak skupić się na zdobyciu paru informacji. Gdzie jest centrum dowodzenia? Gdzieś musieli zaprowadzić matkę, gdzieś ją przesłuchują. I gdzieś powinni być ci z jednostki analityczno-laboratoryjnej poszukujący śladów. Wystarczy ich znaleźć, by zdobyć jakieś wiadomości.

– To ty? To naprawdę ty? – Kurwa, nie, tylko nie teraz. – Och, co za spotkanie! Ale co ty tu robisz? Och, jestem twoją wielką fanką!

Czemu baby tak przenikliwie piszczą na widok kogoś z telewizji? Nie mogą mówić normalnie? Zachowują się jak podniecone primadonny z taniej operetki. Emocje wyostrzają tembr głosu. Seks go pogrubia. Aczkolwiek tej kobiety wolałabym sobie nie wyobrażać z chrapliwym głosem.

– Tak, proszę pani, to ja – odparłam, usiłując zachować spokój. – Ale proszę wybaczyć, jestem w pracy i mam właśnie coś bardzo pilnego do zrobienia.

– Jak ty się nazywasz?

Dobra. To normalne. Jak zawsze. Ludzie się na ciebie rzucają, bo im się majaczy twoja twarz z telewizji, ale twojego nazwiska już nie kojarzą. Czasem nawet nie wiedzą, z jakiego programu cię znają.

– Och, tak mnie zachwyciła twoja książka. – No dobrze, trochę lepiej, przynajmniej wie, kim jestem, i nie myli mnie z jakąś aktorką. – Ale wiesz, miałam po niej koszmary. Co za straszna historia! Nie pisz więcej takich rzeczy. Taka jesteś ładna, skąd u ciebie w głowie takie potworne historie?

„Bo właśnie takie ludzie czytają, proszę pani, bo ludzie je czytają, ludzie zarażają się cudzym bólem” – miałam odpowiedzieć. Ale nie starczyło mi czasu na wyjaśnienia.

– Mogę sobie strzelić fotkę z tobą? Mogę, prawda? Bo jak nie, to moja przyjaciółka Conchita, wiesz, ta, która chodzi ze mną na lekcje rysunku, nigdy nie uwierzy. – Mówiąc to, otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać. – No popatrz, nie mogę go znaleźć. Pewnie zostawiłam w domu. Skoro nikt nigdy do mnie nie dzwoni, to wiesz, po co mam nosić telefon. Potem dzieci się wściekają,

bo nie mogą mnie znaleźć. – Jakbym słyszała własną matkę. – Jesteś ładniejsza niż w telewizji. Ktoś ci to kiedyś powiedział?

Tak. Setki razy. Piękniejsza, młodsza i szczuplejsza. Telewizja bardzo psuje wygląd. Prawie wszystkim.

– Proszę pani, bardzo się spieszę, zaraz zacznie się dziennik, mam bezpośrednio wejście na antenę.

– Och, oczywiście! Przyjechałaś tu w tej samej sprawie co policja?

– Widziała ich pani? – Może ta rozmowa jednak na coś mi się przyda.

– Na drugim piętrze. W sklepie z zabawkami, naprzeciwko kawiarni, tej modnej sieciówki. Nie pamiętam teraz nazwy, przepraszam. W tej, gdzie liczą trzy euro za małą kawę tylko dlatego, że nosi jakieś wymyślne nazwy i podają ją w designerskich szklankach. Wiesz? Może doszło do kradzieży, bo od dłuższego czasu wielu policjantów wchodzi do tego sklepu i z niego wychodzi. Chociaż widziałam też lekarzy z noszami. Może jakieś morderstwo? Wyobrażasz sobie?

– Niech pani nastawi serwis informacyjny na Kanale Jedenaście o ósmej, to się pani ode mnie dowie.

– Morderstwo? To dlatego tu jesteś? O mój Boże! Jakie to ekscytujące! A kto zginął? – usłyszałam jeszcze, biegnąc co sił po ruchomych schodach wiodących na drugie piętro.

Jeszcze nie dobiegłam do końca, gdy zadzwonił telefon.

– Jesteś już tu? Właśnie parkuję. Dokładnie przed wejściem do supermarketu – oznajmił Adri.

– Jestem w środku, szukam policji, może się od nich czegoś dowiem.

– Masz świadomość, że zostało nam dziesięć minut do wejścia na antenę? Dostaliśmy zgodę z góry na wcześniejsze rozpoczęcie serwisu, zaczynamy o siódmej pięćdziesiąt cztery. Realizator chce nas już. Wszystkim trochę puszczają nerwy. Otwieramy wydanie.

– Zawsze im wszystkim nerwy puszczają – westchnęłam. – Całe szczęście, że nie nam. Poszukaj jakiegoś miejsca na relację na zewnątrz, będziemy musieli się trochę oddalić, żeby było dobrze widać centrum handlowe. Chyba jest oświetlane w nocy, więc nie będzie to wyglądało na zadupie. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, jest chińczyk. Na pewno z tego chodnika będziesz miał dobry plan. Widzimy się za pięć – spojrzałam na zegarek – za cztery minuty.

Musiałam się pośpieszyć, jeśli chciałam dotrzeć na czas. Moje komórki zaczęły wibrować. Jedna w ręku, druga w torebce. To na pewno mój szef z pytaniem, gdzie u licha się podziewam. Sorry. Jak odbiorę telefon, to nie zdążę nadać na żywo. Już go widziałam wrzeszczącego przy stole realizatorskim.

Musisz poczekać, Manuelu. Albo odbieram, albo wchodzę na antenę.

„Trzy, dwa, jeden, dostrojenie, głośniej kanał A, mówisz”. Słyszałam instrukcje Bei, naszej realizatorki, przez te niby-słuchaweczki, które realizatorki noszą w uszach i które stały się pępowiną łączącą nas z kontrolką realizatorską, gdzie pitraszono wszystko.

„Inés, wchodzisz już, zaraz cię wpuszczają. Powodzenia” – oznajmił Cris, asystent Bei.

„Ma cztery lata i od ponad trzech godzin jest poszukiwany. Enrique Ortiz zaginął dziś po południu w podmadryckim centrum handlowym”. Głęboki, przekonujący głos spikera zabrzmiał w moich uszach wraz z „dostrojeniem”. Byliśmy w powietrzu. W punkcie bez odwrotu.

„Kamera dwa, plan” – poleciała Bea w kontrolce.

„Dobry wieczór państwu. Jako jedyna stacja możemy państwu przekazać informację, że osoby uczestniczące w śledztwie zapewniają redakcję Kanału Jedenaście, iż ten przypadek może być powiązany ze zniknięciem Nicolasa Acosty sprzed dwóch lat. Udajemy się bezpośrednio do Majadahondy, do centrum handlowego Shopping Zachód. Inés Grau, dobry wieczór. Czy mamy do czynienia z kolejnym porwaniem dokonany przez Slendermana?”

„Dupleks” – Bea.

Odetchnij głęboko. Nie przejmuj się tym typem. Twarz pokerzysty. Automatyczny pilot. Patrz w kamerę, jakby w tej chwili to była dla ciebie najważniejsza rzecz na świecie. Możesz. Ten temat ciebie nie dotyczy.

Ten temat ciebie nie dotyczy.

„Dobry wieczór. Opowiemy państwu, jako jedyni, to, co wiemy dotychczas w sprawie zniknięcia czteroletniego chłopca. Według źródeł policyjnych, do których dotarł Kanał Jedenaście, niektóre ślady wskazują na to, że Slenderman mógł zaatakować po raz kolejny”.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 6.

# ANA

Slenderman? Inés Grau naprawdę powiedziała, że zniknięcie Kike może mieć związek ze Slendermanem? No to teraz poleje się na nas istny potok gówna, pomyślała Ana. Miała nadzieję, że utrzyma śledztwo w tajemnicy jeszcze przez jakiś czas, że będzie miała pewien margines działania, jako że o tej porze było już wiadomo, iż nie chodzi o dziecko zaginione. Mieli do czynienia z porwaniem.

Albo z czymś jeszcze gorszym.

Mały zaginał pięć godzin temu. Czy kolejny raz będą brnąć przez to samo? Pomimo całego przygotowania i lat doświadczenia Ana nie wiedziała, czy zdoła znowu zmierzyć się z podobnym przypadkiem.

Nie ze Slendermanem.

Ale to zniknięcie za bardzo przypominało przypadek Nicolasa. Podobny typ dziecka, ten sam wiek, podobieństwo fizyczne i zniknięcie w tym samym miejscu. Jedyne, co się nie zgadzało, to fakt, że Slenderman nie działał od prawie dwóch lat. Czyżby trzymał Nicolasa przy życiu przez cały ten czas? Ana nie chciała chwycić się tej nadziei. A może zdołał powstrzymać swoje skłonności aż do czasu, gdy okazały się silniejsze niż jego wola?

O Slendermanie nikt nic nie słyszał od dwóch lat i w jednostce wszyscy byli przekonani, że coś musiało się z nim stać. Albo siedział w więzieniu za inne przestępstwo, którego nie powiązano z Nicolasem, albo nie żyje, albo mieszka za granicą. W przypadku tego rodzaju psychopatów seksualna presja jest tak silna, że nie są zdolni się powstrzymać, póki nie powstrzyma ich ktoś inny.

Albo coś innego.

– Nie idziesz do domu, Ano?

– Nori! Nie zauważyłam cię. Nie wiedziałam, że komisarz przysłał tu także ciebie.

– Nie, nie przysłał mnie – odparł podinspektor z wymownym gestem. – Nie zamierzał mnie wysyłać aż do chwili, kiedy w serwisie na Kanale Jedenaście o ósmej Inés Grau przyszło do głowy poinformować, że ten przypadek może

mieć związek ze Slendermanem. Nie było tu słycać wrzasków komisarza?

– Dużo gówna z góry?

– Dużo to mało powiedziane. Całe tsunami gówna – westchnął Javier Nori. –  
Tsunami gówna leci prosto na nas z prędkością ponaddźwiękową od samiotkich  
drzwi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Osobiście minister?

– Osobiście. Minister.

– No dobrze, myśl pozytywnie. – Ana starała się zmniejszyć napięcie. –  
Wiesz przecież, że opatrność jest po naszej stronie, bo w tym ministerstwie  
wołą wieszać wota świętym panienkom. Może minister zadzwonił do swojego  
poprzednika, żeby go poprosić, by wstawił się u Matki Boskiej Bolesnej  
i pomógł nam odnaleźć dziecko. Może w ten sposób rozwiążemy sprawę. Dzięki  
boskiej pomocy.

– Któregoś dnia, Ano, któregoś dnia wpadniesz. Kiedyś usłyszysz cię ktoś, kto  
nie powinien cię słyszeć, i będziesz miała kłopoty – zauważył Nori. – A wtedy,  
moja droga, żaden policyjny sukces nie uratuje twojej blond główki ufarbowanej  
na czarno. Wtedy koniec ze spektakularną karierą Any Arén w policji. *Ciao.  
Finito.*

– Na nieszczęście dla ciebie – zażartowała ze smutkiem Ana – daleko jeszcze  
do tej chwili. A swoją drogą, jak mielibyśmy to wszystko znosić bez odrobiny  
czarnego humoru? No jak? Chyba byśmy oszaleli, o ile jeszcze nie  
zwariowaliśmy, co, mój drogi? Kto zdoła wytrzymać tyle deprawacji, tyle  
perwersji, tyle zła? Nie jesteśmy z innej gliny, tylko odrobinę bardziej  
przyzwyczajeni do wszelkiego gówna niż reszta świata. A tak nawiasem  
mówiąc, czy dzwoniła do ciebie niejaka Sonia z mojego polecenia?

– Tak, dokładnie wtedy, gdy jechałem.

– Posłuchaj, Nori, coś mi świta.

– Boję się ciebie, szefowo. – Niedobrze, kiedy kolega gliniarz mówi do ciebie  
„szefowo” tym tonem. Bardzo niedobrze.

– Ten program informatyczny, ten wykrywacz choroby Parkinsona, który ty  
i Joan kilka miesięcy temu przystosowaliście do wykrywania terrorystów  
samobójców, sądzisz, że dałoby się go dostosować do lokalizowania pedofilów?

– Cholera, sam nie wiem. – Zaskoczony Nori milczał przez chwilę. – Nie  
wyskakuj znowu z tymi absurdalnymi pomysłami.

– Czemu nie zadzwonisz do Joana? Coś przecież można by zrobić, prawda?  
Zadzwon i spytaj, co on na to. Mam tu samochód – oznajmiła, gdy znaleźli się  
na parkingu. – Zadzwon, gdy będziesz miał cokolwiek. Daj mi znać, jeśli



czegokolwiek się dowiesz, Javi.

– Jasne. Wykluczyliście już ojca?

– Bynajmniej. Nie dało się go namierzyć, miał wyłączoną komórkę aż do dziesiątej wieczór. Nie da się ustalić, gdzie przebywał. Zabrano go na komendę. Zaraz tam jadę sprawdzić, co wyciągnął z niego komisarz.

– Przekażesz mi. Ja jadę do domu, zobaczymy, czy przyjdzie mi do głowy, jak przekształcić program wykrywający terrorystów samobójców gotowych do zamachu w program wykrywający pedofilów, którzy właśnie porwali dziecko. Łatwizna, sama wiesz.

W niewielu miejscach Ana mogła myśleć tak swobodnie jak w swoim aucie. Gdy siedziała za kierownicą, w jakiś sposób jej głowa odrywała się od ciała i mogła wiązać ze sobą pomysły na pozór absurdalne, które jednak w końcu układały się w coś doskonale logicznego i przydatnego. Tak bardzo zatapiała się we własnych myślach, że czasami nie zdawała sobie sprawy, że dojechała do celu. Czasami nie pamiętała, skąd jechała. Istniał jedynie punkt wyjścia i punkt docelowy. W środku nie było nic prócz mózgu i pracy neuronów.

Chociaż tej nocy nie. Tej nocy jej głowa zajęta była uporczywą myślą, że trzeba będzie przechodzić przez to samo co przed dwoma laty.

– Jest w celi numer trzy, Ano – przekazała jej w drzwiach Komendy Prowincji Mara, dyżurna policjantka, jeszcze zanim się przywitały.

– Zeznał coś?

– Nie mam pojęcia. Tkwię tu od dziesiątej. Tyle egzaminów na akademii tylko po to, żeby skończyć na dyżurce.

– Sama wiesz, że wszyscy przez to przeszliśmy, a niektórzy mieli jeszcze gorzej. Potem ci opowiem, jak poszło z ojcem, dobrze?

– W porządku.

– No to idę. Na razie.

Pokoje przesłuchań znajdowały się w podziemiu, dokładnie między celami a salą posiedzeń. Były tak stare, że niektóre nie miały nawet luster weneckich. Ojca Kike przeniesiono do nowocześniejszego pokoju. Nowocześniejszego, czyli takiego, do którego przylegało drugie pomieszczenie, pierwotnie oddzielny pokój przesłuchań, skąd można było obserwować przebieg rozmowy. Wyposażony był ponadto w system nagrywania, który pozwalał obserwować przebieg przesłuchania na ekranie komputera każdemu uprawnionemu policjantowi.

– Jak idzie, panie komisarzu? – spytała Ana.

– Nijak. Nic z niego nie wyciągnęliśmy.

– Powiedział, gdzie był?

– Spacerował po okolicy. Był przybity, bo ciężko znosi separację, pękała mu głowa i musiał wyjść z pracy. Powiedział, że zaparkował samochód przy północnym wejściu do lasu Pilar, jakieś dziesięć kilometrów od centrum handlowego, w którym zniknął jego syn, i że spacerował tam bez celu.

– Z wyłączoną komórką, prawda? – dodała ironicznie Ana.

– Mówi, że bez przerwy dostawał esemesy i że w końcu wyłączył telefon. Sygnał ginie na drodze M503, tam wyłączył komórkę.

– Ta droga prowadzi do centrum handlowego.

– Tak, ale również do lasu. Mógł skierować się w obie strony.

– A wiedział, że jego była żona i syn poszli do centrum handlowego Shopping Zachód?

– Zapewnia, że nie, ale równie dobrze mógł ich śledzić. Równie dobrze mógł czekać na syna przed przedszkolem, żeby się zorientować, dokąd idą. Weź się domyśl.

– Co ci podpowiada instynkt, Luis?

– Ja już się nie pokuszę o żadne spekulacje, Ano. Jeśli to on, to nie wpadł na ten pomysł nagle. Jeżeli go już mamy, to wiedział, co zrobić z dzieckiem, miał wszystko zaplanowane.

– Zatrzymasz go?

– Na tak długo, jak się da. Siedemdziesiąt dwie godziny.

– A jeśli to nie ojciec? Jeśli to Slenderman?

– Już mi doniesiono, że ta dziennikarka oznajmiła coś takiego w serwisie. Swoją drogą, skądś mieli informacje o tym, co zaszło. MSW już to sprawdza. Mam po uszy przecieków.

– Nori mi już powiedział, co ci się wylało na głowę z góry.

– Minister osobiście zadzwonił do dyrektora generalnego. Sam minister! Przypadek wymagający dyskrecji trafia do publicznej wiadomości, bo jakaś dziennikarka nie tylko szeroko o nim informuje, ale jeszcze w dodatku wiąże go ze sprawą dziecka, która poruszyła całą Hiszpanię. Liczę, że ty nie masz z tym nic wspólnego.

– Kurwa, a czy sądzisz, że to ja do niej zadzwoniłam?

– Spokojnie, nie denerwuj się, ale jesteście zaprzyjaźnione. Nawiasem mówiąc, ci z MSW już o ciebie pytali.

– Wiedziałam. Wiedziałam! Jakbym nie miała już dość tylko dlatego, że muszę to wszystko przerabiać po raz drugi – krzyczała Ana, waląc pięściami w ścianę. – Pierdolę to, Luis. Pierdolę.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 7.

# ANA

Usiłowała złapać dziecko za rękę. Trzymała ją mocno, ale czuła, że jego palce jej się wyślizgują. Popatrzyła na dziecko, żeby je zachęcić, aby też się postarało, żeby pomogło jej utrzymać je przy sobie, żeby nie upadło. Ale wtedy zobaczyła, że zamiast twarzy dziecko ma czarną dziurę, a pośrodku tej dziury zieją olbrzymie purpurowe usta wykrzywione z obrzydzeniem, a potem z kpiną. Zaskoczona Ana otworzyła dłoń i puściła. Potwór spadał w przepaść. Daleko. Bardzo daleko.

Koszmar powrócił. Znowu ten sam sen, który nie dawał jej spokoju przez długie miesiące po zniknięciu Nicolasa. Ten sam sen, który męczył ją również wtedy, gdy w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat odkryła zwłoki ojca w stanie rozkładu, rojące się od robaków, w jego skromnym mieszkaniu w Barcelonie. Tyle że wówczas to nie było dziecko spadające w przepaść, a jej ojciec.

Ana nie zawsze była blondynką. Wprawdzie urodziła się z jasnymi włosami, ku zdumieniu matki i zaskoczeniu ojca. Oboje byli brunetami. Jak mogła im się urodzić ta kruszynka o niemal przezroczytych oczach, włosach i skórze?

Na szczęście dwie samotne ciotki – Antonia i Úrsula – które o rodzinie wiedziały wszystko – nie mogły nie asystować przy porodzie. Bo któż lepiej pomoże rodzącej kobiecie niż dwie sześćdziesięcioletnie dziewice? Antonia i Úrsula sądziły, że jako jedyne są odpowiednio wykwalifikowane, by towarzyszyć krewnej i doradzać jej w wydaniu dziecka na świat. Pojawiły się na porodówce w pełni wyposażone, gdy tylko się dowiedziały, dzięki wewnętrznej siatce przyjaciół, znajomych i sąsiadów z dzielnicy, że Carmen odeszły wody.

Ku ich zdumieniu lekarz nie pozwolił im wejść na salę porodową, trzymały więc straż przy drzwiach, podczas gdy ojciec oczekujący pierwszego dziecka ze zdenerwowania obgryzał paznokcie w poczekalni. Dlatego to ciotki jako pierwsze otrzymały informację od pielęgniarki, która chciała się koniecznie wykazać przewagą moralną. „Wiecie, panie, wydarzyło się coś bardzo dziwnego, no same powiedzcie, czy to nie jest jakaś diabelska sztuczka? Oboje

rodzice mają taką ciemną karnację, a urodził im się blond aniołek. Niech Bóg ma malutką w opiece” – dodała jeszcze przekonana, że ojciec uzna córkę za nieślubną i odrzuci ją.

Ciotka Antonia i ciotka Úrsula zniosły tę tyradę z godnością, gdyż nie był to dobry moment na zawstydzanie rodziny. Biedny bratanek! Ma nieślubną córkę! I w dodatku taką blondyneczkę, nie da się tego ukryć, wszyscy się zorientują! Policjant, który nie potrafi utrzymać porządku nawet we własnym domu. Będzie pośmiewiskiem w dzielnicy i w jednostce.

Podczas gdy Antonia i Úrsula namyślały się, co zrobić, by ratować sytuację, pielęgniarzka, jakby mało jej było dwóch starszych dam, poszła po ojca do poczekalni. „No bo niech pan tylko spojrzy, kawalerze, pan taki brunet” – wypaliła, gdy go spostrzegła. A on podniósł głowę, bo nic nie rozumiał. Co też wygaduje ta kobieta w bieli? „No niech pan patrzy. Ma pan włosy czarniejsze niż węgiel. Żona tak samo. Skórę ciemną jak u Cygana. Bez obrazy, przecież z daleka widać, że państwo nie Cyganie. A córeczka, bo ma pan córeczkę, nie mówiłam? Córeczka jest tak jasnoskóra, że aż przezroczysta. Mówię, żebyście państwo nie myśleli, że podmieniliśmy dziecko. Córeczka była taka już w brzuchu matki. Coś się musiało stać tam w środku. Albo i wcześniej. Bo sam pan wie, jak to jest. I jakie są *niektóre* – podkreśliła owo »niektóre«, aby usytuować siebie i swoją nieposzlakowaną godność po przeciwnej stronie – kobiety”. Po czym uśmiechnęła się z satysfakcją, odwróciła i odeszła z wysoko uniesioną głową, okazując stukaniem obcasów pogardę całemu światu.

Kiedy wreszcie pozwolono rodzinie podejść do matki i córki, nikt nie wiedział, jak zareagować i co powiedzieć. Rodolfo trzymał dziecko, jakby było omyłkowo wręczonym prezentem, który sprawiło mu życie; wykorzystywał każdą sekundę, zanim usłyszy, że musi go zwrócić, bo to prezent nie dla niego. I wówczas, nagle, ciotce Úrsuli wyrwał się okrzyk: „Już wiem, już wiem, już wiem! To Paulina. Nie widzicie? To Paulina!”. Carmen, matka dziecka, nic nie rozumiała. O jakiej Paulinie mowa? Ale Rodolfo uśmiechnął się, przyciskając córkę mocno do piersi. Teraz naprawdę należała do niego. Bo oto miał przed sobą reinkarnację nieślubnej córki holenderskiego marynarza. W dodatku na razie jeszcze bezimienną. Prababka Paulina, żona pradziadka Tomasa, powróciła po blisko pół wieku, aby namieszać w genach Arenów.

Blond Paulina weszła do rodziny Arenów sto lat wcześniej, czyniąc to z rozsądku, bo tak naprawdę nigdy nie kochała pradziadka Tomasa. Przynajmniej nie w tym sensie, w jakim powinno się rozumieć miłość, taką miłość, o jakiej opowiadały jej pokojówki w domu, w którym była na służbie;

taką miłość, która, jak sądziła, powinna wzbudzać w niej porywy namiętności, powodujące ucisk w żołądku. Paulinie na widok Tomasa nie ginął z oczu cały świat, nie płonęło jej serce z potrzeby zobaczenia go, nie wymiotowała z nerwów, czekając na kolejne spojrzenie męża. Własnego męża.

Nie. Paulina wiedziała, że nie kocha Tomasa. Ale był dla niej najlepszą kartą. Najlepszym rozdaniem, jakie otrzymała od życia. Stawiasz czy pasujesz? I postawiła. Zmęczona widokiem matki, wyczekującej bez sensu powrotu holenderskiego marynarza, który zrobił jej dziecko. Poszukując nieobecnego ojca, Paulina zdecydowała się wyjść za mąż za kogoś, kto zapewni jej stabilizację i ochroni przed potępieniem ze strony pełnego obłudy społeczeństwa. Kiedy się na to zdecydowała, jedynym mężczyzną w zasięgu ręki, do tego nie najbrzydszym, był człowiek roznoszący pod drzwi domów skrzynie ze świeżo złowionymi sardynkami, tanie i pożywne jedzenie, którym żywiła się służba domowa.

Zwał się Tomás. Miał o dwadzieścia pięć lat więcej niż ona. Wdowiec. Bezdzienny. Jedyny wolny, do dyspozycji. Jedyny przyzwoity mężczyzna, jakiego zaoferowało jej życie. I postawiła wszystko na tę jedną kartę.

Był marynarzem jak ojciec Pauliny, którego nigdy nie poznała. Miał małą łódź wiosłową, którą mógł wypłynąć zaledwie na parę mil od portu w Barcelonie, dokładnie tyle, by zarobić na skromne życie, sprzedając sardynki okolicznym biedakom. W ten sposób Paulina miała pewność, że mąż zawsze wróci do domu. Marynarz nieomal słodkowodny. Człowiek pozbawiony pokusy, by zawijać do dalszych portów.

Paulina nie okazała się zbyt płodna, a może ów marynarz znudził się zarzucaniem wciąż tych samych sieci na sardynki w tych samych wodach. Faktem jest, że mieli tylko dwoje dzieci. Za to dzieci dały im dziewięcioro wnucząt, a wnuczęta dwadzieścioro troje prawnucząt. Jednak mimo tak liczne potomstwa geny, które Paulina odziedziczyła po holenderskim marynarzu, rozproszyły się wobec supremacji czarnych oczu, cynamonowej skóry i kruczoczarnych, niemal granatowych włosów Arenów.

Ani śladu jasnej porcelany w biologicznym dziedzictwie rodziny. Żadnych oczu choćby trochę jaśniejszych. Włosów choćby lekko kasztanowych. Skóry o jaśniejszym odcieniu.

Geny Pauliny przepadły zapomniane, jak zapomina się grzech przodka, w tym wypadku owego pradziadka, który ożenił się z dziewczyną z nieprawego łoża.

Przepadły aż do narodzin Any. I okazało się, że Paulina nie zniknęła, że

Paulina nigdy się nie poddała, ale przyczaiła się, czekając na odpowiedni moment i na odpowiednią kobietę. Cztery pokolenia później nieślubna córka holenderskiego marynarza odrodziła się w prześlicznej jasnowłosej dziewczynce. Paulina pomściła swoje krzywdy przez reinkarnację w kobiecie, która na początku XXI wieku mogła aspirować do świata pełnego możliwości, których ona sama nie miała.

Objawiając się w Anie, Paulina pomściła również wszystkie upokorzenia, które wycierpiała jej matka Elisa tylko dlatego, że zaszła w ciążę, nie będąc mężatką. Elisa zawsze marzyła, że spotka mężczyznę swego życia na jednym z tych obcych statków, które zawijały do portu w l'Escali, aby zabrać do bogatych krain północnej Europy wino, sardynki, sardele i koral, które stanowiły jedyne źródło bogactwa mieszkańców miasteczka. Nigdy nie podobały jej się miejscowe chłopaki, nieokrzesane, niebywałe w świecie i niedouczzone. Byli praktyczni i myśleli wyłącznie o tym, jak przeżyć. A Elisa pragnęła czegoś więcej. Marzyła o czymś więcej.

Rodzice zaczęli mieć dosyć. Do kłótni dochodziło co niedzielę. Nigdy nie chciała pójść na cotygodniowe spotkanie panien i kawalerów w l'Escali, na karuzelę w głównej alei, po sumie. Mężczyźni i kobiety, w oddzielnych grupach, spacerowali wzdłuż alei, prezentując swe wdzięki niczym konie i kłaczki na aukcji, starając się zwrócić na siebie uwagę płci przeciwnej. Ale nie Elisa. Elisa umykała zawsze do portu pomarzyć o Juliuszu Vernie, podmorskich podróżach, wyprawie na słońce albo w głąb ziemi.

„Przeklęta godzina, w której mała nauczyła się czytać – zwykł krzyknąć ojciec na matkę. – Przeklęta godzina, w której przekonałaś mnie, że ona ma chodzić do szkoły. Same głupstwa jej w głowie. Albo ty jej to wszystko ze łba wybijesz, albo ja będę musiał to zrobić siłą”.

Elisa była dziewczicą, kiedy wpadła w ramiona Hendrijka Wersteega, tak jasnowłosego, tak silnego i tak pachnącego morzem, że owa mieszanina potu i morskiej soli, jaka emanowała z jego skóry, utkwiała na zawsze w gardle dziewczyny, niczym rybia ość, na wieki pozostawiając po sobie bliznę. Kochała się raz jeden w życiu, w odległym zakątku plaży za miasteczkiem, wśród kamieni i piasku z kruszynami muszli, które wbijały się jej w skórę. Nie potrafiła opisać, co czuła owej nocy, w której odmienił się jej los. Nie umiałaby powiedzieć, czy jej się podobało, czy czuła tylko ból. Czy trwało to krótko, czy długo. Albo czy czuła, że to miłość. Wiele lat później, kiedy usiłowała odtworzyć w pamięci tamte chwile, była w stanie przypomnieć sobie jedynie zapach skóry holenderskiego marynarza, który już nigdy do niej nie powrócił.

Pot i morska sól. Pożądanie.

Widoki na przyszłość przewidywaną dla niej – mąż rybak albo drobny przemysłowiec, domek w miasteczku i gromadka dzieci – rozmyły się w chwili, gdy okazało się, że w jej brzuchu rośnie Paulina. Mimo protestów i płaczu matki („Jak ją wyrzucisz, zabiję się, przysięgam ci, że sobie odbiorę życie”) ojciec wyrzekł się córki i niewiele myśląc, wyrzucił ją z domu. „Splamiłaś dobre imię rodziny, jesteśmy biedni, ale mamy swoją godność, nie chcę cię nigdy więcej widzieć, przeklinam cię i twoje potomstwo”.

Elisie starczyło czasu tylko na tyle, by spakować do starej torby nieco ubrań i wrzucić tam jeszcze kilka książek Juliusza Verne’a, których nie zdążyła zwrócić do biblioteki w miasteczku.

Przełykając łzy, ruszyła ku swemu nowemu przeznaczeniu. Te pierwsze miesiące do narodzin córki przeżyła tylko dzięki młodszemu bratu. Xavier wyjął spod deski w podłodze swego pokoju – tej deski w rogu, pod którą cierpliwie wygrzebywał tajemniczy schowek – wszystkie pieniądze z przemytu, które zaoszczędził przez lata. Trochę koralu wyrwanego poza plażą. Parę worków soli bez opłacenia podatku. Sardele w słonej zalewie dla wyrafinowanych podniebień możnych z Can Fanga, jak nazywano naocznie w okolicznych miasteczkach mieszkańców Barcelony. Podczas gdy w l’Escali kilka osób dorobiło się na przemyśle, tym, którzy naprawdę ryzykowali, pozostawały jedynie okruchy, ale one i tak oznaczały o wiele więcej chleba, niż otrzymaliby za godziwą pracę. „Masz, Eliso, masz, siostrzyczko. To tylko parę peset, ale to wszystko, co mam. Jak zarobię więcej pieniędzy, jak będę bogaty, odnajdę cię i zajmę się tobą, tobą i dzieckiem. Kocham cię, siostrzyczko – mówił Xavier, całując ją. – Daj mi znać, gdyby ci się coś przytrafiło”.

Pieniądze od Xaviera wystarczyły na opłacenie wstrętnego dzielonego pokoju w jakimś nędznym hoteliku w Barcelonecie, rybackiej dzielnicy Barcelony. Tam poznała Amparo, także z małego miasteczka, pracującą jako sprzątaczką u mieszczańskiej rodziny, która dorabiała się przy poszerzaniu centrum miasta o nową dzielnicę mieszkalną, Eixample. „Państwo Dura – rzekła Amparo pewnego dnia – poszukują mamki dla dziecka, które urodzi się za trzy miesiące. Jesteś zainteresowana? Będiesz mieszkać w świeżo wybudowanym domu przy Passeig de Gracia. Ze stajniami i wszystkim dla koni. Wyobrażasz to sobie? To prawdziwy pałac. Powiedziałam im, że jesteś wdową, że umiesz czytać, jesteś mądra i dobrze wychowana. Idź tam, idź, niech cię poznają. Póki będziesz karmić ich dziecko, dostaniesz dobrze jeść i przydzielą ci ciepły, słoneczny pokój. To o wiele więcej niż mogą oczekiwać od życia kobiety takie jak my”.



I w ten oto sposób Elisa miała do wykarmienia dwoje dzieci. Swoją córkę Paulinę i małego rozpieszczonego mieszczanina, który ukończywszy sześć lat, zaczął się wstydzić swojej wsiowej niańki, która nie dorastała do pięt jego boskiej bogatej matce ani jego boskiej i bogatej sferze społecznej, tej przyszywanej matki, która była tak inna od pań odwiedzających ich rodzinny pałac. „Jesteś stara i brzydka, jesteś zepsuta!”, krzyczał pewnego dnia na kobietę, która go wykarmiła, dbała o niego, wychowywała i rozpieszczała przez sześć lat jego życia.

Aż do owej chwili Pau zawsze szukał pocieszenia i ciepłych uczuć u niani Elisy, która była dla niego prawdziwą matką, która opatrywała mu krwawiące otarcia, bawiła się z nim w chowanego i opowiadała bajki, żeby spokojnie zasnął, która podchodziła w nocy do jego łóżeczka, gdy się budził przestraszony. Cały świat dla Pau stanowiły Elisa i jej córka Paulina. Świat rodziców był dla chłopczyka miejscem sztucznym i niewygodnym, w którym musiał czasami bywać. Czystemu, wyprostowanemu i wykrochmalonemu Pau z trudem przychodziło nie odzywać się i siedzieć spokojnie, jak nakazywali tata i mama. Był *hereu* – przyszłym dziedzicem. Musiał więc umieć się zachować. Pau znosił to, myśląc, jak dobrze będzie się bawił, gdy wróci do Pauliny, gdy jej opowie, jaka gruba się zrobiła koleżanka matki, która zawsze nosiła te swoje śmieszne suknie z falbanami na cyckach, albo jak będą się śmiali na wspomnienie, jak cuchnie z ust markizie del Puig.

Lecz pewnego dnia, gdy Elisa głaskała Pau po główce, bo płakał ze złości, że nie wolno mu włązić na drzewo w ogrodzie, a Paulina pokazuje mu język, stojąc wysoko na gałęzi, chłopiec popatrzył na swoją nianię i wypalił prosto z mostu: jesteś stara, jesteś brzydka, jesteś zepsuta. Te słowa sprawiły Elisie więcej bólu niż porzucenie przez holenderskiego marynarza, ponieważ wierzyła, że – w przeciwieństwie do Hendrijka Wersteega – ów chłopiec należy do niej. Ale nie należał. Nigdy nie był jej. Pau był jedynie złudzeniem, chwilową pożyczką od życia, sztuczną miłością, za którą, gdy podrósł, odpłacił jej najokrutniejszą pogardą. Jesteś stara i brzydka, twoje ubranie jest brzydkie, twoje włosy są brzydkie, twoje ręce są brzydkie, nie jesteś taka jak moja mama.

I chociaż Elisa milczała, przelękając łyzy i żal, który rozdzierał jej duszę, Pau nie zamilkł. Podjudzani przez małego sześciolatniego dyktatora, który objawił się w domu, państwo Dura zaczęli z czasem rozglądać się za francuską *nanny*, która miała zająć się jego wychowaniem, przyzwoitą dziewczyną, która zechciałaby nauczyć się hiszpańskiego i której wyśmienite referencje otrzymaliby od kuzyna pani domu, pełniącego funkcję hiszpańskiego

ambasadora w Paryżu; pilnie też do niego napisali, by przysłał im odpowiednią panią, która mogłaby się zająć ich synem i uczyć go francuskiego.

Kiedy przybyła Charlotte, przed Elisą stanęły dwie możliwości: albo idzie na ulicę, albo przenosi się jako służąca do innego domu. Skrywając gniew i myśląc o córce Paulinie, Elisa wybrała to drugie. A państwo Dura odesłali ją niczym stary mebel za nowe pozwolenia na budowę w Eixample, dzięki którym pomnażali swój majątek; oddali ją skorumpowanemu pomocnikowi głównego urbanisty Barcelony, który nie miał nigdy ani dość pieniędzy, ani pozycji społecznej, ani prestiżu, by postawić sobie pałacyk i zapełnić go służbą, ale posiadając przynajmniej służącą, zdołał się wydzwignąć na kolejny szczebel na drabinie społecznej. Elisa przeprowadziła się i spędziła resztę życia na kolanach, ze skórą zdartą od ciągłego mycia podłóg, za co dostawała nieco stawy – dokładnie tyle, by nie umrzeć z głodu – dla siebie i dla dziecka i miała łóżko w komórce w zagrzybionej piwnicy bez okien. Tam dorastała blondwłosa Paulina.

Sto lat po dniach spędzonych w piwnicy, po ślubie ze sprzedawcą sardynek, Paulina odrodziła się w jasnowłosej dziewczynce, której rodzice dali na imię Ana. Nie było żadnej Any w rodzinie, więc ciotki Antonia i Úrsula podniosły krzyk do nieba. Lecz ojciec nie ustąpił. „Nazwiemy ją Ana, bo moja żona tak chce”. „Nie ma żadnej świętej dziewicy o tym imieniu!” – protestowały ciotki. „Są święte, ale nie dziewice. Musimy nadać jej imię dziewicy, żeby nie powtórzyło się przekleństwo nieślubnej córki”. „Jakie, do diabła, przekleństwo!” – postawił się Rodolfo, kładąc na szali cały swój męski autorytet, a one w końcu zamilkły.

Ana urodziła się blondynką jak Paulina, ale potem to się zmieniło. Zaczęła stawać się brunetką od chwili wstąpienia do Akademii Policyjnej w Ávili. Hiszpania w 1990 roku nie wydobyła się jeszcze z odmętów „landismo”[4]: tych wszystkich filmów, które utrwały sławę „macho ibérico” – niskiego, zarośniętego bruneta – czyniąc z niego ikonę seksualnej potencji; to do jego stóp padały szwedzkie turystki, które zaczynały masowo przyjeżdżać do Hiszpanii w latach sześćdziesiątych. Blondynki były dobre jako panny z północy przechadzające się po plaży w skąpym bikini, ale nie pasowały do ciężkich treningów w Akademii Policji Krajowej. Bo dla Any życie było tym właśnie: wszystko na pełnych obrotach, cokolwiek robiła. Koledzy z roku przezwali ją Nancy z powodu fryzury, jaką wówczas nosiła. Mimo sukcesów na treningach, mimo najwyższych ocen na egzaminach Ana pozostawała zawsze Nancy. Blond laleczką.

Przefarbowała włosy na czarno w dniu, w którym umarł jej ojciec. Dokładnie mówiąc, niezupełnie tego samego dnia, lecz wtedy, gdy znalazła jego ciało. Przeklęty przypadek, że doznał udaru w okresie, gdy Barcelonę odwiedziła historyczna fala upałów. Rodolfo był w łazience, wychodził właśnie spod prysznic, kiedy, jak stwierdził lekarz, doznał udaru mózgu i przeczołgał się do salonu, żeby spróbować zadzwonić po pomoc. Tam go znalazła Ana w tydzień później. Nagiego. Martwego. W stanie rozkładu. „Tato, tato!” – krzyczała, przekręcając klucz w zamku rodzinnego mieszkania, jakby przeczuwała, że coś się musiało stać, zanim jeszcze przekroczyła próg.

Poniedziałek, środa i piątek to były dni, kiedy jego mała Ana dzwoniła z akademii, by opowiedzieć, jak jej idzie. Będę policjantką jak ty, tato, dopnę swego. Ale w pewien piątek ojciec nie odebrał telefonu. Ana starała się tym za bardzo nie przejmować. Zdarzało się to rzadko, ale nie chciała się martwić. Zamartwianie się jest dobre dla dziewczyn. Dla takich Nancy. Zmusiła się, żeby o tym nie myśleć. Włożyła całą siłę woli w to, żeby o tym nie myśleć.

Aż jej się udało. Przeklęty wygląd.

W następny poniedziałek ojciec również nie odebrał telefonu. W serce Any wkradł się niepokój, ale nie odważyła się porozmawiać z przełożonymi ani nawet z kolegami z roku. Nancy nie mogła nic powiedzieć. Nancy nie mogła się na nic uskarżać. Nancy nie mogła o nic prosić. Gdyby to zrobiła, okazałaby się niedostatecznie męska, żeby służyć w policji.

Ale w środę, po ósmym sygnale bez odpowiedzi, Ana wiedziała na sto procent, że ojciec nie żyje. Odór śmierci dotarł do niej po miedzianym drucie i stawał się intensywniejszy z każdym kolejnym sygnałem. Zadzwoniła więc do Laury i Genara, sąsiadów z mieszkania naprzeciwko. „Zaczekaj, pójde i sprawdzę – powiedziała Laura – może ma zepsuty dzwonek w telefonie albo nie ma go w domu, nie rozłączaj się”.

Ale na dzwonek do drzwi także nikt nie odpowiadał. I Ana stwierdziła: koniec. Koniec z byciem Nancy, koniec z dziewczynami, koniec z kompleksami. Poszła porozmawiać z przełożonym, opowiedziała, co się dzieje, i pojechała do Barcelony, ryzykując wyrzucenie z akademii. Zamierzała złożyć wyjaśnienia po powrocie. Albo i nie. Było jej wówczas wszystko jedno.

Dotarła do mieszkania w Ciutat Vella po okropnej, bezsennej nocy w autobusie, który zatrzymywał się we wszystkich mijanych po drodze miasteczkach. Najdłuższe w jej życiu oczekiwanie na dzień.

To, co ujrzała, było zbyt straszne dla dwudziestoletniej dziewczyny, chociaż przygotowywała się do roli policjantki i była twarda. Pierwsze, co ją

dosłownie uderzyło w twarz, jakby dostała od kogoś otwartą dłoń, to smród. Ana, tak wrażliwa na zapachy, wyczuła śmierć, zanim jeszcze otworzyła drzwi. Potem ujrzała robaki. Odkryła je na podłodze w korytarzu, wijące się w czymś, co, jak zorientowała się później, było wydzielinami wydobywającymi się z ciała ojca, strumykiem wypływającym z jego ciała i kończącym się niemal na progu przedpokoju.

Na palcach, żeby na nic nie nadepnąć, z plecami przyklejonymi do ściany i wbijając paznokcie w tynk, Ana dotarła do salonu. A tam leżało to, co pozostało z jej ojca. Pięć dni w obezwładniającym upale zmieniło martwe ciało Rodolfa w kawał mięsa, który rozpadał się niemal przy dotknięciu. Kiedy Ana głaskała jego twarz – „tato, kocham cię, tato” – skóra policzka rozstąpiła się pod jej palcami. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Ana nigdy nie zdołała wybaczyć ani sobie, ani innym, że ojciec umarł w samotności tylko dlatego, że ona, kobieta w świecie mężczyzn, powodowana poczuciem winy nie odważyła się poprosić o przepustkę na podróż do Barcelony, żeby sprawdzić, co się dzieje. Rodolfo prawdopodobnie leżał na podłodze obok telefonu w agonii przez kilka dni – tak twierdził lekarz. Umierał przez dwie doby, nagi, na płytkach salonu. Gdyby w tamten piątek, kiedy nie odpowiedział na telefon, zaufała swojej intuicji i złapała autobus, może dojechałaby na czas, żeby go uratować. Niechby nawet został kaleką, niechby Nancy miała przez resztę życia pchać wózek na kółkach. Ale nie, Nancy nie poprosiła o przepustkę i będzie musiała z tą świadomością żyć już zawsze.

Zemsta Any dokonała się na jej własnym ciele. Obcięła włosy, ufarbowała je na ciemny kolor i zapomniała definitywnie o kobiecie, którą dotychczas była. Zawsze starała się robić wszystko jak najlepiej. Ale bycie kobietą nie służyło jej, podobnie jak nie służyło prababce Paulinie, postanowiła więc odtąd robić wszystko inaczej i zaczęła wyposażać swoje ciało i swoją postawę w męskie zdolności, które wiązała z umiejętnością przeżycia i sukcesem. Nie zdawała sobie sprawy, że jej głos brzmi nieco grubiej, że porusza się z mniejszym wdziękiem, że uśmiech jest bardziej kwaśny. Zmiany zaszły także w jej głowie.

Kiedy mając zaledwie dwadzieścia sześć lat, znalazła się na swojej pierwszej placówce, przyszło jej koordynować zmiany sześciu policjantów w biurze zgłoszeń przy komisariacie w jednej z najgorszych dzielnic Madrytu. Na każdej zmianie było około stu zgłoszeń i tuzin zatrzymanych, zwożonych sukami i doprowadzanych przez dzielnicowych. A ona musiała postawić się ponad nimi wszystkimi.

Ledwie Ana przypięła gwiazdki – dawną odznakę inspektorów – pierwszego

dnia na nowym stanowisku natknęła się na jednego ze swoich podwładnych.

– Cześć, kochanie, ty jesteś ta nowa, tak? Całe szczęście, że jesteś taka śliczna – wypalił policjant, puszczając do niej oko.

– Czy my się skądś znamy? – odpowiedziała, przetykając ślinę, by nie dać po sobie poznać zdenerwowania. – Albo zawodzi mnie pamięć, albo pan i ja nigdy nie piliśmy razem kawy, mam rację? A skoro tak sprawa wygląda, to chcę, żeby było jasne: od dzisiaj ja jestem pana przełożoną i zwraca się pan do mnie w stosowny sposób. Zrozumiano?

Parę miesięcy później jeden z policjantów ze zmiany, jeden z tych, których miała pod sobą, wyznał jej, że tym zachowaniem wytyczyła od razu własną ścieżkę. Powiedział wszystkim, że nowicjuszka ma charakter i że lepiej zachować w stosunku do niej dystans.

Żegnaj, Nancy. Witaj, pani nadinspektor Arén.

Tak się sprawy miały aż do chwili, gdy zniknął Nicolás, a ona nie potrafiła go odnaleźć. Po tygodniach narodowego poruszenia wydawało się, że kraj zapomniał o dziecku, ale pani – wówczas już nadinspektor – Arén nie. To niepowodzenie sprawiło, że przewartościowała swoją pracę jako agenta policji. I teraz to wszystko miało się powtórzyć.

Kolejne dziecko. Kolejny raz Slenderman.

Rankiem następnego dnia po zniknięciu Kike, podczas gdy przyjmowała pierwszą porcję dziennej dawki kofeiny, zawsze zimnej i z bąbelkami – tylko to pomagało jej się obudzić – Ana włączyła telewizor. Poranne serwisy nie przynosiły zazwyczaj zbyt wielu nowych informacji, ale tym razem było inaczej. Nastawiła głośniej. To była Lola, matka dziecka zaginionego przed kilkunastoma godzinami.

„Proszę – mówiła, starając się powstrzymać łzy przed mikrofonami dziennikarzy, którzy od kilku godzin warowali przed drzwiami jej domu – wiem, że jest pan dobrym człowiekiem, a Kike jest taki malutki. Niech pan spojrzy, na tym zdjęciu jest na swoim przyjęciu urodzinowym. Widzi pan, jaki śliczny? Jaki szczęśliwy? Jeszcze nic się nie stało, ma pan jeszcze czas, proszę nam go oddać, proszę go zostawić gdziekolwiek, ale niech wróci do matki, bardzo proszę. Wybaczam panu. Jest pan dobry”.

Zmieniło się ujęcie i twarz zdruzgotanej matki zastąpiło zbliżenie na serię fotografii. Z offu reporter wyjaśniał, że matka zrobiła je dziecku na chwilę przed jego zniknięciem. Ana już je widziała. To były te zdjęcia, którymi posługiwali się przez pierwsze godziny poszukiwań. Chłopczyk miał na sobie wąskie czarne spodnie i białe buciki, ale to, co najbardziej rzucało się w oczy, to jaskrawa

koszulka Supermana, na której nadrukowano napis „SuperKike”. Wszyscy mogli zobaczyć, że Kike jest bardzo podobny do Nicolasa.

Ana sciszyła odbiornik. Więcej nacisku na ten przypadek. Wizerunek zapłakanej matki we wszystkich telewizjach, programach radiowych i wydaniach internetowych nie służył śledztwu, aczkolwiek w przypadku takim jak ten informacja, jak chłopiec był ubrany, gdy zniknął, mogła pomóc w odnalezieniu świadków zdarzenia. Ale równie dobrze policyjne linie telefoniczne mogą zostać zablokowane przez fałszywych świadków.

Wspomnienie Nicolasa blokowało Anę. A jeśli zawiedzie, jak poprzednio? A jeśli chłopiec rozpląnął się w powietrzu i nigdy więcej nikt o nim nie usłyszy?

Zadzwoiła do komisarza Bermudeza. Była siódma rano, ale on z pewnością był już na nogach. O ile tej nocy w ogóle się położył.

– Luis, coś nowego? – Ana włączyła zestaw głośnomówiący i zaczęła grzebać w szafie w poszukiwaniu ubrania.

– Nie. Niestety nic. Niczego nie mamy. Żadnego śladu – odparł komisarz.

– Ojciec jest nadal zatrzymany?

– Mamy go tutaj, w jednostce. Upiera się, że poszedł pospacerować po lesie, przytłoczony i zdenerwowany. Mówi, że chciał sobie nawet odebrać życie. Ale nie ma na to żadnego dowodu, a jego komórka była, jak wiesz, wyłączona. Tak więc jak na razie to nasz najlepszy trop. Jak przyjedziesz, opowiem ci więcej.

– A minister? Widziałeś matkę dziecka w telewizji? Uderzą w nas ze wszystkich stron.

– Jest siódma rano. Minister śpi albo poszedł na pierwsze siusiu. Deszcz główna jeszcze na nas nie leci. Ale nie jestem zbytnim optymistą, Ano. Sama wiesz, że politycy tak rozumują, że rozumem nie ogarniesz. Ale na wszelki wypadek załóż porządną pelerynę przeciwdeszczową.

– Proszę, daruj sobie gierki słowne o tej porze. Idę pod prysznic i jadę do was.

I Ana, ciemnowłosa Ana, wzięła długi gorący prysznic. Taki prysznic, który zazwyczaj wypędza wszystkie demony, które nosi się wewnątrz, ale w tym przypadku nie przydał się nawet, by zmyć smutek i strach, jaki osadził się przez ostatnie godziny na jej skórze.

Nie wiedziała jeszcze wówczas, że wściekłość, którą czuła – i wydarzenia w kolejnych dniach – miały ją zmienić. Znowu. Na zawsze.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 8.

# INÉS

Kiedy ktoś zamierza poświęcić się dziennikarstwu, przyjmuje, że przyjdzie mu pracować o najbardziej nieprawdopodobnych porach. A jeśli tego nie wie, zdobywa tę wiedzę w bólach. Kiedy pracujesz w serwisie informacyjnym, jest jeszcze gorzej. Ci źli nie odpoczywają ani nie respektują świąt. Tak naprawdę my ich mało obchodzimy. Tak naprawdę w gruncie rzeczy cała ludzkość mało ich obchodzi.

Najnowsza historia przykuwała naszą uwagę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W czwartek to na mnie wypadła pobudka o piątej rano, żeby wejść z bezpośrednią relacją w poranną edycję wiadomości. Tragedia. Choćbyś nie wiem jak ceniła swoich kolegów z nocnej zmiany, choćbyś nie wiem jak im współczuła z powodu dyżurów, a także dlatego, że tak niewielu musi przygotować tak obfity serwis poranny, sam fakt, że musisz wstać tak wcześnie, żeby wejść w kierat i przygotowywać bezpośrednie relacje co pół godziny między siódmą a dziewiątą, sprawia, że czujesz się cały dzień rozbita.

Ale nasza teoria o Slendermanie wywołała taką panikę – plotka głosiła, że szefa wiadomości mojej stacji wezwał osobiście minister spraw wewnętrznych, bynajmniej nie po to, aby mu złożyć gratulacje – że nie miałam innego wyjścia, niż zerwać się z samego rana. Cztery godziny snu i zrób, co możesz, żeby wyglądać rześko i wesoło. Telewizja to obraz. Nieważne, ile czasu pracowałaś i jak krótko spałaś. Dla widza liczy się tylko te czterdzieści sekund, kiedy jesteś na ekranie. Jeśli masz worki pod oczami, niesforny kosmyk włosów, niedbale włożony żakiet albo przekręcisz słowo, to na pewno to zauważy. A to może zniszczyć całą twoją pracę.

Gdy przychodziło nam pojawiać się w wydaniach porannych, oprócz braku snu i kiepskiego wyglądu, sporym problemem dla większości moich kolegów z redakcji i moim było, co zrobić z dziećmi. Mój syn Pablo miał cztery lata i chodził już do przedszkola, ale zajęcia zaczynał dopiero o dziewiątej. Na szczęście tamtego roku mieszkał z nami nasz *au pair*, Anglik Sam, który zastępował mnie podczas mojej nieobecności. Dzięki temu Pablo poprawiał



znajomość mowy swego ojca, a przy okazji miał przy sobie jakby starszego brata.

Ale tego ranka miałam inny problem. Co nowego mogłabym powiedzieć? O wpół do siódmej rano zwykle dociera do nas niewiele nowin. Nie miałam innego wyjścia niż zadzwonić, czego starałam się uniknąć od dwunastu godzin. Wzięłam głęboki oddech. Odebrano po trzecim sygnale.

– Ana? Cześć, kochana. Jak leci? – zapytałam, modląc się w duchu, żeby się nie okazało, że wyrwałam ją ze snu.

– Cóż, prawdę mówiąc, to zmywamy gównno, którego naniosłaś.

Zaskoczył mnie ton jej głosu, ale nie przejęłam się tym zbyt. Albo nie chciałam się tym za bardzo przejmować.

– Ja naniosłam gównna? – Nie przychodziło mi do głowy nic, co by wyjaśniało, o co jej chodzi.

– Czasami bujasz w obłokach, Inés. Wszyscy myślą, że to ja przekablowałam ci wersję o Slendermanie i wszystkie informacje o zaginięciu chłopca.

– Nie gadaj! – Tego się nie spodziewałam. – Ano, przecież nie rozmawiamy od tygodni, a przy tym cholernym trybie życia, jaki obie prowadzimy, w ogóle się nie widzimy.

– Wytłumacz to ministrowi, który puścił już w ruch całą fabrykę gównna. Kto ci załatwił wyłączność?

– To nie dla mnie, przysięgam, to nie dla mnie. Tym razem to żadne z moich źródeł. Ktoś nadał sprawę Manuelowi, mojemu szefowi. Przysięgam ci. Nie miałam pojęcia, o co chodzi, póki do mnie nie zadzwonił i nie kazał natychmiast pędzić do centrum handlowego. Ja miałam inną robotę. Ledwie zdążyłam na tę bezpośrednią, Ano. Wszystko, co powiedziałam, wiedziałam od Manuela. Nawet nie zdążyłam nigdzie zadzwonić.

– To Manuel ma źródła w policji? Przecież on od lat nie odrywa dupy od ciepłego fotela w redakcji – zdziwiła się Ana. – To niemożliwe, żeby miał źródło, które sprzedało mu taką wiadomość. O tej porze mało kto z nas wiedział, co w ogóle zaszło.

– No ale jak sama widzisz, ktoś mu to nadał. Teraz, jak z tobą rozmawiam, przyznaję, że to dziwne. A jeszcze dziwniejsze, że dokładnie pół godziny wcześniej zadzwonił do mnie, żebym go skontaktowała z Joaniem.

– Co do diabła twój szef wie o Joanie?! – wykrzyknęła Ana.

– Nic, uspokój się, do cholery. Spokojnie, nie denerwuj się. Nic. Wie tylko, że mam kumpla, który się genialnie porusza po sieci i który czasami zdobywa dla mnie informacje, jakich nie da się zdobyć inaczej.

Tego rodzaju rozmowy prowadzone w chwili, gdy za moment mam wejść na antenę, sprawiają, że jestem cała w nerwach. I porządnie mnie dekoncentrują.

– Nie wie nic ponadto – dodałam. – Myślisz, że jestem idiotką?

– Uważaj, Inés, uważaj. Uważaj, żeby go nie narazić.

– Jasne, kurwa. Naprawdę. Spoko, opanuj się. – Staralam się jakoś ostudzić emocje. Nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała nasza rozmowa.

Anie najwyraźniej nie było łatwo przejąć stery śledztwa w sprawie tak podobnej do sprawy Nicolasa. Mnie również, chociaż miałam to sobie uświadomić dopiero wtedy, gdy mi spadła adrenalina. Kiedy odpoczęłam. Kiedy wyłączyłam silniki. W owej chwili pracowały na pełnych obrotach.

– Słuchaj, Ano, ale ja właściwie dzwonię w innej sprawie. Wiesz, że nie lubię prosić cię o informacje, nie chcę cię mieszać w sprawy telewizji, tym bardziej w casus Slendermana, ale muszę mieć coś nowego, jakiś drobny szczegół do porannego serwisu. Coś, co pozwoli nam utrzymać wyłączność.

– Inés!

– Nie prosiłabym cię, gdyby to nie było naprawdę konieczne. Nie chodzi mi wcale o nic poufnego. Jedynie o coś, co ciebie nie wkopie, a co my możemy przekazać.

– Mając takie przyjaciółki jak ty, nie potrzebuję wrogów – westchnęła Ana.

– Daj spokój – błagałam, parkując auto pod centrum handlowym. Znajdowało się tak blisko mojego domu, że szybciej dotarłabym tam pieszo. Cholerny korek tworzył się już nawet o tej porze, coraz gorzej to wyglądało. – Coś, co dzisiaj już wiadomo, ale co jeszcze nie poszło do publicznej wiadomości.

Czekałam na odpowiedź. Milczenie.

– Coś, co ciebie nie wkopie. O czym wiedzą wszyscy w komendzie – prosiłam. – Co mógłby nam przekablować każdy.

– No dobrze. Ojciec – powiedziała w końcu Ana.

– Ojciec? Czyj ojciec? Chłopca? Ojciec Kike?

– Tak, ojciec chłopca. Jest zatrzymany. Siedzi u nas w celi, w jednostce.

– To on? – krzyknęłam tak podniecona, że omal nie potknęłam się na własnych obcasach.

– Nie mamy żadnego dowodu przeciwko niemu, ale nie może udowodnić, gdzie był między wpół do czwartej po południu a prawie dwunastą w nocy.

– Kurwa mać! – Mam niewyparzony język, nic na to nie poradzę. – To dopiero news! To obala hipotezę o Slendermanie. – Odetchnęłam z ulgą.

– Tyle na razie, Grau, tyle na razie. Śledztwo trwa, badane są różne wątki. Ten dotyczący Slendermana też. Dopuszczamy różne hipotezy, także tę o udziale

ojca. W tej chwili nie możemy niczego wykluczyć – mówiła Ana stanowczym tonem. – Ale ja ci nic nie powiedziałam. Zgoda? Nie dzwoniłaś do mnie i nie widziałyśmy się od wielu dni. Nie jestem twoim źródłem, nie pakuj mnie w kłopoty.

– *Of course*, kochana, *of course*. Zostaw to mnie. Dobrego dnia.

– Tak tylko mówisz, co? – odparła, rozłączając się.

Dopuszczalna hipoteza, alternatywna wobec tej o Slendermanie. Może to jednak był ojciec, jak mówiła Ana. Może.

Oby.

Wystąpiłam w bezpośredniej po królewsku. Jasne, to żart. Po królewsku nie da się zrobić bezpośredniej o siódmej rano, na tle podmadryckich gór, przy temperaturze około pięciu stopni, bez choćby najpodlejszego baru w pobliżu, gdzie można by się napić gorącej kawy. Przekazałam jako dostępne wyłącznie mnie informacje o zatrzymaniu ojca, powtórzyłam je o ósmej i o ósmej trzydzieści. Potem pojechałam do redakcji.

– Bardzo dobre to o ojcu – usłyszałam od kolegów, kiedy weszłam do telewizyjnej kawiarni, żeby spróbować się jakoś rozgrzać, pijąc wrzącą kawę na pusty żołądek. – Gliny sądzą, że to on? Co ci powiedzieli? Wykluczamy Slendermana? Odpuszczamy tę sprawę? Może trzeba spuścić z tonu?

My, dziennikarze, jesteśmy tak samo skorzy do plotek jak sąsiad, z którym spotykasz się w windzie, choć w naszym przypadku jest jedna zaleta: zawsze jest dobre źródło do podpytania. I pytamy, pewnie, że pytamy. Choćby służyło to jedynie temu, żeby móc się potem wymądrzać przed kolegami albo chwalić się wiedzą przed mamusiami w szkole.

– Sami nie wiedzą, szukają po omacku. Poza tym moje źródło nie pracuje bezpośrednio przy śledztwie – skłamałam, żeby chronić Anę. Popijałam kawę małymi łydkami, była naprawdę gorąca. – Wie tylko to, o czym się mówi, nie jest włączone w sprawę, więc o wszystkim dowiaduje się trochę później.

– Tak czy inaczej czeka nas ciężki dzień. Wiele ekip jest zaangażowanych w temat.

– Skończyło się już zebranie redakcji w sprawie wydarzeń dnia?

Na zebraniu szefów działów i redaktorów odpowiedzialnych za każdy serwis ustalało się codziennie listę wydarzeń, o których będzie mowa w wiadomościach. Kiedy się kończyło, zaczynały się telefony i gorączkowa biegania.

– Jeszcze nie. Nie przejmuj się, telefony rozzwonią się jak szalone, gdy tylko ci od wydania popołudniowego skończą ustalać listę na serwis

o dwunastej. A potem sami wiecie: do roboty. Jak nie zdążymy z materiałem, to nasza wina, a nie dlatego, że zlecenie przyszło za późno.

Przez cały dzień panował chaos. Ale jak zawsze pośpiech, nerwy i stres pozostawały wewnątrz, za drzwiami telewizji. Na ekranach wszystko wyglądało na czyściutkie i uporządkowane niczym świeżo wykrochmalona biała chusteczka. Bez najmniejszej zmarszczki. Bez żadnej skazy. Podana wyłącznie przez nas informacja o zatrzymaniu ojca chłopca dała nam pewną przewagę nad innymi stacjami.

Kiedy wróciłam do domu, Pablo, mój syn, już spał. Dla czteroletniego chłopca jedenasta w nocy to bardzo późna pora. Padał z nóg już o dziewiątej. Sam już go położył do łóżka. Chłopak był wspaniały. Studiował dramaturgię na jednej z uczelni w południowej Anglii, ale postanowił wziąć na rok urlop dziekański. Jakaś koleżanka opowiedziała mu o swojej pracy w charakterze *au pair* we Francji, a on pomyślał sobie, że czemu nie. Ja myślałam raczej o jakiejś dziewczynie – w końcu w roli *au pair* zazwyczaj widuje się dziewczyny – ale Pablo, mający o wiele mniej uprzedzeń niż ja, wolał chłopaka. „Mamo, przynajmniej pogram sobie z nim w piłkę, bo przecież ty nie lubisz”, argumentował. Sam z kolei chwalił się, że umie gotować, choć jak odkryliśmy później, jego pojęcie o kucharzeniu ograniczało się do włożenia gotowego dania do mikrofalówki i doprawienia go jakimś wyrazistym w smaku, przedziwnym sosem ze słoika. Przez te kilka miesięcy u nas stał się prawdziwym fanem *gazpacho* i *salmorejo*, nagrał nawet dla rodziny i znajomych kilka filmików z instrukcjami, jak je zrobić. „Zobaczymy, czy dzięki temu nauczą się jeść więcej warzyw”, wyjaśniał. Teraz uczyłam go, jak przygotować zupę w szybkowarze. Myślałam, że przy dalszych postępach w tym tempie za jakiś czas przyjdzie mi śłać mu pocztą do Plymouth hiszpańską kaszanekę i chorizo.

Sam uwielbiał także sporty na świeżym powietrzu i wszystko, co miało związek z kreatywnością. Miałam nadzieję, że będzie miał dobry wpływ na Pabla. Nie tylko jako ktoś, kto się nim opiekuje i uczy go angielskiego, żeby mógł się łatwiej porozumieć z rodziną ojca, ale także ktoś w rodzaju starszego brata, z którym Pablo mógłby się po prostu bawić. Przy moich nieprzewidywalnych godzinach pracy potrzebowałam mieć w domu kogoś, kto mnie zastąpi, jeśli szefostwo zadzwoni o piątej rano albo jeżeli jakieś wydarzenie zatrzyma mnie w pracy do pierwszej w nocy. Sam chodził na lekcje hiszpańskiego między dziesiątą a pierwszą. Resztę dnia miał wolną. Nie mieszałam się w to, co robi, gdzie chodzi i z kim, ale umowa była oczywista: ma być do dyspozycji, jeśli tylko poproszę, by został z Pablem poza ustalonymi

godzinami.

Zastukałam do drzwi jego pokoju, żeby mu życzyć dobrej nocy. Jak zwykle o tej porze zastałam go w łóżku ze słuchawkami na uszach oglądającego na laptopie jakiś serial Netflix, od którego nie mógł się oderwać.

– Dobranoc.

– *Good night, Inés. See you tomorrow.*

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 9.

# LAURA/JOAN

Laura mieszkała sama od czterech lat, od dnia, kiedy jej biedny Genaro zmarł tak samo cicho i spokojnie, jak żył: nikomu nie robiąc kłopotu. Nie zwracając na siebie uwagi. Nie rzucając się w oczy. Jako mąż zapewnił Laurze raczej nudne życie. Jak to się mówi: ani zimne, ani ciepłe. Nie było jej z Genarem za dobrze. Uczciwie mówiąc, nie było też tak całkiem źle. I to Laurze wystarczało. Pani Laurze, jak teraz mówili o niej sąsiedzi. Kwestia wieku. Albo wdowieństwa. Albo jednego i drugiego. Nagle stała się szanowaną starszą panią. Biedna szacowna staruszka mieszkająca na trzecim piętrze bez windy, której sąsiedzi pomagają nosić zakupy, spotkawszy ją na schodach.

Laura mogłaby wpaść w obsesję śmierci. Mieszkając samotnie, czego mogła oczekiwać od życia, jak nie śmierci? Wszystko dzień za dniem zdawało się prowadzić ją w jedno miejsce: do rodzinnego grobu na cmentarzu pod wzgórzem Montjuic: do prostopadłościanu o wymiarach dwieście dziesięć na pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów w trzeciej kwaterze przy ulicy Świętej Eulalii w sektorze trzecim. Przynajmniej robaki, które mnie będą jadły, będą miały widok na morze, myślała. Jak te, które jedzą Genara. Biedak, zawsze taki stateczny, zawsze taki rzetelny, zawsze taki rozsądny. I wszystko po to, by skończyć w przewodzie pokarmowym robaków z widokiem na Morze Śródziemne.

Przez pierwsze miesiące po śmierci Genara, przez sam fakt, że przestała utrzymywać kontakty z innymi istotami ludzkimi, narastało w Laurze poczucie, że nie jest nikim interesującym. Tak samo szara i płaska jak jej życie jako mężatki. Przestała zatem czynić wysiłki, by podtrzymywać jakiegokolwiek kontakty. Pierwszy sygnał alarmowy nadszedł ze strony Conchi, fryzjerki z sąsiedztwa. Wcześniej Laura nie ominęła ani jednej ze swoich czwartkowych wizyt, nawet po operacji barku. Przyszła wtedy cztery dni po zabiegu, z ręką na temblaku. Mycie i czesanie. Tak, Conchi, tak jak zawsze, proszę.

Gdy więc Laura nie przyszła przez dwa kolejne czwartki, Conchi sama do niej zadzwoniła. „Kochana, tęsknimy za tobą, co się z tobą dzieje, moja

śliczna?” I gdy słuchała niezbornych odpowiedzi: „Dobrze, w sumie dobrze, co się ma dziać, siedzę tu sama”, fryzjerka postanowiła stworzyć sąsiedzką grupę wsparcia, by jakoś Laurę rozerwać. Sąsiadki z dzielnicy, podniecone tak, jakby miały wyruszyć z ekspedycją na Marsa, a nie na uliczki Ciutat Vella, ochrzciły operację „Na Ratunek Wdowie”.

W kalendarzu ściennym, który podarowała Conchi firma produkująca farby do włosów, zaznaczyły, w który dzień tygodnia każda z nich ma odwiedzić Laurę. W poniedziałki Maruja. We wtorki Roser. W środy Carmen. W czwartki Amparo. W piątki Conchi. A w weekendy – ta, która może. Na początku przychodziły na te spotkania rozemocjonowane niczym uczennice jadące na wycieczkę. Ale na nic się to nie zdało. Ani wizyty, ani kawki, ani nawet czekoladowe *neules*[5], które pewnego razu przyniosła Roser. Laura pozostawała tak samo zamknięta w sobie. I coraz bardziej nikła. „Jak tak dalej pójdzie, to umrze – komentowały kobiety – po prostu nam umrze. Kolejna spośród nas. Szkoda życia”.

Zobojętnienie Laury powoli zaczęło się udzielać grupie wsparcia. Pierwsza wykruszyła się ze spotkań, które miały podnieść Laurę na duchu, Amparo. „Muszę się zająć wnukami, nie mam czasu”, przepraszała. Dwa tygodnie po niej nie przyszła Maruja, nie poinformowawszy o tym wcześniej. I tak stopniowo wyłamały się wszystkie członkinie grupy wsparcia. Stopniowo spychając Laurę w jeszcze większe odrętwienie.

Wdowa po Genarze trwała w poczuciu, że jest kimś bez znaczenia, niewnoszącym niczego do życia.

I żyłaby tak dalej, aż trafiłaby do grobu z robakami i widokiem na morze, gdyby któregoś dnia nie spotkała na schodach Joana. Od dawna mieszkali drzwi w drzwi. Byli jedynymi lokatorami na trzecim piętrze budynku wzniesionego na ruinach dawnego forum przez żołnierzy Cesarstwa Rzymskiego dwadzieścia dwa wieki wcześniej, lecz prawie się nie znali i tylko mijali się w drzwiach kilka razy do roku. On miał dziwaczne godziny pracy, a ona rzadko wychodziła z domu.

Owego cudownego popołudnia ich drogi się przecięły. Laura wracała do domu z apteki, gdzie kupiła tabletki na nadciśnienie, a Joan wychodził po coś do jedzenia. „Droga pani, tak mi przykro. Powiedziano mi, że pani mąż nie żyje”. „Od pół roku, kochaniutki, już od pół roku”. „Przepraszam, droga pani, bardzo przepraszam. Ale tak rzadko się widzimy...”

„Zapuściłeś brodę?” – zauważyła Laura. „Zawsze ją nosiłem. Jeszcze zanim hipsterzy zaprowadzili tę modę”. „Kto taki? A, wszystko jedno, synku. I mów



mi Laura, nie jestem jeszcze taka stara” – dodała, uśmiechając się niczym nastolatka zawstydzona w obecności tego barczystego mężczyzny, który spoglądał na nią z wysokości swojego metra dziewięćdziesiąt. „Rzeczywiście widzimy się rzadko, a może po prostu nie zwracamy na siebie uwagi, młody człowieku. Tak to już jest w naszym nowoczesnym społeczeństwie, uzależnionym od tych sieci, o których tyle gadają w telewizji. A, swoją drogą, ty źle wyglądasz”. „Pewnie przez brak snu. Od wielu dni nie śpię. Miałem dużo pracy i nie udało mi się jeszcze wrócić do normalnego rytmu”.

Jak gdyby w tej konkretnej chwili wszechświat przeznaczył ich sobie – zdolawszy zakrzywić czasoprzestrzeń, zetknął ze sobą dwa punkty odległe o miliony życiowych lat świetlnych – to ostatnie zdanie zmieniło życie Laury. I Joana.

Najpierw była połówka blistra orfidalu. „Weź je sobie, kochaniutki, weź je”. „Ale nie, nie potrzebuję, mam zapas”, odpowiedział. „Ależ weź – nalegała – wciąż powtarzam swojemu lekarzowi, że nie mogę spać, a on zawsze przepisuje mi receptę na kilka opakowań tego leku. Ja się uskarżam na każdej wizycie, wszystko jedno, czy śpię źle, czy dobrze, tak na wszelki wypadek. Sam wiesz, że kobiety w moim wieku lubią gromadzić. To dlatego, że po wojnie wszystkiego nam brakowało. Chcesz zobaczyć szafkę, gdzie trzymam leki? Mam ich mnóstwo. Popatrz tylko, popatrz, o, leżą tutaj. Na wszystko. Potrzebujesz może czegoś jeszcze?”

I w ten sposób Laura Aguilar w zasadzie nieświadomie stała się nieoficjalną dostawczynią farmaceutyków. Najpierw dla Joana. Później, początkowo z pewną nieśmiałością, także dla najbardziej zaufanych przyjaciół swego sąsiada. Młodych tak jak on – no tak, dla niej czterdziestolatkiem byli młodzi – tak jak on pracujących w najdziwniejszych porach lub ze zbytnim hałasem w głowie, który należało wyciszyć. Były to tylko tabletki, przede wszystkim nasenne i antydepresanty, ale ona cieszyła się jak jeszcze nigdy. Nareszcie znalazła sens życia. Przygotowywała całą argumentację, jaką miała wyłuszczyć lekarzowi podczas kolejnej konsultacji. Chadzała regularnie na wizyty do dwóch lekarzy z ubezpieczalni, która jej jeszcze przysługiwała z racji pracy męża, oraz do jednego z przychodni. W sumie do trzech różnych medyków, od których dawało się wyciągnąć recepty, a którzy na szczęście nie mieli żadnych wzajemnych powiązań i nie było ryzyka, że wpadnie im w ręce pełna dokumentacja pacjentki. Nie uwierzyliby.

Korzystając ze starego komputera nieboszczyka męża, dzięki wi-fi, które udostępnił jej Joan – jako hasło wpisał „ochjestemshalona” – Laura

wynajdywała dokładne opisy symptomów dolegliwości, których znajomość pozwalała jej oszukiwać po kolei i na różne sposoby wszystkich trzech medyków: jeden był przekonany, że pacjentka cierpi na uporczywą bezsenność, drugi – że na stany lękowe, trzeci – że ma silną depresję. W ten sposób dysponowała zawsze pełną gamą leków dla swoich chłopców. Oni w zamian dostarczali jej czegoś o wiele ważniejszego: dostarczali jej chęć do życia.

Na początku, kiedy chłopcy wpadali do niej, by zabrać cztery czy pięć tabletek, których potrzebowali, wymieniali jedynie zdawkowe grzeczności w drzwiach. Z czasem Laura zaczęła ich zapraszać, by weszli. Od „mam tylko herbatę” przeszła do systematycznego zapełniania lodówki tak, by dysponować dobrze schłodzonym piwem o każdej porze dnia i nocy. Kupowała też dobrą gatunkowo wędlinę jako przekąskę i ser, którego zapach obudziłby umarłego. Starsza pani tak się rozochociła, że była o krok od ogolenia sobie głowy na zero po obejrzeniu jednym ciągiem pięciu sezonów *Breaking Bad*, które dostała na pendrivie od nowych przyjaciół. Laura była przekonana, że brakuje jej tylko wyższych studiów z chemii, żeby stać się katalońskim żeńskim wcieleniem Waltera White’a. Doszła do tego, że kupiła sobie przez internet – jej pierwszy zakup online – odlotową koszulkę z nadrukiem na białym: „I Love Heisenberg”. Jednak w końcu ogolić głowę się nie odważyła. Owszem, stała się nowoczesna, ale do pewnych granic. Gdyby tak zobaczył ją Genaro, myślała. Gdyby ją teraz zobaczył, nie uwierzyłby. Umarłby chyba z przerażenia.

– Joan, Joan! – wołała, stukając do drzwi sąsiada pewnego czwartku. Zawsze lepiej zastukać, bo może śpi. Dzwonek jest zbyt przenikliwy. – Joan, kochany, idę do lekarza. Potrzebujesz czegoś?

– Nie, Lauro, dzięki. Wiesz przecież, że biorę środki nasenne tylko wtedy, kiedy naprawdę muszę – odparł Joan, otworzywszy drzwi w spodniach i koszulce. – Tylko wtedy, gdy mam furę pracy w dzikich godzinach, a potem głowa nie chce powrócić do rzeczywistości.

– Oj, kochany, starość nie radość. Zobacz, jaki jesteś przystojny. – Laura uśmiechnęła się zalotnie. – Ależ bym była szczęśliwa, gdybym za młodu zdobyła faceta w twoim typie, a nie Genara.

– Ha, ha, ha, bo jeszcze sobie pomyślę, Lauro, że lekarz przepisał ci pastylki na libido. I nie jestem już taki młody, mam czterdziestkę na karku.

Laura roześmiała się i krokiem, który w jej mniemaniu był uwodzicielskim kołysaniem, weszła do mieszkania sąsiada.

– Gdybym tak mogła cofnąć się do czterdziestki i złapać ciebie. – Puściła do Joana oko, stawiając na ziemi torebkę, żeby jej było wygodniej, nieomylny znak,

że zamierza zostać dłuższą chwilę. – Miałam cię spytać: słyszałeś o tym chłopcu porwanym w Madrycie? Mówią, że to może znowu być ten Sederman.

– Slenderman.

– Slen co?

– Slenderman. Tak go nazwali w prasie w parę dni po porwaniu Nicolasa, pamiętasz? Dwa lata temu. Już dwa lata.

Joan oparł się o ścianę i w roztargnieniu przeciągnął ręką po ciemnych kręconych włosach. Był naprawdę zmęczony, pracował przez całą noc, usiłując pomóc Anie i Javierowi, którzy poprosili go o rzecz szaloną: o przekształcenie programu informatycznego nastawionego na wykrywanie terrorystów samobójców w program nastawiony na wykrywanie pedofilów gotowych popełnić przestępstwo.

I nie miał pojęcia, od czego zacząć.

– Slenderman po niemiecku znaczy „chudzielec” i wziął się z legendy wykreowanej w internecie, na forum ze zdjęciami tak podrasowanymi, że wydają się nadnaturalne.

– Ojoj, zdjęcia duchów!

Laura teatralnie uniosła ręce do czoła, jakby miała zaraz zemdleć. Z nią nigdy nie było wiadomo, czy udaje, żeby zrobić kogoś w konia, czy nie.

– Coś w tym rodzaju, Lauro. Coś, co stworzono dla rozrywki, ale co wymknęło się spod kontroli.

Wymknęło się spod kontroli do tego stopnia, że powstała legenda. Jeden z użytkowników forum z nadnaturalnymi zdjęciami wstawił tam fotografie czternaściorga dzieci bawiących się w parku, a za nimi umieścił wysoką sylwetkę chudego, przypominającego ducha człowieka w czarnym stroju, z długimi ramionami-mackami. Slenderman. Autor tego zmanipulowanego zdjęcia, alias Victor Surge, wymyślił opowieść, że ocalało ono z pożaru w bibliotece, a kiedy starał się dojść, skąd ono pochodzi, odkrył, że zarówno dzieci, które na nim są, jak i fotograf, który je zrobił, zaginęli kilkadziesiąt lat wcześniej bez śladu.

Coś, co było jednym z wielu żartów na małym internetowym forum dla specjalistów, stało się wiralem. Dziesiątki tysięcy ludzi na całym świecie uwierzyły, że to wszystko jest prawdą, że Slenderman istnieje, że to wysoki człowiek o zdeformowanej sylwetce, przypominający ducha, który sprawia, że dzieci znikają.

To dlatego prasa hiszpańska nazwała tak porywacza Nicolasa. Bo nie było żadnego punktu zaczepienia. Bo chłopiec zniknął bez śladu.

– Oj, ale mnie wystraszyłeś! Wyobrażasz sobie, że to on? Że znowu zaczął działać?

– No cóż, na razie niewiele wiadomo. Spokojnie. Tym bardziej że nie masz przecież wnuków, które ktoś mógłby porwać – mówił uspokajająco Joan.

– No to tym gorzej. Tym gorzej. Dla kobiety w moim wieku, która nie ma dzieci ani wnuków, wszystkie dzieci na świecie są wnukami. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo cierpimy. Za nie wszystkie. Babcia przejmuje się tylko własnymi wnukami. My, nie-babcie, zamartwiamy się o dzieci, które zjeżdżają za szybko na zjeżdżalni albo jedzą za dużo słodyczy. To zamartwienie bez końca. Swoją drogą, jak ty dzisiaj źle wyglądasz, synku, przykro mi, że ci to mówię.

– Bo próbuję rozwiązać pewien problem i nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Jeżeli mogę ci pomóc...

Jeżeli mogę ci pomóc, rzekła starsza pani, ale tak naprawdę – trzeba było umieć interpretować jej słowa – nie oferowała ani nie sugerowała pomocy. To nie była propozycja, tylko prośba. Proszę, proszę, proszę, pozwól mi pomóc. Potrzebuję działania.

– No, nie wiem, szczerze mówiąc, nie wiem, jak mogłabyś pomóc. Chodź, napijemy się kawy i opowiem ci, w czym rzecz.

Joan nie bardzo lubił rozmawiać na schodach. Sąsiedzi plotkują. Poza tym potrzebował kawy. Nie spał przez całą noc. A jeszcze wszystko przed nim.

– No więc o co chodzi?

Laura skierowała się od razu do kuchni, żeby zrobić kawę we włoskiej maszynce, bo Joan pijał wyłącznie taką. Przecież nawet ona przeszła już na kapsułki! Ależ ten chłopak jest uparty. Boże.

– Masz ochotę na kawałek ciasta? Mam w domu.

– Nie. I nie chcę też, żebyś tu przychodziła i gotowała. Jestem już dużym chłopcem, wiesz?

– Oj, kochany, zostaw mnie, pozwól mi na ten kaprys – na twarzy Laury malowało się udawane błaganie. Źle udawane błaganie, niemal kpina. „Niezła z niej uwodzicielka”, pomyślał Joan. – To typowe dla babć. Bo chociaż handluje tabletkami i umiem posługiwać się komputerem, wciąż jestem babcią.

Laura zaniósła do salonu kawę, filiżanki i cukier na kolorowej tacce, jednej z tysięcy identycznych, wyprodukowanych dla klientów z całego świata.

– W czym ci mogę pomóc? Mam piętnaście minut – oznajmiła, spoglądając na mały pozłacany zegarek, prezent zaręczynowy od Genara. Przez pięćdziesiąt trzy lata na ręku. – Lekarz na mnie czeka.

– Jak by ci to wyjaśnić? Wiesz, czym jest parkinson, prawda?

– Oczywiście! Angelita, wdowa po Robercie, tak, mój drogi, ta, co mieszka dwa domy dalej, pod dziewiątym, ta, która paraduje z głową bardziej ufryzowaną niż te damulki w programach o miłości. Nie znasz jej? No to ona ma parkinsona. I to już widocznego, wiesz? Tak jej się trzęsą ręce, że nie może nic w nich utrzymać.

Laura piła kawę powolutku, małymi łyżkami, tak, by dokładnie poczuć intensywność jej smaku. Pragnęła przedłużyć tę przyjemność jak najbardziej. Nie mogła już pić zbyt wiele kawy, zabroniło jej tego dwóch lekarzy z trzech. Z powodu ciśnienia. Czy czegoś podobnego. Wykazały to wyniki badań i nie miały one nic wspólnego z wymyślonymi symptomami, więc może lepiej zaufać specjalistom. Walczyła codziennie ze swoim pociąganiem do kofeiny. Pozwalała sobie na filiżaneczkę i smakowała dokładnie każdy łyżeczek, jakby miał on być ostatnim w jej życiu.

– Pewna grupa hiszpańskich naukowców – kontynuował wyjaśnienia Joan – stworzyła program informatyczny pozwalający wykryć, że ktoś ma parkinsona.

– Mówi to komputer?

– No tak. Stwierdza to formuła w programie.

Była to nie tyle formuła, ile algorytm, za pomocą którego program NeuroQWERTY potrafił wykazać, kiedy u danej osoby rozwija się choroba Parkinsona, jeszcze zanim pojawiły się pierwsze symptomy fizyczne. Przy zaawansowaniu medycyny wkrótce miało być możliwe zatrzymanie rozwoju choroby. Im szybciej ją wykryto, tym lepsze prognozy dla chorego. A parkinson to dopiero początek.

Tajemnica tkwi w sposobie, w jaki uderzamy w klawisze. Każdy robi to inaczej, to jak odcisk palca. Siła nacisku, sposób, w jaki uderzamy palcami, czas potrzebny na oderwanie palca od klawisza, rytm uderzeń i popełniane błędy – wszystko to sprawia, że każdy z nas jest inny. De facto wiedza o tym, jakie ślady zostawiamy na klawiaturze, uniemożliwi na przykład to, że ktoś podszyje się pod naszą tożsamość w sieci, że zrobi zakupy, płacąc naszą kartą kredytową, że napisze wiadomość na WhatsAppie w naszym imieniu. Bo nikt inny nie uderza w klawisze tak samo jak my.

Jeżeli na skutek stresu czy bolesnych przejść dochodzi u kogoś do zmian w mózgu, ślady na klawiaturze też się zmieniają. Należy tylko wiedzieć, co wskazuje każdy wariant: czy dana osoba stoi w obliczu choroby neurologicznej, czy popada w depresję, czy może gotowa jest zostać terrorystą samobójcą.

Dwa lata wcześniej, kiedy podinspektor Javier Nori pracował nad wyłuskiwaniem i śledzeniem w sieci radykalnych islamistów, Joan

zapropował mu zaadaptowanie programu NeuroQWERTY, tak aby dało się wykrywać, kiedy któraś z namierzonych osób – funkcjonujących w świecie wirtualnym pod nickami – planuje dokonać samobójczego zamachu.

W przeciwieństwie do zawodowych zabójców – którzy nie okazują zbyt wielu reakcji biometrycznych przed dokonaniem zbrodni (nie podnosi się im ciśnienie, nie mają tachykardii, nie zasycha im w ustach), początkujący mordercy, jak ci z europejskich uśpionych komórek Państwa Islamskiego, nie kontrolują własnego ciała, bo nigdy wcześniej nie zabijali. I to bez wątpienia ma wpływ na sposób uderzania w klawiaturę. Jedyne, co mieli zrobić Nori i Joan – jakby to rzeczywiście było takie proste! – to ustalić, jak zmienia się u takiej osoby jej wzorzec, w chwili gdy przygotowuje się ona do dokonania krwawego zamachu.

Wiedzieli na przykład, że terroryści samobójcy mają tendencję do pocenia się z powodu skurczu naczyń obwodowych wywołanego przez nagły przyływ adrenaliny. Bledną, mają przyspieszony puls, szybszy oddech. Ale jak to wpływa na sposób, w jaki uderzają w klawiaturę? Bo jedyne, co umożliwił program, aby ich w porę powstrzymać, to uwidocznic wzorzec palców terrorystów na klawiaturze, co z kolei pozwalało wykryć, kiedy jakaś zmiana oznaczała, że zamierzają złożyć się w ofierze.

Wykorzystali kontakty Noriego – który przez lata stworzył sobie w internecie setki fałszywych profili, podszywając się pod młodego sympatyka radykalnego islamu – aby wysłać ponad tysiącowi osób wirusa zawierającego specjalną, zmodyfikowaną wersję NeuroQWERTY. Wykonali w ten sposób pierwszą część zadania.

Potem nastąpiło najgorsze. Oczekiwanie. Musieli czekać, aż któraś z tych osób dokona samobójczego zamachu, żeby sprawdzić, w jaki sposób zmienił się u niej przedtem wzorzec na klawiaturze. Po wielu atakach w Syrii i Iraku Nori i Joan uzyskali dość elementów, żeby stworzyć algorytm wykrywający, w którym momencie ktoś zaczyna wykazywać fizyczne objawy poprzedzające dokonanie samobójczego zamachu. Liczyli, że zdołają powstrzymać w porę kolejny poważny zamach dżihadystów w Europie. Jeżeli potencjalny terrorysta figuruje w programie, byli przekonani, że go znajdą. Oby na czas.

Problem polegał na tym, że nie mogli tego podać do publicznej wiadomości. Żaden policjant na świecie nie wiedział o istnieniu programu. Ograniczali się do anonimowych donosów.

– No dobrze, mniej więcej rozumiem. Nie do końca, ale wiem, na czym polega pomysł – zapewniła Laura. – Ale co to ma wspólnego z człowiekiem,

który porywa dziecko?

– To, że teraz Anie przyszło do głowy, że moglibyśmy spróbować znaleźć algorytm, żeby dzięki wzorcowi na klawiaturze móc lokalizować również pedofilów. Może nie tyle lokalizować, ile orientować się, kiedy są podnieceni, bo mają w rękach jakieś dziecko, chłopca albo dziewczynkę. Ale jak zmierzyć perwersyjne i karygodne podniecenie?

– A wiesz, synu, mnie się wydaje, że może to jest jak z tymi majtkami.

– Majtkami? Jakimi majtkami? O czym ty mówisz, Lauro?

– O stronie internetowej z majtkami. Pokazali mi ją kiedyś David i Pep, gdy przyszli po tabletki. – Joan wpatrywał się w staruszkę w zdumieniu. – Nie znasz jej? Naprawdę? Pokażę ci. – Laura podniosła się i ruszyła w kierunku stanowiska pracy Joana, gdzie stały trzy włączone, pracujące dwadzieścia cztery godziny na dobę komputery. – Nie chcę niczego ruszać, bo to twoje rzeczy. Sam wpisz: najpierw trzy razy „w”, kropka, wonnemajteczki, przez dwa „n” i wszystko razem, kropka, com.

– Wonnemajteczki.com? Jaja sobie robisz?

– Pomyśl tylko, mówisz, że masz wykryć, jak zmienia się ten wzorec na klawiaturze u osób, które podniecają się już wtedy, gdy tylko sobie wyobrażają, co będą robić. A tak się dzieje w przypadku facetów, którzy tutaj dokonują zakupów. Popatrz, to strona internetowa, na której kobiety sprzedają swoje używane majtki.

– „Będę je dla ciebie nosić przez trzy dni, żeby dobrze przesiąkły moim zapachem. Będę się masturbować co noc, żeby płyny wydzielane przy orgazmie dobrze się w nie wchłonęły, a potem włożę je w torebkę próżniową i wyślę ci je, żebyś je wykorzystał, jak tylko chcesz” – czytał Joan, wpatrując się oczami jak spodki w ekran, na którym nad tym tekstem umieszczone było zdjęcie dziewczyny w różowych bawełnianych majtkach. – Ja pier-do-lę! Ja pier-do-lę!

– Mówiłam. David i Pep opowiedzieli mi, że moda zaczęła się w Japonii, ale dotarła do Hiszpanii, i że ci od tej strony czerpią potężne zyski. Mają tysiące klientów. Dziewczyny, które tu sprzedają, nie mogą się uporać z brudzeniem majtek i ich wysyłką. Niektórzy klienci proszą nawet o nieco... sam wiesz... –

Po wyrazie twarzy Joana widać było, że nie rozumie, poczuła się więc zmuszona wyjaśniać dalej: – No wiesz, człowieku, wiesz. Wiesz – musiała dokończyć sama – o nieco gówienka.

I Joan wybuchnął śmiechem. Nie z powodu tego zdrobnienia – jakby użycie słówka „gówienko” sprawiało, że ma ono lepszy zapach niż zwykłe ludzkie ekskrementy – tylko dlatego, że pomysł Laury miał sens. Może się przyda. Może

jeśli wyśle wirusa do komputerów klientów tej strony – zdobycie listy przez włamanie się na ich serwery powinno być dość łatwe – i dowie się, kiedy zamawiają majtki i kiedy je otrzymują, będzie można ustalić odpowiednie parametry dla stworzenia algorytmu umożliwiającego wykrycie oznak podniecenia seksualnego, podobnego jak w przypadku pedofilów.

– Posłuchaj, Lauro, podsunęłaś mi genialny pomysł. – Joan objął staruszkę i z całej siły uściskał.

– Dajże spokój, kochany, daj spokój, twoja sąsiadka to już, owszem, mocno starsza pani, ale nie jest z kamienia. I w moim wieku na pewne rzeczy nie mogę sobie pozwolić, bo mi zaszkodzą na serce. – Znow to zalotne spojrzenie. – Nie kuś mnie, idę do lekarza.

Laura podniosła torebkę pozostawioną na podłodze przy kanapie, co stanowiło nieomylny znak, że rozmowa dobiegła końca.

– Kończą mi się zapasy orfidalu, a twój kolega Adolfo mówił, że potrzebuje paru tabletek.

– Tak, biedak pracował cały tydzień, prawie nie śpiąc, próbował powstrzymać bardzo skomplikowany atak. Więc leć, żebyś się nie spóźniła. Ja też mam tutaj bajzel, zobaczymy, co mi się uda wyciągnąć z twojej opowieści. Daj buzi. I leć już do lekarza.

To się mogło przydać! Pewnie, że mogło! Kiedy Joan ponownie zasiadł przed komputerami, zapomniał o zmęczeniu. Pierwsze, co musiał zrobić, to włamać się na serwer [wonnemajteczki.com](http://wonnemajteczki.com) i założyć monitoring na wszystkich klientach i ich zamówienia. Jeżeli jest ich kilka tysięcy, jak twierdziła Laura, to szybko znajdzie algorytm, który wykryje związek między symptomami podniecenia seksualnego a zmianami w sposobie pisania. Potem będzie musiał jedynie poprosić podinspektora Noriego, żeby przekazał mu policyjną listę osób notowanych za pedofilię, a jeśli to możliwe, także osób o to podejrzewanych. W ten sposób będzie można zainfekować ich komputery i założyć filtry.

Miał tylko nadzieję, że nie będzie za późno i uda się uratować Kike. Jeżeli jego komputerowy talent nie przyda się w tym przypadku, to po co mu on w ogóle? Żeby chronić kilka bogatych przedsiębiorstw przed nielegalnymi włamaniami? No dobrze, po to też, w końcu z tego żyje, ale nie jest przez to lepszym człowiekiem, kimś, kto czuje się potrzebny. Zadzwoił do Noriego.

– To świetny pomysł. I mówisz, że podsunęła ci go babcia dobrze po osiemdziesiątce?

– No przecież ci mówię. Owdowiała i rzuciła się w wir życia. Może ją kiedyś poznasz.



- Była też sąsiadką Any?
- Tak, Laura mieszka tutaj od ponad pięćdziesięciu lat. Przypuszczam, że Ana ci o niej opowiadała.
- To ta twoja sąsiadka wyłudniająca tabletki?
- Poniekąd. Kiedy będziesz mógł, wyślij mi listę pedofilów.
- Cholera, Joan, grozi mi za to kara, zrujnujesz mnie.
- A ja to co? Ja się nie zrujnuję? Działamy na granicy prawa, Nori, na granicy prawa. A moja przeszłość nie da mi drugiej szansy. Popełniłem niejedną nieostrożność. Ale jak mi nie prześlesz tej listy, to mimo że mogę wynaleźć magiczną formułę, jeśli nie będę jej miał na kim wypróbować, na nic się nie przyda.
- Wyobraź sobie, że mnie przyłapią – odparł podinspektor – na wynoszeniu z jednostki pendrive’a z danymi. Albo że ktoś sprawdza zawartość mojego komputera i widzi, że przeniosłem listę na pamięć zewnętrzną.
- Wiesz przecież, jak zatrzeć ślady. Nie opowiadaj mi teraz głupot, Nori. Czas ucieka, a to działa na niekorzyść tego porwanego dzieciaka. Każda sekunda się liczy.
- A jeżeli to ojciec? Nie można go było znaleźć przez wiele godzin po porwaniu. Jego komórka nie dawała żadnego sygnału. Zatrzymaliśmy go. Ana przesłuchiwała go rano, ale nic z niego nie wyciągnęła.
- A jak ona to znosi? – spytał Joan z niepokojem. – Jak to znosi Ana? Powtarza się historia z Nicolasem.
- Nie chcę jej nawet tego przypominać. Widziałem, jak wtedy płakała z bezsilności. Jeszcze się z tego nie podniosła. I teraz znowu to samo. Dziecko wypisz, wymaluj jak Nicolás, które wyparowuje w tym samym miejscu.
- Jakby historia zatoczyła koło. A ona znowu prowadzi śledztwo. Nie spocznie, póki nie znajdzie Kike. Martwię się o nią, Javi. To ją może doprowadzić do ostateczności. Poprzednio omal do niej nie doprowadziło.
- Miejmy nadzieję, że tym razem dziecko objawi się szybko. I to żywe. Wiesz, że jeżeli ktoś zdoła je znaleźć, to tylko Ana.
- A naszym zadaniem jest jej pomóc, Nori. Dlatego potrzebuję tej listy. Nawet jak stworzę algorytm, musimy potem zawirusować komputery tych osób, które mogły dokonać porwania. Które mogłyby być Slendermanem.
- A propos: widziałeś, że to Inés Grau pojawiła się w środę wieczorem, mając wyłączność na informacje o porwaniu?
- Tak. Tym więcej gówna spadnie na Anę. Nawet gdyby wasi szefowie przejmowali się bardziej tym przypadkiem, wyłączność dla Inés to dla Any

kiepska wiadomość.

– Wyobraź sobie, że kilka minut po tej informacji osobiście zadzwonił minister. Ulewa główna była nieprawdopodobna.

– Wszyscy w policji wiedzą, że one się przyjaźnią. I będą przekonani, że to Ana przekazuje informacje. Zadzwonię do Inés, zobaczymy, co powie. Rozmawiałeś z nią?

– Coś ty! Nie miałem nawet czasu na codzienną przebieżkę. Od doby nie mam kiedy dać sobie w kość i prawie łązę po ścianach. Muszę biegać, żeby myśleć. I pozbyć się złęgo humoru. Jak jestem wkurzony, to mam przytępiony rozum. Muszę wypocić złe fluidy, to jedyny sposób, jaki znam, żeby się ich pozbyć.

O dziesiątej wieczorem Joan dysponował już listą klientów strony internetowej z wonnymi majteczkami i rozsyłał do nich fałszywe e-maile, żeby zainstalować im w komputerach wirusa pozwalającego zanalizować ich ślady na klawiaturze. Musiał jeszcze tylko porównać te dane z chwilą złożenia i odbioru wonnego zamówienia, by móc ustalić algorytm. Nagle zadzwonił telefon. Szef.

– Joan, co robisz? Nie monitorujesz High Farmy?

– Tak, mam podgląd na jednym z komputerów – skłamał – ale właśnie czyszcę system banku Credit Caja. Wygląda na to, że są w nim robaczki.

– A po co ci alarmy? Do czego ci służą, co? Skontaktuj się natychmiast z firmą farmaceutyczną, to jeden z naszych najlepszych klientów. Mamy problem. Ktoś próbuje się włamać do centralnego systemu w Kalamazoo, do danych dotyczących najnowszych badań nad nowymi molekułami. A to są setki miliardów dolarów. Tamtejsi inżynierowie nie wiedzą ani skąd włamanie, ani jak je powstrzymać. To poważna sprawa, Arderiu. Naprawdę poważna.

Tylko tego brakowało. Porwane dziecko, a on musi przestać go szukać, żeby zahamować przypadek piractwa przemysłowego: jedna firma farmaceutyczna – albo jakiś pirat na usługach mafiosa, który chce skopiować formułę – usiłuje dostać się do leku, nad którym prowadzi badania druga firma, włamując się na jej serwery. Joan miał ochotę posłać szefa do diabła albo zgodzić się na wszystko, co powie, ale nic nie zrobić. Powstrzymał się jednak. Zmienił się. Już nie był taki jak dawniej. I musiał to okazywać codziennie. Jak alkoholik na odwyku.

– Nie przejmuj się. Zaraz tam wchodzę. Za kilka godzin ten atak hakerski zniknie w mrokach historii.

I zaczął tracić czas bezcenny w przypadku zaginięcia czteroletniego dziecka w centrum handlowym już przeszło dobrą temu.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 10.

# ANA

Wszystko było piękne i dlatego napawało strachem.

Wszystko było piękne, gdy Ana przeprowadziła się do swojego mieszkania przy ulicy Amanuel, w domu, gdzie sufity podtrzymywały belki z jasnego drewna, w niezwykle spokojnym rejonie w centrum Madrytu, mimo że oddalonym zaledwie parę kroków od Gran Vía.

Oczywiście, że codziennie pamiętała o ojcu. Ale w owym czasie Rodolfo nie żył już od czterech lat i zaczynały słabnąć koszmary senne ze zwłokami rozkładającymi się przy dotknięciu. Początkowo były to sny tak realne, że gdy się budziła, mogła jeszcze wyczuć proch w zagłębieniach linii papilarnych. Patrzyła na swoje ręce i wydawało się jej, że widzi na nich coś, co kiedyś było paznokciami, żyłami lub mięśniami ojca. Wówczas delikatnie dmuchała, żeby przestały przylepiać się jej do skóry. Lećcie i bądźcie czymś innym – mówiła – połączcie się z innymi atomami wszechświata i stańcie się nadzieją albo trawą, albo gwiazdą, albo nowym Szekspirem. Tylko nie bądźcie już moim ojcem. Możecie odlecieć.

W mieszkanku przy ulicy Amanuel koszmary zaczynały zanikać i kiedy Ana zamykała oczy, siedząc na sofie, nieskazitelnie białej i w otoczeniu równie białych ścian, czuła nareszcie, że znalazła się u siebie.

Wszystko było wówczas piękne, ale też napawało strachem.

Na przykład strachem przed samotnością. Przedtem Ana mieszkała zawsze w domach, gdzie nie przebywała sama: z rodziną, w Akademii Policyjnej, we wspólnych mieszkaniach przez pierwsze lata pracy w charakterze praktykantki.

Również strachem, że się nie dopasuje. Ana zbyt wiele razy w życiu czuła się wykluczona. Najpierw uznawana była za największą kujonkę w szkole, jako że wygrywała wszystkie konkursy językowe i matematyczne; była najlepsza w klasie, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Potem stała się rarogiem na uniwersytecie, bo nie chodziła po barach, omijając wykłady, nie grała w karty, nie pożyczła notatek, a ponadto musiała pracować wieczorami i nigdy nie mogła dłużej zostać. A w Akademii Policyjnej stała się Nancy, tą blondynką,

której ciało nagle wydelikatniało i która musiała nauczyć się zachowywać jak mężczyzna. Laleczka, która potrafi ukąsić, kiedy trzeba.

Nie mogła tego uniknąć. Ana lubiła wygrywać, ale lubiła też się podobać. Potrzebowała się podobać. Miała życiową potrzebę, by podobać się ludziom. Potrzebę niemalże chorobliwą.

A te dwie rzeczy były nie do pogodzenia. Nauczyła się tego w praktyce. Albo wygrywasz, albo się podobasz.

Ale obie rzeczy razem nigdy.

Owego ranka nadinspektor Arén chciała wygrać. Za wszelką cenę. Wygrać z sukinsynem, który uprowadził dziecko. Zwyciężyć go, zgnieść, roztrzaskać, zmasakrować.

Ojciec Kike nadal był zatrzymany w komendzie. Może długa i zimna noc w celi zmusi go do refleksji.

– Cześć! – przywitała się z kolegami z jednostki. – Jakież nowe wieści?

– Ekipy poszukiwawcze przeczesaly po raz drugi strefę wokół centrum handlowego – Luis Arcos był jednym z tych, którzy wyglądali najgorzej, wiek nie wybaczał mu już zarwanych nocy – i niczego nie znalazły. Ani śladu dziecka. Jakby rozplynęło się w powietrzu.

– Nie ważcie się używać tego słowa publicznie – przestrzegła Ana. – Niech wam nie wpadnie do głowy używać sformułowań „ani śladu” i „rozplynęło się w powietrzu”. Wymażcie te słowa z waszego słownictwa, jakbyście się ich nigdy nie nauczyli. I tak mamy dość napięcia przez dziennikarzy, którzy spekulują, czy to Slenderman znowu działa.

– Ale pani nadinspektor, a co jeżeli to znowu on?

Jej ekipa była zaniepokojona. Już przeżyli jedno niepowodzenie dwa lata temu i nie mieli ochoty przechodzić po raz kolejny przez to samo. Rana pozostawała niezagojona i sączyła się z niej ropa. Jeżeli to znowu ten sam psychopata, wielu kolegów mocno to odczuje. Ana nie mogła sobie na to pozwolić, ale przede wszystkim nie mógł jej na to pozwolić Kike.

– Jak na razie wszystkie hipotezy pozostają otwarte i żadnej nie wykluczamy. Kto zajmuje się pracownikami centrum handlowego?

– Ja – odezwał się ktoś.

– Ja, czyli kto? – chciała wiedzieć Ana.

– José Barriga. Dołączyłem wczoraj do jednostki, przeniesiony z komisariatu przy Fuencarral.

– W porządku, Barriga. Dobrze się wczoraj przyjrzałeś mojemu tyłkowi? Dość się napatrzyłeś? Czy mam się trochę bardziej odwrócić, żeby rozwiąc

twoje wątpliwości? – rzuciła Ana, przypomniawszy sobie, co jej poprzedniego dnia powiedziała Charo. – Nie? To dobrze. Możemy iść dalej. Przynajmniej nic nas już nie rozprasza – uśmiechnęła się po partnersku do reszty zespołu. – Barriga, tak? Dobry moment, żeby włączyć się do roboty – dodała ironicznie. – Mam nadzieję, że nie popsujesz zabawy ekipie. Co odkryłeś?

– Mam listę pracowników centrum handlowego. Na razie nikt z nich nie ma na koncie żadnych wykroczeń na tle seksualnym. Kilku było notowanych za kradzieże. Chociaż jeszcze brakuje list z niektórych sklepów, nie wszyscy je przekazali.

– No to się pośpiesz. Jedź tam i skocz za lady, jeśli trzeba. – Na co, do cholery, czeka ten nowy? Kike zniknął ponad dwanaście godzin temu, pracownicy powinni być już dokładnie sprawdzeni. – I poproś też o listę dawnych pracowników. Przesłuchaj obecnych, jedź do nich do domu, zapytaj, czy ktoś zauważył jakieś podejrzanе zachowanie. Niech jedzie z tobą Arcos.

– Tak jest, pani nadinspektor.

– A! Jeszcze jedno. Dwa lata temu na parkingu w centrum handlowym nie było kamer. Zapytajcie, czy je zamontowano, i przynieście mi listę wszystkich rejestracji wozów, które tam wjechały i wyjechały stamtąd przez ostatnią dobę.

Schodząc po schodach w kierunku pokoi przesłuchań, Ana spotkała Noriego.

– Spałaś trochę? – spytał.

– Trzy godziny, dość, żeby starczyło mi adrenaliny na cały dzień – odparła, trąc oczy. Wyczerpana oparła się o poręcz, która od kilkudziesięciu lat upominała się o porządne odmalowanie. – W każdym razie na pewno spałam dłużej niż ty. Załóż się, o co chcesz, że zanim tu przyszedłeś, wyskoczyłeś pobiegać. Jesteś szalony, że wolisz biegać niż spać.

– *Running* to jak wiara, moja droga, już ci to parę razy mówiłem, albo ją masz, albo jej nie masz. Jak cię dopadnie, stajesz się największym wyznawcą w królestwie wycisku. – Javi złożył ręce jak do modlitwy. – I mylisz się, nie wyskoczyłem pobiegać dzisiaj rano, wyskoczyłem wczoraj, po powrocie do domu. Musiałem wypocić gówno z całego dnia. – Nori rozejrzał się po klatce schodowej, żeby się upewnić, że nie widać nigdzie czujnych uszu. – Rozmawiałaś z komisarzem?

– Tak. – Ana wyglądała na zdziwioną. – Rozmawialiśmy przed chwilą, zadzwoniłam, żeby zapytać, czy jest coś nowego. Coś się dzieje?

– Wszystko wskazuje na to, że szykują się zmiany. Pamiętasz, jak dostaliśmy zawiadomienie o zaginięciu dziecka? – Było to kilkanaście godzin wcześniej, ale wydawało się, że minęła cała wieczność. – Luis miał nam właśnie powiedzieć,

że odchodzi.

– Że odchodzi?!

– Cii, nie tak głośno. Może w tej sytuacji dyrektor generalny wstrzyma przeniesienie.

– Miejmy nadzieję. Jeżeli Luis odejdzie, to dla tej jednostki oznacza to jedynie złe wieści. No dobrze, idę do dwójki – zakończyła rozmowę. – Tam jest ojciec Kike, prawda?

– Tak, tam siedzi. Powodzenia.

Pokój numer dwa był najnowocześniejszym pokojem przesłuchań w komendzie. Chociaż to nie do końca prawda. Był raczej najmniej przestarzały. Najmniej podniszczony. Przynosił najmniej wstydu. Ale też dlaczego pomieszczenie, które miało służyć wydobywaniu z zatrzymanych prawdy, miałyby być przytulne? Po co malować ściany, naprawiać rozchybotane i podniszczone meble, wymieniać stare krzesła, na których siedziało tyle osób, że ich siedziska były doszczętnie wysiedziane? Po co dbać o wygląd i wygodę, mając świadomość, kim są klienci tego miejsca?

Pokoje przesłuchań stawały się poniekąd rozsiewalniami strachu. Zatrzymani, zwłaszcza ci po raz pierwszy, wyobrażali sobie, co się tam przez lata działo, i objawiały im się duchy dziesiątek aresztantów – w ubiegłych latach być może torturowanych – którzy zasiadali przy tym samym stole, w otoczeniu tych samych ścian.

Pokój numer dwa odróżniał od pozostałych nowoczesny – jak na policyjne standardy – zestaw audio-wideo do nagrywania. Każdy policjant z jednostki, o ile tylko miał odpowiednie uprawnienia, mógł śledzić na własnym komputerze, co się dzieje wewnątrz. Oczywiście prowadzący przesłuchanie mógł w każdej chwili odciąć połączenie, bo bywało, że lepiej, aby pewne sprawy nie wyszły poza cztery ściany pokoju numer dwa. Przynajmniej nie w danym momencie. A czasami nigdy.

Zanim Ana weszła do środka, obserwowała ojca Kike przez lustro weneckie. Choć robiła to już wiele razy, nie potrafiła się przyzwyczaić. Miała wrażenie, że osoby po drugiej stronie w jakiś sposób wyczuwają jej obecność – w końcu zdarzało się to jej samej, gdy siedziała na krześle dla przesłuchujących. Ana potrafiła wyczuć spojrzenia wpatrzone w swoje usta, ręce, gesty. Wyobrażała sobie oczy przesuwające się po jej ciele, starające się odgadnąć, jaki będzie jej następny ruch i na ile wyważy następne pytanie. Jak w szachach, Ana musiała myśleć kilka posunięć naprzód, a każdy ruch stanowił jedynie preludium przed finałem, jakiego oczekiwała. Szach królowi. Powalenie winnego. Wyznanie

winy.

Ricardo nie wydawał się inny od pozostałych zatrzymanych, którzy spędzili noc na twardym cemencie celi w komendzie. Stanowił mieszankę wyczerpania, chłodu, strachu, rozpacz i osamotnienia. Pilnie potrzebował, ażeby ktoś do niego przyszedł, tu, do tego pokoju, ktokolwiek, byleby ktoś tu przyszedł, proszę, nawet po to, żeby go przesłuchać, ale żeby ktokolwiek, na Boga, do niego przemówił, żeby ktoś wreszcie zechciał z nim rozmawiać.

Dwanaście godzin w celi sprawiało, że każdy stawał się trochę bardziej otwarty. „Trzeba im pozwolić dojrzeć, Ano, musisz im pozwolić dojrzeć, zanim wyciągniesz z nich całą prawdę – powtarzał jej zawsze komisarz Bermúdez. – Niech się przemęczą z własnym sumieniem, z własnym strachem. A tych, co nie mają sumienia i nie czują strachu, umęczysz ty”.

Ojciec Kike wydawał się dostatecznie dojrzwały. Jedna bezsenna noc może doprowadzić do szoku. Dwadzieścia cztery godziny w odosobnieniu sprawiają, że mózg postrzega sprawy w inny sposób. Zaczyna tracić nad sobą kontrolę. Bariery naszej świadomej osobowości padają. Rozsądek, wstyd i kontrola zdają broń. A policjantowi łatwiej wówczas złamać oskarżonego.

– Dzień dobry, panie, eee... – Ana udała, że sprawdza w trzymanej w rękach teczce nazwisko – panie Jiménez. Dzień dobry. Dobrze się pan czuje? Potrzebuje pan czegoś?

– Kike. Gdzie jest Kike?

Bez wątpienia dobry z niego aktor, pomyślała Ana, sadowiac się na krześle naprzeciwko zatrzymanego, po drugiej stronie metalowego stołu. Gdzie jest Kike? Niemal mu uwierzyła.

– To właśnie chcemy wiedzieć, panie Jiménez. A może mogę zwracać się do pana Ricardo? Gdzie jest Kike? To właśnie chcemy wiedzieć. Proszę nam to powiedzieć i kończymy sprawę. Pan jest zmęczony, ja jestem zmęczona, wszyscy jesteśmy zmęczeni – mówiac te słowa, Ana przyglądała się rozmówcy, jak nauczycielka wyjaśniająca dziecku, że musi założyć kurtkę przed wyjściem na podwórko, bo jest zimno i może się przeziębic.

– Ja nic nie zrobiłem! Nic nie zrobiłem!

Zaczął krzyczeć. Dobry znak. O ile oczywiście jest winny. Oficjalnie to, co się działo w pokoju numer dwa w podziemiach komendy, nie było przesłuchaniem, przy przesłuchaniu bowiem powinien być obecny adwokat osoby zatrzymanej. Tak więc oficjalnie była to rozmowa, pogawędka, wymiana poglądów. Gdyby później w sądzie jakiś adwokat broniący klienta wymądrzał się i usiłował podważyć to, co oskarżony mówił w trakcie owych seansów, Ana



zauważała, że żaden artykuł ustawy o postępowaniu sądowym w sprawach kryminalnych nie zakazuje rozmowy z zatrzymanym. Naprawdę nie? Otóż nie.

– Zacznijmy od początku. Gdzie pan był o siedemnastej siedemnaście w środę, czyli wczoraj?

Ana udawała, że po raz kolejny przegląda dokumenty, jak gdyby to przesłuchanie było dla niej zwykłą czynnością, nudnym zajęciem, które chce jak najszybciej zakończyć. Czymś, co jej przeszkadza w życiu i czego mogłaby się w każdej chwili pozbyć jednym ruchem ręki. Jak łupieżu.

– Mówiłem już tysiąc razy. Byłem przygnębiony. Wie pani, rozwód jest trudną sprawą. Ciężko przyjąć słowa żony, że już nie kocha. Że to koniec. Że do widzenia. Ale czy pani wie, pani...

– Nadkomisarz. Nadkomisarz Arén.

– Czy pani wie, pani nadkomisarz, co było najtrudniejsze? To, że żona oznajmiła mi, że moje ciało budzi w niej odrazę. Że już nie jest w stanie mnie dotykać. Że moja skóra ją odpycha. Powiedział ktoś pani coś takiego? Powiedział? – Ojciec Kike ukrył twarz w dłoniach, zawstydzony własną słabością. – Że budzę w niej wstręt. Wyobraża pani to sobie? W mojej własnej żonie.

– Każdy przeżył kiedyś jakieś odrzucenie. Wyobrażam sobie, że to bardzo trudne. – Ana powoli zakładała na haczyk przynętę. – Pewnie się strasznie obraziłeś.

– A jak pani myśli? Co? Jak pani myśli? Że skakałem z radości? – odparł urażonym tonem. To dobrze. – Jasne, że się obraziłem. I starałem się ją przekonać. Przecież ona mnie kocha. Musi mnie kochać. To wszystko powstało wyłącznie w jej głowie – dodał, uderzając kilkakrotnie mocno palcem wskazującym w głowę. – Tu, gdzieś w mózgu Loli powstały te głupoty.

– A ja sądzę, że się porządnie obraziłeś. Że straciłeś głowę. I że zrobiłeś coś, czego nie chciałeś.

Cierpliwości. Cierpliwości, upominała Ana samą siebie. Kluczowa rzecz dla dobrego w swoim fachu przesłuchującego. Udawać, że mało cię to wszystko obchodzi, że milczenie przesłuchiwanego nie wyprowadza cię z równowagi, że jego kłamstwa nie doprowadzają cię do rozpacz.

– Wysłałeś żonie wiadomość na WhatsAppie. – Ana pokazała mu zdjęcie ekranu komórki. – O siedemnastej trzynaście, wczoraj, w środę. Możesz mi ją przeczytać?

– Tak, to ja napisałem. „Lola, zabieram Kike jutro i spędzimy razem weekend. Niech nie idzie do przedszkola w piątek. Przygotuj mu walizkę

i zostaw ją w sekretariacie. Odbiorę ją”. – Ricardo podniósł wzrok i spojrzał w oczy nadinspektor Arén, jakby przypomniawszy sobie dokładnie moment, gdy pisał wiadomość. – Tak, to ja napisałem. To prawda.

– O siedemnastej trzynaście?

– Tak chyba z tego wynika. Siedemnasta trzynaście. Nie pamiętam co do minuty, pani nadinspektor, chyba sama pani rozumie. Czy pani pamięta dokładnie, co do minuty, o której rano myła ręce? O której dokładnie, co do minuty, siusiała pani po raz ostatni? Niech pani sobie oszczędzi idiotyzmów. Siedzę tutaj od wczoraj zamknięty w tej gównianej celi, a mój syn zaginął. Nie umiem podać pani więcej szczegółów. A tylko one się teraz liczą, prawda? Jeżeli tu jest podana siedemnasta trzynaście, to najwidoczniej wysłałem wiadomość o siedemnastej trzynaście. Technologia raczej chyba nie zawodzi. Pisałem, prowadząc, więc nie umiem pani powiedzieć.

– No to teraz mam problem. Bo sam zobacz... – Ana starannie robiła odstępstwa między słowami, żeby dobrze wbiły się w głowę zatrzymanego – no sam zobacz, w czym rzecz. O tej porze, o siedemnastej trzynaście, twój telefon był wyłączony i poza zasięgiem. Wyłączyłeś komórkę o szesnastej czterdzieści pięć i nie włączyłeś jej aż do chwili, gdy cię zlokalizowaliśmy, dobrze po dwudziestej trzeciej. Czy zaprogramowałeś tę wiadomość, żeby została wysłana o tej konkretnej godzinie? Użyłeś jakiegoś specjalnego programu? Jak to zrobiłeś?

Praca Any polegała na tym, by doprowadzić zatrzymanych do punktu granicznego, do punktu bez odwrotu. Do tego punktu, w którym winowajcy się załamują. Nie było to łatwe, nie zdarzało się zawsze. Wielokrotnie policja doprowadzała zatrzymanego przed oblicze prokuratora, nie wyciągnąwszy od niego wcześniej żadnego zeznania. W takich przypadkach cały ciężar oskarżenia spoczywał na dowodach, które zostały zgromadzone. A przeciwko Ricardowi dowody były tak słabe, że łatwo dawały się podważyć.

Ale Ana musiała go złamać i wyciągnąć zeznania.

Niejednokrotnie zmuszona była uciekać się do kłamstwa, żeby złamać zatrzymanego. Udawać, że ma więcej informacji, niż naprawdę miała. Udawać, że znalazła dowody, których nie było. Udawać, że współnik albo jakiś świadek zeznali coś, czego nie zeznali.

– Bo jest oczywiste, że wcale nie byłeś tam, gdzie twierdzisz, że byłeś. Nie włączyłeś się po lesie Pilar, uzalając się nad sobą. Bidulek. Porzucony mąż. –

Ana spojrzała na Ricarda z mieszaniną żalu i obrzydzenia. – Powiem ci, gdzie byłeś. Śledziłeś żonę. Poszedłeś do centrum handlowego. Chciałeś ją rozzłościć, żeby się zawahała i żeby rozproszyć jej uwagę. I wykorzystałeś to, żeby zabrać

ze sobą Kike. Bo przecież uprowadzenie go z przedszkola nie miało sensu. Wszyscy by cię widzieli. A ty nie chciałeś, żeby ktokolwiek cię widział. Nie tak było?

Uwierzyć w to. Policjant musi zawsze wkraczać do pokoju przesłuchań przekonany, że uda mu się wyciągnąć zeznania. I parę minut wcześniej Ana była o tym bardziej niż przekonana. Była niemal pewna, że zdoła wyciągnąć z tego człowieka całą prawdę. „Tak, to ja, ja uprowadziłem dziecko”. Ale tak się nie stało. W przypadku ojca Kike znalazła się w punkcie wyjścia.

– Oszalałaś. Oszalałaś, pani nadinspektor, jeżeli uważasz, że skrzywdziłbym własnego syna. Powiedz mi, gdzie on jest, wypuść mnie stąd, żebym mógł go odszukać. Wypuść mnie stąd!! – Zerwał się z miejsca, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki mocujące ręce do stołu. – Chcę się zobaczyć z żoną, niech tu przyjdzie moja żona.

Co odróżnia winnego od niewinnego? Tam, w pokoju przesłuchań, czasem trudno było to odgadnąć. Ale praca Any polegała właśnie na tym.

Tylko że w owej chwili już nie była tak pewna swego jak wtedy, gdy wchodziła do pokoju numer dwa.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

# 11.

## INÉS

Piątek nie różnił się od czwartku. Więcej o chłopcu. Więcej o zaginięciu. Więcej o Slendermanie. Wszystkie media w kraju koncentrowały się na poszukiwaniach Kike. My, reporterzy, pracowaliśmy bez przerwy po szesnaście godzin dziennie, wydzwaniając do naszych źródeł, by wydobyć cokolwiek nowego, obiecywaliśmy, co tylko się da, i spoglądaliśmy z ukosa jedni na drugich, podsłuchując, czy ktoś przypadkiem nie wyskoczył z jakąś „wyłącznością”. To była wojna. Wojna pomiędzy kolegami i przyjaciółmi, ale wojna na śmierć i życie. Na portalach społecznościowych wymienialiśmy grzeczne pozdrowienia, ale wewnątrz aż się gotowaliśmy, zastanawiając się, kto, u diabła, podrzucił dany fakt i czemu moje źródła nie przekazały mi takiej informacji.

Żeby wyprzedzić wszystkich, miałam tylko jedno wyjście.

Musiałam znów zadzwonić do Any.

Chociaż wiedziałam również, że nie wypada mi do niej dzwonić.

Była nadinspektorem nadzorującym dochodzenie i jeżeli ktoś mógł mi coś przekablować, to tylko ona. Ale na nieszczęście dla mnie Ana nie była jednym z wielu źródeł. Ana przekroczyła granicę między dziennikarstwem a przyjaźnią. Była moją przyjaciółką i właśnie dlatego nie chciała być stawiana w trudnej sytuacji. Ani mieć poczucia, że ze względu na przyjaźń jest zobligowana dzielić się wiedzą o tym przypadku. Miała i tak dość kłopotów, bo to ja jako pierwsza podałam informację o możliwym udziale Slendermana w porwaniu. Nie chciałam naciskać na nią bardziej.

Ana była moją przyjaciółką, a to wiele znaczy dla osoby takiej jak ja. Zazwyczaj nie lubię wiązać się bliżej z większością osób, które znam. To się u mnie nasila z wiekiem i chyba odziedziczyłam to po babce ze strony ojca. „Jesteś jak matka twego ojca – mówiła mi ciągle mama – jak matka twego ojca, to straszne, córeczko! Straszne, że musisz być podobna właśnie do niej, bo ona zawsze była obrażona na cały świat, jakby wszechświat był jej coś winien”. Na stare lata była tak niezrównoważona, że żyła w przekonaniu, iż sąsiedzi z tego

samego domu robią dziury w rurach, żeby ukraść jej wodę, zanim ta dopłynie do jej kranu. Albo że tym samym sąsiadom udaje się – dzięki jakimś nieprawdopodobnym wynalazkom, które jednak w jej głowie były zupełnie realne – podkraść jej prąd. „Widzisz? Widzisz – mówiła każdemu, kto tylko przyszedł – że lampy gorzej świecą? Oni mi kradną światło”. Pod koniec życia nie rozmawiała już z żadnym z sąsiadów w swoim bloku.

Kiedy zawieźliśmy ją do domu spokojnej starości, bo złamała kostkę i nie mogła już mieszkać sama, dopięła swego i przeniesiono ją do pojedynczego pokoju. Nikt nie mógł z nią wytrzymać. Pierwszą sąsiadkę z pokoju oskarżyła o kradzież pończoch, mimo że biedna staruszka nie mogła podnieść się bez pomocy i miała tak opuchnięte kostki, że używała specjalnych skarpet stymulujących krążenie. Druga sąsiadka miała używać jej perfum. A trzecia przygotowywała spisek, żeby dostać jej łóżko, bo tam było więcej światła i lepszy widok, jako że stało przy oknie. I w ten oto sposób, mimo że płaciliśmy za pokój dwuosobowy, moja babka zdobyła jedynekę. W tym była dobra, muszę przyznać.

Mam nadzieję nie mieć takich osiągnięć, ale przyznaję, coraz gorzej znoszę to, że muszę udawać, iż interesują mnie jacyś ludzie albo wydarzenia. To pewnie dlatego, że się starzeję. Z wiekiem rosną tylko cztery rzeczy: uszy, nos, liczba dioptrii i złe nawyki. Zaczynałam już odczuwać pierwsze symptomy starzenia. Doszedłszy do tego etapu życia, coraz mniej się przejmuję swoim wyglądem i koniecznością wypełniania towarzyskich zobowiązań, wysiłek robię tylko dla swoich źródeł. O nie naprawdę dbam i to mi się opłaca, to moja praca. I jeszcze dla przyjaciół. O nich także staram się dbać. Ale tych mogę policzyć na palcach. Nawet chyba na palcach jednej ręki.

Ana, Nori i Joan to już trzy palce. Najbardziej przypominali moją bandę, choć z Joanem widywaliśmy się nieczęsto. Spędzał czas w Barcelonie i coraz rzadziej wpadał do Madrytu, gdzie wciąż jeszcze miał niewielkie mieszkanko na wypadek, gdyby praca zatrzymała go na jakiś czas w stolicy. Nie lubił hoteli. Nikomu nie ufał. Nikt nie powinien wiedzieć, dokąd chadza i gdzie przebywa. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jakiego rodzaju supertajne zlecenia wykonywał, nigdy nie informując nas niemal o niczym. Przypomniałam sobie w pewnej chwili, że miałam do niego zadzwonić.

– Od paru dni jesteś pewnie usatysfakcjonowana – brzmiały jego pierwsze słowa po odebraniu telefonu.

– Raczej wykończona. A zajmujemy się tą sprawą dopiero od czterdziestu ośmiu godzin.

– Jak mały szybko się nie znajdzie, to zainteresowanie wkrótce spadnie. Wiesz przecież, jak to działa, koleżanko.

– Co ty powiesz? Ale ja dzwonię do ciebie w innej sprawie.

I wyjaśniłam mu, o co chodzi z moim szefem: że czterdzieści osiem godzin wcześniej prosił mnie o kontakt, a mnie to kompletnie wyleciało z głowy.

– A czego on chce?

– A skąd ja mam to wiedzieć?

– Nie wiesz, ale pewnie byś chciała wiedzieć?

– Oczywiście. Ma jakąś brudną szmatę i chce, żebyś ją wyprała. A ja z przyjemnością się dowiem, w czym rzecz. – Nie mogłam ukryć uśmiechu.

Joan obiecał wysłać mi na WhatsAppie adres e-mailowy – jeden z wielu jego anonimowych adresów nie do namierzenia – na który mój szef może do niego napisać i przedstawić swój problem. Zachowuj się trochę tajemniczo, jakbyś prowadził jakieś szemrane interesy, prosiłam, on myśli, że jesteś jak taki Gollum, który nie wychodzi z jaskini, a mnie zależy, żeby nadal tak myślał. Im bardziej będzie przekonany, że moje źródła są niedostępne, tym bardziej będzie cenił moją robotę.

Jak na ironię, moi najlepsi przyjaciele to dwoje policjantów i haker, choć prawdę mówiąc, przez ostatnie miesiące nasze kontakty były mniej intensywne. Po zniknięciu Nicolasa Ana oddzieliła się od świata. Żyła tylko po, żeby znaleźć tego dzieciaka i osobę, która go porwała. W owym czasie mnie również nie wiodło się najlepiej, więc trochę się od siebie oddaliśmy i ograniczyliśmy kontakty do wysyłania sobie emotikonów na WhatsAppie. Nagle pojawił się między nami mur. Mijały dni, potem tygodnie i miesiące. Z każdą mijającą sekundą coraz trudniej było zadzwonić i obie nie miałyśmy odwagi albo czasu, albo siły, albo ochoty, żeby odwrócić wektory, które oddalały nas od siebie.

Może to była uraza. Albo wstyd. Albo powściągliwość. Albo strach. Ale coś się między nami zadziało. Na początku dzielił nas tylko krawężnik. Ale z czasem, choć myślałyśmy, że kolejnego dnia wykonamy jakiś krok – taki krok, który zrobiony odpowiednio wcześniej zbliżyłby nas na powrót bez najmniejszego problemu – dni przechodziły w tygodnie, tygodnie w miesiące i ten rozdzielający nas krawężnik rozrósł się w mur, solidny i mocny.

Spędziłyśmy niemal rok, nie widując się. I dopiero Joan nas połączył, przy okazji któregoś ze swoich pobytów w Madrycie, jakbyśmy obie tylko na to czekały, żeby pierwszy krok zrobił ktoś z zewnątrz. Joan ściągnął nas do siebie. Zjedliśmy coś na wynos od chińczyka, coś tak niesmacznego i tłustego, że stało się powodem do żartów. I to ociepliło nasze relacje. Wyszłyśmy stamtąd, czując,

że mur nigdy między nami nie istniał. Choć przecież był. Kiedyś był. Bo takie rzeczy nigdy całkiem nie znikają.

Dlatego absurdem było dzwonić do Any i prosić ją o informacje o przebiegu sprawy, gdyż tak naprawdę wolałabym jej powiedzieć, by wpadła do mnie, że napijemy się piwa, pośmiejemy, popłaczymy, obgadamy znajomych, będzie nam razem dobrze i ulży nam, i wzajemnie się jedna przed drugą choć trochę otworzymy. Bo nam tego trzeba. Bo jak ty mi tego nie dasz, to skąd, u licha, to wytrzasnę? Koleżanko!

Ale tego nie zrobiłam. Wyszukiwałam inne numery i mówiłam inne rzeczy. Prostsze numery i prostsze słowa. Wybrałam kontakt z innymi źródłami w policji, choć nie dysponowały one tyloma rewelacjami i nie były to informacje z pierwszej ręki, jak w przypadku Any. Za to – mniej bolało.

Transmisja na żywo w piątek przeszła spokojnie. Zaginiony od dwóch dni. Badane wszelkie tropy. Ojciec zeznający przed sędzią śledczym. I kraj, który zaczynał przeżywać wstrząs. Znowu Slenderman. W programach telewizyjnych w kąt poszli politycy, a zapraszano do nich reporterów, naukowców, psychologów, psychiatrów i w sumie każdego, kto tylko mógł wnieść coś nowego do sprawy. Nawet jeśli nie było to nic powalającego. Chodziło o wypełnienie ramówek i stron w gazetach. Mięso dla mięsożerców.

Nie mogło w tym zabraknąć i mojego wydawcy. Przekłety mój los.

– Inés, zobaczyłem cię właśnie w wiadomościach.

– Paco, a już się dziwiłam, że nie dzwonisz! Bałam się, że zgubiłeś mój numer.

Jestem przekonana, że nie załapał ironii. A może i tak, może był mądrzejszy, niż sądziłam, może najmądrzejszy ze wszystkich. W owej chwili nie zależało mu na sprzeczce ze mną.

– Jakże miałbym nie zadzwonić do mojej gwiazdy? – ciągnął ani trochę niezrażony. – Jakże mógłbym nie zadzwonić do autorki, która pobiła rekordy sprzedaży? Inés, odnosisz sukces, zajmując się tematem porywacza, jesteś ponownie na fali. Bijesz rekordy popularności. Gościsz po kilka razy dziennie w domach milionów Hiszpanów.

– I?

Odpowiedziałam wyzywająco, włączając silnik. Jeśli się pośpieszę, zdążę do telewizji przed zamknięciem stołówki. Umierałam z głodu. Ta harowa sprawiała, że ciągle byłam głodna, a raczej miałam nieustanną ochotę na jedzenie, jak gdyby przy pełnym żołądku cała krew skupiała się na trawieniu, a wówczas niedotleniony mózg mógł na chwilę spauzować i nareszcie odpocząć. Prawdę



mówiąc, wydawcy miałam już dość. Przekłeta godzina, w której podpisałam z nim umowę na dwie książki. Będę sobie to wyrzucać do końca życia. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, do jakiego stopnia.

– I? I? Jak w ogóle możesz mnie o to pytać, Inés. Musisz wykorzystać chwilę. Jesteś na fali. Moglibyśmy ogłosić, że pracujesz nad kolejną książką. Co ty na to? Niekoniecznie teraz, niekoniecznie dzisiaj, bo tu trzeba trochę wyczucia.

Wyczucia? Dostałam ataku śmiechu. O jakim, do diabła, wyczuciu może mówić ktoś taki?

– Ale za kilka dni tak – ciągnął. – Za kilka dni możemy puścić w obieg informację, że pracujesz nad czymś nowym. To by była bomba. Mielibyśmy zagwarantowane nagłówki. A gdybyś jeszcze pisała o Slendermanie... – zamilkł, żeby sprawdzić, jakie wrażenie to na mnie wywrze – to wyobraź sobie tylko.

– Mówiłam ci tysiące razy – uciełam – że Slenderman to dla mnie temat tabu. Kropka.

– A tak w ogóle, to jak było wtedy na spotkaniu terapeutycznym?

– W tym deprymującym miejscu, w które mnie wysłałeś?

Była to prawda i on o tym wiedział. Zmuszał mnie do robienia różnych rzeczy, żebym tylko znalazła temat na następną książkę. Wydawało się, że jedynym celem jego życia było opublikowanie przeze mnie kolejnego bestsellera.

– Ale chyba cię nie rozpoznało?

– Człowieku, a jak sądzisz? Czy tobie się wydaje, że pozwolono by tam zostać i przysłuchiwać się najboleśniejszym wyznaniom dziennikarce telewizyjnej, specjalistce od reportaży? Dobrze się ucharakteryzowałam, nie obawiaj się. I nie odezwałam się ani słowem.

– Ale jak ci poszło? Odkryłaś jakąś ciekawą historię? – ciągnął niezrażony.

– Hm, prawdę mówiąc...

I przez ułamek sekundy ten niziutki łysy człowieczek w okrągłych okularkach, ten człowieczek, który urodził się chyba tylko po to, żeby przez całe życie walić głową w mur, który dawał się rozbić jedynie dzięki uporowi i wytrwałości, wzbudził we mnie żal. Przez ułamek sekundy byłam gotowa przyznać, że tak, że mam opowieść, że zafascynowała mnie przepotwornie historia młodej matki, która była zmuszona wybierać, które ze swoich dzieci ma poświęcić, gdy wezbrany potok porwał ich wszystkich ze sobą, a ona mogła utrzymać jedynie dwoje. Ale to na szczęście minęło szybko, taka chwila słabości. Gdybym pokazała otwartą ranę, Paco gotów był zabić. Odbijałam

piłeczkę na jego stronę, póki mogłam.

– Wszyscy tam byli nijacy. Ich historie nie nadają się nawet na opowiadanie. Nie rozumiem, jak według ciebie miałabym znaleźć inspirację w miejscu takim jak tamto – odparłam.

– Ależ Inés, na Boga, wszyscy czekają na twoją kolejną książkę. Już ci mówiłem, że załatwię ci murzyna, który ją za ciebie napisze, a ty ją tylko opatrzysz swoim nazwiskiem.

– A czemu nie załatwisz mi murzyna, który by odwalił za mnie moją robotę w telewizji, a mnie nie opłacisz wakacji na Karaibach? – wybuchnęłam. – Za to owszem, byłabym ci wdzięczna, Paco. Szczerze. Jestem zmęczona i mam dosyć. Twojego nalegania też.

– Załatwiam ci murzyna i zapraszam na Karaiby, kiedy tylko zechcesz, kochana. Ale musisz mi dać coś w zamian. Parę rozdziałów, streszczenie, kilka stroniczek. Zebrzę o trochę miłosierdzia. Ulituj się nad biednym wydawcą.

Wyobrażałam sobie, jak błaga, jak składa ręce do modlitwy, wznosząc oczy ku niebu w niemej prośbie, niczym jakaś wiejska starowinka podczas niedzielnej mszy. Omal nie wybuchnęłam śmiechem.

– Słuchaj, Paco, mam za sobą kilka okropnych dni. Jak sobie pewnie wyobrażasz, mamy po uszy roboty w związku z ponownym pojawieniem się Slendermana. Mój szef prosił mnie, żebym przyszła w sobotę rano i pomogła redakcji w weekend. A niedzielę zamierzam poświęcić w całości swojemu synowi, bo mu się to należy, przez te dwa dni nawet mnie nie widział. Jeśli chcesz, to pogadamy w poniedziałek. Teraz nie mam dla ciebie czasu.

– W takim razie w poniedziałek, Inés. W poniedziałek. Pomyśl o Slendermanie. O powieści opartej na postaci Slendermana. Nie musi to być przecież autentyczny przypadek. – Prawdę mówiąc, zrobiło mi się Paca żal, gdy tak nie ustawał w błaganiach. – Jesteś dobra, świetnie piszesz, musisz jedynie zacząć. I być na tyle spokojna, żeby móc pisać.

– Jeśli chodzi o bycie spokojną, to ja jestem bardzo spokojna. Jestem spokojna, dopóki ty nie dzwonisz.

Tyle bolesnych historii do przedstawienia, tyle krwi i dramatów, a mnie doprowadza do szału nie tyle deprawacja ludzkości, ile mój niziutki, grubutki wydawca. Można się posrać.

– Przykro mi, muszę się rozłączyć, wjeżdżam na parking w telewizji. Ależ miałam jazdę przez ciebie!

– Ale zastanowisz się, prawda?

Cóż za wyrafinowane chińskie tortury przypadły mi w udziale! Więc żeby

mnie wreszcie zostawił w spokoju, odparłam, że tak, że się zastanowię.

– Z kim ty rozmawiałaś? Nie miałaś za ciekawej miny. – Xavi, koordynator weekendowego wydania serwisu informacyjnego, zaparkował właśnie obok mnie.

– Z moim wydawcą.

– Nowa książka?

– Chociaż ty nie zaczynaj, dobrze?

– Wyglądałaś, jakbyś miała ochotę kogoś udusić.

– Opowiadałam ci kiedyś, że w jednym z reportaży, które robiłam w ubiegłym roku, o rumuńskiej mafii, poznałam typa, który łamie nogi za pieniądze? – Nie. Nie opowiadałam mu tego, sądząc po wyrazie jego twarzy. –

No więc słuchaj, ten typ mi powiedział, że łamie nogi za kasę. Nogi czy cokolwiek. „Poza zabijaniem, zapewniał, robię wszystko”. Chociaż osobiście przypuszczam, że zabija również i że wszystko zależy tylko od tego, ile kto może mu za to dać. Zachowałam jego numer telefonu na wypadek, gdybym go kiedyś potrzebowała. – Xavi patrzył na mnie w osłupieniu, nie wiedząc, czy mówię serio, czy się wygłupiam. – Jakbyś przypadkiem go potrzebował, to powiem mu, żeby ci dał dobrą cenę. Czasami trzeba umieć na czas przetrząść komuś nogi.

– Jesteś psychopatką i sama o tym nie wiesz – zaśmiał się i poszedł sobie. Ale po chwili się odwrócił. – Jedna rzecz, Inés. Jeśli kiedyś wejdiesz do redakcji uzbrojona w nóż albo w karabin, to pamiętaj, że mnie masz oszczędzić życie, bo to ja ci przynoszę na śniadanie kanapki z baru. – Puścił do mnie oko. – Lecę do redakcji. Idziesz?

– Nie, pójdę coś zjeść.

Piątek. Nareszcie piątek. Chociaż w sobotę przyjdzie mi popracować, to jeszcze zostaje mi niedziela. Miałam ochotę spędzić cały dzień z Pablem. Zniknięcie Kike uwrażliwiło mnie wyjątkowo na potrzeby własnego syna. Poza tym Sam, chłopak *au pair*, który od miesiący mieszkał z nami i był dla mnie ratunkiem, kiedy znikałam z domu za każdym razem, gdy jakieś istotne wydarzenie przykuwało uwagę mediów, prosił mnie o wolną niedzielę, tak więc spędzilibyśmy ją tylko we dwoje, Pablo i ja.

Nie zamierzałam pisać o Slendermanie. Nigdy. Nie zamierzałam wracać na spotkania terapeutyczne, choćby wydawca nie wiem jak mnie błagał. Opowieść Lucii sprawiła, że po raz pierwszy poczułam cały ból, jaki czuje matka, gdy jej dziecko umiera. Zrozumiałam wówczas wiele.

I nie byłam gotowa zmierzyć się z czymś podobnym ponownie.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 12.

# NORI/JOAN

Javier Nori zdał egzaminy na podinspektora, przebiegając dziennie po dziesięć kilometrów po okolicach Madrytu. Czytał sobie na głos wszystkie tematy – pięćdziesiąt pytań, osiemset dziewięćdziesiąt osiem stron, słowo po słowie. Powolna i usypiająca lektura zajęła mu dwa tygodnie przed magnetofonem, ale warto było. Zdobył plik na MP3, liczący tysiąc osiemset minut nagrania. Trzydzieści godzin. W ten sposób stał się fanem biegania, ponieważ musiał dawać sobie wycisk przez wiele kilometrów, żeby zdołać wysłuchać raz czy drugi całego materiału, którego musiał nauczyć się na pamięć, jeżeli chciał zdobyć stopień podinspektora.

Nori uświadomił sobie, że gdy biega, wyostrza się jego umysł. Prawa, lewa, prawa, lewa. Jego ciało poruszało się mechanicznie, krok za krokiem, gdy przebiegał trasę, pozwalając umysłowi wejść w stan półświadomości, w którym mógł się skoncentrować i skupić jedynie na własnym głosie i na tym, czego słucha. Zachowanie mas. Konflikt społeczny i walka klas. Naoczna inspekcja policyjno-techniczna. Funkcje policji wobec grup i zgromadzeń. I tak dalej, pięćdziesiąt zagadnień. Jedno za drugim, spływające bezpośrednio do jego neuronów.

Trudno mu było do tego przywyknąć. Nie tyle do biegania – zakwasy zniknęły wraz z nabraniem formy – ile do brzmienia własnego głosu. Nikomu nie podoba się brzmienie słów wypowiedzianych przez siebie samego, gdy się je słyszy po raz pierwszy. Nasz prawdziwy głos, ten, który słyszą nasi rozmówcy, jest mniej poważny, bardziej piskliwy niż ten, który słyszymy sami. Nie rozbrzmiewając w naszej czaszce, nasz prawdziwy głos jest, w większości wypadków, rozczarowujący.

Kiedy się przemógł, żeby słuchać tego obcego, którym był on sam, Nori wysłuchał raz i drugi materiału na stopień podinspektora. Prawa, lewa. Prawa, lewa. Kilometr za kilometrem. Jedno zagadnienie po drugim. Wbijał je sobie do głowy w takt kroków i oddechu. Wchłonał je tak, jak wchłaniał i korzystał z tlenu przy każdym wdechu, dostarczając go bezpośrednio mięśniom, by zrobić

kolejny krok.

I zdał egzaminy.

Także teraz ta technika słuchania czyjegoś głosu w trakcie biegania pozwalała mu wyostrzyć umysł, skupiać się na tym, co najistotniejsze, i w ten sposób starać się odkrywać te aspekty danego przypadku, które zostały pominięte, albo łączyć pozornie odległe fakty, które jednak przyczyniały się do rozwiązania kryminalnej zagadki. Dlatego też, gdy tego dnia podinspektor Nori wyszedł pobiegać ze słuchawkami na uszach, zamiast nastawić listę przebojów, włączył ścieżkę dźwiękową, na której zgromadził dane dotyczące przypadku. Teraz nie potrzebował już ich czytać i nagrywać, bo wiele aplikacji potrafiło przekonwertować w ustną relację tekst, który zapisał w notesie. Nori nie czuł się już w obowiązku słuchać tego dziwnego własnego głosu, który pozwolił mu zdać egzaminy na podinspektora. Teraz mógł wybierać. Płeć, ton, tonację. W zależności od nastroju Nori sprawiał, że w danym dniu czytali mu Manuela, Agustín, Carlos albo Blanca.

„Przypadki Nicolasa i Kike są zbyt do siebie podobne. I może to powinno nas zaniepokoić”, zaczęła czytać Blanca. Jej głos był najłagodniejszy i najspokojniejszy spośród wszystkich dostępnych w aplikacji. A owego dnia Nori potrzebował właśnie tego: żeby ktoś mu szeptał do ucha.

Sześćset kilometrów dalej, w swoim barcelońskim mieszkanku, Joan ciągle nie spał. Przez ostatnie dwie doby niemal nie zmrużył oka. Pracował jednocześnie nad atakiem hakerskim na firmę farmaceutyczną, która zatrudniła go do ochrony, i nad programem identyfikacji pedofilów. Udało mu się zawirusować komputery ponad tysiąca klientów strony internetowej, na której młode dziewczyny sprzedawały używane majtki. Okazało się to łatwe. Owego piątkowego poranka kilkudziesięciu klientów otrzymało swoje zamówienia. Nigdy nie potrafiłyby sobie wyobrazić tylu facetów naraz kupujących majtki, które miały na sobie nastolatki. Joan znał dokładny moment, w którym kurier z paczką dzwonił do drzwi, ponieważ włamał się także na serwer firmy kurierskiej, współpracującej ze stroną wonnemajteczki.com. Usiłował sobie wyobrazić, jakiego rodzaju faceci kupowali takie rzeczy. „Będę je miała na sobie przez trzy dni, będę się w nich pieprzyć, przesiąkną moimi sokami i wyślę ci je w hermetycznie zamkniętej torebce, żeby dotarły do ciebie przepełnione moim zapachem. Będiesz miał używanie”. Kim byli klienci strony? Joan wyobrażał sobie, że to normalni mężczyźni. Mężczyźni, którzy otwierają drzwi kobietom. Którzy witają się w metrze. Którzy z lubością karmią niemowlęta. Kto kupował te majtki, które po czterdzieści euro sprzedawały dziewczyny mogące być ich

córkami? Albo siostrami.

Joan miał już kilka wzorców podniecenia, udało mu się odnotować zmiany w sposobie uderzania w klawisze w przypadku wielu klientów, dokładnie w chwili, kiedy składali zamówienie, jak również w chwili, gdy wrzucali opinie na temat produktu: „Cipka Pink Lady to najlepsze, co wahałem od dawna, nakręca mnie na maksa, wypróbujcie”, można było znaleźć na stronie w opiniach.

Jednak szef wydzwaniał do Joana bez przerwy. Przypadek firmy farmaceutycznej komplikował się coraz bardziej. Atak okazał się bardziej rozległy i lepiej zaprogramowany, niż z początku sądzili. Szedł z wielu miejsc na świecie, a jego intensywność rosła w miarę upływu godzin. Na razie udawało im się go powstrzymać, ale kosztem barbarzyńskiego wręcz wysiłku fizycznego i umysłowego. Najlepsi hakerzy na świecie pracowali, żeby powstrzymać ingerencję mającą na celu przywłaszczenie składu najnowocześniejszych leków, a następnie wyprodukowanie podróbek i ich sprzedaż na czarnym rynku, bez żadnych gwarancji.

Praca nad tymi dwiema sprawami jednocześnie wykańczała go. Ale musiał wytrzymać.

\*\*\*

Słodki głos Blanki nadal szeptał Noriemu do ucha, kiedy dobiegł do lasu Pilar. Zrobił więcej kilometrów, niż mu się zdawało. A musiał jeszcze wrócić do domu. Był całkowicie rozkojarzony. W pewnej chwili w ogóle zapomniał, że biega. Zdarzało mu się to, gdy bardzo skupiał się na tym, czego słuchał. Dokładnie wtedy, gdy zawracał w stronę domu, mechaniczną lekturę przerwał mu dźwięk telefonu.

– Co się dzieje? – Połączenie pochodziło z centrali jednostki.

– Pan podinspektor? Tu Rosalía. Poproszono mnie, żebym zadzwoniła i powiadomiła pana o zebraniu jutro o dziewiątej rano, w jednostce.

O dziewiątej rano w sobotę. Musiało to być coś ważnego.

– Jakież nowości w sprawie Slendermana? – Nori na chwilę przestał biec w miejscu.

– Nie wiem, panie podinspektorze. Nie wiem. Powiedziano mi tylko, żebym do wszystkich zadzwoniła i wezwała na jutro rano. Na dziewiątą.

– Zleciła ci to Ana czy komisarz?

– Tak naprawdę to żadne z nich. Nie wiem, skąd przyszło polecenie.

– Jak to żadne z nich? Czy to przyszło z góry? Z Komendy Prowincji? – Nori stał spokojnie, ale zaczynał marznąć. Nic z tego nie rozumiał.

– Niech pan przyjdzie jutro, panie podinspektorze. Ja nic więcej nie wiem.



Vertical line of text, possibly a page number or header.

# 13.

## ANA

– Ana! Ana! – usłyszała głos Luisa, wołającego ją zza drzwi biura. – Ana, możesz wpaść na chwilę?

– Oczywiście, panie komisarzu – odparła, spodziewając się, że dowie się wreszcie, kto zwołał to tajemnicze zebranie.

– Wchodź. – Luis Bermúdez otworzył drzwi. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Luis, co się dzieje?

– Po pierwsze, mamy nowego zatrzymanego. Oprócz ojca.

– Jakiego znowu nowego zatrzymanego? To ja prowadzę śledztwo. Kto u diabła wydał rozkaz?

– Ja też nic więcej nie wiem. Powiedział mi to mój kumpel z centrali. Pozwól, że coś ci wyjaśnię, żebyś wiedziała, o co tu chodzi.

Komisarz nie usiadł po drugiej stronie stołu, pomyślanego raczej, żeby dzielić niż łączyć, wziął krzesło i postawił je obok krzesła Any.

– Wolałbym móc cię wcześniej uprzedzić, ale przez to, co się dzieje, nie znalazłem chwili. Poza tym nie wiedziałem, czy zniknięcie Kike wszystkiego nie zatrzyma.

– I?

– Odchodzę.

– Odchodzisz?! – Ana musiała zapanować nad sobą, żeby nie krzyknąć. To, co mówił jej Nori, okazało się prawdą.

– Dokładniej rzecz biorąc, zmuszony jestem do odejścia.

– Ale dlaczego? Dokąd? Kiedy?

– Wiesz przecież, że są ludzie, którzy uważają, iż trzeba rządzić silną ręką.

– Tak, najlepiej dzierżąc w niej dyscyplinę i waląc nas nią po plecach. A my mamy powtarzać tylko: tak jest, proszę pana, o tak, panie, niech się stanie wedle twej woli, dzięki, że jest pan moim szefem, moim uwielbianym panem i władcą.

– Albo i czymś więcej. – Bermúdez przysunął krzesło bliżej Any. – Nowy komendant uważa, że trzeba postępować zupełnie inaczej. Więc mnie odsyła do Canillas.

– Do centrali? Co masz tam robić?

– Myśleć. Chyba. Gapić się w ścianę, jak niegrzeczne dzieci. – Komisarz wykrzywił twarz. – Owszem, obiecują mi awans na naczelnika.

– To kopniak w górę, Luis, sam dobrze o tym wiesz. W ten sposób odsuwają cię od tej komendy.

– Posłuchaj, Ano, bo to ważne. Posłuchaj, bo będziesz musiała przyjąć to wszystko ze spokojem, jasne? Na moje miejsce przyjdzie David Ruipérez.

– Do kurwy nędzy! Niech to jasny szlag! – Wzburzona Ana zerwała się z krzesła. – Po prostu nie mogę uwierzyć!

– Ano, uspokój się. Zapomnij, co zaszło między wami.

– Luis, do cholery! Wiesz, że to facet ze starego rozdania. Na nieszczęście dla nas, dla policjantek, w tym świętym domu tkwią jeszcze egzemplarze z poprzedniego pokolenia, które uznają ścisłe podziały klasowe i nienawidzą kobiet. Powinni w końcu odejść na emeryturę, a nas zostawić w spokoju.

– Rozumiesz, o co mi chodzi, Ano? Będziesz musiała zamknąć buzię. Inaczej koniec z tobą. A ja nie będę mógł ci pomóc. Już nie.

Dwa uderzenia w drzwi przerwały im rozmowę. Ten, kto pukał, nie czekał, aż usłyszy zaproszenie. Po prostu nacisnął klamkę i wkroczył. Jakby wchodził do siebie. Bo i tak też było.

– Coś takiego! Nieźle towarzystwo jak na dziewiątą rano w sobotę. Nie chcecie chyba powiedzieć, że jedliście razem śniadanie.

Luis Bermúdez rzucił Anie szybkie spojrzenie. Proszę cię, mówily jego oczy, proszę cię, panuj nad sobą, nie rób numerów. Nie teraz.

– Komisarz Ruipérez! Witamy. – Policjanci podali sobie ręce w sposób właściwy jedynie mężczyznom: jak gdyby nic się nie stało.

– Chce pan sobie obmierzyć nowe biuro? Choć trup jeszcze nie ostygł? – warknęła Ana.

Bo tak właśnie postrzegała panowanie nad sobą: odrobina ironii nie ma przecież w sobie nic z agresji. Tak naprawdę miała ochotę napluć mu w twarz. Przywalić naprawdę, a nie słowami. Plunąć najprawdziwszą żółcią. Solidnie gorzką żółcią.

– Pani nadkomisarz Arén, widzę, że język ma pani tak samo ostry jak zawsze, będzie nam więc wesoło. Ale mi się trafiło rozrywkowe stanowisko. – Niezrażony Ruipérez obszedł stół i usiadł na krześle komisarza Bermudeza. – Nieźle z tej pozycji wygląda życie.

– Będziesz miał tu grupę znakomitych agentów, komisarzu. Zaangażowanych bez reszty w pracę. Masz szczęście, że trafiłeś do takiej jednostki.

– Grupa znakomitych agentów, która poszukuje dziecka od trzech dni i dotąd go nie odnalazła. – Ruipérez przeszył spojrzeniem Anę Arén.

– Zatrzymaliśmy ojca, dzisiaj zajmie się tą sprawą prokurator – bronił się Bermúdez.

– Ojca, który niczego nie wyznał, przeciwko któremu nie ma dowodów, jedynie poszlaki. To, że wyłączył telefon, niczego nie dowodzi i dobrze o tym wiesz, Luis.

– Pracujemy nad... – zaczęła Ana.

– I dlatego – przerwał jej Ruipérez – dlatego właśnie ja przejąłem stery w tej sprawie. Wczoraj wieczorem zatrzymaliśmy nowego podejrzanego.

– Nowego kogo? – spytała Ana, podnosząc się tak gwałtownie, że niemal przewróciła krzesło na podłogę. Bermúdez już ją o tym poinformował, ale ona udawała rozzłoszczoną, jakby usłyszała tę nowinę po raz pierwszy.

– Ach, Ano, wybacz. Za chwilę wam wszystko przekażę. – Nowy komisarz ostentacyjnie spojrział na zegarek. – No dobrze, już czas. Wszyscy czekają w sali odpraw. Tam was dokładnie poinformuję. Zejdźmy, to przekażemy chłopakom nowiny za jednym razem. Co wy na to? Męczy mnie powtarzanie wszystkiego każdemu z osobna.

I Ruipérez wyszedł z biura tak samo wyniośle, jak do niego wszedł, przekonany, że Ana i Luis podążają za nim, jak Słońce jest przekonane, że Ziemia nie przestaje się wokół niego obracać.

W sali odpraw nie pozwolił nawet na to, by komisarz Bermúdez wyjaśnił sytuację. Wchodząc pierwszy, wykorzystał taktyczną przewagę i stanął na wprost swoich nowych podwładnych, którzy wciąż jeszcze nie wiedzieli, co się dzieje. Wypięta pierś, rozstawione nogi, uniesiony podbródek i cofnięte ramiona. Pozycja typowa dla samca alfa opanowującego teren. Dla wysokiej władzy. Kontroli. Testosteron aż w nim buzował.

– Dzień dobry wszystkim. Wielu z was już mnie zna. Jestem komisarz David Ruipérez. Od tej chwili komisarz – szef Jednostki Policji Kryminalnej na szczeblu Prowincji. Wasz pan i władca, żebyśmy się dobrze zrozumieli. –

Pomruki i spojrzenia pełne niedowierzania wypełniły całe pomieszczenie. – Zwołałem to zebranie, aby wam oznajmić, że od dziś sprawy będą wyglądały inaczej. Będziecie to widzieć każdego dnia, ale zalecam jedno: naładujcie baterie. I to porządnie.

Ana i Luis patrzyli na niego w milczeniu, stojąc z założonymi rękami przy drzwiach wejściowych, oparci o ścianę. Niektórzy policjanci z jednostki obejrżeli się w ich kierunku, prosząc wzrokiem o wyjaśnienia.

– Na razie rozwiążemy to, co najpilniejsze: sprawę zniknięcia tego chłopca. Niektórzy z was, ci z nocnej zmiany, już wiedzą: mamy drugiego zatrzymanego. – Tym razem pomruki przeszły w słowa niedowierzania. – Siedzi w celi. To pracownik centrum handlowego. Agent José Barriga odkrył kluczową informację. Zauważcie, co za przypadek – Ruipérez władczo potoczył wzrokiem po sali, niemalże lekceważąc osoby, które widział – co za przypadek, że udało się to nowemu agentowi, że ktoś będący w tej jednostce dopiero od trzech dni bije was wszystkich na głowę.

Agent Barriga, siedzący na krześle pośrodku sali, nie wiedział, gdzie się podziąć. Właśnie w swoisty sposób chciano go skłócić z nowymi kolegami.

– Pani nadinspektor Arén? – Komisarz szukał Any wzrokiem. Zwalczyła pokusę, żeby się nie odezwać, oderwała się od ściany, o którą była oparta, i wyprostowała się. – Pani nadinspektor, proszę się zająć przesłuchaniem podejrzanego. Natychmiast.

Ana spojrzała na niego nieufnie, oceniając swoje szanse. Mogła się postawić od razu, wobec całej jednostki. Albo opanować się, wyjść i zrobić, co jej kazał Ruipérez. Skądinąd do wszystkich dotarło właśnie, że facet jest gnidą, sam sobie wystawił świadectwo, nie było więc potrzeby podkreślać tego jeszcze mocniej.

Ana skinęła głową i wyszła z sali odpraw, kierując się w stronę pokojów przesłuchań. Jak posłuszny szczeniak. A przynajmniej tak to wyglądało.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

14.

## NICOLÁS

Nicolás zaginął szesnastego czerwca. Po prostu rozpląnął się w powietrzu. Był w jednym miejscu i nagle go nie było. Ani w tym miejscu, ani w żadnym innym. Na początku był tylko zaginionym dzieckiem, kolejnym dzieckiem, które się zgubiło. Jak tyle innych, codziennie. Ale minęły minuty i przestrach zmienił się w trwogę. Minęły godziny i trwoga zmieniła się w tragedię. Nico nie wracał. Matka spacerowała z nim po centrum handlowym na peryferiach Madrytu, trzymając go za rękę. W pewnym momencie zorientowała się, że dziecka koło niej nie ma. Popatrzyła zdumiona na własną rękę, na wciąż jeszcze otwartą dłoń, jakby to było niemożliwe. Ręka Nicolasa powinna przecież być w jej dłoni. Przysięgłaby, że trzymała ją jeszcze jedną tysięczną sekundy wcześniej. Więc musiała być tam nadal.

Ale nie. Nie było.

Trzy dni po zaginięciu jednemu z gości udzielających się w licznych telewizyjnych i radiowych dyskusjach przyszło na myśl dodać ostatni mocny składnik do plotki, która rozprzestrzeniła się niczym wirus. Ostatni brakujący element. Ochrzcic porywacza. Nazwał go Slenderman.

I oto mieliśmy historię. Długachny serial informacyjny na sezon ogórkowy.

Casus Nicolasa stał się tematem dyżurnym w prasie, genialna sprawa w sezonie wakacyjnym, żeby zapełnić nagłówki w okresie mniej obfitującym w wydarzenia. Dzień po dniu. Kolejne tysiące czytelników.

Tym, nad czym media nie panowały, była narastająca fala paniki, jaka ogarnęła kraj. Nagle rodzice zaczęli się obawiać, że poginą im dzieci. Dzieci straszono, że zgubią się rodzicom. W panującym upale ulice zaczynały pustoszeć. Centra handlowe, miejsca najbardziej poszkodowane, straciły ponad połowę klientów. Opustoszały też parki, plaże i baseny. We wszystkich miejscach, gdzie niegdyś bawiły się dzieci, było teraz pusto i cicho.

Kraj bał się seryjnego porywacza.

Kula śnieżna rozrastała się najbardziej na portalach społecznościowych. I mimo że nikt, nawet policja, nie wiedział, jak zwyrodnialec wygląda, jak

Hiszpania długa i szeroka powielano podobizny Slendermana. Powstały hasztagi odnotowujące domniemane przypadki porwań, do których miało dojść jednocześnie w różnych miejscach w kraju. Pojawiały się zmanipulowane zdjęcia, mające uchodzić za autentyczne.

Slenderman istniał, przetrzymywał Nicolasa, a cała Hiszpania umierała ze strachu.

Tymczasem minął czerwiec. Potem lipiec i sierpień. Nadszedł wrzesień i rozpoczął się rok szkolny. Nicolás już się nie sprzedawał, mediom nie udawało się zdobyć żadnych nowych informacji, które mogłyby podtrzymać zainteresowanie tematem, i w końcu sprawa zaginięcia czterolatka została zepchnięta na ostatnie strony, gdzie wspomniano o niej skrótowo, a i to tylko czasami.

Nicolasa nie odnaleziono. A życie, we wszystkich swoich zapierających dech w piersiach aspektach codzienności, toczyło się sekunda za sekundą. Minuta za minutą. Dzień za dniem. Czas dodany do czasu. Jakby było rzeczą możliwą tak po prostu pogrzebać taką sprawę.

I tak minęły dwa lata.

Dwa lata bez Nicolasa. Dwa lata bez Slendermana. Ana i jej zespół nie poddali się nigdy, ale w kraju szybko zapomniano o czterolatku. Tylko czasami, gdy matka udzielała emocjonalnego wywiadu albo policja zapewniała, że ma jakiś nowy ślad, media odgrzebywały historię.

Tylko czasami.

W ten sposób Slenderman i Nicolás poszli w zapomnienie.

Aż do chwili, gdy zniknął Kike.

I powróciły nagłówki. I strach. I pustka.



Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 15.

# ANA

Nowym podejrzanym był dawny pracownik sklepu z zabawkami, sprzed którego Kike zniknął. Zwolniono go dwa miesiące wcześniej za to, że nie pojawił się w pracy. Był ponadto notowany za nękanie. Półtora roku wcześniej został zatrzymany po tym, jak przerażone wychowawczynie z przedszkola zadzwoniły na policję i złożyły doniesienie, że jakiś młody człowiek od wielu dni przygląda się dzieciom podczas przerwy. Stoi nieruchomo, wodząc za dziećmi wzrokiem, mówiły panie agentom policji. Budzi lęk. Sędzia wprawdzie nie dopatrywał się w jego zachowaniu niczego dostatecznie groźnego, by go skazać na odsiadkę, niemniej wydał wyrok zakazujący mu zbliżania się do przedszkola na odległość mniejszą niż pół kilometra.

– Ismael Gallardo. Dwadzieścia dziewięć lat. Notowany za nękanie. Niezła fizyka w policyjnych aktach – wyrecytowała z odpowiednią miną nadinspektor Arén, stając w drzwiach pokoju przesłuchań, nie zaszczycając zatrzymanego nawet spojrzeniem. – Niezły numer. Prawdziwy skurwysyn, który lubi małe dzieci. Ułatwię ci sprawę – oznajmiła, wbijając w niego wzrok i sadowiąc się za stołem. – Gdzie jest Kike?

Mężczyzna popatrzył na Anę tak, jak kalmar spogląda na rozgrzaną blachę. Zero emocji.

– Nie masz języka w gębie czy twój poziom intelektualny uniemożliwia ci złożenie paru sylab do kupy?

Przyglądała mu się z gniewem. I z gniewem ciskała słowa. Była tak rozzłoszczona zachowaniem Ruipereza, że nie potrafiła udawać, iż gra rolę dobrej policjantki, która przynosi kawę i kanapkę, aby zdobyć zaufanie zatrzymanego. Dzisiaj miała zademonstrować wszystkie cechy swojego złego charakteru, kipiące w niej niczym w szybkowarze, w którym trzeba otworzyć klapkę, żeby nie wybuchł.

Zwykle potrafiła działać powoli, pozwalając parze uchodzić stopniowo, rozmawiając w cztery oczy z aresztantem, aż do przypalenia go na finiszu. Ćwiczyła to przez lata: skanalizuj gniew, skieruj go na obiekt, powoli, ale

precyzyjnie. Jeżeli nagle wybuchniesz, wyrządzisz krzywdę tylko sobie. Ale w owym momencie nie była w stanie. Musiała wyrzucić z siebie wszystko. I to natychmiast. W jednej chwili. Wybuchnąć. Na szczęście miała na kim wyładować wściekłość. Na kims, kto na to zasługiwał, na prześladowcy dzieci, a może i na porywaczu Kike.

A ten człowiek milczał. Gapił się na nią, jakby sterczał przed wyłączonym telewizorem.

– Więc bardzo mi przykro, przyjacielu, koniec zabawy. To, co tutaj mam – Ana podniosła do góry szarą teczkę, którą trzymała w ręku – zawiedzie cię do więzienia na ładnych parę lat. Na wiele lat. Zostawiam cię na chwileczkę, żebyś mógł odrobinę przemyśleć sprawy. Jak zaczniesz współpracować, wszystko pójdzie sprawniej.

Nadinspektor Arén musiała się opanować, żeby nie wybiec z pokoju przesłuchań, trzaskając drzwiami. Zostawiła aresztanta samego i wyszła, jakby sobie nagle przypomniała, że ma ochotę na czekoladkę. Chodziło o to, żeby udawać spokój, udawać, że sytuacja jest pod kontrolą. Jeżeli to będzie twardy orzech do zgryzienia – podpowiadało jej doświadczenie – zawsze trzeba sugerować zatrzymanemu, że posiada się więcej informacji, niż ma się naprawdę.

Bo często z kłamstwa wyciąga się więcej niż z prawdy.

Cały sekret wyprowadzania kogoś z równowagi tkwi w cierpliwości. W łagodności. W stopniowaniu. Odtykać powoli jeden po drugim pory czyjejś skóry, tak by ten ktoś nie zdawał sobie z tego sprawy, aż do chwili, gdy cała skóra go pali, a wtedy jest już za późno. Ślimaka nie wolno wrzucać do wrzątku. Schowa się w skorupce i już się go stamtąd nie wyciągnie. Ślimakowi trzeba pozwolić pływać w zimnej wodzie, przyzwyczaić go i nie straszyć. Dopiero potem powolutku podgrzewać wodę, żeby go ugotować, ale tak, aby nie zdążył zareagować, zanim będzie za późno, zanim ciało zacznie go palić.

Kiedy Ana weszła do dużego szarego wspólnego pomieszczenia zespołu, poczuła, że atmosfera jest tak napięta, iż zaraz dojdzie do wybuchu. Zespół przetrwał informację o zmianie komisarza, a raczej się nią dławili. Kiedy przekroczyła próg (miała własne biuro, ale prawie go nie używała, jego ściany parzyły ją niczym toksyczna pokrzywa), wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej. Co mam wam powiedzieć, dzieci? – oznajmiła bez słów – co mam wam powiedzieć? Bo i co mogła im powiedzieć? Nic. Że oczywiście trzeba wytrwać. Ale to przecież sami wiedzieli.

Ana usiadła w głębi pokoju przy stole, którego stale używała. Lubiała

przebywać tutaj wśród swoich ludzi. Musiała przejść przez całe pomieszczenie, żeby tam dojść, a to stwarzało jej możliwość zobaczenia się i pogadania z podlegającymi jej agentkami i agentami. Poza tym z kąta pomieszczenia miała wyjątkowy widok na wszystko, co się działo w planie operacyjnym jednostki. Lubiała obserwować zachowanie zespołu, jego wewnętrzne poruszenia. To przypominało obserwowanie, jak rośnie żywa istota, z całym swoim sprzeciwem i walką o swoje.

– Trudno to przeżyć? – spytał Luis Arcos.

– Widziałeś go?

– Nie. Nowy komisarz zatrzymał nas jeszcze chwilę w sali odpraw – odparł, przysiadając na skraju stołu. – Jak wyszliśmy, już z nim skończyłaś. Krótka to trwało, co?

– Zostawiłam go tam na chwilę, żeby przemyślał sprawę.

– A ty co sądzisz?

– Nie, raczej: co ty sądzisz? Kazałam tobie i nowemu przeczesać listę podejrzanych. Dlaczego musiał się dowiedzieć o tak ważnym tropie ktoś, kto jeszcze wczoraj nawet nie pracował w tej komendzie, i to jeszcze przede mną, mimo że to ja jestem tutaj przełożoną i wydałam wam rozkazy? – Ana patrzyła na Luisa uważnie, niemal nie mrugając powiekami.

– Nie wiem, Ano. Nie miałem nawet kiedy zapytać o to Barrigę. Odkryliśmy to wczoraj w nocy i mieliśmy zamiar ci powiedzieć z samego rana. Naprawdę nie wiem, jak to mogło wyciec.

– Odkryliście to wczoraj w nocy?

– Tak, około wpół do dwunastej. Barriga był w jednostce, ja w domu, pracowaliśmy na odległość. To on to wychwytał.

– I pomyśleliście, że nie jest to takie pilne, żeby do mnie zadzwonić?

– Szefowo, mieliśmy się zobaczyć za kilka godzin. Facet prowadził normalne życie.

– Porozmawiamy o tym. Teraz najważniejsze, żeby go złamać. Szukajcie byle główna na jego temat, mandaty za brak opłaty parkingowej albo za rzucanie śmieci na chodnik. Czegokolwiek. Włamcie się do jego komputera i komórki i przeszukajcie najciemniejsze kąty twardego dysku. Weź paru ludzi do pomocy.

– Szefowo! – usłyszała Ana za plecami głos Charo. – Szefowo, komisarz prosi do siebie.

– Który komisarz?

– Szefoowo! – odpowiedziała Charo tonem, który w rzeczywistości oznaczał: nie wkurzaj mnie, Ano, nie wkurzaj mnie, bo i tak mamy dość

kłopotów.

– Jeżeli nie wolno nam nawet uciekać się do ironii czy czarnego humoru, to co właściwie robimy w tym zawodzie? Mamy sobie strzelić w łeb? – usprawiedliwiała się nadinspektor Arén, wstając z krzesła i kierując się do biura Ruipereza. – Trzymajcie za mnie kciuki.

Biuro komisarza znajdowało się na końcu korytarza na ostatnim piętrze komendy. W miejscu najmniej dostępnym. Tam, gdzie najtrudniej było dotrzeć. Usytuowano je tak strategicznie, żeby każdy, kto tam szedł, miał po drodze dość czasu, aby zadrećcać się myślą, co go czeka. Wiele lat wcześniej Luis próbował to zmienić, przenieść się bliżej swoich ludzi, nie sposób jednak było znaleźć wolną przestrzeń. Personel oddelegowany do jednostki dorastał w okresie boomu urbanistycznego, który przekształcił dzielnicę w potężne osiedle mieszkaniowe, liczące więcej mieszkańców niż niejedna stolica prowincji w kraju.

Ana wyobrażała sobie, że Ruipérez zawładnął już gabinetem Luisa Bermudeza. Znając go – a był to jeden z tych znanych w historii policyjnych awansów zdobytych bez konieczności zdawania żadnego egzaminu, jedynie dzięki wyjątkowej umiejętności długoletniego przyspawania się do fotela – z pewnością zamówił już nowe meble, żeby odpowiednio urządzić swoje włóści. Jak się czuje Luis? Komu zawdzięcza kopa w górę? Co właściwie zaszło? Jakaś zdrada? Może na razie lepiej tego nie wiedzieć. Jak o wielu rzeczach w życiu, o tym, kto nas zdradził, powinniśmy się dowiedzieć dopiero we właściwej chwili, wówczas, gdy miną już gniew i ból i stać nas na ostrą, lecz wyważoną odpowiedź, chłodną, ale mściwą.

Ten właściwy moment jeszcze nie nadszedł, więc lepiej dla Any było poczekać, nim zacznie sprawdzać, co zaszło. Marnowanie energii na walkę ze zmianami, na które nie miała żadnego wpływu, wydawało jej się czymś zbędnym. Musiała się skupić na uporządkowaniu własnych emocji: mętnej mieszanki wkurzenia i oburzenia.

– Panie komisarzu?

– Ana? Wchodź, wchodź.

Ana nie wiedziała, jak interpretować to spojrzenie. A może i tak. Może i wiedziała, jak je interpretować, ale wolała nie rozszyfrowywać go w jakimś ciemnym zakamarku własnego mózgu. Żeby nie zepsuć wszystkiego jeszcze bardziej.

– Jak ci poszło z zatrzymanym?

Anę kusilo, by odpowiedzieć coś w rodzaju: „Tym zatrzymanym, o którym

ja, która dowodzę jednostką i prowadzę sprawę, nie otrzymałam informacji wcześniej niż pół godziny temu? Tym, którego aresztowanie nie ja zleciłam? Czy może chodzi o jakiegoś innego zatrzymanego? Proszę mnie oświecić, panie komisarzu”. Ale się powstrzymała.

– Nie boi się – odpowiedziała. – Zimny. Zostawiłam go na chwilę samego, dając mu odczuć, że mamy przeciwko niemu więcej, niż mamy w rzeczywistości. Zobaczymy, czy trochę zmięknie. Zaraz wyślę tam Noriego, żeby mi go rozgrzał, i potem sama się nim zajmę.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, że od tej chwili sprawy przyjmują inny obrót. Wiem, że lubiliście się z Luisem, ale ja jestem inny i pewne rzeczy się skończyły. Zarówno w twojej sekcji Służby Pomocy Rodzinie, jak i w jednostce analityczno-laboratoryjnej. Od tej chwili wszystko musi przechodzić przeze mnie.

– Taka jest procedura, David.

– Panie komisarzu.

– Taka jest procedura, panie komisarzu – poprawiła się Ana.

– Tak w ogóle, to co sądzisz o ojcu dziecka?

– Wczoraj byłam przekonana, że wiele wskazuje, iż może być sprawcą porwania. Po ostatnim przesłuchaniu nie jestem tego taka pewna. – Czy to jakaś pułapka?

– Ale zleciłaś jego zatrzymanie.

To była pułapka. Ana nie wiedziała jeszcze, gdzie znajduje się potrzask, który zaciśnie się jej na szyi, ale czuła już woń zardzewiałego metalu. Zęby były bardzo blisko jej skóry. Czuła, jak się zbliżają.

– Tak. To ja je zleciłam. To ojciec chłopca. Przeżywa traumatyczny rozwód z żoną. I przez kilka godzin przed porwaniem, w jego trakcie i po nie dało się go zlokalizować. Powiedz mi, czy to są dostateczne powody do zatrzymania.

– Tylko że ja kazałem go wypuścić.

Wyglądało na to, że Ruiperezowi przynosi to satysfakcję. Wyraźnie cieszyła go ta chwila. Ana przysięgłaby wręcz, że aż oblizał wargi. Potrzask zaciskał się na szyi nadinspektor Arén.

– Na jakiej podstawie? Nie powiesz mi, że tylko dlatego, że masz innego podejrzanego.

– Dlatego. – Komisarz z lekceważeniem rzucił na stół kilka spiętych arkuszy. – Zeznanie świadka.

Skrzyżował ramiona i odchylił się na krześle, napawając się chwilą.

Pająk schwytał już muchę w swoją sieć, ale przed jej zjedzeniem chce

maksymalnie wydłużyć sobie przyjemność. Przed jej zjedzeniem cieknie mu ślinka na myśl, jak smakuje ofiara, bo chwila poprzedzająca rozkosz – ta, w której odsuwamy to, co ma nadejść – jest wręcz bardziej ekscytująca niż sama rozkosz. Przed zjedzeniem, kiedy mucha już wie, jaki koniec ją czeka, pająk napawa się jej strachem. Sparaliżowana nie tyle jadem, ile świadomością tego, co z nią będzie, mucha poddaje się, soki trawienne, które sączy w nią pająk, osłabiają ją, aż staje się gotowa do spożycia. Gotowa, żeby ją ugryźć. I tego właśnie w napięciu oczekiwała Ana.

– Przeczytaj to uważnie, Ano. Co on mówi? Co zeznaje ten nowy świadek?

– To rowerzysta. Dzień zniknięcia Kike. Zeznaje, że widział zatrzymanego dokładnie o tej porze, kiedy porwano chłopca.

– Co jeszcze? Szczegóły. – Ruipérez zaczynał właśnie przeżuwać swoją ofiarę.

– Świadek zobaczył w wiadomościach człowieka podejrzanego o dokonanie porwania syna. Zeznaje, że chyba widział go gdzieś przedtem. Szuka w pamięci i przypomina sobie. Zapewnia, że nie ma najmniejszych wątpliwości, iż widział Ricarda Jimeneza w środę, w przedziale czasowym między siedemnastą dziesięć a siedemnastą dwadzieścia. Że gdy zobaczył zatrzymanego, o siedemnastej dziesięć, siedział on oparty o drzewo i płakał. Świadek w pierwszej chwili się nie zatrzymał, ale potem przemyślał sprawę i wrócił. Zsiadł z roweru, zapytał, czy coś się stało i czy w czymś może pomóc. Zatrzymany wydawał się zaskoczony jego widokiem. Wyglądało na to, że nie wie, gdzie się znajduje. Świadek ponownie zapytał, czy zatrzymany chce, aby do kogoś zadzwonić. A on odparł niewyraźnie, że nie, żeby pozwolił mu się w spokoju wypłakać. Świadek odjechał, ale wciąż był zaniepokojony i dlatego pół godziny później pojechał sprawdzić, czy podejrzany nadal siedzi pod drzewem.

– Dobrze, Ano – przerwał Ruipérez. – I co nam to mówi?

– Skąd mamy wiedzieć, że to prawda?

– Naturalnie sprawdziliśmy to, Ano. Okazuje się, że istnieją fantastyczne aplikacje na telefon, wiesz? Pozwalają one śledzić twoją aktywność sportową. I zarówno aplikacje, jak i geolokalizacja telefonu rowerzysty sytuują go w podanej przez niego porze we wskazanym przez niego miejscu. A to nas prowadzi do...

– Prowadzi nas do stwierdzenia, że ojciec Kike znajdował się w odległości kilku kilometrów od miejsca porwania syna w chwili, gdy to się stało.

– Prawidłowy wniosek, pani nadinspektor. Sam nie wysnułbym lepszego – zakpił Ruipérez.

– Mówiłam już, że miałam wątpliwości, przesłuchawszy go.

– Wątpliwości niczemu nie służą, pani nadinspektor. Służą fakty, twarde dane, dowody. Tu jest policja, a nie ośrodek terapii eksperymentalnych. Świat układanek dobry jest dla dwuletnich dzieci, ale my jesteśmy już dorośli i bawimy się w zabawy dla dorosłych. Zgoda? – Ruipérez przerwał swoją perorę i nabrał tchu dla zadania ostatecznego pchnięcia.

– Tak poza tym, pani nadinspektor, będzie się pani musiała przejechać do Barcelony.

– Do Barcelony? – Ana nic nie rozumiała. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Do Barcelony – powtórzył komisarz. – Nie pochodzisz aby stamtąd? Tym lepiej. Zobaczmy, do czego ci się przyda ten kataloński, którego się nauczyłaś w dzieciństwie.

– Ale po co do Barcelony? Teraz?

– Teraz, bo umówiłem się z zespołem koordynacyjnym Mossos[6], że wyślę do nich dwóch agentów Służby Pomocy Rodzinie na zebranie dotyczące wspólnych planów operacyjnych w zakresie prześladowania nieletnich. A któż byłby lepszy od ciebie?

– Nie wkurzaj mnie, Davidzie, nie możesz mnie tam teraz wysłać – protestowała Ana podniesionym głosem. – Mamy zaginione dziecko i czas działa na naszą niekorzyść. Przecież trzeba przesłuchać pracownika sklepu z zabawkami.

– Posłuchaj, już ci mówiłem, że od dzisiaj będzie się tu inaczej organizować pracę. Jedziesz do Barcelony bez szemrania i zabierasz ze sobą Noriego. Dzisiaj po południu spotykacie się z chłopakami z Mossos, a jutro rano jesteście tu z powrotem.

Komisarz podniósł się z miejsca, uznawszy rozmowę za zakończoną.

– To kwestia kilku godzin. Nie mówiłaś przypadkiem, że masz znakomity zespół? Więc zostaw na chwilę śledztwo w ich rękach. A poza tym masz fantastyczną komórkę, za którą Hiszpanie płacą ze swoich podatków i która pozwala ci utrzymywać stały kontakt. Nie jest tak? – Nie było szans na dyskusję. – Do zobaczenia, Ano.

Ana wstała powoli, jakby powietrze wokół niej nagle się ochłodziło i nie dało się w nim poruszać. Musiała świadomie i stanowczo nakazać swoim kolanom, żeby ją uniosły, a stopom, żeby podtrzymały. Myśli w jej głowie wirowały z zawrotną prędkością, gdy oceniała, do jakiego stopnia pragnie wyrzucić z siebie słowa gromadzące się na języku, i jak bardzo pragnie wygrać wojnę, a nie tylko tę jedną bitwę.



Jakoś zdołała się podnieść, ale przed wyjściem popatrzyła na nowego komisarza i pomyślała, że jednak musi coś zrobić. Nie mogła odejść pokonana przez nokaut. Byłby to godny pożałowania precedens. Więc sięgnęła po jedyną broń, jaka jej przyszła na myśl, jedyną, jaką w owej chwili dysponowała: zaskoczenie. Powolutku włożyła rękę do torebki – musi tam być, myślała, szperając po omacku, musi tam nadal być – i wyjęła niewielki przedmiot, który mocno ścisnęła w dłoni. Nie przestając patrzeć Ruiperezowi prosto w oczy wzrokiem tak wytężonym, że przyprawiał o lęk, nadinspektor Ana Arén otworzyła szminkę w intensywnie czerwonym kolorze. I powolutku, nieomal rytualnie, zaczęła malować wargi. Najpierw górną. Potem dolną. Do bólu powoli. Zaznaczając mięsiste kontury. Oznaczając terytorium. Nie uda ci się ze mną. To jeszcze nie koniec.

Ruipérez stał jak wryty, ale tylko przez parę sekund. Przeszedł do kontraktaku z jeszcze większą wściekłością.

– Jeszcze jedno! Jutro po przyjeździe, chociaż to niedziela, wyślesz mi raport z zebrania z Mossos. Szczegóły. Zrozumiano? To jest teraz priorytet.

Priorytet? Wyższy priorytet niż odnalezienie porwanego dziecka? Ana wiedziała, że Ruipérez każe jej odplacić za to, co wydarzyło się między nimi kilka lat wcześniej. Nie spocznie, zanim mu się to nie uda. Tym bardziej że teraz może, bo jest jego podwładną. Nie wyobrażała sobie jednak nigdy, że mógłby to zrobić kosztem dochodzenia, w którym ważyły się losy dwóch chłopców. Było jasne, że Ruipérez chce ją odsunąć od śledztwa. Ale czemu?

Nadinspektor Arén podniosła głowę i wyszła z gabinetu wolnym krokiem, łamiąc z trudem lód, który się wokół niej uformował. Żeby się nie odwrócić, żeby nie krzyknąć, wydobyła z głębi mózgu maksymę, którą zawsze powtarzał jej ojciec: córeczko, musisz być inteligentna. Tylko po to jesteśmy istotami ludzkimi. I dlatego jesteśmy istotami ludzkimi. Dlatego że mamy pazury nie u rąk, ale w mózgu. To nas odróżnia od zwierząt. One posługują się brutalną siłą, my – inteligencją. Nasze pazury kryją się w mózgu, Ano. To nasze neurony. Używaj ich. Nie bij się rękami. Wyostrz umysł. To ci pozwoli wygrać wojny, w które się uwikłasz. Albo te, w które zostaniesz uwikłana.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 16.

# INÉS

Kiedy urodził się mój syn, Pablo, moja matka obawiała się, że nie będę dobrą mamą. „Inés, Inés, jak ty sobie poradzisz z tym dzieckiem? – powtarzała. – Jak sobie poradzisz, skoro sama jesteś katastrofą?” Takie słowa wydają się okrutne, ale zważywszy na mój wcześniej okazywany charakterek i na fakt, że ciąża nie była planowana, a ojciec mieszkał w innym kraju, matka martwiła się, że nie będę zajmowała się małym. Nie że pozwolę mu umrzeć z głodu, co to, to nie, ale że nie będę czuła do niego tak olbrzymiej i bezwarunkowej miłości, jaką przypuszczalnie musi odczuwać każda matka dokładnie od chwili, gdy plemnik zapładnia komórkę jajową.

Fantastyczny cud macierzyństwa i te sprawy.

Matka nie myliła się tak do końca. Podczas ciąży nie czułam żadnych wyjątkowych emocji. Nic z tych rzeczy, które nam serwują telewizyjne reklamy obficie okraszone błękitnymi i różowymi serduszkami. Tylko mdłości i zmęczenie, które nie ustawały przez dziewięć miesięcy. Przez wszystkie dni ciąży, o każdej porze czułam, że zbiera mi się na wymioty, a mózg przygniata nieznośne zmęczenie. Miałam nieustanne wrażenie, że jestem inkubatorem, naczyniem, w którym rośnie inne życie, mimo że moje ciało się przeciwko niemu buntuje.

Ale czy to dlatego miałam być złą matką?

Kiedy wzięłam Pabla w ramiona, wybudziwszy się po niespodziewanej cesarce, również nie poczułam tej kosmicznej więzi, opisywanej w stanie ekstazy przez niemal wszystkie matki, chociaż sama zaczynałam już wówczas podejrzewać, że nie każda ją odczuwa. Tylko jak tu publicznie wyznać, że nie doznałaś niczego oprócz bólu i zmęczenia? Było oczywiste, że chciałam tego dziecka. Ale czułam, że muszę się nim opiekować, tak jak opiekowałabym się czymś kruchym i delikatnym, co zostało mi powierzone, z rutynową pieczołowitością. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby rósł silny i zdrowy. Żeby nie marzł zimą. Żeby czuł się kochany. Żeby nie był głodny. Oczywiście, że oddałabym za niego życie, bądź co bądź natura zaprogramowała nas tak,

żebyśmy przedłużały gatunek, a jednym z najsilniejszych instynktów jest ochranianie następnego pokolenia. I to właśnie robiłam.

Rozdzierająca i jedyna w swoim rodzaju miłość, taka, która na zawsze zaszczebia w matce lęk, narastała we mnie przez miesiące. Przyszła, ale może za późno.

W owym czasie Willy, ojciec Pabla, mieszkał w Hiszpanii. On także był dziennikarzem, pracował dla jednej z najbardziej poczytnych amerykańskich gazet. Wysłano go do nas, by przez kilka miesięcy relacjonował czytelnikom, jak sobie radzimy z trudnościami kryzysu gospodarczego. Poznaliśmy się podczas debaty w radiu w pewien sobotni poranek. Ja miałam mówić, w jaki sposób dziennikarze korzystają z portali społecznościowych, a on wychodził właśnie ze spotkania zagranicznych korespondentów i został chwilę dłużej, żeby mnie posłuchać. Potem wyznał mi, że założył się z korespondentem brytyjskiej telewizji, że zabierze na czekoladę z *churros* tę śliczną Hiszpankę. I faktycznie po wyjściu z radia poszliśmy na czekoladę z *churros*. I, prawdę mówiąc, całe szczęście, że się nimi posililiśmy, bo potem aż do poniedziałkowego ranka nie wyszliśmy z łóżka w jego mieszkaniu przy ulicy Pez. A w lodówce Willy miał jedynie butelkę wódki, szynkę w plasterkach i ogórki konserwowe. Zestaw typowy dla turysty samotnika.

Przez pewien czas sądziłam, że jestem w nim zakochana. Choć nigdy nie gustowałam w brunetach, zaczęło mi zależeć na tym olbrzymie z ciałem farmera i umysłem filozofa. Naprawdę wybuchowa kombinacja, której nie sposób było nie ulec.

Nie powiedziałam mu, że jestem w ciąży, póki nie wrócił do Waszyngtonu. Oznajmić coś takiego jest łatwiej z odległości sześciu tysięcy osiemdziesięciu ośmiu przecinek sześćdziesięciu siedmiu kilometrów. Natychmiast ogarnęło go poczucie winy i wyrzuty sumienia. Na ekranie komputera widziałam, niemal czułam, jak drży. „Posłuchaj – powiedziałam przez Skype’a – mówię ci to nie po to, żebyś się poczuwał do odpowiedzialności, nic z tych rzeczy. Nie po to, żebyś mi pomagał i żebyś czuł się winny. Tylko po to, żebyś wiedział, kropka”.

Mój wywód go zmieszał, ale jestem przekonana, że stanowił podstawę naszych późniejszych dobrych relacji.

Willy był przy porodzie, twierdził, że nie mógłby sobie tego darować za nic na świecie. Jego matka także zagroziła, że przyjedzie, ale udało mi się go przekonać, iż nasza historia może się okazać zbyt szokująca dla praktykującej chrześcijanki z południowego Teksasu. Co powie koleżankom z kościoła? Że syn ma dziecko z hiszpańską ateistką, z którą się nie ożenił? Willy’emu udało się

przekonać *mummy*, żeby została w swoim domku z ogródkiem na przedmieściach Austin.

Początkowo Willy, żeby widywać syna, krążył między Hiszpanią a Stanami, aż w końcu udało mu się ponownie przyjechać na kilka miesięcy do Madrytu, tym razem po to, by komentować początki „ruchu oburzonych”[7], oddolnej rewolucji, która objęła także, aczkolwiek na krótko, ulice największych miast amerykańskich. Wynajął niewielkie studio w pohabsburskiej części Madrytu, ale przychodził do mnie codziennie, żeby posiedzieć z synkiem. Był zauroczony Pablem.

Jednak gdy mały skończył dwa lata, Willy’ego definitywnie odwołano do kraju. Hiszpania nie stanowiła już interesującego tematu nawet dla gazety z najbardziej rozbudowanym działem zagranicznym. Nie było sposobu, żeby Willy mógł być bliżej naszego syna. Zaproponował mi wówczas, że weźmie go do siebie na jakiś czas. „Nie chodzi jeszcze do przedszkola, jest malutki – wypalił któregoś dnia przy śniadaniu. – Dobrze mu zrobi, jeśli opanuje drugi język i pozna inną kulturę. Moja matka aż się pali, żeby z nim pobyc. Tylko na kilka letnich miesięcy, a ty będziesz mogła do nas przyjechać, kiedy zechcesz. We wrześniu zabierzesz go z powrotem do Hiszpanii”.

Najpierw się oburzyłam. Obraziłam. Co ty sobie myślisz? Że ja nie kocham własnego dziecka? Że jestem złą matką? Ale potem się zastanowiłam. Willy miał takie samo prawo być z małym jak ja.

Tak więc go zabrał. Na całe lato. Pierwsze dni po wyjeździe Pabla wykorzystałam co do sekundy. Przez dwadzieścia cztery miesiące byłam całkowicie uzależniona od dziecka. Nie wiedziałam, co to znaczy pójść do łazienki i zamknąć drzwi, brać prysznic bez pośpiechu czy położyć się spać ze świadomością, że mogę się wyspać. Zabierałam Pabla wszędzie, poza pracą. Rozkładałam nogi u ginekologa – te koszarne wizyty po porodzie – z dzieckiem ryczącym w wózku. Depilowałam się u kosmetyczki z dzieckiem ryczącym w wózku. Siedziałam u dentysty z dzieckiem ryczącym w wózku. Moje życie przez dwa ostatnie lata kręciło się wokół Pabla. A praca, choćby nie wiem jak ciężka, stanowiła miejsce, gdzie mogłam odpocząć od małego.

Przez pierwsze dni po ich wyjeździe do Stanów wracałam po pracy jak zazwyczaj, tylko po to, żeby stwierdzić, że dom jest potwornie pusty i cichy. Ponad tydzień zajęło mi przyzwyczajenie się ponownie do tego, że mogę swobodnie dysponować swoim czasem, przypominałam sobie, że jestem człowiekiem i że mogę robić, co mi się podoba, choćby zasnąć spokojnie na kanapie w sobotnie popołudnie, przed telewizorem, w którym leci jakiś film.

Błogosławiona sješta.

Zacząłam znowu chodzić do kina. Wychodzić z przyjaciółmi. Pić. Tańczyć. Czytać. Włóczyć się. Leniuchować. Malować paznokcie u stóp. Poczułam znowu, jak to jest nie być matką i móc robić to wszystko, co nie ma większego znaczenia, a za czym tak się tęskni, kiedy macierzyństwo stoi na przeszkodzie.

Czułam się szczęśliwa. Wyzwolona. Wolna.

Nie minęły jednak trzy tygodnie, kiedy zaczęłam straszliwie tęsknić. Któregoś dnia rozpłakałam się w kinie, zupełnie bez sensu, aczkolwiek muszę przyznać, że oglądałam właśnie jakiś melodramat. Innym razem o trzeciej nad ranem w jakimś modnym lokalu wyjęłam komórkę i zaczęłam przeglądać zdjęcia: Pablo kopiący piłkę, Pablo śmiejący się jak szalony, Pablo cały umazany purée.

Kiedy Willy przywiózł go z powrotem pod koniec września, byłam zupełnie wytracona z równowagi. To było straszne lato, najcięższe, jakie przeżyłam. Stracić dziecko to najtrudniejsze, co się może zdarzyć. Kiedy wreszcie na lotnisku chwyciłam syna w objęcia, przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie pozwolę mu wyjechać.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 17.

# ANA

Gdyby ktoś ją zobaczył, pomyślałby, że zwariowała. Ana przemierzała plac Sant Felip Neri z zamkniętymi oczami, wodząc opuszkami palców po ścianach budynków. Szła wolniutko, wyczuwając centymetr po centymetrze blizny po ranach, które pozostały na kamiennych murach. Była noc, ochłodziło się i Barcelona nagle dziwnie opustoszała. Pachniała wilgocią nagromadzoną przez wieki. Z głębi placu ledwie dochodził szmer wody z usytuowanej pośrodku neogotyckiej fontanny. Przypadkowy przechodzień dostrzegał jedynie piękno tego zakątka, do którego dotrzeć można było wyłącznie przez wąskie kręte uliczki. Lecz Anie jej dotykające murów ręce opowiadały inną historię.

Historię śmierci dziesiątek dzieci.

Z największą czułością, jak matka, która po raz pierwszy dotyka nowo narodzonego maleństwa, Ana wodziła palcami po szczelinach w fasadzie kościoła, które znaczyły kamień niczym ślady po ospie na skórze. Były to blizny po bombardowaniu, jakiego dokonało włoskie lotnictwo wspierające generała Franco rankiem 30 stycznia 1938 roku podczas hiszpańskiej wojny domowej. Kiedy zaczął się nalot, dzieci z przedszkola przy placu zostały sprowadzone do piwnicy. Przeżyły pierwsze bombardowanie, ale podczas drugiego zginęły wszystkie. Na placu Sant Felip Neri pozostał jedynie kościół, na zawsze naznaczony bliznami. Zginęły wówczas czterdzieści dwie osoby.

Gdy Ana czuła te kamienie pod opuszkami palców, pod tą najwrażliwszą częścią ciała, przypominała sobie o tym, co w życiu najważniejsze. Życ. Przeżyć.

Ilekróć wracała do Barcelony, powtarzała ten sam rytuał. Przeszedłszy przez plac Sant Felip Neri, mijała tyły katedry, a następnie docierała do ulicy Paradís. Tam upłynęło całe jej dzieciństwo. I tam także skończyła się jej młodość w dniu, gdy znalazła zwłoki ojca rozkładające się w salonie.

Dwa tysiące dwieście lat wcześniej, dokładnie w tym miejscu znajdowało się niewielkie wzniesienie. Dokładnie 16,9 m n.p.m., najwyższy punkt w okolicy. To tu założono pierwszą rzymską osadę, Barcino, z której potem powstała



Barcelona. I na tym honorowym miejscu inżynierowie Cesarstwa Rzymskiego wzniesli świątynię poświęconą pierwszemu cesarzowi, spadkobiercy Juliusza Cezara, Kajusowi Juliuszowi Cezarowi Augustowi, którego panowanie zapisało się jako najdłuższe i najbardziej pokojowe w całej rzymskiej historii.

W miarę jak spadkobiercy Romulusa i Remusa zdobywali wiek po wieku cały rejon Morza Śródziemnego, mieszkańcy Barcino wiedli stosunkowo spokojny żywot. Okolice świątyni Augusta, północno-zachodni kwartał Barcino, przekształciły się w administracyjną część miasta, miejsce, gdzie decydowano o władzy i pieniądzach, jak gdyby kiedykolwiek mogły one nie być ze sobą ściśle związane.

I tam też wiele wieków później, w 1400 roku umiejscowił się Generalitat, kataloński rząd. Jego siedziba mieściła się kilka metrów od pozostałości świątyni, w budynku zakupionym po okazyjnej cenie od Żydów, którzy w panice uciekli z miasta po zamieszkach wśród *poble menut* wywołanych z powodu epidemii dżumy. Zbuntował się gmin wspierany przez marynarzy i rybaków, przy pozwoleniu króla Jana I Myśliwego, lecz na jego zwycięstwie skorzystali, jak zawsze, wyłącznie najzamożniejsi, zagarnawszy niemal za bezcen własność należącą do setek żydowskich rodzin, które wołały wygnanie niż śmierć. Wygnanie niż konwersję.

Mijając plac Sant Jaume, Ana rzuciła okiem na neogotycką fasadę siedziby Generalitat, powstałą w efekcie kolejnych etapów przebudowy budynku, który stopniowo zajmował sąsiadujące z nim parcele i domy mieszkalne. Po drugiej stronie placu, niemal dokładnie naprzeciwko, wznosi się ratusz, w którego wnętrzu znajduje się jedna z najpiękniejszych sal gotyckich europejskiej architektury, tak zwany „Saló de Cent”, Sala Stu, w której od czasów panowania Jakuba I Zdobywcy w XIII wieku zbierało się stu rajców Barcelony na kształt ludowego parlamentu.

Ana umówiła się na wpół do dziesiątej i właśnie się spóźniała. Przyspieszyła kroku. Była już niedaleko. W mrokach dawnej dzielnicy żydowskiej, przy ulicy Sant Domenec, w ciągnącym się w głąb podziemi znajdowała się jej ulubiona restauracja, La Vinateria del Call, miejsce, które nie straciło swego magicznego nastroju, mimo że figurowało w najbardziej prestiżowych przewodnikach turystycznych z całego świata.

Anę przeszył dreszcz, gdy ujrzała go odwróconego tyłem, zajadającego w roztargnieniu przepyszny *pa amb tomaquet*[8], który tam podawano. Nie zdążyła jednak nawet sobie tego uświadomić, bo ktoś złapał ją od tyłu i mocno objął.

– Malutka! – usłyszała głos Miguela, właściciela restauracji. – Dawno cię nie było. Całkiem już uciekłaś do tych Madrytów.

– Tylko ciałem, Miguel, tylko ciałem. Sercem jestem zawsze w Barcelonie.

– Tak tylko mówisz.

– Tęsknię za tą dzielnicą, wiesz? Chociaż więcej tu teraz turystów niż mieszkańców, to nadal jest moja dzielnica.

– Pewnie, a w ogóle twoi koledzy już tu są. Przysiędę się do was, jak tylko wydam ostatnie zamówienia.

Byli rzeczywiście. Przy ulubionym stoliku. Nori i Joan. Rozbawieni. Dobry znak. Anie potrzeba było nieco rozrywki.

– Coś takiego, pani nadinspektor, po cywilnemu jest pani o wiele ładniejsza – zażartował Javier.

– Pan również, panie podinspektorze. Muszę przyznać, że mundur panu nie służy. – Ana nie pozostała mu dłużna. Oboje potrzebowali odreagować napięcie całego dnia. – Mundur nie pozwala zaprezentować tej atletycznej postury. Nawet nowiutkie elastyczne polo, element umundurowania Krajowego Korpusu Policji, nic tu nie pomoże. A w tej koszulce – proszę, jaka klata.

– I właśnie dlatego ja nie zostałem policjantem, nie mógłbym wtedy demonstrować mojej klaty – zaśmiał się Joan. – Jak się masz, Ano? – dodał, całując ją w oba policzki.

– Opowiadałem mu właśnie – wtrącił się Nori – o naszym nowym koledze, jakimś Ruiperezie.

– Skąd mu przyszło do głowy wysyłać was do Barcelony na zebranie koordynacyjne z Mossos, skoro macie tę wyjątkową sprawę w Madrycie?

– Na zebranie, w którym mógł wziąć udział ktokolwiek z mojej jednostki. I wciąż to samo, Joan, przyjechaliśmy do Barcelony i wciąż to samo. Chłopaki z Mossos i z policji nigdy się nie dogadają.

– A jak się posuwa śledztwo?

– Trudny przypadek. Bardzo trudny. Nie mamy nic. Żadnej nitki, której można by się uchwycić. Żadnej wskazówki. Mamy nowego zatrzymanego, ale nie jestem przekonana.

– Znowu masz koszmary?

Nawet na jawie. Anę dręczyły koszmary nawet na jawie. Czasem miała poczucie, że wystarczy wyciągnąć rękę, a złapie Nicolasa i Kike. Stali tam, przed nią, w pełnym świetle dnia, błagając o pomoc. Ale gdy tylko próbowała ich dosięgnąć, rozpadali się na kawałki. Jak zwłoki jej ojca.

– Zniknął gdzieś nawet jej czarny humor, a to zły znak – podsumował Nori,

podając jej kieliszek wina. – Masz, spróbuj. To L’Ermita, zobaczysz, że wyśmienite.

– Za dawne czasy. – Ana uniosła kieliszek.

– Za dawne czasy!

– Słuchajcie, odłóżmy na chwilę naszą sprawę, muszę się z niej wyłączyć – zaproponowała Ana, popijając wino. – A co do znikania, to jak tam z moją pamięcią? Od miesiący cię już nie pytałam, Joan. Mam objawy alzheimera? Nadal nas monitorujesz?

– Tak, mam was wszystkich w oddzielnym pliku – odparł Joan. – Ile to już? Trzy lata? Jak na razie nic alarmującego, co oznacza, że walcicie w klawisze tak jak zawsze. Czyli źle. I że głowy wam działają jak zawsze. Czyli też źle – dodał, puszczając oko.

Wszystko, co wystukiwali na klawiaturach komputerów i telefonów Ana, Inés, Nori i jeszcze paru przyjaciół, trafiało każdej doby na jeden z serwerów Joana w Barcelonie. Tam NeuroQWERTY analizował wzorzec uderzeń każdego z nich, aby na czas wykryć zmiany mogące świadczyć o rozwijaniu się choroby układu nerwowego, jak alzheimer czy parkinson, albo układu kostnego, jak osteoporoza. Każde uderzenie tętna uaktywnia mózdzek, zwoje rdzeniowe, korę mózgową i cały obwodowy układ nerwowy. Kiedy coś zaczyna szwankować, znajduje to odbicie w śladzie na klawiaturze dużo wcześniej, niż uwidoczni się w jakiejś części ciała. Dzięki postępom w genetyce wczesne wykrycie tych chorób, jeszcze zanim dadzą konkretne objawy, oznacza możliwość powstrzymania ich rozwoju na czas.

Ale Joan i Nori posunęli się dalej. Dokonali modyfikacji programu i wprowadzili algorytm pozwalający wykrywać osoby zamierzające dokonać samobójczego zamachu.

– Wyobraź sobie, na ile może się zmienić wzorzec u osoby, która wie, że opasze się pasem z materiałem wybuchowym i wysadzi w powietrze na lotnisku – wyjaśniał Joan Noriemu, kiedy wpadł na ten pomysł. – Zmodyfikowaliśmy algorytm NeuroQWERTY, żeby nas uprzedzał, kiedy któryś z tych typów, jakich mamy pod kontrolą, będzie się przymierzał do samobójczego zamachu.

Potem przyszła prośba od Any, zdesperowanej po zniknięciu Kike. Przed trzema dniami zasugerowała dokonanie adaptacji NeuroQWERTY, żeby dało się wykrywać zmiany stopnia podniecenia u pedofilów. Może w ten sposób uda się znaleźć osobę, która porwała Kike. Czy Nicolasa przed dwoma laty.

– No więc słuchajcie, skoro tutaj nie rozwiążemy przypadku ani nie naprawimy świata, pogadajmy o czymś innym – zaproponował Nori. – Noc już

nie taka długa, a ciało nie takie krzepkie jak wtedy, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat.

– Chyba mówisz o swoim, staruszkę – odparowała Ana.

– Nie marudź, Nori, bo ja spędzam cały dzień przylepiony do czterech ekranów, a nie jak ty, nałogowy pantoflarz. A swoją drogą, jakaś dziewczyna na oku? Albo może ktoś, ktoś ma na oku ciebie?

Ana przysięgłaby, że Nori się zaczerwienił. Trudno było mieć pewność w słabym świetle lokalu. Dostrzegła jednak, że spuścił wzrok. Coś musiało być na rzeczy.

– No, no, panie podinspektorze, kto by pomyślał! Masz narzeczoną? – dopytywał Joan.

– Wiecie co, przez pewien czas myślałam, że ten gość – Ana wskazała na Noriego – i Inés są ze sobą. Joan, nie zauważyłeś nigdy, jak starali się nawzajem omijać wzrokiem? Tamtego lata, kiedy Inés została sama, co, Nori?

– Odbiło ci. – Javier, który zawsze wstydził się rozmawiać o swoich sprawach osobistych, próbował obrócić sprawę w żart. – Tyle razy ci mówiłem, że jak będę miał coś do powiedzenia, to powiem.

– Tak, zupełnie jak ci wszyscy celebryci – roześmiała się Ana. – Udzielisz wywiadu z prawem na wyłączność „Hola” i jeszcze trafisz na okładkę.

– Skoro już plotkujemy, to zgadnijcie, kto poprosił mnie o pomoc.

– Nie mam pojęcia – odparł Nori z ulgą, zadowolony ze zmiany tematu.

– Szef Inés.

Z miny Noriego wynikało, że nie do końca rozumiał.

– Jaki znowu szef Inés?

– Manuel, czy tak? Szef działu krajowego serwisu informacyjnego Kanału Jedenaście – wyjaśniła Ana. – Coś mi Inés wspominała w czwartek, gdy zadzwoniła po informacje w sprawie zaginięcia Kike. Że jej szef prosił o kontakt do ciebie. Ale nie wiedziałam po co – dodała, spoglądając pytająco na Joana.

– No to trzymajcie się mocno.

Wszyscy troje odruchowo nachylili głowy, nie chcąc, by ktoś niepowołany podsłuchał tajemnicę, którą mieli znać tylko oni.

– Znacie go osobiście? Tego szefa Inés?

Ana i Javier skinęli potakująco.

– No to wiecie, jak wygląda. Z twarzy przyglup. Taki, co to nigdy nie rozbił talerza. I nagle ryms! Upuszcza całą stertę. A przynajmniej jest na dobrej drodze. Choćby go to miało słono kosztować. Okazuje się, że facet tkwi po jaja w gównie – Joan urwał, dla podkreślenia wagi informacji. – Wygląda na to, że

jest użytkownikiem strony oferującej usługi seksualne, którą parę dni temu zhakowano.

– O kurwa!

– No to teraz wszystko jasne – stwierdziła Ana. – Posrał się ze strachu, że ktoś wyłapie jego nazwisko i dane na liście użytkowników.

– Gejów – uściślił Joan. – Wygląda na to, że szefa Inés rajcują chłopcy. I to młodzi. Ciekawe, co na to jego żona. Albo kumple z tego ultrareligijnego stowarzyszenia, do którego należy.

– I poprosił cię, żebyś postarał się wymazać wszelkie ślady, jakie zostawił w sieci? – wydedukował Nori.

– Bingo.

– I co ty na to? Wyświadczysz mu tę przysługę?

– Zastanawiam się. Nie wiem, czy na to zasługuje. Pogrzebię trochę w jego twardym dysku. Zrobiłem sobie kopię, tak na wszelki wypadek. Zobaczymy, co ciekawego tam przechowuje. Zauważyłem sporo zaszyfrowanych plików, sprawdzimy, co się tam kryje. No, co się tak na mnie gapicie? Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. Muszę chronić dupę. Swoją i Inés. Nigdy nie wiadomo, jaki potwór kryje się za takim smutasem. Może znajdziemy kolejną niespodziankę.

Rozmowa przedłużyła się do późnej nocy. Wychylając kolejne kieliszki, wspominali dawne czasy, aż zorientowali się, że wszyscy goście już poszli i że zostali w La Vinateria sami. Ana i Javier dotarli do hotelu dobrze po trzeciej nad ranem. Pokój Any znajdował się na pierwszym piętrze i kiedy otworzyła długie, wąskie drzwi balkonowe, mogła dotknąć ręką liści jednego z pięćdziesięciu tysięcy platanów, które dawały cień ulicom Barcelony.

Usłyszała dwa leciutkie uderzenia w drzwi. Zastygła, wstrzymując oddech. Serce niemal uwięzło jej w gardle. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Pani nadinspektor?

– Myślałam, że już nie przyjdiesz.

– Jak mógłbym nie przyjść, Ano? Jak mógłbym nie przyjść?

I objął ją, bo od dawna nie obejmował nikogo. I całował, i trzymał w ramionach, żeby dopiero na końcu, kiedy na powrót zaczął normalnie oddychać, leżąc w łóżku obok niej, zdać sobie sprawę, że zauroczyło go nie tylko ciało tej kobiety, lecz także jej dusza.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 18.

# ANA

– Chcesz wpaść do domu?

Joan spojrzał jej w oczy, gdy przeciągali się oboje na wąskim hotelowym łóżku, w którym spędzili noc. Platan przy ulicy łągodził blask słońca wdzierającego się przez balkon i malował cienie na ich nagich ciałach. Joan chciał właściwie zapytać, czy Ana ośmieli się pójść do domu z nim, ale czasownik „ośmielić się” wydał mu się zbyt obcesowy.

– Do domu? – spytała Ana, jakby przez moment nie rozumiała, o jakim domu on mówi.

Do domu Joana, to jasne. Choć nie był to tylko jego dom. Był również, i w jakiś sposób na zawsze pozostanie, domem jej dzieciństwa, mieszkankiem, z którego co rano wychodziła do szkoły prowadzonej przez zakonnice, miejscem, które opuściła, żeby wstąpić do Akademii Policyjnej w Ávili, czterema ścianami, w które powróciła, by znaleźć w nich zwłoki ojca rozkładające się w salonie.

– Do domu? – powtórzyła.

Do domu, przytaknął Joan, mając w pamięci dzień, kiedy otworzył drzwi i ujrzał na klatce drobną brunetkę wpatrującą się w niego ze smutkiem na twarzy. Stała sztywno za wycieraczką, opuściwszy wzdłuż ciała ręce i równo zestawiwszy stopy, i wydawało się, że ciałem i duszą tkwi zupełnie gdzie indziej. Z Aną niemal zawsze tak było. Należało szanować jej zdystansowanie aż do chwili, gdy sama decydowała, że może się otworzyć.

„Cześć, przepraszam, nie znamy się, jestem Ana”. Kiedy zaczęła mówić, miał wrażenie, że rozpętała się niekontrolowana, niepowstrzymana burza albo że ktoś potrząsnął butelką szampana, a potem ją otworzył. „Mieszkałam tutaj, wiesz? Mieszkałam tu od urodzenia, wszystkie moje wspomnienia, dobre i złe, są tutaj. Pewnego dnia otworzyłam te drzwi, te, o które się opierasz, i zastałam ojca leżącego w salonie, toczzonego przez robaki. I, przepraszam, że ci to wszystko mówię, nie wiem, kim jesteś, przepraszam, że ci to powiedziałam, bo to jest teraz twój dom i właściwie nie mam żadnego prawa, ale tak jakoś wyszło, że

zaczęłam ci to opowiadać. Mam na imię Ana, mówiłam już? Pozwól, że ci wszystko opowiem, bo jak mi nie pozwolisz, to nie dam rady. I tylko mi nie przerywaj, proszę”.

I wyrzuciła z siebie wszystko to, co ją dręczyło od owego sierpniowego popołudnia sprzed wielu lat. Opowiedziała mu, że przez dziesięć lat nie mogła się przemóc, by przekroczyć próg tego domu, w którym umarł jej ojciec. Że przez długi czas nie była w stanie nawet zbliżyć się do swojej dzielnicy. Że dopiero kilka lat temu ośmieliła się przejść ulicą Paradís i minąć dom pod numerem trzecim.

Kiedy wyszła z zakładu pogrzebowego imienia Sancha de Ávila po pogrzebie ojca, nigdy nie wróciła do tego mieszkania. Nie była w stanie. Wynajęła firmę zajmującą się opróżnianiem mieszkań i kazała jej pracownikom wywieźć wszystko. „Gdziekolwiek – powiedziała – do instytucji charytatywnej czy na wysypisko, wszystko mi jedno, nie mogę patrzeć na jego rzeczy, to dla mnie zbyt bolesne”. Zostawiła sobie jedynie złoty medalik. Chciała mieć po ojcu tylko tę jedną pamiątkę, ten cienki złoty łańcuszek z okrągłym medalikiem z Matką Boską z Montserrat, który zawsze widziała u niego na szyi i który znalazła na półeczce w łazience, gdzie Rodolfo go położył, zanim wszedł pod prysznic. Cała reszta jego rzeczy zniknęła. Nie pozostało nic z życia, jakie Ana wiodła z ojcem w tym domu. Zniknął nawet jej własny dom, taki, jaki był. Biuro pośrednictwa odkupiło stare mieszkanie i przeprowadziło w nim generalny remont, żeby zaadaptować je do gustów nowych mieszkańców dzielnicy.

A w owej chwili, dziesięć lat później, sama nie wiedząc dlaczego, Ana znalazła się w tym miejscu i dzwoniła do drzwi rodzinnego domu, nie mając pojęcia, kogo zastanie za progiem. Pragnęła jedynie spojrzeć na mieszkanie po raz ostatni, żeby jej rana wreszcie mogła się zagoić.

Gdy w szybkich słowach opowiadała swoją historię, kilkakrotnie, zawstydzona, chciała przerwać i odejść. Bo co sobie o mnie pomyślisz, mówiła, co to za wariatka. Ale Joan nie pozwolił jej odejść. Przytrzymał ją za rękę. „Nie odchodź, wejdź, proszę. Chcesz wejść? Jestem Joan. Mieszkam tu od trzech miesięcy”. Później wyznał, że zaprosił ją, by nie usłyszeli jej sąsiedzi, bo było mu wstyd, że pod jego drzwiami rozpacza jakaś dziewczyna.

To, czego Joan jeszcze wówczas nie wiedział, to w jakim stopniu ta dziewczyna miała stać się anomalią w jego wymyślonym projekcie na życie.

– Tak, do domu – nalegał, nie ruszając się z hotelowego łóżka. – Masz ochotę wpaść na chwilę? Przecież to tuż obok, a twój pociąg odjeżdża dopiero koło południa. Może zjemy na spokojnie śniadanie?



– A czy ty masz w domu cokolwiek na śniadanie? Coś, co dałoby się zjeść? – roześmiała się Ana, ziewając. Co za rozkosz móc się przeciągnąć bez pośpiechu, pomruczeć, nacieszyć słońcem wpadającym przez okna.

– Nie, ale Pakistańczyk na rogu ma mnóstwo pysznych, przepysznych rzeczy.

„Przepyszne” może nie było właściwym słowem na określenie tego, co zalegało w sklepiku prowadzonym przez pakistańskiego imigranta na rogu Daguería i Hércules. Ana usiłowała rozszyfrować dziwną logikę, wedle której ustawiono tu i uporządkowano wszystkie towary. Co robiły szampony przy pomidorach w puszcze? Czemu magdalenki leżały dokładnie po przeciwnej stronie niż croissanty? Jakie dziwne prawo fizyki pozwalało wyciągać jedną ze stosu puszek z fabadą[9] ułożonych na najwyższej półce, aż po sam sufit, i nie spadały na głowę wszystkie?

Ale za to prezerwatywy leżały w zasięgu ręki, przy samej kasie. Zapewne był to towar najbardziej w sklepiku poszukiwany, zwłaszcza przez turystów, których więcej było w dzielnicy w ostatnich latach niż mieszkańców. Kiedy Joan z Aną podeszli do kasy, by zapłacić za magdalenki, jakaś para trzymająca w rękach różne opakowania, toczyła właśnie ożywioną dyskusję.

– Ale nie bierz *sensitive*, Carlos. Weź lepiej normalne.

– A czemu nie, Yolanda? – protestował mężczyzna, nie zauważając zdumionego spojrzenia właściciela sklepiku. Patrzył na swoich klientów, jakby ujrzał dwie ośmiornice kupujące szybkar.

– Człowieku, no naprawdę, pomyśl chwilę. *Sensitive*. Delikatny. Delikatność.

– No to chyba przecież tym lepiej. Są droższe, ale nie będziemy na tym oszczędzać – upierał się mężczyzna, podczas gdy jego małżonka stuknęła w pudełeczko z prezerwatywami niczym nauczycielka wskazująca linijką właściwe rozwiązanie na szkolnej tablicy.

– A co pan o tym sądzi, młody człowieku? – zwróciła się do Pakistańczyka.

– Sześć euro trzydzieści pięć centów – odparł.

Albo udawał głupiego, albo nic nie rozumiał ze sceny, rozgrywającej się przed jego oczami. Starsze wiekiem małżeństwo dyskutuje nad rodzajem prezerwatyw, które zamierza kupić.

– A państwo co sądzą? – zwróciła się kobieta do Any i Joana. – *Sensitive* czy normalne?

– Yolanda, na litość boską – przyszedł im z odsieczą zawstydzony małżonek. – Zostaw te dzieciaki w spokoju.

Dzieciaki jak dzieciaki. Wobec kogoś dobrze po trzydziestce nie było to najbardziej adekwatne określenie. Obydwoje się uśmiechnęli.

– Nie zwracajcie państwo uwagi na mojego męża. Powiem wam, w czym rzecz. Otóż nasz syn ma narzeczoną. I to naprawdę ładniutką. I podejrzewamy, że oni już to robią. Że już zaczęli. Wiecie, o co mi chodzi? A temu dupkowi – kobieta postukała palcem w pierś małżonka, tak samo jak wcześniej stukała w paczkę prezerwatyw – oczywiście głupio jest rozmawiać z czternastolatkiem o seksie, wpadliśmy więc na pomysł, żeby mu kupić paczkę prezerwatyw i zostawić ją na nocnym stoliku. Tak po prostu, jakby spadła z nieba. Lepiej zapobiegać, żeby potem nie było. Nie sądzicie? Bo przecież jak ma się kontrolować biedny czternastolatek? Skończy się cała zabawa, jeszcze zanim na dobre się zacznie. A narzeczoną pozegluje w siną dal. Nie mam racji? Tak, Carlos, nie patrz tak na mnie, wy sobie nawet nie zdajecie sprawy, ale ja wiem, co mówię, początkujący nastolatek to najgorszy kochanek na świecie. Tak więc – kobieta ponownie zwróciła się do Any i Joana – chyba się państwo ze mną zgodzą, że absolutnie nie żadne *sensitive*. Nie chodzi o delikatność. Im więcej warstw, tym lepiej. Mam rację?

Kiedy Joan i Ana dotarli do domu, jeszcze się śmiali z tej historii. Mimo że minęło tyle lat, Ana wciąż nie umiała opanować trwogi, jaka ogarniała ją za każdym razem, gdy stawała przed tymi drzwiami. Wracała wciąż do tamtej chwili, gdy piętnaście lat wcześniej przekręciła klucz w zamku i już w przedpokoju natknęła się na płyny ustrojowe sączące się ze zwłok jej ojca. Żeby nie pogрузić się ponownie we własnych myślach, Ana ujęła Joana za rękę i weszła do jego mieszkania, tak różnego od tego, które należało do niej. Podczas remontu usunięto ścianki działowe i powiększono przestrzeń. Naturalne światło docierało wszędzie. Przedpokoju już nie było, korytarz połączono z kuchnią, a salon zmienił się w duży aneks przylegający do dużej sypialni.

Wkrótce dom wypełnił zapach kawy. Joan bronił się przed nowoczesnymi ekspresami Nespresso i wciąż używał starej włoskiej kafetery ze swoich studenckich czasów. Ana nie pijała kawy, więc było jej wszystko jedno. Zajadali właśnie ostatnie magdalenki, które smakowały jak zrobione z gumy, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Spojrzeli na siebie wymownie, domyślając się, kto to może być.

– Ojej, czyżby tu była Ana? – usłyszała Ana, gdy Joan otworzył drzwi. – Naprawdę? Słyszałam was przed chwilą. Nie chcę przeszkadzać, bo idę na cmentarz zanieść kwiatki Genarowi, dziś mija pięć lat, jak biedak umarł. Ale zanim pójdę, chciałam ucałować moją małą księżniczkę.

– Kto tu jest dla ciebie małą księżniczką, co? – spytała Ana, obejmując dawną sąsiadkę. – Czy ja wyglądam na małą księżniczkę?

– Wyglądasz, na kogoś, kto wie, kim chce być.

– A jak ty się miewasz, Lauro? Jak sobie radzisz?

– Dobrze. Nie brak mi rozrywek. Słuchaj, Joan, niezła ta czwarta część *House of Cards*. Ta parka jest gorsza niż zaraza.

– I po co ty polecasz Laurze takie seriale? – roześmiała się Ana, spoglądając na Joana. – Jeszcze kiedyś zemdleje.

– Ona? Ona jest twardsza niż ty i ja razem wzięci. Spójrz tylko na nią, zdąży nas wszystkich pochować.

– Niech Bóg broni, dzieci. Niech Bóg broni. Wiecie przecież, że sama, tak na wszelki wypadek, wpłacam jedno euro miesięcznie tym z zakładu pogrzebowego „Nadzieja”, żeby mnie pochowali obok Genara, z widokiem na morze. Posłuchaj, Ano, wejdiesz do mnie na chwilę? – spytała, ujmując Anę za ramiona. – Któregoś dnia, robiąc porządki, znalazłam twoje stare zdjęcie z ojcem i chcę ci je podarować.

Ana z ojcem na ulicy, przed wejściem do domu. Ona – musiała chyba mieć wówczas osiem albo dziewięć lat – z trudem dzierżyła w ręku gigantyczną suchą gałąź palmy. Było to w Niedzielę Palmową, w jeden z niewielu dni w roku, kiedy ojciec i córka chodzili do kościoła. Oboje odświętnie ubrani. Ona w wykrochmalonej białej sukience przepasanej różową szarfą, z identycznymi wstążkami zawiązanymi tak ciasno w kucykach nad uszami, że aż bolało. Ale to jej nie przeszkadzało. On w białej koszuli i granatowym garniturze, miejscami prześwitującym od częstego prania, tak już wytartym, że materiał chyba cudem nie rozdarł się po drodze. Żadne z nich się nie uśmiechało. Miały minąć lata, zanim Ana i Rodolfo pojawią się uśmiechnięci na jakichś zdjęciach. W owym czasie jeszcze nie.

– Ale pięknie wyglądaliście oboje!

Laura powoli pogłaskała Anę po plecach, z tą samą czułością, z jaką wykonywała ten gest tyle razy wcześniej, gdy ta była mała. „Lauro, proszę, podrap mnie trochę po pleckach”, prosiła Ana, kładąc jej głowę na kolanach. I Laura głaskała czule plecy dziewczynki, okrągłymi, nakładającymi się na siebie ruchami. Był to ich własny rytuał, coś w rodzaju fizycznej i duchowej więzi między pozbawioną matki sierotą a bezdzietną kobietą z mieszkania naprzeciwko.

– Jaki przystojny był mój ojciec, Lauro! Jakże ja za nim tęsknię!

– Wyjątkowo przystojny! Masz urodę po nim. Byłby z ciebie dumny. Pani nadinspektor i prawie już komisarz. Najmądrzejsza w całej policji.

– No przecież sama wiesz, że jak się nie ma męża i dzieci, to tylko pomaga –

odparła Ana z pewną rezygnacją. – Mogę poświęcić karierze cały swój czas.

– Jak ty to znosisz, Ano? Joan mi mówił, że prowadzisz sprawę tego zaginionego dziecka.

– No, źle, nie będę cię oszukiwać. W ogóle nie mamy tropów. A mój nowy szef wysłał mnie do Barcelony na bezsensowne zebranie właśnie wtedy, kiedy miałam przesłuchać jedyne podejrzanego.

– Nie możesz się nakręcać, jak w przypadku Nicolasa.

– Ale czasami myślę, że już dłużej nie mogę, Lauro. – Ana westchnęła ciężko, głęboko i powoli, jakby chciała powstrzymać czas. Albo wspomnienia. Albo ciężar życia. – Czasem myślę, że pęknę. I mam ochotę rzucić służbę.

– Nie gadaj głupot, dziecko – zaprotestowała Laura, przybierając pouczający ton, jak w czasach, kiedy starała się zastąpić małej matkę. – Odejdiesz z policji, kiedy tobie samej przyjdzie na to ochota, a nie wtedy, kiedy ktoś ci każe. Posłuchaj, powiem ci coś, czego nigdy nie mówiłam. Spójrz mi w oczy, popatrz na tę starszą panią, która już niewiele życia ma przed sobą. Masz w sobie siły i odwagę, na które mnie nigdy w życiu nie było stać. Dopiero teraz, dopiero teraz zaczęłam żyć. Dopiero na starość i jako wdowa zdałam sobie sprawę, że wreszcie mogę robić, co mi się podoba, i to wtedy, kiedy ciało i głowa (a to największa szkoda!) nie wytrzymują już obciążenia. Wiesz o tym, bo znałaś Genara. Nie dał mi niczego. Nawet dzieci. Pewnie, że też niczego mi nie zabrał i nie bił mnie, a tego nie może o swoim mężu powiedzieć każda kobieta z mojego pokolenia. Teraz spoglądam w przeszłość i myślę sobie: jaka szkoda! Szkoda straconych lat, szkoda głowy, szkoda ciała. Ale ty jesteś inna. Jesteś silna i mądra. Możesz sobie pozwolić na wiele, kochana. Musisz się tylko odważyć. Nie bądź swoim największym wrogiem, nie chowaj się. Jesteś więcej warta niż oni wszyscy razem wzięci. I pamiętaj, że poza wszystkim, nikomu nie musisz nic wyjaśniać. Starczy już tych ciągłych usprawiedliwień. Czy twoi koledzy też się usprawiedliwiają? Niech cię ocenia, kto chce i jak chce. Ciebie ma to nie obchodzić.

Kilka godzin później, już w AVE[10], Ana wracała myślami do tej rozmowy i do nocy spędzonej z Joaniem. Słuchawki podłączone do komórki sączyły jej w korę mózgową rozdzierającą interpretację *L'Hymne a l'amour* w wykonaniu Sílvii Pérez Cruz. Oparła głowę o szybę, zamknęła oczy i chłonęła ciepło słońca, czuła wręcz, jak cząsteczki wodoru zmieniają się uroczyście w hel, żeby pokonawszy sto czterdzieści dziewięć milionów kilometrów z prędkością światła, w osiem minut i dziewiętnaście sekund później, przeniknąć przez okienko w pędzącym pociągu i musnąć jej skórę. W wagonie panowała

niezwykła cisza i ciało Any kołysało się w nierównym rytmie składu poruszającego się z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Gdyby życie było doskonałe, to ten właśnie moment wybrałaby, żeby go uwiecznić.

Ale życie nie było doskonałe.

I miał jej to za chwilę oznajmić dzwonek telefonu.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

# 19.

## INÉS

Obiecałam Pablowi, że pójdziemy do centrum handlowego na karuzelę. Uwielbiał kręcić się i kręcić w kółko na niebieskim koniku zaprojektowanym chyba przez kogoś, kto w życiu nie widział konia. Można się było jedynie domyślać konia w tych kształtach. Mój syn nigdy nie miał dość, ale ja się denerwowałam na samą myśl o karuzeli i nudziłam się przy niej jak fan rocka na koncercie muzyki pop, chociaż znosiłam to z rezygnacją, jaka przychodzi wraz z macierzyństwem. Gorzej było w parku. Nienawidziłam parku najbardziej ze wszystkich rzeczy, jakie macierzyństwo ze sobą niesie.

Pablo był w złym humorze. Tego ranka mieliśmy w domu sprzeczkę, bo porozrzucił po podłodze wszystkie zabawki. Wszystkie. Ze złości. Z taką złością i siłą, z jaką dzieci rzucają rzeczami, kiedy chcą pokazać, że są inne od nas i same mogą działać i o wszystkim decydować. Na koniec mój syn zepsuł małego robota, którego dostał od Mikołaja. Zagroziłam wówczas, że wyrzucę do śmieci jego przytulankę.

– Krowa idzie do śmietnika – oznajmiłam. – Wyrzucam ją do kosza, bo byłeś bardzo niegrzeczny. Spójrz tylko, jaka mama jest smutna, dlatego że byłeś niegrzeczny. Do śmieci.

Kiedy wychodziliśmy z domu, Pablo łykał jeszcze łyżki i gile, więc starałam się go rozbawić, żeby już więcej nie myślał ani o swojej złości, ani o krowie. Jako że dzień był piękny, poszliśmy do centrum handlowego piechotą. To tylko dziesięć minut od nas. Po drodze jednak zboczyliśmy, żeby przejść przez opuszczony zamek. Pablo uwielbiał wyobrazić sobie, że w tym na wpół zrujnowanym domu w środku sosnowego lasu znajduje się siedziba pogromcy smoków, który na noc przykuwa je łańcuchami w piwnicach, żeby nie mogły wyjść. „Jak będziesz cicho, mamó – mówił – jak będziesz cicho, to może usłyszysz, jak ryczą. Wyobrażasz sobie, że przez okno ulatuje ogień?”

Kiedy dotarliśmy do centrum handlowego – tego samego, z którego zniknął Kike zaledwie cztery dni wcześniej – było już w nim tłoczno. Zdziwiłam się, że nie powtarza się fenomen Slendermana sprzed dwóch lat, kiedy to po porwaniu

Nicolasa w całym kraju wybuchła panika. Ludzie dosłownie pozamykali się w domach ze strachu, że ich dzieci też poginą.

Wrzuciłam zdjęcie na Twittera. „Wszędzie spokój, zniknięcie Kike najwyraźniej nie zakłóciło życia Hiszpanów”, napisałam. Czy to właśnie przyciągnęło uwagę porywacza? – setki razy pytałam samą siebie w następnych dniach, przekonana o własnej winie. Czy to ten tweet przyciągnął Slendermana do centrum handlowego i sprawił, że porwał kolejne dziecko?

Poszliśmy na karuzelę. I na koniki. Weszliśmy do sklepu ze słodyczami po chmurki i coca-colowe buteleczki. Pablo je uwielbiał. Przy okazji przeszliśmy obok sklepu z zabawkami, sprzed którego zniknął Kike. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że zatrzymano jego byłego pracownika, który był notowany. Przysiedliśmy na chwilę przed teatrzykiem kukiełkowym ustawionym w jednej z alejek.

W centrum było mnóstwo rodzin, spędzających tam niedzielę, i spotkaliśmy kolegów Pabla z przedszkola. Iziar z mamą przyszli kupić buciki. „Ależ szybko je niszczy, wystarczają ledwie na dwa dni! Twój syn też?” Była Eli z dwiema córkami, z którymi spotykaliśmy się wielokrotnie w parku; umówiły się na obiad z przyjaciółmi. Potem spotkaliśmy jeszcze Thiago, kolegę Pabla z grupy, który odbijał piłkę, trzymając matkę za rękę. Po drugiej, kiedy wsiedliśmy już na wszystkie koniki, we wszystkie rakiety i weszliśmy na wszystkie drabiny, zapytałam Pabla, czy chce coś zjeść. „Kraboburdera”, brzmiała odpowiedź. A ja, po raz kolejny, musiałam udawać, że najzwyklejszy hamburger z fast foodu został naprawdę przygotowany przez SpongeBoba Kanciastoportego, i to z mięsa kraba.

Próbowaliście kiedyś przeciskać się z torebką, dwiema kurtkami i dwiema tacami z jedzeniem przez zatłoczony bar? Przydałaby się para dodatkowych rąk, żeby to wszystko zanieść. Najczęściej jedna z niesionych rzeczy upada ci na podłogę i masz szczęście, jak zdołasz dotrzeć do stolika, nie poplamiwszy kurtki keczupem albo olejem z frytek.

Kiedy wreszcie udało mi się postawić tace na wolnym stoliku i powiesić kurtki i torebkę obok siebie, rozejrzałam się za Pablem, żeby kazać mu wreszcie usiąść, bo jedzenie wystygnie, ale on został przy kasie. Trochę zła wstałam, żeby go poszukać, nie robiąc przy tym sceny. Trudno jest być matką w czasach, gdy rozwój technologii pozwala każdemu na pstryknięcie ci zdjęcia albo nakręcenie filmiku i wrzucenie tego potem na jakiś portal społecznościowy. Popatrzcie tylko, co też wyrabia jakaś aktorka czy prezenterka. Nigdzie już nie ma prywatności. Trudno w takich warunkach wychowywać dziecko.



Wzięłam torebkę, pozostawiwszy nasze rzeczy na stoliku, w nadziei, że będą tam nadal, gdy wrócimy. „Przepraszam, mogą państwo rzucić okiem? Bardzo proszę” – zwróciłam się do rodziny siedzącej przy stoliku z tyłu. Przedarłam się do kasy, nabrałam powietrza i policzyłam do dziesięciu, starając się robić dobrą minę wobec tłumu ludzi. Myślałam jedynie o tym, jak chwycić syna za sweter i zaciągnąć go do stolika, czy będzie tego chciał, czy nie, nie wywołując zbytniego skandalu. Macierzyństwo wzbudza czasami odrazę. Zwłaszcza w miejscach publicznych.

Ale Pabla nie było. W tłumie ludzi trudno mi było go wypatrzeć, a potem i nabrać pewności, że go nigdzie nie ma. Zawróciłam w kierunku stolika, myśląc, że może poszedł za mną i gdzieś przystanął. Pablo zawsze zatrzymuje się w różnych miejscach, nagle się na coś zagapia i wymazuje całą resztę świata z pola widzenia. Świat przestaje dla niego istnieć. Ale nigdzie go nie znalazłam. Widzieli państwo może czteroletniego chłopczyka? Jest mniej więcej tego wzrostu, ciemnowłosa, ma białą koszulkę w niebieskie paski, jeansy i czarne sportowe buciki. Przed chwilą jeszcze tu był. Po każdej przeczącej odpowiedzi ogarniała mnie coraz większa trwoga. Wybiegłam z baru, przepychając się między ludźmi, odsuwając ich z drogi. Usiłując wypatrzeć Pabla, na niczym nie mogłam skupić wzroku. Czułam ucisk w skroniach i bałam się, że zaraz pęknie mi głowa.

Ale Pabla nie było. Nie było go nigdzie.

Poczułam, że powietrze drży, że dochodzi do jakichś zakłóceń w otaczającej mnie czasoprzestrzeni, jakbym zabłąkała się gdzieś na środku zamarzniętego stawu i końcówkami nerwów wyczuwała z daleka, że lód się kruszy. Szczelina jest coraz bliżej mnie. Coś łamie się pod moimi stopami. To cały mój świat się wali. I w ułamku sekundy drzenie zmienia się w falę paniki, która ogarnia całe moje ciało. Unicestwia je. Niweczy.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że krzyczę.

Odkryłam, że brak mi łez, że nie drzę, że nie rozumiem. Nic. Mogłam tylko otworzyć usta i krzyczeć. Reszta mojego ciała była sparaliżowana paniką. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, strach wypełnił całe moje wnętrze. Nie miałam serca, żołądka, krwi. Tylko najgłębszy, najczarniejszy ze wszystkich strachów.

Cierpienie napływało falami. Każda następna była silniejsza od poprzedniej.

W pewnej chwili miałam wrażenie, że tracę przytomność. I życzyłam sobie tego. Zacisnęłam mocno zęby, pragnąc zemdleć i zniknąć stamtąd, choćby na kilka sekund.

Zniknąć ze świata, w którym Pabla nie było przy mnie.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 20.

# ANA

Wyskoczyć z jadącego pociągu, który pędzi po torach z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę, to nie jest najlepszy pomysł. Mimo to Ana go rozważała. Przebiegło jej też przez myśl, żeby rozbić któreś z okien bezpieczeństwa. Przez długą chwilę skupiała swój gniew na jednym z tych czerwonych młoteczków, nad którymi znajduje się napis „Rozbić tylko w razie niebezpieczeństwa”, jakby szkło mogło pęknąć od samego patrzenia. Jakby dało się stamtąd wyjść. Albo, gdyby nawet wyjść mogła, jakby istniał jakiś szybszy sposób dostania się tam, gdzie zmierzała. Taki już jest ludzki umysł. W sytuacji stresowej chce się na coś przydać. Rwie się do działania i chce również, by ciało nie pozostawało bierne. Albo przynajmniej sprawiało takie wrażenie. Choćby to był absurd. Choćby to było głupie.

Wszystko, byle tylko nie siedzieć beczynnienie. Chciała krzyczeć, zniszczyć coś albo rozbić czaszkę o ściany. Była uwięziona w tym przeklętym pociągu i nie mogła nic zrobić. Nic poza czekaniem na koniec podróży. I nie mogła tego znieść. Wydawało jej się, że skóra nie powstrzyma mięśni, a żyły krwi, że w każdej chwili cała może wybuchnąć. Czuła, że wewnątrz niej narasta źródło energii niemożliwej do kontrolowania. Niczym gwiazda o krok od przemiany w supernową, absorbująca wszystko, co znajduje się o całe lata świetlne od niej.

Kiedy zadzwonił Nori, Ana gotowa była nie odbierać telefonu. Nie chciała rozmawiać, pragnęła jedynie wykorzystać tę chwilę relaksu, oparta o ciepłą szybę okna pociągu w niedzielne przedpołudnie. Oddzwonię do niego, jak dojadę do Atocha[11], pomyślała. Ale przy siódmym sygnale poczuła wyrzuty sumienia. Może to coś pilnego? Ana żyła w ciągłym strachu, że telefon, którego nie odbierze, będzie dotyczył czegoś ważnego. Dlatego odbierała albo oddzwaniała nawet na nieznanne numery. Potem zawsze, nieuchronnie czuła rozczarowanie. Nigdy nie było warto się poświęcać, nigdy nie chodziło o coś naprawdę istotnego.

Lecz tym razem okazało się, że jednak tak.

Ana sądziła, że Javier dzwoni, by przekazać jej szczegóły przesłuchania

zatrzymanego w piątek byłego pracownika sklepu z zabawkami, tego, który okazał się notowany za nękanie dzieci. Ona sama zaczęła go przesłuchiwać w sobotę rano, w sumie dobę wcześniej, uświadomiła sobie. Czy minęła zaledwie doba? Miała pecha, że w tym samym czasie nowy szef zapragnął oznaczyć swoje terytorium. Ale że nie był psem – psy mają o wiele więcej ludzkich cech niż David Ruipérez – i nie mógł obsiusiać kątów – choć Ana była przekonana, że gdyby to było niezbędne i miało służyć jego interesom, to komisarz Ruipérez obsikałby kolejno wszystkie stoły, oznaczając swoje włości – wysłał ją do Barcelony na absurdalne zebranie koordynacyjne formacji policji. W ten sposób przez całą dobę trzymał ją z dala od sprawy. Od jej sprawy. A w przypadku porwanego dziecka czas działa na niekorzyść.

Nori wyjechał wcześniejszym AVE, w niedzielę z samego rana, i od kilku godzin był już w Madrycie. „Jak dotrę do domu, podłączę się od razu do komputera jednostki, żeby sprawdzić, czy doszło do przesłuchania sprzedawcy” – obiecał w nocy, gdy wracali do hotelu po kolacji w La Vinateria. „Podłączę się i powiem ci, czy warto, byś wpadała do jednostki, czy lepiej, żebyś od razu pojechała do domu odpocząć przed poniedziałkiem. Chrzanić raport, który ci kazał sporządzić komisarz. Niech się wypcha”.

Jednakże z tonu głosu Noriego, mimo że zasięg to zanikał, to wracał, wywnioskowała, że coś jest nie tak. Sposób, w jaki wymówił jej imię, gdy odebrała telefon, zmroził ją. To „Ana?”, wymówione z roztrzęsionym znakiem zapytania, zwiastowało złe wieści. Bardzo złe wieści, tego była pewna. Ale nie wyobrażała sobie jeszcze, do jakiego stopnia okażą się druzgocące.

– Ana? – usłyszała. – Ana? Jesteś jeszcze w AVE? Muszę ci coś powiedzieć.

Głos mu drżał. Nie za bardzo, w końcu Nori był policjantem i umiał się opanować. Ale Ana wyczuła nieznaczną, dziwną wibrację jego strun głosowych i przysięgłaby, że mogła też usłyszeć, jak wstrzymuje w płucach oddech, żeby tylko nie musieć mówić tego, co właśnie miał jej powiedzieć.

– Javi, co się dzieje? Powiedz mi natychmiast, co się dzieje – zażądała.

Ogarnął ją niepokój. On się wahał. Dało się to wyczuć w jego milczeniu, jak gdyby wątpliwości wypełniające mu głowę mogły się przemieszczać po łączach telefonicznych między ich dwiema komórkami.

– Nie chcę ci tego mówić przez telefon – odparł – ale nie chcę też, żebyś się dowiedziała z portali, z WhatsAppa albo od kogoś przypadkowego.

– Co się do jasnej cholery dzieje, Javi? Co się dzieje?

Ana wstała z miejsca i ruszyła na koniec wagonu, gdzie panował taki hałas, że nikt nie mógł jej podsłuchać. Prawdę mówiąc, z trudem słyszała nawet

własny głos. Hałas na zewnątrz i wewnątrz jej głowy był tak przenikliwy, że nie była w stanie ogarnąć nawet własnych myśli.

– Ana, obiecaj mi, że nie zrobisz nic szalonego – domagał się Javier. – Że nie popełnisz żadnego szaleństwa.

Milczenie stawało się nie do zniesienia. On nie chciał mówić. A Ana wiedziała, że nie chce usłyszeć tego, co jej podwładny ma do zakomunikowania. Lecz wreszcie, po wyczerpującej ciszy, Nori nie wytrzymał.

– Ano, posłuchaj. Ano, zniknął syn Inés. Zniknął w tym samym centrum handlowym, w którym ulotnił się Kike. Inés jest w szpitalu, straciła przytomność. – Cisza. – Ano! Ano! Ano!!! Odpowiedz, do cholery, odpowiedz! – krzyczał do telefonu.

Ale w odpowiedzi słyszał tylko stukot pociągu. Sześćdziesiąt cztery koła z hartowanej stali pędzące po torach trzysta kilometrów na godzinę. Osiem wagonów chwiejących się tak, jakby miały wypaść z osi. Aerodynamiczne zawrodozenie atomów wodoru i tlenu w powietrzu opierającym się pędowi pociągu.

I jęk Any.

Usiadła na podłodze w przejściu, z głową między kolanami, skulona w kłębek.

Nie była w stanie nic odpowiedzieć. Brakowało jej tchu. Tlen nie docierał do jej mózgu.

Cały trening policyjny, wszystkie skomplikowane przypadki, jakie prowadziła, całe zło, z jakim się zetknęła twarzą w twarz, dziesiątki razy, gdy musiała informować o czyjejś śmierci – nic nie przygotowało jej na coś podobnego. Nikt, nawet najlepszy policjant nie mógł być przygotowany na coś takiego. Tak jak onkologa nic nie może przygotować na to, że pewnego dnia ktoś zdiagnozuje raka w terminalnym stadium w jego własnym ciele.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 21.

# ANA

Nori chciał jej to powiedzieć osobiście. Wolał wyjść po nią na dworzec i przekazać jej złe wieści, będąc przy niej, mogąc obserwować jej reakcje i uspokoić ją, gdy będzie trzeba. Nie chciał mówić tego przez telefon, zwłaszcza gdy siedziała zamknięta w pociągu. Zniknął syn naszej koleżanki i możliwe, że porwał go ten sam człowiek, co dwa lata temu uprowadził Nicolasa, a przed czterema dniami Kike. Jak coś takiego powiedzieć przez telefon? Jak przekazać taką wiadomość komuś, kto nie może opuścić miejsca, w którym się znajduje, niczym wściekły pies w klatce?

Ale od zniknięcia Pabla minęło już kilka godzin i portale społecznościowe szybko miały się rozgrzać od tej informacji. Inés była dziennikarką dostatecznie dobrze znaną w Hiszpanii. Co więcej, to ona relacjonowała sprawę Slendermana dla stacji telewizyjnej. Kara za dwukrotne wejście do gry.

Dziennikarka ofiarą własnych informacji. Seria nagłówków i komentarzy.

A na dodatek w chwili porwania wokół były dziesiątki ludzi. A raczej w chwili, gdy Inés zaczęła krzyczeć, krzyczeć i krzyczeć, aż do utraty przytomności. To cud, że w sieci jeszcze nie krąży nagranie. To cud, że filmik nie pojawił się jeszcze na YouTubie. Z pewnością o tej porze ktoś już negocjuje kwotę za wykonane telefonem komórkowym nagrania, jak Inés mdleje.

Gdy tylko sprawa dotrze do mediów, rozpęta się piekło. A brakuje już niewiele. Dlatego też Nori uznał, że jednak lepiej uprzedzić Anę, nawet przez telefon, nawet zamkniętą w pociągu pędzącym do Madrytu. Tak będzie lepiej. Lepszy strach niż śmierć.

W jednostce cofnięto wszystkie urlopy, dni wolne i zwolnienia. Trzech czteroletnich chłopców, fizycznie bardzo do siebie podobnych, porwanych w tym samym centrum handlowym to wiadomość, jakiej kraj może nie przetrzymać, która przerazi polityków, bo łatwo może się obrócić przeciwko nim. Dlatego władze państwowe poleciły władzom w policji, by nadały sprawie najwyższy priorytet. „Nie ma ograniczeń w środkach”, oznajmił minister dyrektorowi generalnemu policji. „Czego wam potrzeba? Ludzi, godzin,



pieniędzy? Obecny priorytet to odnalezienie tych dzieci”.

Większa część zespołu jednostki policji kryminalnej Madrytu porzuciła pozostałe sprawy i skupiła się na przypadku zniknięcia Nicolasa, Kike i Pabla. Z centrali w Canillas oddelegowano do współpracy przy śledztwie część grupy wyspecjalizowanej w porwaniach i wymuszeniach.

– Gdzie się podziewa nadinspektor Arén? – W budynku rozległ się wrzask nowego komisarza. – Gdzie, do jasnej cholery, podziewa się nadinspektor odpowiadająca za sprawę, która stanowi obecnie priorytet dla Krajowego Korpusu Policji?

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery sekundy. Cisza. Palce przestały uderzać w klawiaturę, usta zamilkły, płuca u niektórych przestały oddychać. Wszystko, co mogło hałasować albo zwracać uwagę, zastygło w jednej sekundzie. Powietrze można było kroić nożem.

– Czy nikt mnie nie słyszał? Gdzie-do-jas-nej-cho-le-ry-jest-nad-ins-pek-tor-A-rén?

Twarz Ruipereza przybierała czerwony kolor. Adrenalina sprawiała, że przyspieszał mu puls i naczynia krwionośne w twarzy napełniały się krwią, przez co przypominał święteczną bombkę pomalowaną intensywnym szkarłatem. Na szyi uwidoczniła się pulsująca żyła, grożąc, że w każdej chwili może pęknąć.

Charo już miała wstać z krzesła, ale podinspektor Nori ją powstrzymał. Nie ty, nakazał jej wzrokiem, nie ty. Zostaw to mnie. Niech bije się ze mną, jestem nad tobą w hierarchii. Charo w milczeniu skinęła głową.

– Szefie – zaczął podinspektor, unosząc się z krzesła – nadinspektor Arén dojeżdża AVE do Madrytu. Wczoraj w Barcelonie uczestniczyła w zebraniu koordynacyjnym z Mossos. Sam pan ją tam wysłał. Pamięta pan?

Nori świadomie pominął własny udział w tymże zebraniu. Wstał. Znajdował się w odległości kilku metrów od komisarza i mógł wyczuć jego wzburzenie. Pot osoby obrażonej jest kwaśny i intensywny. Ostrzega przed niebezpieczeństwem, żeby ofiara zdążyła uciec. Ale podinspektor nie uciekał. Stał nadal w tym samym miejscu, czekając. Dwaj mężczyźni bez słowa mierzyli się wzrokiem przez cztery trwające wieki sekundy.

– Jest piętnasta trzydzieści w niedzielę. Zebranie skończyło się wczoraj, w sobotę, o dwudziestą. To jest – Ruipérez urwał, żeby policzyć w myślach – dziewiętnaście i pół godziny temu. Chce mi pan powiedzieć, że nie miała dość czasu na powrót do Madrytu?

Komisarz przemawiał kąśliwym i pogardliwym tonem typowym dla osób,

którym jest obojętne, czy racja jest po ich stronie, czy nie, bo i tak wiedzą, że mają w zanadrzu coś więcej: władzę.

– Czy może wraca na klęczkach po A2?

W tym właśnie momencie Ana – zdruzgotana, wyczerpana i załamana – wpadła do sali. Po kilku sekundach uświadomiła sobie panującą w niej ciszę. I fakt, że wszystkie oczy zwróciły się na nią.

– Pani nadinspektor do mnie. W tej chwili – rozkazał Ruipérez nieznoszącym sprzeciwu tonem. – A państwu nie wolno się stąd ruszyć, zanim trójka dzieci się nie znajdzie. Do kurwy nędzy! – wrzasnął wyprowadzony z równowagi komisarz. – Do kurwy nędzy. Nie wolno wam się pieprzyć, nie wolno wam spać, nie wolno srać. Nie wolno wam przełknąć śliny, póki nie odnajdziecie tych dzieciaków. Słyszycie? Przyjrzyjcie się mi dobrze. Wycisnę z was flaki, póki ich nie znajdziecie. Lepiej dla was, żebyście ich znaleźli jeszcze żywych. Bo jak nie, to zrobię wszystko, żeby wasze życie stało się nie do zniesienia.

Wstał gwałtownie, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, utrzymując ciało w idealnym pionie, jak gdyby przez całe życie defilował w oddziałach armii północnokoreańskiej, ruszył ku drzwiom i wyszedł. Nie raczył nawet zaszczyścić nikogo spojrzeniem, a już tym bardziej Any Arén. Uznał za oczywiste, że ona biegnie za nim do jego gabinetu. Bo tak przecież rozkazał. A rozkaz ma być wykonany.

– Mówcie wszystko, co wiecie, szybko. – Ana usiłowała opanować drżenie głosu. – Fakty, ślady, kamery. Cokolwiek. Dajcie mi odrobinę nadziei. Coś, co pozwoli znaleźć te dzieciaki.

– Zbieramy nagrania z kamer bezpieczeństwa, zarówno z centrum handlowego, jak i z okolicy. To skomplikowane, bo jest niedziela i nie udało nam się zlokalizować wszystkich właścicieli. Poprosiliśmy także o nagrania z osiedla Inés z przedziału od pół godziny przed ich wyjściem z domu do pół godziny po wyjściu, na wypadek gdyby ktoś stamtąd ich śledził. Klucz od serwerowni, gdzie trafiają nagrania, ma dozorca, jeszcze go nie namierzyliśmy, ma wyłączony telefon. Poza tym przeczesujemy cały obszar, szukając jakichkolwiek śladów, i nakazaliśmy opuszczenie centrum handlowego. Zaczynamy od początku sprawdzać listy pracowników i byłych pracowników. Przeczesujemy też listę przestępców seksualnych aktywnych w strefie. – Charo wyrzuciła z siebie wszystko jednym tchem, na jednym oddechu.

– Inés nadal przebywa w szpitalu. Nie udało mi się z nią porozmawiać – dodał Nori. – Lekarze jeszcze nie wyrażają zgody na jej przesłuchanie.

Ana ruszyła do gabinetu komisarza, trzymając się ścian. Prawe ramię

przesuwała po tapecie, stawiając ostrożne kroki na kaflach posadzki. Potrzebowała wielu punktów podparcia, żeby utrzymać się w pionie, ponieważ głowa odmawiała jej posłuszeństwa i nie panowała nad ważącym pięćdziesiąt cztery kilogramy ciałem posuwającym się naprzód. Mózg Any wciąż nie zdołał poradzić sobie z faktem zniknięcia Pabla, a jego część odpowiedzialna za emocje walczyła, by nie obwiniać matki chłopca. Bo po co, u diabła, Inés zabrała syna w miejsce, gdzie dokonano porwania dwóch chłopców? Dla rozgłosu? Po co opublikowała ten tweet z informacją, gdzie przebywa?

Ana potrzebowała skupienia. Zatrzymania się. Wyhamowania. Wyłączenia systemu operacyjnego i restartu. Wydostania się z emocjonalnej spirali, w którą wpadła, żeby móc jasno myśleć. Zatrzymała się, zamknęła oczy i wbiła paznokcie w dłonie, aż ból przeniknął do rdzenia niczym smagnięcie batem. Ból zawsze ustawia na właściwym miejscu.

W tym samym czasie Ismael Gallardo nadal przebywał w celi. Wyglądało na to, że nikt nie brał go już pod uwagę. Zatrzymany przez trzydzieści osiem godzin jako podejrzany o porwanie Kike. Dwadzieścia dziewięć lat, notowany za uporczywą obserwację przedszkola. Były pracownik sklepu z zabawkami, sprzed którego zniknął Kike. Ale nie mógł być sprawcą zniknięcia Pabla, bo w tym czasie siedział w celi. Więc to nie on. Chyba że ma współnika.

Albo naśladowcę.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 22.

# INÉS

Nie wiem, czy rozmowa o stanach ducha byłaby najwłaściwszą rzeczą, gdyż w rzeczywistości to moje ciało odczuwało na przemian skutki euforii i emocjonalnego dołka. Jednocześnie głowa, dusza i serce. Kiedy byłam w euforii, wierzyłam, że wszystko jest możliwe. Gdy tylko wstaniesz z łóżka, Pablo wróci. Gdy otworzysz drzwi prawą ręką, Pablo wróci. Gdy założysz żółtą koszulkę, Pablo wróci. Ogarniała mnie wówczas pewna nadaktywność, ale ani czas, ani moje ciało nie dały się rozciągnąć na tyle, żeby pozwolić mi robić wszystko, co chciałam. Czułam, że mam aż nadto sił, żeby zastąpić cały departament policji poszukujący mojego syna.

I nagle, choćby nawet nic konkretnego się nie wydarzyło, przychodziło załamanie. W ułamku sekundy cała ta buzująca we mnie energia opadała, ustępowała i kurczyła się we mnie nieskończenie wiele razy, póki ostatecznie nie zanikła, pozostawiając mnie pustą w środku i zwiotczałą, niczym marionetka, której sznurków nikt nie trzyma.

Wracaj do domu i czekaj, nic nie możesz zrobić. Ana powiedziała mi to najdelikatniej, jak się dało, kiedy pojawiłam się w komendzie po wyjściu ze szpitala, w tamtą niedzielę po południu. Minęły dopiero cztery godziny od zniknięcia Pabla. Wracaj do domu i czekaj, powiedziała, jak gdyby powrót do domu i czekanie, podczas gdy twoje dziecko zniknęło i znajduje się w rękach jakiegoś szaleńca, było czymś najnormalniejszym na świecie.

Wiem, że Ana musiała się mnie stamtąd pozbyć, że nie mogłam zostać w jednostce wraz z agentami, którzy prowadzili dochodzenie w sprawie, lecz w głębi duszy wiedziałam, że nigdy nie będę umiała jej tego wybaczyć. Bo to, czego wówczas chciałam, to, czego wówczas pragnęłam, to żeby mnie przytuliła i powiedziała, że wszystko skończy się dobrze, że go znajdą, że z Pablem wszystko w porządku. Pragnęłam, żeby Ana pogładziła mnie po głowie i pocieszała mnie, dopóki mój syn się nie znajdzie. Pragnęłam rozpaczliwie, żeby mnie zapewniła, że wszystko skończy się dobrze. Była policjantką. Musiała mi to obiecać. Musiała mi to przyrzec. Proszę, proszę, proszę. Ale nie. Ana nie

zrobiła nic z tych rzeczy, popatrzyła mi tylko prosto w oczy i powiedziała, że wszyscy dadzą z siebie wszystko, żeby tylko odnaleźć Pabla, że ma do dyspozycji najlepszych ludzi i że nie zmrużą oka, póki mój syn się nie odnajdzie.

– Znajdzie się, prawda? – dopytywałam.

– Inés, wracaj do domu i odpocznij – odparła. – Potrzebujesz pomocy psychologa? Mam komuś dać znać?

Jaka znów, u diabła, pomoc psychologa? Pragnęłam jedynie, by znaleziono moje dziecko. Co miałam robić w domu, sama? Czy ktoś może sobie wyobrazić straszniejsze oczekiwanie? Oczekiwanie zrozpaczonej matki czy ojca, zamkniętych w czterech ścianach, odliczających upływające straszliwie wolno sekundy, jedna za drugą, jakby czas się dopiero kształtował, w oczekiwaniu na telefon.

Sama. Musiałabym czekać sama.

Nie chciałam o tym nikomu opowiadać. Jeszcze nie. Jakiś świadomy zakątek mózgu podpowiadał mi, co się rozpęta, gdy wiadomość pójdzie w świat. Do tego brakowało jednak jeszcze kilku godzin. Musiałam zawiadomić matkę, zanim się dowiedzą media, ale ona od kilku dni przebywała na Lanzarote z przyjaciółmi. Już sam fakt, że będę musiała oznajmić jej, co się stało, przez telefon, był dostatecznie straszny, a co dopiero czekanie, aż będziemy razem. Pierwszy lot powrotny na kontynent miała dopiero rano. W Madrycie lądowałyby najwcześniej o dziesiątej. To jeszcze mnóstwo czasu.

Rozmowa z nią była jedną z najgorszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłam. Odebrała po czwartym sygnale, roześmiana, nieświadoma dramatu, jaki przeżywałam.

– Kochanie – odezwała się – wszystko u ciebie dobrze? Nie wyobrażasz sobie, jaka tu pogoda, po prostu skandaliczna, spójrz, która godzina, fakt, tu godzina mniej, bo wiesz, ha, ha, ha, na Kanarach zawsze jest o godzinę wcześniej, od dawna chciałam móc sama to powiedzieć i patrz, dzisiaj mogę<sup>[12]</sup>. Siedzimy jeszcze w hotelu nad basenem. Tylko sobie nie myśl, że jestem wstawiona. Wypiłam ledwie dwa piwa, ale wydaje mi się, że w tym upale alkohol szybciej idzie do głowy. Nie robiłaś nigdy reportażu na ten temat? Tu dopiero się żyje, Inés, tu dopiero się żyje, musicie kiedyś przyjechać z Pablem. Miałaś rację. Hotel Princessa Yaiza jest fantastyczny. Zostawiasz dziecko z animatorami i rzucasz się w wir przyjemności. A ostatnio widziałam, że nie byłaś w najlepszym nastroju. Musisz odpocząć.

Pozwoliłam jej się wygadać, niech mówi, niech wyrzuci z siebie wszystko, bo

jak jej przerwę, jak jej powiem to, co miałam do powiedzenia, to będzie zdruzgotana. Co szkodzi, że jeszcze przez parę sekund będzie wesoła? Że jeszcze chwilę trwać będzie w niewinnej niewiedzy? To było wszystko, co mogłam wówczas matce podarować.

Milczałam więc, póki ona sama nie zdała sobie sprawy, że mówi w próżnię.

– Inés? Kochanie, jesteś tam? Inés? – pytała, a ja milczałam. – Chyba coś nam przerwało – wyjaśniła przyjaciółom, odsuwając usta od telefonu. – To Inés, ale nic nie słyszę, pewnie mamy słaby zasięg.

Rozłączyłam się. Postanowiłam dać jej nieco więcej czasu.

Nagle przypomniałam sobie o Samie, o naszym *au pair*. Musiałam mu wyjaśnić, co się stało. Wysłałam mu wiadomość na WhatsAppa, ale zauważyłam, że od kilku godzin ma wyłączony telefon. Gdzie on się podziewa? Pewnie przepadł gdzieś wraz z grupką swoich znajomych... Albo padła mu bateria. To się zdarzało w weekendy i bywało katastrofalne. Hiszpańskie imprezy do późnej nocy pochłaniały go bez reszty.

Postanowiłam się upewnić. Na wszelki wypadek. Jeśli wrócił i jest u siebie, powinnam go o wszystkim uprzedzić, zanim media zaczną się o tym rozwodzić albo on sam odkryje informacje na którymś portalu społecznościowym, które śledził wręcz obsesyjnie. Zeszłam na parter naszego bliźniaka. Zastukałam do drzwi jego pokoju. Nie odpowiadał. Zastukałam ponownie, głośniejszym głosem, zawołałam go po imieniu. Nadal bez odpowiedzi. Powoli uchyliłam drzwi, myśląc, że może śpi. Nie byłby to pierwszy raz po madryckich gorączkach sobotnich nocy.

Ale w pokoju nikogo nie było. Gdzie, u licha, podziewa się Sam?

Położyłam się na sofie w salonie. Ale w tej pozycji czułam się jeszcze gorzej. Bo wtedy mój mózg się rozrastał – sięgał aż po paznokcie, aż po zęby, aż po krople potu ściekające mi po plecach, opanowując każdy zakątek mojego ciała. Zmieniony w ten sposób w jedną masę neuronów, każdy milimetr mojego organizmu myślał o Pablu.

Kiedy słyszysz brzęczenie osy, stoisz spokojnie, czekając, aż odleci. Powoli kulisz się w sobie, ograniczając do minimum powierzchnię ciała wystawioną na żądło. Zwijasz się w kłębek, starając się odgrodzić powierzchnię wystawioną na ból. Kurczysz się, żeby nie było cię widać. Wstrzymując oddech, czekasz, aż usłyszysz, że brzęczenie się oddala, że osa odlatuje.

Ale to złudzenie. Bo osa, jak ból, zawsze wraca. I w końcu cię użądli.

Choćbyś nie wiem jak się kuliła.

Vertical line of text, possibly a page number or header.



## 23.

# ANA

– Nic, żadnego cholernego punktu zaczepienia. Zero absolutne. Kompletna pustka. – Zdesperowana Charo wpatrywała się w Anę. – Jakby zapadli się pod ziemię. Ulotnili się. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie.

– Inés mi mówiła, że poprosiliście ją o próbkę DNA – odrzekła na to zdziwiona Ana.

– Tak, na polecenie Ruipereza. Sądzę, że przez ostrożność. Na wypadek gdyby znaleziono... – Charo urwała, uświadomiwszy sobie, czego o mało nie powiedziała i komu. – Gdyby znaleziono ciało.

Ruipérez wydał takie polecenie, żeby nie wzbudzać zainteresowania mediów tą sprawą. Gdyby odnaleziono jakieś ciało, które należałoby zidentyfikować na podstawie próbek DNA, wzywanie rodziców, żeby pobrać od nich materiał, mogło zaalarmować media, co oznaczało zwiększenie presji. Będąc zawczasu w posiadaniu próbek, policja zapewniała sobie kontrolę informacyjną nad sprawą. Przynajmniej nad częścią sprawy. Mogła powstrzymać wyciek informacji.

– Jak wam idzie z przeglądem zawartości obrazu z kamer bezpieczeństwa?

Ana upiła duży łyk kawy. Właściwie kawa budziła w niej wstręt i odruch wymiotny, Ana miała wrażenie, że wlewa sobie do żołądka i jelit płyn do udrażniania rur, ale tej nocy postanowiła się zmusić do wypicia filiżanki. Co prawda z dużą ilością cukru, żeby w ogóle móc ją wypić i nie zwrócić. Potrzebowała czegoś, co sprawi, że jej ciało i głowa zaczną reagować. Mocna kawa była jedyną dozwoloną substancją, jaką знаła.

– Jeszcze nie zebraliśmy wszystkich taśm. Jest niedziela, sporo sklepów nie pracuje – wyjaśniała Charo, przerzucając na swój komputer pliki z USB znoszonych przez kolegów. – Próbujemy zlokalizować właścicieli, ale jest już dwudziesta druga. Nie sądzą, żebyśmy uzyskali o wiele więcej do rana.

– To, co macie, zacznijcie przeglądać już, natychmiast. To wiele godzin i przejrzanie wszystkiego zajmie nam sporo dni. Rozmawialiście już z *au pair*?

– Jakim *au pair*? – Charo podniosła wzrok znad komputera. O czym u licha

mówi szefowa?

– Z Inés i Pablem mieszka młody Brytyjczyk, pracuje u nich jako *au pair* od początku roku szkolnego i zajmuje się Pablem popołudniami, kiedy Inés jest w telewizji albo na wyjeździe.

– Kurwa, nie wiedzieliśmy o tym. Zaraz się tym zajmę.

– Nie, Charo, ty zostajesz przy taśmach. Powiedz Arcosowi, niech zlokalizuje chłopaka i go tu przywiezie. Potem się zobaczy, co z nim robimy. Ja mam zaraz zebranie z tymi od porwań z centrali. Ustalamy szczegóły wspólnego prowadzenia sprawy.

Tego popołudnia w poszukiwanie chłopców włączyła się część grupy do spraw porwań i wymuszeń z Komendy Generalnej. Elita policyjna w badaniu takich przypadków. Od tej pory Ana nie dowodziła już dochodzeniem sama, miała za zadanie koordynowanie wszystkich decyzji z kolegą nadinspektorem i wzajemne przekazywanie sobie wszystkich informacji.

– Ano. – Nori złapał ją na korytarzu, w drodze do tymczasowego biura, które urządzili dla nowej grupy operacyjnej. – Ano, jutro miną siedemdziesiąt dwie godziny od zatrzymania pracownika sklepu z zabawkami. Zatrzymany w piątek w nocy. Zostało już niewiele czasu i skoro nie mamy przeciwko niemu twardych dowodów, nie możemy wnieść w tej sprawie oskarżenia i musimy go wypuścić.

– Był już zatrzymany, gdy doszło do porwania Pabla. To nie mógł być on.

– Przypuszczamy, że Slenderman rzeczywiście istnieje, Ano. A nie mamy nic, co by wskazywało, że tak jest.

– Trzech chłopców w tym samym wieku, niemal identycznych z wyglądu, porwanych w tym samym centrum handlowym, dwóch w odstępie czterech dni. Czy to przypadek? – spytała Ana, krzyżując ramiona.

– Ano, nie możesz tego aż tak przeżywać. Nie zastanawiałaś się nad wycofaniem ze śledztwa? Teraz, kiedy dołączyli do nas ci z grupy do spraw porwań, pozwól, żeby ktoś inny przejął ten przypadek. W tobie ta sprawa budzi zbyt wiele emocji.

Ana umilkła, jakby ktoś zadał jej cios w żołądek i nie była w stanie wydobyć głosu.

– Odchrzań się. Odchrzań się, Nori.

Odchrzań się, bo w głębi ducha wiem, że masz rację, myślała Ana. W głębi ducha wiem, że mój rozsądek wisi na włosku i że jeżeli chcę rozwiązać ten przypadek, to muszę zacisnąć palce, aż paznokcie wbiją mi się w dłonie.

Kiedy dotarła do swojego biura, nie poznała go. Ktoś przesunął stół w kąt, żeby zrobić więcej miejsca i żeby wstawić tam dwa stoły na kobyłkach.

Informatycy byli szybcy i zdążyli już podłączyć sześć komputerów. Gdyby jeszcze dostawiono krzesła, wszystko wyglądałoby doskonale. Ale tego trudno już było wymagać w niedzielę w nocy. Samo znalezienie tylu wolnych komputerów zakrawało na cud. Jak im się to udało? Polecenie musiało przyjść z samej, samiutkiej góry. Presja za chwilę stanie się nie do zniesienia, wywnioskowała Ana.

– Pani nadinspektor Arén?

Ana się odwróciła.

– Jestem nadinspektor Jesús Silvelo – przedstawił się jej jakiś mężczyzna, wyciągając rękę. – Pewnie już panią poinformowano o tym, że dołączyliśmy do grupy?

– Tak, mam aktualne informacje – odpowiedziała Ana, ujmując wyciągniętą ku niej dłoń. – Dziękuję za włączenie się w śledztwo i to w dodatku w niedzielę wieczorem.

– Jestem policjantem, ale również ojcem – odparł Silvelo, uniósłszy lekko brwi, i wzniosł do góry rękę, jakby to zdanie miało wyjaśniać wszystko.

Ana знаła nadinspektora Silvela zaledwie ze słyszenia. Zrobił imponującą karierę w Krajowym Korpusie Policji. Od razu po ukończeniu akademii dostał się do korpusu oficerów i gdy tylko regulamin na to pozwolił, wystartował w konkursie na stanowisko nadinspektora, wygrywając go z pierwszą lokatą i stając się jednym z najmłodszych nadinspektorów w Hiszpanii. Od kilku lat dowodził jedną z najbardziej elitarnych jednostek Korpusu, jedną z tych, na które wywierano największe naciski i która musiała najbardziej ścigać się z czasem: grupą do spraw porwań i wymuszeń przy Komisariacie Generalnym Policji Kryminalnej w Madrycie.

Spotkany po cywilnemu na ulicy, w piekarni lub w kolejce do kina najprawdopodobniej w ogóle nie zapadłby w pamięć. Ludzie nie zwracają uwagi na rzeczy nudne, powtarzał zawsze. Jeżeli się wydajesz nudziarzem, to nawet cię nie zauważą, a to działa na moją korzyść. Móc obserwować, samemu nie będąc zauważonym. Być gdzieś i nie zapaść w pamięć.

Ale w trakcie operacji Silvelo zmieniał się całkowicie. Pokazywał pazury. Był bezlitosny i roznosił wszystko. Nie zatrzymywało go nic i nikt.

– Zamówiłem pizzę, Ano. Jeśli pozwolisz, żebym ci mówił po imieniu.

Ana skinęła głową, uśmiechając się po raz pierwszy od kilku godzin.

– Zabierzmy się do nich, zanim wystygną. Pewnie nie macie tu talerzy ani sztućców, ale może chociaż coś do wytarcia rąk z tłuszczu?

– Mogę zaoferować jedynie papier toaletowy, wiesz przecież, policyjne

serwetki. Uważaj tylko przy wycieraniu nim ust, trzeba to robić ostrożnie. Cięcia finansowe objęły też papier toaletowy i teraz mamy taki, który bardziej przypomina najtańszy papier ścierny niż coś, czym sobie podcierasz tyłek. Owszem, może być przydatny przy hemoroidach. Nacieranie nim przez kilka tygodni wyleczy je definitywnie.

Roześmiali się oboje. Potrzebowali jakoś rozładować napięcie z całego dnia. Głowie należał się od czasu do czasu reset, żeby odzyskać jasność myślenia, żeby rozjaśniły się ścieżki i objawiło rozwiązanie. Śmiech czasami w tym pomaga i pozwala inaczej spojrzeć na sprawę.

– Siadamy? – zaproponował Jesús.

– Są tylko dwa krzesła, te, które znajdowały się w moim gabinecie przed tym najazdem – odparła Ana, siadając na krześle dla gości i tym samym zmuszając Silvela do zajęcia jej własnego, o wiele wygodniejszego fotela. – Zniesiono tu komputery dla twojego zespołu, ale nie ma na czym przy nich usiąść. Wygląda na to, że najtrudniej o rzeczy najbardziej podstawowe.

Ana nie chciała rozpoczynać od wyznaczania terytorium we własnym biurze. Wolała sprawić, żeby należało ono do całego zespołu, bo to właśnie tutaj mieli pracować nad rozwiązaniem sprawy albo do chwili odnalezienia chłopców.

Oby żywych. Ale może... może i martwych.

– Coś takiego, kogóż my tutaj mamy? Dwie turkaweczki? Już się zaprzyjaźniliście? – spytał od wejścia Ruipérez. Typowe dla niego *entrées* i bezbłędna umiejętność spieprzenia wszystkiego, czego się dotknął. Król Midas gówna i destrukcji.

– Zapraszać na pierwszej randce na pizzę to chyba trochę po tanioci, co nie, Jesús?

– Wyznam panu sekret: zamówiłem te pizze dla pana – odparł Silvelo, nie ruszając się z krzesła. – Ale rozczaruję pana na tej pierwszej randce: lepiej, żebyśmy je zjedli z panią nadinspektor, bo to nas oboje czekają dni wytężonej pracy. A pana zaproszę kiedyś przy okazji, na coś przyzwoitego, na coś, na co pan z pewnością sobie zasłuży. Co pan na to? Nie lubię rozczarowań na randkach, zwłaszcza na tych pierwszych.

Ruipérez wyglądał, jakby gorączkowo myślał nad dowcipną ripostą. Ale żadna nie przysłała mu do głowy.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 24.

# PATRICIA

– Tato, kurwa, puść mnie!

Dziewczyna miała jakieś piętnaście, góra szesnaście lat, choć trudno było określić jej wiek z powodu ciuchów i makijażu, które miały dodać lat. Stąpała drobnymi kroczkami w błyszczących butach w kolorze fuksji na dziesięciocentymetrowych obcasach; jej szczupłe gołe kostki były odsłonięte, gdyż podwinęła wysoko nogawki jeansów, jakby miała zaraz pójść na spacer plażą i obawiała się, że je zamoczy. Spod białej koszulki na ramiączkach prześwitywały drobne okrągłe piersi. Długie czarne włosy wyglądały, jakby spędziła godziny przed lustrem, używając wszelkich możliwych specyfików do pielęgnacji, żeby je napuszyć i nadać fryzurze wystylizowanego nieładu i rozwichrzenia. Aczkolwiek tym razem rozczochrana fryzura była dziełem przypadku, a nie długotrwałego układania. Dziewczyna właśnie podniosła się z łóżka.

Albo raczej ją podniesiono. Na pierwszy rzut oka niedawno.

Makijaż, zwłaszcza oczu mocno podkreślonych czarną kredką i takimiż cieniami do powiek, był rozmazany po kilku godzinach ocierania twarzy o poduszkę. W innych okolicznościach, gdyby ktoś zobaczył tę istotę ludzką samą na ulicy, nie wiedziałby, czy to nastolatka pragnąca uchodzić za dorosłą, czy dorosła kobieta ukrywająca swój wiek. Osoba, przyciągnięta na komisariat przez człowieka, którego nazywała tatą, w dodatku o piskliwym głosie typowym dla nastolatków protestujących przed zmuszaniem ich do robienia czegoś, czego nie chcą, wyglądała raczej na opcję pierwszą: dziewczynę, której zbyt pilno do dorosłości.

– Tato, kurwa, puść mnie!

Ale tato nie puszczał. Kroczył przed siebie, ciągnąc córkę siłą za ramię, zmuszając ją, by stawiała chwiejne kroki na tych intensywnie różowych obcasach, aż wreszcie ustawił ją przed okienkiem dyżurki komisariatu.

– Przyszliśmy tu, bo moja córka ma ważne informacje na temat tego chłopca zaginionego dopiero co tu obok, w centrum handlowym.

Mówiąc to, coraz mocniej ścisnął ramię dziewczyny; widać już było białe plamy na skórze w miejscach, gdzie nie dopływała do niej krew. Jakby się bał, że mu ucieknie. Po raz kolejny. Dziewczyna jednak stała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Perfekcyjnym ruchem szyi zakryła twarz połową czupryny. Sama nie wiedziała, czy ze wstydu, czy zobojętnienia. Nie chciała patrzeć czy nie chciała być widziana?

Świeżo zaprzysiężony agent policji, który tego ranka pełnił dyżur, szeroko otworzył oczy. Jego uwagę rozpraszały widoczne za opancerzoną szybą przezroczystości białej koszulki, ale słowa wypowiedziane przez mężczyznę dosłownie go zmroziły. Jakiś ślad w sprawie zniknięcia jednego z chłopców.

– Mogą państwo tu przez chwilę poczekać? – spytał, wskazując plastikowe ławki stojące przy wejściu. – Zaraz wracam.

Odwrócił się i już miał wybiec, ale zanim ruszył ku drzwiom łączącym dyżurkę z biurami, uznał, że lepiej będzie postąpić inaczej. Wrócił do mikrofonu, przez który porozumiewał się z przybyszami. Proszę nie odchodzić, oznajmił, proszę nie odchodzić.

Dokładnie trzydzieści osiem sekund później w drzwiach niewidocznych zza opancerzonej szyby pojawił się zaalarmowany podinspektor – nie było w owej chwili w miejscowym komisariacie nikogo wyższego rangą.

– Dzień dobry. Jestem podinspektor Antonio Uclés. Proszę ze mną.

Przeszli do dużego, niemal pustego pomieszczenia, w którym góry papierów ledwie pozwalały dojrzeć dziesiątki stołów zajmujących całą przestrzeń. Patricia nie wiedziała czemu, ale czuła, że w powietrzu unosi się niepokój, jak gdyby znajdowali się w pokoju, którego od dawna nikt nie wietrzył. Nie tylko po to, by usunąć unoszące się cząsteczki kurzu. Niepokój też należy czasami przewentylować.

– A więc, moja panno, co masz do powiedzenia temu policjantowi? – spytał surowo ojciec, gdy już wszyscy troje zasiedli przy starym okrągłym stole ze sklejki, z którego inspektor ukradkiem i z zawstydzeniem usiłował usunąć resztki śniadania pozostawione przez kolegów. – Opowiedz panu o tym chłopcu. No, opowiedz.

Dziewczyna siedziała w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, z twarzą przesłoniętą czupryną, jak gdyby wcale nie było jej na tym komisariacie i nie miała właśnie – a przynajmniej wszystko na to wskazywało – zeznawać w sprawie przestępstwa.

– No to, panie władzo, ja opowiem, o co chodzi. Bo mojej córce chyba zabrakło języka w gębie. Albo straciła głos.

I zaczął opowiadać, jak to usiłował przekonać córkę, po zerwaniu jej z łóżka i doprowadzeniu siłą na policję, żeby powiedziała inspektorowi Uclesowi to, co podobno wiedziała o porwanym chłopcu. Puścił wreszcie rękę córki, ale ona w efekcie jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Siedziała skulona na plastikowym krzeselku.

– Ta moja córka to beznadziejny przypadek. Niech pan tylko spojrzy, jakie niewiniątko.

Inspektor Uclés ukradkiem przywołał koleżankę, która tego ranka pełniła dyżur wraz z nim. Nadstaw ucha – nakazał jej gestem – gdybyś musiała mi pomóc przy tym dwojgu. Sonia Calero, policjantka młodsza stopniem w lokalnej jednostce kryminalnej, dyskretnie podeszła do stołu. Wiedziała już od kolegi z dyżurki, że ojciec i córka zapewniają, iż mają wiarygodny ślad na temat porwania Pabla. A może Kike? Ojciec powiedział: „chłopca zaginionego dopiero co tu obok, w centrum handlowym”. „Dopiero co” mogło się odnosić zarówno do środy, jak i do poprzedniego dnia. Więc Kike albo Pablo.

Sonia była w centrum handlowym w środę. Dotarła tam jako jedna z pierwszych agentek po zniknięciu Kike i zajęła się gromadzeniem pierwszych śladów. To ona właśnie wyjaśniała nadinspektor Anie Arén, co zdołano ustalić, zanim ta się zjawiała.

– Nie mam zaufania do tego dzieciaka, wie pan? Jak mam ufać takiemu piętnastoletniemu bezmózgowcowi? Wie pan, co wyrabiają piętnastoletnie dziewczuchy?

Ojciec szukał zrozumienia u rozmówcy – te zwariowane nastolatki, jak mamy sobie z nimi poradzić? – jak gdyby jego wersja była jedyną możliwą. Inspektor przywołał na twarz wyraz powagi. Policyjne doświadczenie podpowiadało mu, że najlepszą formą okazywania empatii jest subtelne naśladowanie gestów; w ten sam sposób najlepsi handlarze używanymi autami poruszają głową lub dłońmi, jakby stanowili lustrzane odbicie potencjalnego klienta; powtarzając jego gesty, zyskują tym samym bez większego wysiłku przychylną niczego nieświadomej ofiary.

Lecz Antonio Uclés nie mógł również opowiedzieć się przeciwko dziewczynie, wybrał zatem stanowisko neutralne: twarz pokerzysty i spojrzenie kociątka z Instagrama.

– Przecież pan chyba wie – ciągnął ojciec – co dziś wyrabiają dziewczuchy w jej wieku. Więc ja trzymam ją mocno w ryzach.

Mężczyzna stale szukał aprobaty rozmówcy i przemawiał, jak gdyby jego córka nie siedziała obok niego. Podobnie jak miliardy ojców na świecie, dla



których bardziej liczy się opinia, jaką inni dorośli mają o ich dzieciach, niż zdanie własnych dzieci.

– Trzymam ją mocno w ryzach, bo młodsze od niej już ślą chłopakom zdjęcia, jak tanie kurwy. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile ja już widziałem. Ta pogarda, jaką budzą niektóre jej koleżanki, i te bezceństwa, jakie wygadują przy chłopakach. Gorsze niż najgorsza prostytutka. Niech pan nie myśli, że czasami nie nachodzi mnie ochota, żeby im przywalić, mój ojciec już by ściągnął pas, żeby im porządnie przylać, ale pewnie jak tylko podniesiemy rękę na te dzieciaki, to na nas doniosą.

Sonia Calero nie mogła nie unieść głowy znad papierów, które niby to przeglądała, i nie przyjrzeć się temu człowiekowi. Przy takim ojcu sama bym się zbuntowała, pomyślała. Jak ojciec może rzucać córce prosto w twarz, że jest prostytutką? Na szczęście mężczyzna nie dostrzegł jej pełnego wyrzutu spojrzenia i ciągnął swoje wywody.

– No więc, mając taką córkę, sam pan widzi, albo ja jej dopilnuję, albo ona mnie dobije.

W dalszej części wywodu wyjaśnił, że dokładnie kontroluje wszystko, co córka ma w komórce. To proste. Ilekroć się podłącza do domowej sieci wi-fi, on może z poziomu swojego komputera, poprzez program Teamviewer, dostać się do jej telefonu i prześledzić wszystko, co robiła, całą zawartość komórki. Tego dnia rano, przy śniadaniu – Patricia jeszcze spała, szła do szkoły na późniejszą godzinę – przeprowadził inspekcję i znalazł zdjęcie, które go przeraziło.

– Opowiedz panu, Patricio, opowiedz panu, co robiliście wczoraj wieczorem z tym przestępcą, który się mieni twoim narzeczoną.

Dziewczyna w końcu podniosła głowę i powolnym, zmęczonym ruchem odsunęła włosy z twarzy, po czym wbiła wzrok w ojca.

– O ile wiem, tato, o ile ja wiem – odezwała się spokojnie, zaskakująco słodkim i miękkim głosem, soczystym i świeżym jak kęs melona w lecie; inspektor pomyślał, że kłopoty ojca dopiero się zaczynają – to szpiegowanie cudzych telefonów to przestępstwo. Pan policjant – odwróciła się, żeby spod czupryny, która nadal zakrywała większą część jej twarzy, popatrzeć bacznie na podinspektora Uclesa – będzie mógł nam potwierdzić, czy to legalne, czy nie. Prawda...? Jak pan mówił, że się nazywa? Ach, prawda! – odpowiedziała sama sobie, celowo prowokacyjnym tonem. – Pan podinspektor, podinspektor Antonio Uclés. Czy to prawda, że kontrolowanie zawartości cudzego telefonu bez zezwolenia to przestępstwo?

A miała zaledwie piętnaście lat. Niech ją wszyscy diabli.

– Proszę państwa, zrobimy rzecz następującą – odezwał się podinspektor. – Pan mi spokojnie opowie, co się wydarzyło, a pana córka porozmawia z moją koleżanką. Co pan na to, szanowny panie? W ten sposób uspokoimy się wszyscy, a ja wysłucham pana z całą należną uwagą.

Lepiej było rozdzielić ojca i córkę. Póki byli razem, nie dałoby rady niczego z nich wyciągnąć, a już tym bardziej prawdy. Napięcie między nimi stawało się nie do zniesienia. Jeżeli rzeczywiście wiedzieli cokolwiek o którymś z porwanych chłopców, szybkość działania była sprawą nadrzędną. Uclés dyskretnie skinął na koleżankę.

Wprawdzie policjant mógł przesłuchiwać osobę niepełnoletnią wyłącznie w obecności ojca, matki albo osoby przez nich upoważnionej, jednak w tym wypadku podinspektor uzyskał niejako implicite aprobatę ojca, więc nie było problemu. Sonia zaprowadziła dziewczynę do jednego z biur, gdzie zazwyczaj spisywano protokoły zeznań, z którymi codziennie zgłaszali się ludzie. Antonio i ojciec pozostali przy stole ze sklejką w kącie głównej sali komisariatu.

– Niezły sierżant z twojego tatusia. Mój był taki sam. Nawet jak znikaliśmy na noc, wyciągał nas z łóżek bladym świtem. Codziennie. Miałam dwadzieścia dwa lata, a mój ojciec wchodził do sypialni, żeby podnieść żaluzje, otworzyć okno i ściągnąć z nas kołdry. Nie dało się dalej spać przy świetle, hałasie i w zimnie.

Sonia mówiła w roztargnieniu, nie spoglądając za często na dziewczynę, żeby ta nie czuła się naciskana. Patricia przysiadła na brzegu krzesła, z rozstawionymi nogami i wychylonym do przodu ciałem. Trzeba było sprawić, żeby podniosła głowę i słuchała.

– Ale to, co twój ojciec powiedział dzisiaj, o ile mówi prawdę, to poważna sprawa. Wiem, że to cholera, bo jest ósma rano w poniedziałek. Ale, Patricio, potrzebuję twojej pomocy, bardzo cię proszę. Jeżeli cokolwiek wiesz, musisz mi to powiedzieć, żeby pomóc tym dzieciakom.

– Ja nic złego nie zrobiłam, jasne? – zdecydowała się w końcu przemówić Patricia. – Ani ja, ani mój chłopak. Zanim cokolwiek powiem, musi pani zapewnić nam obojgu immunitet.

Jaki u diabła film obejrzała ta dziewczucha? Immunitet? Dla obojga?

– Patricio, jestem pewna, że to prawda, ale ty musisz teraz pomóc tym dzieciakom. Być może to, co masz mi do powiedzenia, uratuje im życie.

Dziewczyna powoli podniosła wzrok na policjantkę.

– Nie, to, co pani powiem, niczego nie zmieni, bo obaj już nie żyją.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 25.

# SAM/PATRICIA

Luis Arcos zlokalizował Sama w poniedziałek o ósmej rano, niemalże o tej samej porze, kiedy kilka kilometrów dalej dziewczyna na jaskraworóżowych obcasach wkraczała do komisariatu, ciągnięta za rękę przez ojca. Policjant znalazł *au pair* opiekującego się Pablem idącego ulicą, z rękami w kieszeniach i zagubionym spojrzeniem, w pobliżu domu, gdzie mieszkała Inés z synem. Arcos nie umiałby powiedzieć, czy bladeść chłopaka wynika z jego angielskiej urody, z nadużycia alkoholu, czy przemęczenia będącego efektem gorączki sobotniej nocy.

A może ze strachu i wyrzutów sumienia?

To mieli wyciągnąć z niego w jednostce.

Arcos nie posługiwał się swoją angielszczyzną od czasów, gdy Margarita Sorolla, jego nauczycielka w liceum, zaliczyła mu podstawowy angielski wyłącznie z litości – bez tego zaliczenia nie mógłby zgłosić się na egzaminy. Aczkolwiek i tak na nic mu się zdała ocena 5 z 10-stopniowej skali, jaką mu litościwie wpisała pani Sorolla, gdyż na egzaminie otrzymał zaledwie 4,75 w tej samej skali i nie miał prawa wstępu na żadną uczelnię.

Jako że jego angielski był mniej niż podstawowy, agent Arcos podszedł do Sama z odznaką w ręce. *Police, police!* – krzyczał. Był o krok od wyciągnięcia z kieszeni komórki i połączenia się z tłumaczem Google'a, ale uznał, że to zbyt tani chwyt w przypadku członka Krajowego Korpusu Policji. Usiłował wyjaśnić *au pair* swoją mniej niż podstawową angielszczyzną, raczej w *spanGLISH*, że chce mu zadać kilka pytań na temat zniknięcia Pabla, ale chłopak nie był w stanie zrozumieć, co znaczy „desaparejszon”. Nie rozumiał również „interrogejszon” ani „komisariejt”.

Natomiast owszem, wyłapał imię Pabla. I chyba się wystraszył.

– *Let me speak with Inés, please. I need my phone, let me talk to her. Where's Pablo? What's going on?*

I tego Sam nie przestawał powtarzać. *Let me speak with Inés, please. I need my phone, let me talk to her. Where's Pablo? What's going on?* Arcos, który

z całej tej przemowy wyłapywał jedynie Sam, Inés, *please* i *phone*, na migi kazał mu w końcu wsiąść do samochodu, a chłopak wypełnił polecenie, niczym pokorny baranek.

\*\*\*

– Już nie żyją.

To zdanie kołatało się w mózgu agentki Soni Calero, siedzącej na wprost piętnastoletniej dziewczyny, której ojciec zapewniał, że ma ona informacje na temat zaginionych chłopców. Już nie żyją. Kto? Jak? Gdzie?

– Kto już nie żyje, Patricio? Kto już nie żyje?

– Ci chłopcy, ci zaginieni chłopcy, o których wszyscy mówią.

Dziewczyna zamknęła oczy i zasłoniła je dłońmi. Łokcie wsparte o kolana podtrzymywały cały ciężar głowy, która sprawiała wrażenie, że po usunięciu tej podpórki oderwie się od szyi. Zwinęła się niczym ślimak, któremu urwano skorupę, chroniąc się we własnym ciele. Sonia wahała się, czy dotknąć ją delikatnie dłonią, by nawiązać kontakt w jakiś inny sposób. Postanowiła poczekać.

– Pomóż mi, proszę, Patricio, pomóż rodzinom tych chłopców. Wyobraź sobie te biedne matki – odezwała się w końcu, próbując przebić jej skorupę. – Tych biednych ojców.

– Co będzie ze mną?

Patricia wreszcie podniosła głowę, odsunęła włosy z twarzy i spojrzała policjantce w oczy. Sonia mogła nareszcie nawiązać z dziewczyną jakąś łączność.

– A co ty takiego zrobiłaś, żeby miało coś być z tobą, Patricio? Zrobiłaś coś złego?

Sonia pochyliła się tak, żeby jej głowa znalazła się na wysokości głowy dziewczyny; nie chciała przemawiać z góry i wydawać się zbyt władcza.

– Nie wiem – brzmiała odpowiedź.

\*\*\*

Na innym komisariacie, o wiele większym i o wiele lepiej wyposażonym, trzeba było odłożyć telefony i znaleźć tłumacza przysięgłego z języka angielskiego, ażeby przesłuchanie Sama było prawnie legalne. Ale choć szybko jakiegoś znaleziono, miało mu zająć nieco czasu dotarcie do jednostki. Była dziewiąta rano. Poniedziałek. Pierwszy dzień miesiąca. W Madrycie. Padał deszcz. Dla kierowców istne piekło.

Podczas gdy Luis jechał do centrali z Samem na tylnym siedzeniu – postanowił nie zakładać chłopakowi kajdanek, w końcu nie był zatrzymany,

należało mu jedynie zadać kilka pytań – Javier Nori schodził do jednego z pokoiów przesłuchań, żeby spróbować coś wyciągnąć z Ismaela Gallardo. Pozostało już niewiele czasu do chwili, gdy będą zmuszeni go wypuścić. Wedle prawa jeżeli następnego dnia nie zdobędą dostatecznych i twardych dowodów, żeby móc go postawić w stan oskarżenia, Gallardo będzie wolny. A to oznaczało, że jeżeli jest winny, będzie mógł zniszczyć wszystkie obciążające go dowody. Albo zrobić coś Kike, o ile chłopiec jeszcze żyje.

Oskarżony zażądał adwokata i przydzielono mu go z urzędu. Pedro de Francisco, przeczytał Nori w księdze wizyt dokładnie w chwili, gdy otwierał drzwi do pokoju numer pięć.

– Pedro de Francisco to pan? – zapytał, stając w progu.

– Tak. Właśnie rozmawiałem ze swoim klientem. Możecie go już wypuścić.

– O tym to my zadecydujemy, nie uważa pan?

– Przedstawił mi właśnie mocne alibi co do tamtego popołudnia, kiedy zaginął Kike. A w dniu zaginięcia Pabla siedział już tutaj, wie pan o tym doskonale. Sądzę, że jest pan dostatecznie rozsądny, żeby rozumieć, co to oznacza.

Fatalnie, pomyślał Nori. Fatalnie, panie mecenasie. Zbyt pan młody, zbyt impulsywny i zbyt głodny sukcesu. Nie wyjdzie panu na dobre zadzieranie z policją. Ale tego się pan nauczy na własnych błędach.

– Co to za alibi? – zapytał.

– Tamtego popołudnia, około siedemnastej, mój klient odwiedził lokal, w którym mieści się wyrafinowana agencja towarzyska przy ulicy Desengano w centrum Madrytu, o pół godziny jazdy od miejsca, gdzie zniknął chłopiec. W tym znanym tylko nielicznym lokalu, w zwykłym mieszkaniu, uprawia się wszelkie praktyki seksualne, powiedzmy – mało rozpowszechnione, przynajmniej publicznie. Mogą tam wejść jedynie pary, ale mój klient najął tanią prostytutkę z ulicy (może ją pan zapytać, choć przypuszczam, że nie będzie dla pana zbyt wiarygodna jako świadek), żeby mu towarzyszyła, i w ten sposób dołączył do imprezy. Całe towarzystwo przyłapano, kazano im się wynosić i była awantura. Musiała nawet wkroczyć policja wezwana przez sąsiadów. Niech pan poprosi o akta sprawy, policja musi je mieć. Mojego klienta nie zwolniono przed dwudziestą drugą. A o tej porze chłopca poszukiwano już od, sprawdzmy – zrobił teatralną pauzę – od pięciu godzin. Mój klient jest zdolny do wielu rzeczy, ale daru przebywania w dwóch miejscach naraz jeszcze nie posiada. Więc mogą go państwo wypuścić. Natychmiast.

Ismael Gallardo był niewinny.

Wracali do punktu wyjścia.  
Kurwa mać!

\*\*\*

– Patricio, nie będę ci mogła pomóc, jeżeli mi nie powiesz, o co chodzi. Jeśli powiesz, udzielenie ci wszelkiej pomocy. Patricio.

Agentka Calero dokonywała wszelkich starań, by ta ciemnowłosa dziewczyna powiedziała, co wie. Powtarzanie imienia osoby, z którą się rozmawia, stanowi codzienną taktykę służącą nawiązaniu kontaktu i przełamaniu lodów. Jestem tu z tobą, wiem, kim jesteś, liczysz się dla mnie. Patricio. Patricio. Patricio. Ale dziewczyna w odpowiedzi wymówiła tylko dwa słowa.

– Boję się.

Boi się. Czemu się boi ta dziewczyna? Tego, co zrobiła, czy tego, co widziała? A może zemsty z powodu tego, co może powiedzieć? Czy zna Slendermana? Albo domyśla się, kim on jest?

W owej chwili otworzyły się drzwi. W najgorszym momencie, właśnie wtedy, gdy Sonia miała szansę – była o tym przekonana – uzyskać od Patricii coś więcej, otworzyły się drzwi biura i stanął w nich jej ojciec. Cholera.

Cholera. Cholera. Cholera.

– Siedź cicho, córka. Nic nie mów. Milcz. – Ale czemu, u diabła? – Moja córka jest niepełnoletnia i pani nie może przesłuchiwać jej bez mojej zgody i bez obecności adwokata.

Co się wydarzyło za tamtymi drzwiami? Sonia rzuciła pytające spojrzenie swemu koledze, który również wpadł do pokoju. Co się nagle stało tatusiowi? Podinspektor zrobił dyskretny ruch ręką. Ktoś zadzwonił, pokazał na migi. Adwokat, dało się odczytać z jego warg. Adwokat.

Ojciec dwoma susami przeskoczył pomieszczenie, chwycił córkę za łokieć i szarpnięciem podniósł z krzesła.

– Chwilę, proszę pana. Wyraził pan zgodę na rozmowę z córką – zaproponował podinspektor Antonio Uclés.

– Na nic nie wyraziłem zgody. Zabraliście córkę do innego pokoju. Jest niepełnoletnia i nie oskarżycie jej o coś, czego nie zrobiła.

Ojciec zaczął ciągnąć córkę ku wyjściu. Sonia i Antonio postępowali krok za nim, ale nie mieli prawa nic zrobić. Podinspektor próbował jeszcze uchwycić się ostatniej szansy.

– Jeżeli sobie pójdziecie, możemy pana zatrzymać za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

Mężczyzna zawahał się, ale był dobrym negocjatorem. Albo może obejrzał za

dużo kryminałów.

– Niczego nie utrudniam. Przyszliśmy tutaj tak naprawdę z własnej woli. Upominamy się tylko o nasze prawa, jako obywatele. I o ochronę dla mojej niepełnoletniej córki.

Sonia usiłowała nawiązać kontakt wzrokowy z dziewczyną. Ta, w oszołomieniu, potrząsnęła głową, pozwalając włosom opaść na twarz.

– Patricio, posłuchaj – zaczęła Sonia – posłuchaj mnie. Mogę ci pomóc.

Ojciec i córka byli już za progiem. On znowu ciągnął ją za sobą, tym razem w przeciwnym kierunku niż dziesięć minut wcześniej. Te same ruchy, te same twarze i znów te potykające się obcasy w kolorze fuksji. W ostatniej chwili, zanim zamknęły się za nimi drzwi komisariatu, Patricia odwróciła się i spojrzała na policjantkę. Wyglądało, jakby chciała jej coś powiedzieć, ale ojciec był szybszy.

– Gdy tylko zagwarantujecie nam wszystkie prawa przysługujące nieletnim, z przyjemnością opowiemy wszystko, co wiemy. Czekamy na was w domu. – Ostatnie zdanie zagłuszył trzask zamykających się ciężkich oszklonych drzwi.

Sonia wystukiwała już numer Służby Pomocy Rodzinie. Musiała natychmiast porozumieć się z nadinspektorem Aną Arén.



Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 26.

# RAMÓN

Znowu ta mgła.

Jeszcze się całkiem nie rozwidniło, ale już dało się rozróżnić ścianę mgły, która spowijała małe miasteczko. Albo dużą wieś. Bo jak nazwać osiedle, które w ciągu czterdziestu lat z zaledwie trzech tysięcy mieszkańców dorobiło się siedemdziesięciu tysięcy? Spekulacyjne umysły i chciwe ręce pokryły asfaltem i cegłami ziemie, które kilkaset lat wcześniej stanowiły tereny myśliwskie króla Filipa II, a które potem, w początkach XIX wieku, w wyniku przeprowadzonej wówczas dezamortyzacji[13], niektóre rodziny szlacheckie wykupiły za bezcen. Sześć pokoleń później praprawnukowie obracających się w dworskich kręgach spekulantów zaczęli znowu zarabiać nieprzyzwoite pieniądze, kontynuując biznes rozpoczęty przez przodków. Stali się multimilionerami dzięki sprzedaży terenów w czasie trwania boomu budowlanego, który niemal rozsadził Hiszpanię na przełomie XX i XXI wieku. Z dawnej Majadahondy ocalała jedynie niewielka część lasu Pilar. To i tak o wiele więcej niż w przypadku innych, sąsiednich miejscowości.

Tamtego ranka mgła spowijała wszystko, jak gdyby ludzkie oko zasnuła katarakta i wszystkie kształty wydawały się zamazane. Ramón zjechał ze ścieżki rowerowej biegnącej przez środek miasteczka i wjechał w las porastający wzgórze. Zależało mu, by dotrzeć do pracy, zanim się rozpada. Mgła nie pozwalała wprawdzie dostrzec nieba, ale aplikacja w komórce ostrzegała, że rano może być ulewa.

Las zamykano na noc, ale o tej porze bramy powinny już być otwarte. Ramón wjechał przez bramę w pobliżu wzgórza Espino, jednej z ostatnich stref, gdzie cegła niebezpiecznie wdzierała się w zagajnik, i ruszył ścieżką w kierunku stacji kolejki. Stamtąd dróżka przez kilka kilometrów wiodła łatwymi do pokonania serpentynami przez wzgórze. Powinien się nawdychać rannego świeżego powietrza, gdyż potem miał na całe osiem godzin zniknąć w podziemnym kantorku. I tak miał szczęście, że w tym tygodniu pracował na dzienną zmianę; kiedy wyjdzie, złapie jeszcze trochę naturalnego światła.

Praca nie była trudna, wręcz przeciwnie, musiał się skupiać, żeby się nie nudzić. Kilka automatycznych maszyn, pulpity, komputery i przyciski, które pozwalały mu myśleć o niebieskich migdałach przez większą część zmiany. Co za strata czasu, myślał czasami. Jeśli wszystko funkcjonowało prawidłowo, Ramón musiał jedynie pilnować, żeby technologia nie zwariowała. Jeśli wszystko funkcjonowało prawidłowo, rzecz jasna. Bo problemom winna była nie technologia, lecz czynnik ludzki. Zawsze znalazł się jakiś mieszkaniec, który sprawiał kłopoty. Przeklęte rozpieszczone paniczki. Ramón przez osiem lat pracy widział już wszystko, aczkolwiek nie mógł się spodziewać tego, co miał zobaczyć owego dnia.

Alarmy rozległy się po godzinie dwunastej, dokładnie wtedy, kiedy system zaczynał zasysać śmieci ze strefy w pobliżu wzgórza Espino, sąsiadującej z lasem. Hałas i światelka alarmowe wypełniły wszystkie kąty podziemnego pomieszczenia. Znowu zatkała się ta cholerna rura numer trzy, pomyślał.

– Alberto! Alberto! – krzyknął, nie ruszając się z miejsca. – Proszę cię, sprawdź mi trójkę.

– Trójkęęę? Mówisz, że trójkęęę? – dopytywał współpracownik z drugiego końca pomieszczenia, starając się przekrzyczeć wycie alarmu.

– Taaak! – wrzasnął Ramón, sprawdzając ponownie dane na komputerze. – Kurewska rura numer trzy.

– Nie słyszę cię dobrze! Mówisz, że trójkęęę?

Na pewno znowu ten sam mieszkaniec. Gdyby to od Ramona zależało, wezwałby jednostkę specjalną policji, żeby namierzyła skurczybyka, który sprawiał tyle kłopotów. Bo Ramón był przekonany, że to wciąż ta sama osoba, ten sam zapatrzony w siebie duppek, którego nikt i nic poza nim samym nie obchodzi, ani ludzie, ani zwierzęta, ani rośliny istniejące w otaczającym go świecie.

Zazwyczaj to były gałęzie. Zamiast pójść wyrzucić poprzycinane gałęzie do specjalnego pojemnika ustawionego przez miasto, jak czynili wszyscy inni, duppek ładował ścięte gałęzie drzew i krzewów w miejski system pneumatycznego odbioru śmieci. Luzem, nawet nie w worku. Jak kretyn. Gałęzie utykały w podziemnych rurach łączących system osiedlowy z centralnym i tworzyły zator, który uniemożliwiał przesuwanie się toreb ze śmieciami, które pozostali mieszkańcy grzecznie umieszczali w odpowiednich otworach pneumatycznego systemu.

– Trójka, rzeczywiście. – Alberto wreszcie ruszył tyłek z krzesła i stanął obok Ramona. – Znowu trójka.

– Przysięgam ci, że wrzuciłbym tego typu do śmieci. Przytrzymałbym go w środku rury, żeby się dobrze przyjrzał, jak to działa – odparł Ramón, wyłączając ręcznie alarmy.

Hałas wreszcie ucichł.

– Uff! Co za ulga! Te alarmy rozsadzają ściany.

– Włączamy zapasowy silnik? – spytał Alberto swoim normalnym cienkim głosem, tak cienkim, że czasami, gdy rozmawiał przez telefon, brano go za kobietę z nieco podwyższonym poziomem testosteronu.

– Dawaj, wrzucaj czwórkę – zdecydował Ramón. – Wrzucaj czwórkę, bo nie chcę dzisiaj zostawać po godzinach, mam bilety do kina.

W dziewięćdziesięciu procentach przypadków zapchania rur siła czwartego, dodatkowego silnika likwidowała zator i umożliwiała spływ śmieci do pięciu centralnych wysypisk, w jakie wyposażone było miasteczko. W tym przypadku Ramón i Alberto chcieli skierować zator do zbiornika znajdującego się dokładnie piętro niżej niż ich kantorek, połączonego setką rur z każdym osiedlem w południowo-wschodniej strefie. Mieszkańcy musieli jedynie wrzucać torby ze śmieciami w otwory rur, które znajdowały się albo na parterze w budynkach, albo na chodnikach. Wygodny i czysty sposób. Aczkolwiek wyłącznie wtedy, gdy przestrzegano określonych zasad. Niektórzy byli przekonani, że można w ten sposób wyrzucić choinkę. A potem, rzecz jasna, działało się, co się działo. System się zatykał, gdzieś w środku biegnącej pod ziemią rury powstawał zator i wszystko przestawało działać.

– Co jest z tą rurą numer trzy?

Dyżurny kontroler mający własne biuro podszedł do stanowiska Ramona. Zły znak. Gdy szef podchodzi do twojego stanowiska pracy, to nigdy nie jest dobry znak.

– Zatkana. Pewnie znowu sterta ściętych gałęzi – wyjaśnił Ramón, nie odwróciwszy się nawet w stronę szefa. – Zatkało się w tym samym miejscu, co zawsze. Zaraz włączymy czwórkę, zobaczymy, czy będzie dość siły ssącej, żeby odetkać zator.

– Dopóki nie zaczną wlepić porządnych mandatów, nie będzie rozwiązania. Ja zamontowałbym kamery przy każdym otworze na śmieci w okolicy, żeby było widać, co kto wrzuca. Zobaczylibyście, jak szybko skończyłyby się tego typu problemy – odparł kontroler. – A tak to każdy może wrzucić wszystko. Kiedyś nam to padnie.

\*\*\*

Nori i Charo oglądali nagrania z kamer. Wszyscy policjanci z jednostki

wyteżali wzrok, żeby wypatrzyć gdzieś syna Inés. Zebrano je z kamer rozstawionych w promieniu kilku kilometrów od centrum handlowego. Setki godzin nagrań, których przejrzenie zajmie wiele dni. Nawet z pomocą kolegów z grupy do spraw porwań nie uda się skrócić czasu przeglądu bardziej niż do siedemdziesięciu dwóch godzin. A chłopiec jakby rozwiął się w powietrzu.

Jak dwa lata wcześniej Nicolás.

Jak tydzień wcześniej Kike.

W tym czasie strach przed Slendermanem rozrastał się niczym bańka mydlana po placach i ulicach. Wystarczy lekkie ukłucie i paniki nie da się opanować, podobnie jak uciekających ludzkich mas, które zdeptują się i tratują nawzajem.

W poniedziałek wiele dzieci nie przyszło do szkoły. Elitarne placówki prywatne położone najbliżej miejsca zniknięcia trójki chłopców zaczęły kontraktować prywatne firmy ochroniarskie. Telewizyjne kamery pokazywały wciąż strażników przed szkołami. Galerie handlowe i centra rozrywki świeciły pustkami, a ich zarządcy także czuli się w obowiązku wzmocnić ochronę i podkreślić jej obecność wobec klientów.

Od dwudziestu czterech godzin życie ograniczało się do czterech ścian. Od zniknięcia Pabla. Jak długo kraj wytrzyma taki strach? Co będzie dalej? Wszystko zależało od śledztwa, które najwyraźniej tkwiło w martwym punkcie.

– Chcesz kawy? – spytał Charo Luis Arcos, wstając i przeszukując kieszenie w poszukiwaniu monet.

– Jak sobie zafunduję więcej kofeiny – odezwał się Nori, odrzucając zmęczonym ruchem włosy z czoła – to zacznę się tak silnie trząść, że płyn mózgowy będzie mi wyciekać uszami. Nawet gdybym przebiegł dwadzieścia kilometrów, nie wypocę jej z siebie.

– Jesteśmy tak zmęczeni, że już dawno mózg nam wypłynął. Powinieneś się trochę przespać. Ile miałaś godzin odpoczynku w ostatnich dniach?

– Jak mam iść odpocząć? Dwóch chłopców zaginionych bez śladu. Jeden z nich to syn mojej koleżanki. Nie mówiąc już o trzecim chłopcu, który dwa lata temu rozpląnął się w powietrzu. Czy mamy do czynienia z seryjnym zbrojcem seksualnym? Z porywaczem dzieci, który działa coraz szybciej? Z pedofilem, który potrzebuje coraz to nowej ofiary?

– Mam go! Mam go! Mam go! – krzyczała Charo z drugiego końca pokoju. – Tutaj, tutaj. Mam tego chłopca. Pabla. Tutaj. Chodźcie, tutaj jest.

Obraz był zatarty, ale nie ulegało wątpliwości, że chłopiec na nagraniu to Pablo. Biała koszulka w granatowe paski, jeansy i sportowe czarne buciki. Nie

było dobrze widać twarzy, ale ubranie było dokładnie takie jak to, które Pablo miał na sobie w chwili zaginięcia; wzrost i budowa ciała także odpowiadały opisowi syna Inés. Zgadzała się również godzina. I miejsce. Nagranie pochodziło z kamery umieszczonej na ścianie apteki usytuowanej zaledwie pół kilometra od centrum handlowego. Pablo pojawiał się w lewym dolnym rogu. Szedł najwyraźniej spokojnie, patrząc na coś lub na kogoś po swojej lewej stronie, na coś lub na kogoś poza zasięgiem kamery.

\*\*\*

– No i co, zapali ten silnik czy nie? – dopytywał się kontroler na porannej zmianie w centrum odbioru śmieci z Majadahondy.

Ramón czuł koło ucha jego kwaśny oddech. Musiał się skupić, żeby stłumić odruch wymiotny. Jak taki odór może wydobywać się z ludzkiej istoty?

– Włączony na sześćdziesiąt procent mocy, ale jak na razie nie odtyka rury numer trzy. Ten dupek pewnie wywalił do śmieci pół cyprysa. Jakaś grubsza gałąź musiała ustawić się w poprzek i utknąć. – Ramón zaczynał się denerwować i z powodu zatoru, i odoru z ust szefa.

– Włącz na pięćdziesiąt procent – polecił kontroler.

– Włączony na pięćdziesiąt procent. Mam nadzieję, że nie wybuchnie.

– Ja też.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

27.

## PATRICIA

– Włącz koguta, Charo, włącz koguta i przyspiesz.

Poniedziałek rano, pierwszy dzień miesiąca i deszcz. Madryt był jak mysia dziura. Nawet policyjny samochód z wyjąłym kogutem na dachu nie mógł się przebić przez zbity gąszcz aut. Im bardziej kierowcy starali się manewrować, żeby umożliwić przejazd, tym trudniej było posuwać się naprzód.

– Jakbyśmy byli gliniarzami z amerykańskiego filmu, to już byśmy zasuwali po chodniku – stwierdziła Charo, próbując nieco rozładować napięcie. – Nie widzę tylko kiosku z owocami, który byśmy mieli roznieść. Zawsze to świetnie wygląda, jak jabłka i melony wylatują w powietrze. A biedny kioskarz gapi się, przerażony.

– Życie nie jest tak spektakularne, Charo, dobrze wiesz. Życie jest twarde i ponure, to nie hollywoodzki cyrk. Albo raczej to ten prawdziwy Hollywood poza zasięgiem kamer.

Ana rytmicznie stukiała w okienko wozu. Stuk, stuk. Stuk, stuk. W ten sposób uwalniała stres i napięcie, jakie ją ogarniały. Wreszcie mieli jakąś wskazówkę, jakąś nić, która mogła ich dokądś doprowadzić. I ta nić wymykała im się z rąk.

Piętnaście minut wcześniej, kiedy Sonia Calero zadzwoniła do niej z komisariatu dla Madrytu Zachód, Ana nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Ale pojęła natychmiast. Nie czekała nawet, aż Sonia skończy opisywać niefortunne przesłuchanie nastolatki siłą zaciągniętej na komisariat przez ojca, która ponoć ma jakieś istotne informacje dotyczące porwania chłopców.

„Nie żyją”, miała powiedzieć.

Ale ojca dziewczyny po tej niewymuszonej deklaracji ogarnęły wyrzuty sumienia i nie pozwolił dokończyć zeznania. Chciał gwarancji prawnych. Zapewne jego adwokata przebudziła wiadomość od przestraszonego klienta nagrana na skrzynce głosowej. Gdy ją odsłuchał, było już za późno. Klient z córką siedzieli na komisariacie. Nic więcej nie mówcie. Zabierz stamtąd Patricię. Możecie zeznawać tylko przy zapewnieniu wszelkich przysługujących wam praw, oznajmił przez telefon. Tym się teraz zajmował podinspektor Nori.



Poszukiwaniem dyżurnego adwokata do spraw nieletnich, żeby móc wyciągnąć zeznania od dziewczyny. Mimo że większość adwokatów z grupy do spraw nieletnich była dobra – wszyscy przeszli specjalne szkolenie dotyczące postępowania z dziećmi – Ana dała mu listę z trzema nazwiskami. Te osoby jej zdaniem najlepiej powinny sobie poradzić z tym przypadkiem i z tą dziewczyną. Jeżeli Slenderman to ktoś z jej otoczenia, to czy odważy się zeznawać?

Ana wraz z Charo jechały do willi, w której mieszkała dziewczyna, żeby spróbować przekonać ojca, aby pozwolił jej pojechać do jednostki i złożyć zeznania. Utkwiły jednak w tej mysiej dziurze. Mimo koguta i świateł posuwały się niesłuchanie powoli w gigantycznym korku tamującym ruch na ulicach zalanego deszczem Madrytu.

Zadzwoiła komórka Any.

– Jesús, tak, dzień dobry. Już ci powiedziano, tak? – Dzwonił nadinspektor dowodzący grupą do spraw porwań i wymuszeń, przydzieloną im do pomocy przy śledztwie przez Komisariat Generalny Policji. – Tak, jadę do domu tej dziewczyny spróbować przekonać ojca. Mój podinspektor szuka najlepszego adwokata do spraw nieletnich, żeby porozmawiał przez telefon z rodzicami i przekonał ich, aby natychmiast przyjechali do komendy. – Ana podniosła głowę znad telefonu i spojrzała na kobietę prowadzącą samochód. – Tędy, Charo, tędy – poleciła, wskazując na uliczkę na prawo – skrócimy sobie drogę przez dzielnicę uniwersytecką, zobaczymy, może się nam uda wyskoczyć wcześniej na autostradę na La Coruna, gdzie już łatwiej nam będzie jechać.

Ana na moment zamilkła.

– Tak, jasne, nie słyszysz? Kogut i światła. Ale choćby kierowcy chcieli zjechać z drogi, to póki nie wjadą jeden na drugiego, nie zrobią nam miejsca aż do wyjazdu z miasta. Słuchaj, tak w ogóle, poinformujesz Ruipereza? Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to rozmawiać z nim teraz. – Ana zamilkła, słuchając odpowiedzi Silvela. – Jasne, powiem ci, gdy tylko spotkam się z rodzicami. Albo puszcze wiadomość przez WhatsAppa, jeśli przy nich nie będę mogła rozmawiać. Na razie.

Dojazd do willi zajął im czterdzieści pięć minut. Szeregowiec, choć trafniejsza byłaby nazwa „upychaniec”, był wepchnięty między kilkadziesiąt sobie podobnych, tworzących zwartą zabudowę prawej strony ulicy. Domy zduszone jedne przez drugie, rozbudowane w górę, żeby zyskać nieco przestrzeni i pozwolić na oddech.

– Numer dwadzieścia trzy, to tutaj.

Wszystkie miały kuriozalny ogródek przed wejściem, w którym nikt nie

ustawił nawet smętnego krzeselka. Bo i po co? Usiąść tam oznaczało siedzieć praktycznie na ulicy, na środku chodnika, na widoku.

– Witam, jestem nadinspektor Ana Arén. Rozmawialiśmy przed chwilą przez telefon. To moja współpracownica, agentka Charo Domínguez. Możemy wejść?

Widziany od środka dom wydawał się jeszcze mniejszy, ponieważ gros przestrzeni zajmowały schody. Jego mieszkańcy zapewne spędzali większość czasu, wędrując po nich w górę i w dół. Rzecz jasna częściej, niż naprawdę potrzebowali. Bo się zapomniało komórki zostawionej w salonie przed pójściem spać. Kluczy w sypialni przed wyjściem z domu. Rolki papieru toaletowego z garażu przed pójściem do łazienki na antresoli, a tam go właśnie zabrakło. Znowu na górę. Znowu na dół. I tak przez cały dzień.

W momencie, gdy Ana i Charo zasiadły na sofie wskazanej przez ojca Patricii, do Any przyszedł esemes. Spojrzała dyskretnie w telefon. „Eva nie ma dziś dyżuru, ale przyjdzie, jeśli potwierdzisz, że przywieziesz dziewczynę. Możesz do niej zadzwonić, to ci wyjaśni sposób postępowania z rodzicami”. To była dobra wiadomość. Eva była jednym z najlepszych adwokatów w sprawach dotyczących nieletnich w całym prawniczym świecie Hiszpanii.

– Napiją się panie czegoś? Kawy?

To pewnie matka dziewczyny. Sprawiała wrażenie nie najmłodszej, podobnie jak ojciec. Najprawdopodobniej Patricia urodziła się, kiedy oboje nie spodziewali się już, że w ogóle zostaną rodzicami. Kobieta miała krótkie włosy, w trudnym do określenia jasnobrązowym kolorze, dodatkowo podkreślonym przez ułożone na wałkach loki sztucznie zwiększające objętość po bokach, a zwłaszcza na czubku głowy, jak gdyby ta podniesiona wysoko fryzura mogła dodać wzrostu. Ubrana była zbyt formalnie jak na poniedziałkowy ranek. Ana pomyślała, że najwidoczniej przygotowała się na spotkanie z nimi. Z policją.

Dwadzieścia minut wcześniej, kiedy przedzierały się przez korek, nadinspektor Arén poprosiła o informacje o rodzinie. Wiedziała, że kobieta nie pracuje od kilkadziesiąt lat. Pewnie rzuciła pracę po wyjściu za mąż. Mąż jest na emeryturze. Dwoje dojrzałych ludzi z nastoletnią córką. Układ, który mógł być wybuchowy.

– Nie, dziękuję – odparła. – Miło z pani strony. Chciałybyśmy chwilę porozmawiać z państwem, zanim poprosimy o rozmowę z córką.

Oboje małżonkowie usiedli. Wydawało się, że mężczyzna stracił cały animusz, z jakim wtargnął na komisariat zaledwie godzinę wcześniej.

– Jak powiedziałam w rozmowie telefonicznej, prowadzę sprawę zaginionych chłopców: Nicolasa, Kike i Pabla. Prasa ochrzciła ją „sprawą Slendermana”.

O ile rozumiem, państwa córka posiada informacje, które mogą okazać się dla nas istotne.

Kobieta spojrzała na męża, jakby prosząc go o pozwolenie. Wiedzieli. Wiedzieli oboje, w co była wplątana córka.

– Chciałabym, żeby porozmawiali państwo z Evą Galán. To fantastyczny adwokat, specjalizuje się w sprawach dotyczących osób nieletnich. Będzie z państwem i córką podczas składania zeznań przez Patricię. Jeśli państwo się zgodzą, zadzwonię do niej, żeby poinformowała państwa, na czym to wszystko polega. Chcemy jedynie porozmawiać z państwa córką, nic poza tym. Nie jest ani o nic oskarżona, ani aresztowana. Potrzebujemy jedynie jej pomocy.

Kwadrans później jechali we czwórkę policyjnym wozem w kierunku jednostki. Matka Patricii została w domu. Ana miała wrażenie, że nie była to jej suwerenna decyzja – kobieta wolałaby zapewne być przy córce w tej sytuacji – lecz męża, który chciał, jako jedyny, panować nad przebiegiem wydarzeń.

Rozmowa w aucie miała znikome znaczenie. Ana nie chciała niczego wymuszać. Wolała, żeby dziewczyna się do niej przyzwyczyła.

– Już dojeżdżamy. Patricio – Ana odwróciła się w kierunku nastolatki, żeby spojrzeć jej prosto w twarz – to komenda, w której pracuję, w jednostce, która koordynuje działania zmierzające do odnalezienia chłopców. To, co nam powiesz, ogromnie nam pomoże. Teraz zostawimy auto w garażu i przedstawię cię Evie. Pomoże ci przy składaniu zeznań. Zgoda?

Komórka Any ponownie zadzwoniła. Nadinspektor Arén zbladła, słuchając tego, co mówił głos w telefonie.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

28.

## JESÚS/RAMÓN

Palce Charo ślizgały się po klawiaturze komputera. Pozostali agenci ustawili się za nią, obserwując ekran monitora. Podeszli tam także agenci z jednostki specjalnej, pracujący w biurze nadinspektor Arén. Zaalarmowały ich okrzyki.

– Popatrzcie tylko, widzicie? Czternasta trzynaście wczorajszego popołudnia, zaledwie dziesięć minut po tym, jak zniknął, wedle tego, co zeznali wszyscy świadkowie.

Chłopiec szedł spokojnie. Albo tylko takie sprawiał wrażenie. Maszerował zdecydowanym krokiem, jak gdyby wiedział, dokąd jest prowadzony. Jakość nagrania nie była nadzwyczajna, a po powiększeniu obrazu stawał się on jeszcze bardziej zamazany, można było jednak przysiąc, że na twarzy dziecka maluje się lekki uśmiech.

To nie było normalne. Jeżeli dziecko zostało porwane siłą, nie było rzeczą normalną, że wydawało się niemal zadowolone. Musiało znać porywacza. Znać go bardzo dobrze. I dlatego chciało z nim pójść.

Dokładnie w tym momencie do pomieszczenia wpadł nadinspektor Jesús Silvelo. Charo przekazała mu najnowsze informacje.

– Jakie inne kamery mamy w tym rejonie? – spytał.

– Czekamy na otwarcie sklepów. Wczoraj była niedziela i wiele z nich było zamkniętych. Mamy już ekipę w rejonie, przejdzie się od lokalu do lokalu, prosząc o wydanie nagrań.

– Wyślę tam jeszcze dwie pary z jednostki, niech nikomu nie wpadnie do głowy przekazywać cokolwiek mediom. Nie chcę widzieć tego obrazu w żadnej telewizji ani gazecie. Jasne?

Co się działo? Jeżeli Pablo szedł tak spokojnie obok swojego porywacza, musiał go znać. Slendermanem musiał być ktoś z jego otoczenia, może jakiś nauczyciel, może sprzedawca, może sąsiad. Musiał to być ktoś znajomy. Poza tym: porwać dziecko w niedzielne popołudnie i iść tak spokojnym krokiem? Coś tu nie pasowało, ale nikt nie wiedział co.

– Komisarzu! – Jesús Silvelo zapukał do gabinetu Ruipereza. – Komisarzu,

mamy nowe informacje.

Ruipérez czytał właśnie dokumenty rozłożone na stole. Albo tylko udawał, że czyta. Miał pełną świadomość, że nadinspektor stoi w progu. Czekając. Ale właśnie to sprawiało komisarzowi największą przyjemność: decydować o scenariuszu i czasie. I kazać się prosić.

– Witam, inspektorze – odezwał się, nawet nie unosząc głowy, kiedy uznał, że już kazał odczekać Jesusowi dłużej, niż wypadało, zbliżając się do niebezpiecznej granicy. – Smaczna była pizza?

– Przyszedłem poinformować pana o nowym tropie – odparł Silvelo, nie dając się sprowokować.

Podszedł do stołu, lecz nie usiadł. Czekał, aż komisarz zada jakieś pytanie, zapyta o cokolwiek, obojętnie o co. Byleby wykazał minimum zainteresowania. Lecz na próżno. Ruipérez jedynie uniósł brew, a na jego twarzy malowało się znużenie. No już, gadaj, co masz do powiedzenia. Nie jesteś znowu taki ważny, a mój czas jest zbyt cenny, żebym go tracił.

– Mamy nagranie syna Inés dziesięć minut po porwaniu – zaczął Silvelo, nadal stojąc po drugiej stronie olbrzymiego drewnianego stołu w gabinecie komisarza.

Stół ten zwano murem, bo wydawał się stać po to, żeby oddzielać dwa światy: szefa od podwładnych, tego, co rządzi, od tych, co wykonują polecenia. Nikt nie pamiętał, od jak dawna tam stał, w najważniejszym gabinecie w budynku, ani który komisarz go zamówił. Stał tam i tyle. Onieśmielając.

– Widać kogoś przy nim? Da się zobaczyć porywacza?

Ruipérez podniósł się z fotela. Tak samo przesadnie wielkiego i ostentacyjnie nietrafnego jak stół. Tego samego rozmiaru co ego użytkownika.

– Nie. Chłopiec pojawia się w lewym dolnym rogu. Wyłapała go kamera apteki. Wygląda na spokojnego.

– Gdzie się znajduje ta apteka?

– W pobliżu centrum handlowego, przy południowym wyjściu, po drugiej stronie ulicy. Czas zgadza się idealnie. Kamera nagrała chłopca kilka minut po jego porwaniu.

– Jak to się stało, że zajęło nam dobę ustalenie, że Pablo jest na nagraniu kamery z apteki?

Ruipérez zaczął wyłamywać palce. Jeden za drugim. Pięć w każdej dłoni. Leniwie i perfidnie.

– Jak zawsze, komisarzu. – Nadinspektor Silvelo za wszelką cenę starał się nie chwiać. Prawa stopa. Lewa stopa. Przez to zawsze sprawiał wrażenie

niewątpliwego, a tego właśnie chciał uniknąć w owej chwili. Dokonał świadomego wysiłku, by zakotwiczyć się w miejscu i stać spokojnie. Cały ciężar ciała przeniósł na stopy. – Jak zawsze, sam pan wie. Wiele godzin oglądania, co więcej nie było łatwo odnaleźć wszystkich właścicieli sklepów. Wczoraj, w niedzielę, wiele było zamkniętych. Mamy również nagrania z kamer ulicznych w promieniu kilku kilometrów. Przejrzenie ich zajmie wiele godzin.

– A chłopiec nie pojawia się na żadnym innym? – Tym razem Ruipérez wbił spojrzenie w nadinspektora, niemal nie mrugając powiekami, usiłując go onieśmielić.

– Przeglądamy właśnie nagrania z kamer najbliższej apteki, na tym się teraz koncentrujemy.

Jeżeli to miał być pojedynek na mierzenie się wzrokiem, to do dzieła. Jesús już dawno nauczył się pewnej sztuczki: wpatrywać się w brwi. Rozmówca sądził, że patrzy mu uważnie prosto w oczy, a on tymczasem skupiał uwagę na trójkącie wytyczonym przez brwi i nasadę nosa. To uwalniało mózg od konieczności wytrzymywania ciężaru czyjegoś spojrzenia i pozwalało skupić uwagę na rozmowie, bez błędzenia wokół.

– Wszyscy nasi ludzie wyęzają wzrok – ciągnął. – Za kilka godzin będziemy mieli więcej nagrań z Pablem. Staramy się odtworzyć trasę, jaką mógł przejść.

– Pośpieszcie się. Nie możemy stracić nawet sekundy.

W głosie komisarza Ruipereza po raz pierwszy dało się wyczuć niepokój. Może dawały o sobie znać oczekiwania społeczne, a może to presja wywierana z góry, ze sfer rządowych, albo, kto go tam wie, może Ruipérez ma jednak jakieś ludzkie uczucia?

– W takich przypadkach jak ten – ciągnął komisarz – każda godzina może decydować o tym, czy znajdziemy dziecko żywe, czy martwe.

– Nie musi mi pan o tym przypominać, komisarzu. Moi ludzie nie śpią od pięciu dni, od chwili zniknięcia Kike. Wychodzą z siebie. A teraz, jeśli pan pozwoli, wrócę do swoich zadań, bo będąc tutaj, z całym szacunkiem, w żaden sposób nie pomagam w poszukiwaniach.

Nadinspektor Silvelo musiał się powstrzymać, żeby nie rzucić bardziej dosadnych słów ani nie trzasnąć drzwiami, a na to ostatnie naprawdę miał w owej chwili ochotę.

\*\*\*

Czwarty silnik ryczał, pracując na pełnych obrotach. Siła odsysania nie mogła być już większa.

– Ramón, tego się nie da ruszyć.

Kontroler centrum pneumatycznego odbioru śmieci trzymał w ręku komórkę, żeby w każdej chwili móc zadzwonić do centrali. Lepsze to niż brać na siebie odpowiedzialność za instalację, pomyślał. Niech zadecydują ci na górze. Ja umyвам ręce.

– Zaczekaj, zaczekaj chwilę. Zobaczmy, co oni tam władowali. Dajmy mu jeszcze chwilę, zator powinien chociaż trochę się rozładować – upierał się Ramón.

I nagle: buuum! Siła ssania zadziałała, przepychając to, co zatykało rurę numer trzy. Odblokowanie spowodowało ogłuszający hałas. Nigdy jeszcze nie słyszeli podobnego.

– Co oni tam, u diabła, wrzucili? Ramón, Alberto, zejźcie do zbiornika, zobaczcie, co tam spadło. Przysięgam, że zaraz dzwonię na policję, żeby zidentyfikowali mi tego dupka, co zapchał system – ryczał kontroler, nie przypuszczając nawet, że jego słowa sprawdzą się co do joty.

Zbiornik na śmieci zajmował olbrzymią powierzchnię pod ziemią. Trafiały tam odpady z osiedla liczącego dziesięć tysięcy mieszkańców, oddzielnie plastikowe i oddzielnie organiczne. Szkło, papier i pozostałe odpady wyrzucano w sposób tradycyjny, do pojemników ustawionych na ulicach.

Ramón i Alberto zapalili światła. Sprawiającą problemy rurą spływały odpady plastikowe, więc to, co ją zatkało, powinno było wpaść do zbiornika numer dwa.

– Masz maskę, Ramón? A rękawice? Uważaj, żeby coś stamtąd nie wyskoczyło.

Z rur nierzadko wylaziły szczury, chociaż wolały raczej zbiornik z resztkami organicznymi, bo tam trafiało się im więcej jedzenia.

– Od ilu to już dni nie opróżnialiśmy tego tutaj? Od trzech? To ten. – Ramón wskazał na zbiornik numer dwa. – Prawdziwe siedlisko wszelkich bakterii na festiwalu nauki. Przy cięciach w budżecie opróżniamy toto coraz rzadziej. Trzeba by wezwać służby sanitarne.

Ale wiedział, że tego nie zrobi. Za dużo papierkowej roboty. I pretensje szefostwa. Tak więc Ramonowi przyszło otworzyć niewielką kłapę bezpieczeństwa, żeby zajrzeć w głąb zbiornika.

– Masz, trzymaj, weź przynajmniej moją chustkę, zanim tam zajrzysz. Smród może cię zwalić z nóg i spadniesz z drabiny.

Ale tym, co omal nie doprowadziło Ramona do upadku ze szczytu drabiny, nie był smród zgnilizny, który wydobył się ze zbiornika numer dwa tuż po otwarciu kłapy. Tym, co sprawiło, że Ramón omal nie zwałił się na plecy



z trzech metrów wysokości, było to, co ujrział wewnątrz.

Wewnątrz leżało dziecko.

I Ramón nie wiedział, czy żywe, czy martwe.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 29.

# ANA

– Zaczekaj na mnie, Jesús! Zaczekaj!! – krzyczała Ana Arén przez telefon. – Zaczekaj, wjeżdżam do komendy, będę w biurze za trzy minuty.

– Co się dzieje? – rozległ się czyjś niemal dziecinny głos dochodzący z tylnego siedzenia samochodu.

Ana kompletnie zapomniała, że mają w wozie policyjnym towarzystwo. Cholera. Nastolatka i jej ojciec. Po tym, co właśnie usłyszała, przesłuchanie Patricii przestało być dla Any sprawą priorytetową. Wiedziano już, gdzie jest jeden z chłopców: w zbiorniku na śmieci w pobliżu domu dziewczyny i centrum handlowego, w którym zniknęli wszyscy trzej.

– Patricio, dowiedziałam się właśnie czegoś bardzo ważnego, czegoś niezwykle istotnego.

Nadinspektor Arén odwróciła się do tyłu. Zastanawiała się, jak przekazać ojcu i dziewczynie, że musi ich zostawić. Zważywszy, ile ich kosztowało nakłonienie dziewczyny do zeznawania, Ana nie chciała, żeby cały ten wysiłek poszedł na marne. Może zresztą Patricia wiedziała coś, co pomoże w ujęciu Slendermana.

Teraz jednak musiała się wycofać. Musiała biec, żeby zająć się dzieckiem, które objawiło się w hydraulicznym systemie odbioru śmieci w Majadahondzie. Czy to jeden z trzech chłopców porwanych przez Slendermana?

– Patricio, możesz mi wyświadczyć przysługę?

Ludzie zazwyczaj chętniej współpracują, jeżeli polecenie przekaże im się w zawołanej formie prośby o przysługę. Nie tylko dlatego, że dzięki temu mają okazję poczuć się kimś dobrym, lecz również dlatego że czują, iż druga strona ma wobec nich dług.

– Pójdiesz z Charo. Ona cię zaprowadzi do Evy, pani adwokat od spraw nieletnich w Madrycie, tej samej, która wcześniej rozmawiała przez telefon z twoimi rodzicami. Ja niedługo wrócę. Obiecuję ci.

– Pani jest tu szefową? Szefową całej tej jednostki? – dopytywał się ojciec.

– Ja dowodzę śledztwem w tej sprawie.

– Więc będziemy rozmawiali tylko z panią.

Masz ci los, pomyślała Ana. Kolejny problem. Tylko tego brakowało.

– Świetnie, ale jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to podczas mojej nieobecności pani adwokat opowie wam, jak wszystko będzie przebiegało, zgoda? Ja zaraz wrócę. Przysięgam. Nie mogę powiedzieć, co się dzieje. Ale to bardzo pilne. Macie moje słowo. Patricio, zaufaj mi. To sprawa życia lub śmierci.

Pół godziny później – korek na mieście trochę zelżał – Ana ponownie dojeżdżała do Majadahondy, siedemnaście kilometrów za Madrytem. Południowy zbiornik centrum odbioru śmieci znajdował się w połowie drogi między centrum handlowym, w którym zniknęli chłopcy, a szeregowcem, w którym mieszkała Patricia z rodzicami. Czy dziewczyna ma coś wspólnego z porwaniami? Co ona wie? Po drodze nadinspektor Silvelo wyjaśniał Anie szczegóły. Gdy tylko znaleźli się na miejscu, wyskoczyła z wozu.

– Gdzie jest ciało? Zidentyfikowano je? – spytała policjantów pilnujących dostępu do zbiornika.

– Ciało, pani nadinspektor? – zdziwił się ten niższy, rudzielec z brodą.

Ana spojrzała na jego insygnia. Korona i kłos pszenicy. Praktykant. Nie nauczono ich w akademii, co to są zwłoki?

– Ciało chłopca znalezione niedawno w zbiorniku – odparła, wchodząc szybkim krokiem na obszar pilnowany przez policję i nie zwracając uwagi na pilnujących.

Nie miała czasu na głupoty. Jak to: jakie ciało? Szła w kierunku, z którego dochodził smród. Zbiegła, przeskakując po dwa stopnie, po wąskich metalowych schodach na prawo od wejścia. Nie było tam nawet stanowiska obsługi. Po co? Kto chciałby zwiedzać gigantyczny skład śmieci?

Dwa piętra niżej dostrzegła wreszcie jakieś drzwi. Były otwarte. To stamtąd dochodził smród. W środku koledzy z jednostki analityczno-laboratoryjnej szukali jakichkolwiek śladów przestępstwa.

– Pani nadinspektor – odezwał się jeden z nich – na razie nic nie mamy. Aczkolwiek ten zbiornik ma pojemność kilkunastu ton, więc posegregowanie wszystkiego zajmie nam sporo czasu. Spodziewamy się, że nam tu zamontują światłowód, żebyśmy mogli wprowadzić kamerę do wnętrza systemu i sprawdzić, co znajduje się w rurze, w której zakleszczył się chłopiec.

– Gdzie jest ciało? – powtórzyła pytanie Ana.

Nieemożliwe, żeby zjawił się już lekarz medycyny sądowej i wywiózł zwłoki. Fizycznie niemożliwe. Jej samej dojazd zajął niemal trzydzieści minut.

Ana usłyszała, jak ktoś pośpiesznie schodzi po tych samych schodach, po których ona sama zbiegała chwilę wcześniej.

– Jakie ciało? – spytał policjant z jednostki analityczno-laboratoryjnej.

– Nie ma ciała – dodał za plecami Any nadinspektor Jesús Silvelo.

Dwa głosy dobiegły Anę, wpadając każdy w inne ucho, jak w idealnym nagraniu stereo. W efekcie usłyszała: „Jak nie ma ciała?”. Rozdzieliła w myślach oba zdania. Nie ma ciała. Powiedziano jej, że nie ma ciała. Co się tutaj dzieje? O co tu, do diabła, chodzi? Jeśli nie ma ciała, jeśli to jakiś żart albo fałszywy alarm, to co robią tutaj chłopaki z jednostki analityczno-laboratoryjnej?

– Ana, Ana, spójrz na mnie. – Silvelo stanął przed nią. – On żyje. Chłopiec żyje. Jest w bardzo poważnym stanie, ale żyje. Zabrali go właśnie do kliniki Puerta de Hierro[14].

Jakimś cudem ten chłopiec, kimkolwiek był, przeżył uwięzienie przez kilka godzin albo nawet dni w wąskiej rurze; przeżył nawet silny ciąg siły ssącej czterech silników systemu działających pełną parą.

To przecież cud.

Ale komu się on przytrafił? Którym rodzicom? Którym dziadkom?

Kim jest ten chłopiec?

Nikt jeszcze tego nie wiedział. Wszyscy trzej zaginieni chłopcy byli do siebie bardzo podobni i dwaj pracownicy systemu, którzy go odkryli, nie potrafili podać wystarczająco dokładnego opisu. Poza tym, jak mówili, chłopiec miał spuchniętą twarz, całą we krwi i siniakach.

Ana nie chciała dzwonić do rodziców żadnego z chłopców, by nie dawać im fałszywej nadziei. Woląca najpierw udać się do szpitala i spróbować zidentyfikować małego. Pabla znała od urodzenia. A zdjęć i filmów z Kike i Nicolásem widziała tyle, że czuła, jakby ich również znała.

Klinika znajdowała się w odległości niecałych dwóch kilometrów od zbiornika na śmieci. Ana miała nadzieję, że jej wątpliwości szybko się rozwieją. Kimkolwiek jest ten chłopiec.

I o ile oczywiście był jedną z ofiar Slendermana.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 30.

# ANA

– Nadinspektor Ana Arén – przedstawiła się, pokazując odznakę na stanowisku rejestracyjnym kliniki. – Przyjechałam w związku z tym chłopcem, którego karetka przywiozła ze zbiornika na śmieci.

Ana przystawiła odznakę do szklanej szyby oddzielającej ją od trzech kobiet pełniących dyżur na oddziale ratunkowym. Siedziały bardzo dziwnie, dużo poniżej poziomu osób przychodzących do rejestracji, co zmuszało je do ciągłego unoszenia głowy, aby móc widzieć twarz rozmówcy. Było to niewygodne zarówno dla nich, jak i dla wszystkich po drugiej stronie szyby – bo ci z kolei musieli stać bardzo blisko – niektórzy nawet wspinać się na palce – i odwracać głowę, żeby widzieć, z kim rozmawiają.

– Pozwoli pani, że sprawdzę – odparła jedna z kobiet. – Nie, nic tutaj nie mam. Ale jeżeli dopiero co przywiozła go karetka, to nie przechodził przez rejestrację. Zawieziono go od razu na OIOM albo na salę operacyjną. Zna pani nazwisko chłopca?

Chciałabym, pomyślała Ana. O to właśnie chodzi: poznać jego nazwisko.

– Jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy. Dlatego właśnie tutaj jestem, żeby zorientować się, kim on jest – odparła.

Rejestratorka sprawdzała coś w komputerze, spoglądając cały czas w dół. Trudno zgadnąć, czy w ogóle słuchała Any.

– Niczego nie odnotowano, ale to nic dziwnego – odezwała się po upływie minuty, która Anie wydała się wiecznością. – Jeżeli przywiozła go karetka i nie ma danych identyfikacyjnych, to lekarze pewnie jeszcze nie mogli wprowadzić dokumentacji o przyjęciu na oddział. Proszę tu poczekać, zadzwonię, żeby ktoś po panią przyszedł.

Ana wykorzystała tę chwilę, by zadzwonić do Joana. Nie minęła jeszcze doba, od kiedy pożegnali się u niego w Barcelonie, tego niedzielnego ranka tak świetlistego i szczęśliwego, kiedy wszystko wydawało się możliwe. Dwadzieścia godzin wcześniej nawet odruchowo winiła się za to, że jest uszczęśliwiona. Od tamtej pory spała zaledwie kilka godzin, a świat nie był już

tym miejscem, w którym mogłaby sobie pozwolić na to, żeby oprzeć głowę o ciepłą szybę w pociągu i słuchać muzyki. Świat stał się znowu studnią pełną gówna, w której wszystko pogrążało się coraz bardziej.

– Ana!

– Cześć.

Nagle poczuła się nieskończenie zmęczona, jakby opuściły ją wszystkie siły, jak gdyby jej ciało i głowa uznały, że już dość, że na tym koniec. Może musiała też poczuć, że przed Joanem nie musi udawać. Był jedną z niewielu osób na świecie, przy których Ana mogła okazać słabość. Rzuciła szybkie spojrzenie na rozświetloną poczekalnię. Pełna. Zaledwie kilka wolnych krzeseł. Tyle ludzi potrzebuje pilnej konsultacji lekarskiej w poniedziałek rano? Pewna myśl przemknęła Anie błyskawicznie przez głowę. Tak błyskawicznie, że niemal jej nie uchwyciła. Poszła powoli w pusty kąt i usiadła na podłodze, pomiędzy ścianą a olbrzymimi oszklonymi drzwiami prowadzącymi na parking. Deszcz uderzał w szybę i Ana pogłaskała szklaną tafle, jakby chciała ukołysać spadające krople.

– Jestem w szpitalu – oznajmiła.

– Jak się czujesz? Co się dzieje? A jak Inés? Coś wiadomo?

Joan wyrzucił z siebie wszystkie pytania, które nurtowały go przez ostatnie dwadzieścia godzin, ale Ana niewiele mu mogła powiedzieć. Była przede wszystkim i nade wszystko dobrą policjantką, a dobre policjantki nie dzielą się tym, czym podzielić się nie wolno. Nawet z rodziną. Aczkolwiek były przypadki, że agenci ujawniali kolegom na WhatsAppie zbyt wiele. Informacje, a nierzadko i fotografie, przechodziły zbyt łatwo z jednego czatu na drugi. To się skończyło, gdy pewnego razu wszyscy porządnie najedli się strachu. Tego dnia jedna z fotografii dokumentujących miejsce zbrodni, przedstawiająca dwóch agentów, z których jeden był ranny, a drugi robił coś niedozwolonego, wyciekła do prasy i zarządzono wewnętrzne śledztwo mające na celu wykrycie uczestników kolejnych czatów. Dopiero wówczas wszyscy ci tak zawsze pewni swego durnie się opamiętali.

– Nie chodzi o mnie, Joan, jestem w szpitalu w związku ze śledztwem.

Miała straszliwą ochotę wprowadzić go w szczegóły i opowiedzieć mu wszystko, potrzebowała opinii kogoś, kto nie jest wmieszany w sprawę, ale nie mogła. Musiała dołożyć wszelkich starań, żeby zmienić temat.

– Mamy tu prawdziwy potop. Pogoda, że psa szkoda wypuścić. W Barcelonie też leje?

– Nie, świeci słońce, tak samo jak wczoraj.

Ana omal nie wybuchnęła płaczem. I to z tak błahaego powodu. Nie z powodu



chłopca, nie z powodu Slendermana, nie w związku ze sprawą, tylko z tęsknoty za słońcem wdzierającym się przez okno w pociąg. Z tęsknoty za chwilą spokoju. Za życiem bez tego gówna.

Joan przyzwyczył się już, że Ana trzyma go z dala od wszystkich swoich zawodowych problemów. No, może prawie wszystkich.

– Tak sobie myślę – powiedziała – czy nie wyświetlił ci się żaden alarm w programie śledzącym pedofilów?

– Nie, chociaż mam pod kontrolą kilku stałych gości, którzy, jak mi się zdaje, mogą zaczynać myśleć o wyprodukowaniu własnego materiału z dziećmi. Muszę to przesłać Noriemu, żeby przekazał do JTD.

Kiedy Joan znajdował coś podejrzanego na pedofilskich portalach śledzonych przez Javiera, postępowali obaj zawsze tak samo. Joan przysyłał dane Noriemu, a ten słał cały materiał do jednostki policji wyspecjalizowanej w zwalczaniu cyberprzestępczości. Udało mu się przekonać jej pracowników, że poświęcają swój czas wolny na wyszukiwanie zbrodni w sieci. Problemem było jednak to, że jeden człowiek, działający w swoim wolnym czasie, odnosił czasem więcej sukcesów niż cała jednostka policji. Joan z Norim musieli więc zacząć myśleć o zmianie taktyki.

– Ana, musisz pomyśleć o sobie.

– Nie. Nie. Muszę myśleć o tych chłopcach.

Wciąż ta sama dyskusja. Ilu pracowników policji odbywa podobne rozmowy ze swoimi partnerami? Ana sądziła, że chyba wszyscy. A przynajmniej ci, którzy coś znaczyli. Niektóre przypadki po prostu pochłaniały człowieka bez reszty i nie wychodziły mu z głowy. Sprawa. Ofiary. Winni. A przede wszystkim rozwiązanie. Połączyć ze sobą wszystkie elementy. Rozwiązać zagadkę. Była to także, choć ciężko się do tego przyznać, walka z własnym ego, walka o to, żeby wygrać partię.

– Czy pani jest policjantką? – Ana usłyszała pytanie. Zadała je młoda dziewczyna w białym fartuchu. Podeszła tak cicho, że Ana jej nie zauważyła.

To był znak, że sprawa, którą prowadzi, wystawia jej rachunek: wystarczyło, że przez chwilę przestała zwracać uwagę na otoczenie, i już nie zauważyła dziewczyny. Na jej miejscu mógł się znaleźć ktokolwiek.

– Joan, muszę kończyć, ktoś po mnie przyszedł. Zadzwoń później.

Dziewczyna zaprowadziła Anę za podwójne drzwi, które otworzyła, przycisnąwszy wielki czerwony guzik łokciem. Taki nawyk, wyjaśniła, widząc zdumione spojrzenie Any, przez to wejście wjeżdżają najpoważniejsze przypadki, z wypadków i tym podobne, więc skoro nie możemy używać rąk,

żeby nie przenieść zarazków, to naciskamy guzik otwierający drzwi łokciem.

– Chłopiec jest na OIOM-ie, w bardzo ciężkim stanie. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Jestem doktor Marina Tribino. Tak, wiem, za dużo „n”, ciągle to słyszę – dodała, ale natychmiast spoważniała. – Przepraszam panią, przepraszam. Zawsze wymyka mi się to samo, wiem, to nie najlepszy moment. Nie chciałam. Przepraszam. Pani przysłała w sprawie chłopca znalezionego w śmieciach. Przywieziono go niecałą godzinę temu. Trafił do mnie, tu, na oddział ratunkowy.

Szły obie w kierunku jednej z sal tego oddziału, pomalowanej na biało i z olbrzymim oknem, które wpuszczało strumienie światła, choć tego dnia wpadała przez nie tylko szarość nabrzmiąta deszczem. Znaczną część przestrzeni zajmowały stół i nosze. Na ścianach wisiały rysunki namalowane i podarowane przez dzieci, które w ten sposób chciały podziękować za opiekę i starania, jakich w szpitalu doświadczyły.

– Mały wiele wycierpiał. – Lekarka zamknęła drzwi i wskazała Anie krzesło. – Nawet sobie nie umiem tego wyobrazić. Jest nieprzytomny. Jego ciało było ściśnięte przez wiele godzin. Ma kilka złamanych żeber i obawiamy się, że również niedotleniony mózg. Co więcej, siła ssania, której użyto, żeby go wyciągnąć, mogła mu uszkodzić jakiś organ wewnętrzny.

– A czy ma jakieś inne obrażenia oprócz tych wywołanych przez system hydrauliczny?

– Nie potrafię pani powiedzieć. I trudno to ocenić, ponieważ podczas przepychania go przez rurę do zbiornika mógł się pokaleczyć o wiele rzeczy. To będzie musiał ocenić na spokojnie patomorfolog. Teraz ograniczyliśmy się do tego, żeby go ustabilizować i ratować mu życie.

– Wyjdzie z tego?

– Trudno powiedzieć, musimy go obserwować przez najbliższe dwie doby, zobaczymy, czy będą postępy.

– Muszę go zidentyfikować. Czy mogę go zobaczyć? Muszę wiedzieć, kim on jest, żeby powiadomić rodziców. Proszę to zrozumieć, pani doktor.

Doktor Tribino się zawahała. W każdym innym przypadku by odmówiła. Na OIOM dziecięcy nie miał wstępu nikt poza najbliższą rodziną. Tylko jedna osoba naraz i tylko na kilka godzin dziennie. Ale ten przypadek był szczególny i rodzice dziecka znajdującego się na granicy życia i śmierci powinni przynajmniej wiedzieć, że zostało ono znalezione. I być przy nim, gdyby to miały być jego ostatnie godziny...

– Czy zdoła go pani zidentyfikować przez szybę? – spytała w końcu.

– Sądzę, że tak. Postaram się. Proszę mi pozwolić spróbować.

OIOM dziecięcy znajdował się piętro wyżej niż oddział ratunkowy. Żeby tam dotrzeć, omijając strefę ogólnodostępną, lekarka powiodła Anę schodami przeznaczonymi jedynie dla personelu. W miarę jak zbliżały się do OIOM-u, serce Any biło coraz mocniej.

– Pokój numer trzy. Trzecie okno po lewej stronie. Tam, naprzeciwko stanowiska pielęgniarki. Chce pani, żebym z panią poszła?

– Wolę iść sama. Dziękuję pani bardzo.

Najpierw zobaczyła stopy. Całe w siniakach i zadrapaniach. Ręce ułożone wzdłuż ciała, też boleśnie poturbowane, choć obmyto je już z krwi, a rany zostały oczyszczone. Gdyby nie obrażenia widoczne na całej skórze, mogłoby się wydawać, że chłopiec spokojnie śpi po intensywnym dniu spędzonym w przedszkolu i na zabawie.

Ana zmusiła się, żeby przesunąć wzrok, choć podświadomie odsuwała od siebie moment, kiedy dowie się, kim on jest. Bała się. Poczła, jak kwaśna zawartość żołądka podchodzi jej do gardła i niemal pali przełyk. Zmusiła się jednak do spojrzenia na głowę dziecka. Jej wzrok napotkał w końcu twarz małego.

Poczła nagle, że w płucach brakuje jej powietrza.

To był Pablo.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

# 31.

## INÉS

Choćbyś zmieniała proporcje, zawsze pachnie tak samo.

Krew – utleniona przez kontakt z powietrzem – to pierwsze, co wyczuwa system ostrzegawczy organizmu. Zapach starego żelaza przeżuwanego w ustach. Gęsty i odrzucający.

Zapach niebezpieczeństwa.

W biologicznej, zwierzęcej reakcji, która pozwoliła rasie ludzkiej przetrwać, najdawniejsze części naszego mózgu ssaka, *limbus* i *hipotalamus*, łączą zapach krwi z potrzebą natychmiastowej reakcji. Jesteśmy ranni albo raniliśmy zwierzę, które chcemy upolować. Ukryj się albo atakuj. Lecz się albo zabij.

Dlatego szpital wprawia nas w stan pogotowia.

Bo pachnie krwią. Albo tak nam się wydaje. W rzeczywistości to, co unosi się w szpitalnym powietrzu, to mieszanina krwi, alkoholu, chloru i środków odkażających plus ketony, jakie wydzielają niektóre chore ciała – bardzo ulotne i dlatego tak wyczuwalne – gazy jak tlen i azot oraz oczywiście środki medyczne używane do leczenia pacjentów.

I choćbyś w tej mieszaninie zmieniał proporcje, to i tak, o dziwo, wszystkie szpitale pachną tak samo.

Krwia. Strachem. Niepokojem. Rozpaczą.

Niesłychanie rzadko szpital pachnie cudem. Nie to, że cud się tam nie zdarza. Albo cuda. Zdarzają się. Ale my ich nie wyczuwamy, bo ból zawsze jest intensywniejszy niż radość. Płacz – niż śmiech. Żal – niż nadzieja. Cuda przechodzą niezauważone przez tych, którzy nie stoją po stronie dobrych wieści.

Tamtego dnia, kiedy wbiegałam przez przestronny hall nowej kliniki Puerta de Hierro, owszem, czułam tę nadzieję, która przeszywała każdy por mojej skóry. Pablo żyje. Żyje! Nawet nie przerwałam połączenia. Pobiegłam do drzwi wyjściowych. Zbiegłam po schodach, nie czekając na windę. Biegłam ulicą, szukając taksówki. Biegłam przez szpitalne korytarze. Pablo żyje i tylko to mnie obchodziło.

Tamtego dnia krew miała dla mnie zapach nadziei.

Moje dziecko zostało uratowane.  
Moje geny przetrwają w kolejnym pokoleniu.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

32.

## INÉS/ANA

Ana niewiele już mogła zrobić w szpitalu.

Fakt, to ona do mnie zadzwoniła, by mi powiedzieć, że Pablo jest na OIOM-ie. I to ona zaczekała na mnie przed pokojem, gdzie leżał mały, pełniąc przy nim ten dziwny i niemal absurdalny dyżur, żeby ciągle miał przy sobie kogoś, kto go kocha, tak jakby mój syn był świadomy tego, co się wokół niego dzieje.

Ana niewiele już mogła zrobić w szpitalu.

Pablo się odnalazł, ale należało go jeszcze ocalić. Ja musiałam odkupić winy. A Ana musiała odnaleźć skurwysyna, który zrobił to mojemu dziecku.

I ułożyć puzzle. Gdzie są dwaj pozostali chłopcy? Gdzie są Kike i Nicolás?

– Mam jeszcze dwóch chłopców do oddania rodzicom – powiedziała Ana, przepraszając mnie, że wychodzi, i odeszła spiesznie szpitalnym korytarzem.

Ana pozostawiła samochód przy wjeździe na oddział ratunkowy, na tyłach szpitala. Oszczędziło jej to wychodzenia przez główne wejście, okupowane przez dziesiątki dziennikarzy. Ktoś rozpuścił wieść, że w tym szpitalu leży jedna z ofiar Slendermana, dziecko, któremu udało się wyrwać z rąk potwora. Owego dnia nie było ważniejszej wiadomości. Czy wiedzą już, że chłopiec, który przeżył, to mój syn? Syn reporterki celebrytki, autorki bestsellera? Niemal doskonała burza informacyjna.

Podczas gdy ja, spowita od stóp do głów w sterylne fartuch, czapkę i kapcie, wodziłam opuszkami palców po obrażeniach mojego dziecka, jak gdyby matczyzna miłość mogła dokonać cudu uzdrowienia, Ana nagle przypomniała sobie o Patricii i jej ojcu. Oby tylko Eva, adwokat do spraw nieletnich, zdołała ich zatrzymać w jednostce. Co im miała powiedzieć ta dziewczyna o Pablo? – zastanawiała się Ana. Czy widziała, jak ktoś go wrzuca do hydraulicznego systemu odbioru śmieci?

W biurze Any siedział tylko Jesús Silvelo.

– A twoja ekipa? – zapytała Ana, zdumiona spokojem, który nagle tu zapanował.

Dopiero od piętnastu godzin część grupy do spraw porwań i wymuszeń



pracowała w jej komendzie, ale zdawało się, że minęły już całe wieki. Ana musiała się wysilić, by przypomnieć sobie, jak wyglądało jej biuro dobie wcześniej. Poprzedniego dnia.

– Pojechali do Majadahondy, szukają ewentualnych świadków wydarzeń dotyczących Pabla. Staramy się też zebrać więcej nagrań z kamer bezpieczeństwa, tych ze sklepów, które wczoraj były zamknięte. Jak się czuje mały?

– Źle. Bardzo źle. Lekarze nie wiedzą, czy z tego wyjdzie.

Ana opadła ciężko na krzesło. Czasami czuła się, jakby spadł jej na grzbiet cały ciężar świata, nieświadoma, że to przecież ona sama zarzuca go sobie na plecy. Bo chce wszystko zrobić. Do wszystkiego dotrzeć. Być za wszystko odpowiedzialna. Pragnąc wszystko rozwiązać. To się nie zmieni, póki ona sama nie zacznie zrzucać z siebie tego ciężaru.

Ale nie owego dnia. Owego dnia decyzje Any mogły uratować czyjeś życie. Wszystko miało zależeć od tego, co uczyni przez następne godziny.

– Przesłuchaliście sprzedawcę? Prawie już przekraczamy dozwolony czas zatrzymania.

– Tak. I nic. Potwierdziliśmy alibi i musieliśmy go wypuścić. Złożył zeznania przed policją miejską Madrytu z powodu skandalu w agencji towarzyskiej. – Silvelo zrobił gest wyrażający zarazem desperację i zmęczenie.

– No to kolejne drzwi się zamknęły – odparła Ana, podnosząc się automatycznie i niechętnie. – Patricia. Mamy tu przecież Patricię – dodała, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy, jakby zapomniała, że dziewczyna czeka w komendzie wraz z ojcem na przesłuchanie. – Zobaczymy, czy dopisze nam szczęście i wskaże nam jakiś ślad osoby, która wrzuciła Pabla do zsypu.

Niczego jeszcze nieświadoma, nadinspektor Arén zaczynała właśnie ratować czyjeś życie.

\*\*\*

Chciałam jedynie siedzieć tam, na tym krześle, wpatrzona w twarz swojego syna, trzymając go za rękę i głaszcząc jego ramię. Znałam na pamięć mapę jego skóry, jego pieprzyki, zagięcia, krzywizny. Rozpoznałabym go wszędzie. Ślepa, głucha czy niema samym dotykem rozpoznałabym ciało swojego dziecka.

I chciałam tylko tam pozostać, tam i teraz. Jak w tym momencie. Móc pieścić Pabla. Do końca życia.

Ale ludzie uparcie chcą cię zobaczyć.

Niemal wszyscy kierują się najlepszymi intencjami. Czy to się na coś zda? Nie wiem. Co powiesz matce w podobnej sytuacji? Tylko puste słowa. Wszystko

będzie dobrze. Pablo z tego wyjdzie. To silny chłopiec. Zachowaj wiarę.

I tak dalej. We wszystkich możliwych wariantach.

Wszystkie te zdania drażnią cię, unoszą się jak kropelki oliwy w wodzie, jakby nie miały z tobą nic wspólnego. Czy to się na coś zda? Nie wiem, powtarzam. Chociaż czasami, wiedziona czystym instynktem przeżycia, chwytasz się jednego z nich, starając się uwierzyć, że przecież tyle osób nie może się mylić. Jeżeli tyle ludzi upiera się przy czymś, to znaczy, że to jest pewne, zatem wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– Nie chcę cię do niczego zmuszać, Inés, ale powinnaś to przemyśleć.

Manuel, mój szef, przyjechał jako jeden z ostatnich. Jasne. Musiał się zająć przygotowaniem serwisu informacyjnego. Mówię to bez ironii. Nie ma nic takiego na świecie, co sprawiłoby, żeby dziennikarz rzucił robotę w samym środku kryzysu informacyjnego. Choć w tym przypadku kryzysem informacyjnym byliśmy mój syn i ja.

Policja, sądzą, że na prośbę Any, wysłała grupę agentów do pilnowania piętra, gdzie znajduje się OIOM dziecięcy, aby nie dostał się tam nikt ciekawski. Potem dowiedziałam się również, że w wielu miejscach szpitala byli agenci po cywilnemu, na wypadek gdyby Slenderman postanowił zjawić się tutaj i węszyć. Doświadczeni profilerzy wyspecjalizowani w tworzeniu profili przestępców twierdzili, że to człowiek w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat, bez studiów wyższych, biały, zbudowany atletycznie, a przynajmniej wysportowany. Było również możliwe, zdaniem ekspertów, że jest bezrobotny albo ma elastyczny czas pracy. Miliony mężczyzn pasuje do tej charakterystyki.

Lecz agenci w cywilu rozsiani po szpitalu szukali czegoś jeszcze. Byli doświadczeni w wyłapywaniu podejrzanych osobników. Pracowali przede wszystkim na lotniskach i w punktach granicznych. Umieeli rozróżnić gesty zdradzające, kiedy kogoś zżerają nerwy, bo ma coś do ukrycia.

Nikt nie miał prawa wstępu do strefy, gdzie leżał Pablo, nie będąc wcześniej wylegitymowany. Nie wpuszczono nawet mojej matki, póki nie potwierdziłam, że to ona. Przyjaciele i koledzy, którzy chcieli się ze mną zobaczyć, musieli być poddani tej samej procedurze: policjant przynosił mi czyjś dowód osobisty, a ja miałam poświadczyć, że znam daną osobę i że może ona wejść.

Najchętniej oznajmiłabym, że nie znam nikogo z nich i niech mnie wszyscy zostawią w spokoju. Ale jednocześnie potrzebowałam od czasu do czasu czyichś ramion, które by mnie podtrzymały.

Najtrudniejsze, choć także najbardziej podnoszące na duchu, było spotkanie z moją matką. Nikt lepiej niż matka nie pocieszy cię w swoich objęciach, nie

oczekując wyjaśnień. Bo w końcu, nie mając innego wyjścia, zadzwoniłam do niej, aby powiedzieć, że Pablo zniknął, ale odczekałam do czwartej rano w poniedziałek, dając jej czas niezbędny na spakowanie i dojazd na lotnisko. Nie miało sensu informowanie jej w niedzielę wieczorem i skazywanie na to, by cierpiała w samotności cały ranek, póki samolot nie przywiezie jej z powrotem z wakacji na Lanzarote do Madrytu. Pabla odnaleziono w zbiorniku na śmieci w chwili, gdy odbierała walizkę z taśmociągu.

Żadne słowa nie były nam potrzebne. Zapytała tylko o dwie rzeczy: w jakim stanie jest Pablo i jak ja się czuję. Nic innego nie było ważne. Potem usiadła po drugiej stronie łóżka mojego syna i zaczęła go rytmicznie gładzić po rękę, jakby odprawiała jakiś rytuał, wkładając weń całą miłość świata.

– Nie chcę cię do niczego zmuszać, Inés, ale powinnaś to przemyśleć – nalegał mój szef. – Musisz uciąć spekulacje. W końcu siedzisz w tej robocie, znasz siłę, jaką dysponujesz w tej chwili. Wszyscy będą cię słuchać.

– Słuchać czego? Co mieliby ode mnie usłyszeć? Że mój syn jest na granicy życia i śmierci? – pytałam coraz bardziej podniesionym głosem. – Że nie wiem, czy mam czuć ulgę, bo się znalazł, czy rozpacz, bo nie wiem, czy przeżyje? Co miałabym powiedzieć? Co dokładnie, Manuelu? Co ludzie mieliby ode mnie usłyszeć?

\*\*\*

– Cały dzień stracony, cały dzień stracony na tym komisariacie. Czy pani uważa to za normalne? Mamy swoje prawa.

To miała być trudna rozmowa. Bez wątpienia.

– Patricio.

Ana zwróciła się bezpośrednio do dziewczyny, usiadła przy niej, bardzo blisko, i spojrzała jej w oczy. Tylko ty się dla mnie liczysz, liczy się dla mnie tylko to, co masz do powiedzenia. Jestem tu z twojego powodu, dawały do zrozumienia jej gesty.

– Patricio, przepraszam, że musiałaś czekać. Nie wiem, czy moi koledzy cię poinformowali, ale znaleźliśmy jednego z chłopców porwanych przez Slendermana.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy skryte za zasłoną z włosów.

– Jeśli tak, jeśli tak, to ja już nie muszę niczego zeznawać, nie? Jak już ich znalezione, to mnie nie potrzebujecie – westchnęła z ulgą.

„Ich”? Patricia użyła liczby mnogiej. Gdzie jest drugi chłopiec? Czy jest jakiś drugi chłopiec w kanale odprowadzającym śmieci? A może jest ich tam dwóch? Czy wszystkie ofiary Slendermana trafiły do tego przeklętego hydraulicznego

systemu odbioru śmieci?

– Patricio, mówisz o dwóch chłopcach? Znaleźliśmy jednego. Tylko jednego. Potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek. To, co widziałaś, jest sprawą fundamentalną dla wyjaśnienia tej sprawy.

Ana, która nadal siedziała tuż przy dziewczynie, mogła niemalże wyczuć jej wątpliwości. Kątem oka zauważyła, że Eva wykonuje jakiś gest w kierunku ojca, powstrzymując go przed wtrąceniem w rozmowę.

– Którego znaleziono? Którego z tych dwóch?

– Patricio, co ty wiesz? Co widziałaś? – Nadinspektor Arén nie chciała zdradzić niczego, co mogłoby wpłynąć na zeznania nastolatki.

– Pani nadinspektor... – wtrąciła się Eva, pragnąc pomóc Anie.

Eva swoim wyglądem przeczyła stereotypowi adwokata. Nosiła jeansy, koszulki i sportowe buty. Nie nakładała makijażu, a włosy zbierała w ogon i spinała którąkolwiek spośród wielu kolorowych gumek, które zawsze nosiła na nadgarstku. Miała czterdzieści cztery lata, ale bez trudu mogłaby uchodzić za dwudziestopięciolatkę, niewiele starszą od nastolatków, których obrony się podejmowała.

– Mówiłam już Patricii i jej ojcu, że nie muszą się niczym niepokoić, że są tutaj, bo chcą współpracować z policją, i nikt ich o nic nie oskarża. Jesteśmy wdzięczni, że chcą nam pomóc uratować tych chłopców.

Uratować? Patricia mówiła przecież, że obaj nie żyją. Aczkolwiek ostatnie wydarzenia dowiodły, że jeden z porwanych żyje. Wprawdzie jest w ciężkim stanie, ale żyje.

– Ja bym tam nigdy nie poszła, na noc zamyka się dostęp, wiecie o tym?

– Do czego dostęp się zamyka?

– Do lasu, zamykają go na noc, ale jest sposób, żeby tam wejść.

– Jest sposób, żeby tam wejść – powtórzyła Ana, żeby zachęcić dziewczynę do mówienia dalej.

– Tak, kumpel mi pokazał.

– Powiedz im, powiedz, co to za kumpel – wyrwał się ojciec, siedzący w drugim kącie małego biura. – Taki świr, pani władzo, taki świr, jeden z najgorszych w szkole. Moja córka przyciąga jak magnes takich bezmózgowców.

– Bardzo proszę – wtrąciła się Eva. – Proszę pozwolić córce opowiadać. Patricio, posłuchaj, nie zrobiłaś nic złego. Słuchamy cię.

– Koszulka – odezwała się w końcu dziewczyna. – Rozpoznałam go po koszulce. Widziałam ją w telewizji.

\*\*\*

– Dziękuję za uszanowanie naszej prywatności.

Dziwnie było stać tutaj, po drugiej stronie, samej będąc newsem. Dziwnie było stać przed kolegami z pracy i znosić to wszystko. To, co widziałam ze swojej perspektywy, budziło lęk. A zarazem było śmieszne. Kilkudziesięciu dziennikarzy kłębiło się na klęczkach u moich stóp z kamerami, mikrofonami i sprzętem nagrywającym wycelowanym w moją twarz. A kolejna dwudziestka stała za moimi plecami. Wyglądaliśmy jak jakaś wielokomórkowa istota o zaburzonej równowadze, jakiś żywy organizm falujący i kiwający się w panującym chaosie, który jednak skrywał w sobie jakąś tajemniczą matematyczną formułę pozwalającą uniknąć anarchii. Byłam niczym magnes przyciągający wszystkich. Środkiem ciężkości ich ruchu.

W końcu zdecydowałam się wyjść ze szpitala i porozmawiać z ludźmi, z którymi codziennie pracowałam, z dziennikarzami, reporterami i fotoreporterami, z którymi wspólnie przygotowywaliśmy kolejne wydania, z ludźmi, z którymi spędziłam tyle godzin na dyżurach. Czekali na mnie cały dzień i w jakiś sposób czułam, że jestem im to winna. Choćbym miała rzec tylko kilka słów.

Odczekałam, aż wszyscy zajmą miejsca, aż włączą kamery i ustawią sobie przywoity plan, aż włączą się wszystkie mikrofony. Żeby nikomu nic nie umknęło. Patrzyli na mnie w milczeniu, szanując mój czas.

– Dziękuję za waszą troskę. Dziękuję za wszystkie słowa otuchy, które wciąż napływają. O wielu rzeczach nie mogę mówić, wiecie państwo, że nie wolno mi zdradzać szczegółów toczącego się śledztwa. Pablo jest w ciężkim stanie, przebywa na OIOM-ie. Lekarze twierdzą, że następne godziny będą decydujące.

– Jakim cudem znalazł się w zbiorniku na śmieci?

– Jakie hipotezy stawia policja?

– Czy to był Slenderman?

– Czy odnaleziono pozostałe dzieci?

Pytania spadały niczym lawina kamieni. Gdy tylko padło pierwsze, nic już nie mogło powstrzymać kolejnych. Po trwającym kilka sekund grzecznym, ale też wstydliwym milczeniu – jak należy traktować koleżankę, a dla niektórych nawet przyjaciółkę, która nagle weszła w rolę ofiary? – otaczający mnie dziennikarze zaczęli mówić wszyscy naraz. Nie byłam w stanie rozróżnić pytań, słyszałam ich, jak gdyby znajdowali się po drugiej stronie tafli akwarium wypełnionego wodą. Glu. Glu. Glu. Kim są ci ludzie? Co do mnie mówią? Czego ode mnie chcą?

Co ja tutaj robię?

– Naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej. Niewiele również wiem, śledztwo w sprawie objęte jest tajemnicą. Ogromnie dziękuję za troskę i za uszanowanie naszej prywatności. Wracam do swojego syna. Tylko on się teraz dla mnie liczy. Pablo mnie potrzebuje. Bardzo proszę.

Dokonałam niemal nadludzkiego wysiłku, żeby odwrócić się i pójść w kierunku drzwi wiodących do szpitala, nie chwiejąc się na nogach.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 33.

# ANA

Koszulka Kike.

Kluczem była koszulka, którą Kike miał na sobie w dniu zaginięcia, a którą media i portale społecznościowe prezentowały setki razy. Ogromne „S” od Supermana na czerwonym tle z napisem „SuperKike” pod logo. Ciuszek zamówiony specjalnie dla synka przez ojca. Koszulka, którą widziało pół Hiszpanii.

Kiedy w ową niedzielną noc Patricia i jej chłopak przeskoczyli przez ogrodzenie otaczające las Pilar, poszukiwali jedynie jakiegoś miejsca, żeby się napić, wypalić skręta i spokojnie pouprawić seks, przez nikogo nieniepokojeni. Nic, co stanowiłoby przekroczenie jakichś norm dla ludzi w ich wieku.

Zdołali przejść ledwie pół kilometra, oświetlając komórkami ścieżkę między sosnami, kiedy trafili na opuszczony dom w Coto Blanco, trzypiętrowy pałacyk, w którym nikt nigdy nie zamieszkał i z którego po trzydziestu latach zaniedbania pozostały jedynie ściany i część dachu. Reszta się zawaliła i na niższych piętrach uformowały się góry gruzu, przynajmniej tam, gdzie dało się zajrzeć przez ogrodzenie otaczające budynek i odcinające do niego dostęp. Na terenie przeznaczonym na ogród wybudowano nawet basen, który zapełniała jednak czasami tylko deszczówka.

– Mam trochę cykora.

– Nie bój nic, chodź, zobaczymy, co tam jest. Tu nigdy nikt nie włązi. To my pierwsi od dwudziestu lat wdepniemy w te ruiny.

Przeskoczywszy ogrodzenie, Patricia i Hugo ruszyli naprzód, trzymając się za ręce; ona oświetlała komórką uginający się grunt, po którym stąpali, on niósł reklamówkę z butelką ginu i szklankami, zakupionymi chwilę wcześniej w sklepiku całodobowym przy Avenida de Espana. Weszli do domu przez dziurę, która kiedyś miała stanowić główne wejście, mijając nigdy niezainstalowane drzwi wejściowe, ku którym prowadziły cztery olbrzymie stopnie, coś na kształt nieistniejącego ganku.

Salon i hall wejściowy były nie do przejścia. Patricia i Hugo musieli posuwać



się z największą ostrożnością, żeby nie potknąć się o zwały gruzu, między którymi dawno już zdążyły wyrosnąć krzaki. Starając się nie przewrócić, dotarli do pomieszczenia, które miało chyba być kuchnią, zaskakująco dobrze zachowanego. Za framugą znaleźli pokój bez okien, pomyślany zapewne jako spiżarnia lub składzik.

I tam usiedli. Tam się napili. Wypalili po skrócie. Zaczęli się kochać.

I na tym mogłaby się zakończyć ich nocna przygoda, gdyby nagle nie usłyszeli dziwnego szmeru, jakby coś powoli pełzło gdzieś pod ich stopami.

– Szczury! Fuj! Co za obrzydliwość! – wrzasnęła Patricia.

Ale to, co poruszało się w piwnicy opuszczonego domu, nie było szczurem. To coś wystraszył krzyk Patricii. I wyskoczyło spośród czegoś, co wydawało się górą uschłych krzewów. Coś na dwóch nogach i z dwiema rękami, co pognało przed siebie jak dusza potępiona.

Patricia i Hugo mieli wrażenie, że czas stanął w miejscu, a oni oboje zastygli, bojąc się nawet odetchnąć. Przez kilka sekund jedyne, co się w nich poruszało, to dwa walące niczym młot serca, pompujące spienioną krew. Dopiero po kilku minutach, w absolutnej ciszy, ręka chłopaka przesunęła się po omacku w poszukiwaniu ręki dziewczyny, by mocno ją chwycić, jak gdyby w ten sposób powstał piorunochron, który ściągnie cały przepełniający ich strach i go od nich odsunie.

Patricia odezwała się pierwsza. I pierwsza się podniosła.

– Skąd wyskoczył ten człowiek? Musi tu gdzieś być jakaś kłapa.

Poświeciła komórką po podłodze. Tamten człowiek wyskoczył z jakiejś dziury w kącie kuchni.

– Zobacz, tutaj jest.

Kłapa była otwarta. Przez nią widać było wąskie cementowe schody, wiodące wzdłuż ściany do pomieszczenia pomyślanego zapewne jako piwniczka na wino lub zapasy żywności.

– Patricia, wracaj, kurwa. Nie schodź tam. Wiejemy.

Ale było już za późno. Patricia postawiła stopę na pierwszym stopniu. Potem na drugim. A następnie na trzecim. Później nie potrafiła wyjaśnić, po co to zrobiła. Umierała ze strachu. Po co tam schodziła? Prawą ręką przytrzymała się ściany. Schody nie miały poręczy, a z lewej strony ziała dziura, w którą dziewczyna nie chciała wpaść. Na piątym stopniu przystanęła i przykucnęła, żeby lepiej dojrzeć, co jest w dole. Przesunęła po piwnicy snop światła z ekranu komórki.

– Co tam widać? Jest tam coś? – pytał Hugo, który odważył się przycupnąć

nad klapą.

– Nic, półki zamontowane przy ścianie. Ale schody i podłoga są czyste, jakby ktoś je niedawno pozamiatał.

Patricia zeszła jeszcze stopień niżej i znów przykucnęła, żeby oświetlić komórką kąt znajdujący się tuż przy schodach.

– Ożeż kurwa! Ożeż kurwa!

– Co jest? Co tam widzisz?

– Kurwa mać! Dwaj chłopcy!

– Możesz już wrócić? Możesz wreszcie wrócić, do kurwy nędzy? – wrzeszczał Hugo, klęcząc u szczytu schodów.

– Idę już, idę, ja pierdołę. Zrobię tylko zdjęcie.

– Z ciebie to dopiero model! – Hugo chwycił Patricię za rękę, żeby wciągnąć ją po ostatnich stopniach. – Spierdalamy stąd.

Kiedy wypadli z lasu i uznali, że są bezpieczni, Patricia przysiadła na chodniku w pobliżu ulicy, gdzie było skupisko restauracji. Oddychała szybko.

– Spójrz.

Skuleni w kącie, częściowo przykryci kocem, leżeli dwaj chłopcy. Ciała dwóch chłopców. Jednego z nich znali. W ostatnich dniach ciągle pokazywano go w telewizji, a jego matka niezmordowanie prezentowała zdjęcia, jakie zrobiła małemu w dniu zaginięcia, zaledwie na parę minut przedtem, jak go straciła z oczu. „To mój syn, Kike, proszę, niech mi pan zwróci Kike, proszę, jest pan dobry, a Kike jest taki mały i tak bardzo się boi, on potrzebuje matki, bardzo pana proszę”. Martwe dziecko w piwnicy miało na sobie jego koszulkę. SuperKike.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 34.

# ANA

Po raz trzeci tego dnia Ana włączyła sygnały świetlne i dźwiękowe policyjnego wozu i przejechała z samobójczą prędkością odległość siedemnastu kilometrów dzielącą Majadahondę od Madrytu. Sama usiadła za kierownicą i prowadziła jak szalenciec.

– Ana, bo się pozabijamy. Albo jeszcze gorzej, zabijemy kogoś przy okazji. Oni nie żyją, ci chłopcy nie żyją, dziesięć minut ich nie zbawi!

Silvelo siedział na przednim siedzeniu. Za nimi jechało jeszcze kilka radiowozów. Przez zestaw głośnomówiący rozmawiali z Patricią i jej ojcem. To on dawał instrukcje co do drogi.

– Zostawcie samochód za boiskami Atlético de Madrid, widzicie je? Jedźcie jeszcze kawałek ulicą aż do ronda. Od ronda na prawo odchodzi polna dróżka, która prowadzi do ogrodzenia lasu Pilar. Widzicie ją? Tak, dalej na lewo i za chwilę zobaczycie bramę.

Ana i Jesús pędzili już przez las, szukając dojścia wskazanego przez Patricię i jej ojca. Kilka metrów za nimi pędziło pięciu policjantów z jednostki.

– Dotarliśmy – stwierdziła Ana bez tchu. – A teraz dokąd?

Wskazówki ojca doprowadziły ich do opuszczonego domu. Gdy tylko sforsowali ogrodzenie, Ana poprosiła do telefonu Patricię.

– A teraz, Patricio, powiedz mi dokładnie, gdzie mam szukać, gdzie jest to wejście do piwnicy.

I byli tam, dwaj chłopcy, ułożeni jeden przy drugim. Ale koc, który widać było na zdjęciu w komórce Patricii, gdzieś zniknął. Jednym z chłopców był bez wątpienia Kike. Sprawiał wrażenie, jakby się uśmiechał. Drugi wyglądał jak zmumifikowany. Skóra na jego twarzy była ściągnięta, a w oczodołach brakowało już oczu. Lecz Ana nie miała wątpliwości, kim on jest. Spojrzała na nadinspektora Silvelo. Za późno, przyszłam za późno i nie udało mi się uratować tych dzieci, mówiło jej spojrzenie. Założyła lateksowe rękawiczki, żeby nie zanieczyścić pobieranych próbek. Dotknęła twarzy Kike. Była zaskakująco ciepła.

Ciepła i żywa.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 35.

# ANA

Doniesienia szybko zaczęły krążyć wśród dziennikarzy pełniących dyżur przed wejściem do kliniki Puerta de Hierro. Zbliżała się godzina nadawania bezpośrednich relacji podczas wieczornych serwisów, ale oni nie mogli ryzykować żadnej rewelacji, nie mając potwierdzenia, że to prawda. Drugi chłopiec? Udało się znaleźć drugą ofiarę Slendermana?

– Lolu, pamiętasz mnie? Tu nadinspektor Ana Arén, to ja prowadzę sprawę zaginięcia twojego syna.

Ana niemal słyszała, jak po drugiej stronie zamiera życie. Niemal widziała, jak kobieta opiera się o ścianę i powoli osuwa na podłogę, gdzie zastyga skulona w kłębek. Przygotowuje się na to, co usłyszy. Usiłuje osłonić się przed ciosem.

– Mam dobre wiadomości, Lolu, dobre wiadomości. Właśnie odnaleźliśmy Kike. Żywego. Pędź do kliniki Puerta de Hierro. Wchodź przez oddział ratunkowy, bo główne wejście okupują dziennikarze. Będzie tam czekał na ciebie policjant, żeby cię wpuszczono. Ja przyjadę później. Cieszę się, Lolu, bardzo się cieszę, bardzo, ze względu na Kike i na was.

Ale najpierw Ana musiała spełnić inny bolesny obowiązek. I musiała go dopełnić osobiście. Są takie rzeczy, których nie można przekazać przez telefon i których nawet nie powinno się przekazywać twarzą w twarz, bo one po prostu nie miały prawa się zdarzyć. Ale się zdarzyły. I ktoś musi powiadomić rodzinę.

Zaparkowała przed domem. Już z ulicy dostrzegła ich w kuchni, szykowali kolację. Ich sylwetki odcinały się wyraźnie na tle zasłonek z białego lnu. Ana przychodziła do nich na razie z hipotezą, nie ze stuprocentowo pewną informacją. Chociaż wiedziała, że badania laboratoryjne potwierdzą tożsamość. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Ana! – odezwała się zaskoczona kobieta, ujrawszy ją w drzwiach.

– Nadinspektor Arén – przywitał się jej mąż, wyszedłszy z kuchni do przedpokoju. – Dawno cię nie było. Sądziliśmy, że raczej zadzwonisz, a nie że wpadniesz osobiście. Widzieliśmy materiał o tym odnalezionym dziecku, o synku tej dziennikarki. Czy to ma coś wspólnego z Nicolasem?

– Mogę wejść?

– Jasne, robimy właśnie kolację. Wchodź, wchodź. Zjesz z nami?

– Dziękuję, ale mam przed sobą długą noc. Przyszłam wam tylko coś powiedzieć.

Oparty o drzwi wejściowe stał rower. Stary niebieski rower BH należący jeszcze do ojca Nico, który mały odziedziczył, gdy ukończył trzy lata. Miał wciąż przykręcone dodatkowe kółka – „Mieliśmy zamiar je zdjąć, ale mały się bał”, opowiedzieli Anie rodzice w pierwszych dniach śledztwa – i plamki rdzy, wywołanej wilgocią i upływem lat.

– Nie jesteśmy w stanie go stąd zabrać – wyjaśniła matka Nicolasa, gdy zorientowała się, na co patrzy nadinspektor Arén. – Nie jesteśmy w stanie wynieść roweru na strych. To tu Nicolás zostawił go tamtego dnia.

Tyle czasu po jego zaginięciu matce nadal nie przechodziło przez gardło słowo „zaginięcie”. Dla niej to zawsze był „tamten dzień”.

– Chcemy, żeby go tutaj znalazł, gdy wróci.

Czas w tym domu zatrzymał się dla Nicolasa. Jego szczoteczka do zębów leżała na umywalce, tak jak ją pozostawił w wieczór poprzedzający dzień zaginięcia. Spiderman wciąż kłócił się z dinozaurem na nocnym stoliku. Piżama leżała złożona pod poduszką.

Ana była tam dziesiątki razy po zniknięciu chłopca. Znała zakamarki tego domu chyba lepiej niż jego mieszkańcy. Próbowwała wdrzeć się w ich myśli – w większości przypadków zaginięcia dziecka zamieszany jest w nie ktoś z rodziny lub ktoś mający bliski kontakt z dzieckiem – żeby odnaleźć Nicolasa żywego, ale zagubiła się w tym labiryncie, co odbiło się na jej psychice. Wspomnienia owych potwornie ciężkich tygodni wtargnęły niczym burza do jej umysłu i musiała przytrzymać się oparcia krzesła w salonie.

Teraz miało nastąpić najgorsze.

– Jak wicie, odnaleźliśmy jedno z zaginionych dzieci. To syn Inés Grau, dziennikarki pracującej w serwisie informacyjnym Kanału Jedenaście. Nie mogę zdradzić wielu szczegółów, ale nadal badamy powiązanie między jego przypadkiem a przypadkiem waszego syna.

Mażonkowie siedzący naprzeciwko Any popatrzyli na siebie z ogromnym smutkiem. Kolejny ślepy zaułek, pomyśleli. Jeszcze jeden.

– Ale jest coś, czego nie wicie, bo ta informacja nie została jeszcze podana do publicznej wiadomości, dlatego też proszę was o całkowitą dyskrecję. Odnaleźliśmy miejsce, gdzie porywacz mógł przetrzymywać dzieci przez cały ten czas, opuszczony dom w lesie Pilar pod Majadahondą. Znalazła je



przypadkiem dwójka nastolatków wczoraj w nocy.

Ana wiedziała, że owija w bawełnę. Wiedziała, że odsuwa jak najdalej chwilę, gdy będzie musiała powiedzieć rodzicom, że chyba odnalazła zwłoki dziecka, których wygląd zgadza się z opisem Nicolasa.

– Strasznie mi przykro, że muszę wam to powiedzieć. W tej kryjówce znaleźliśmy ciało – Ana nigdy nie używała słowa „zwłoki”, kiedy rozmawiała z rodzinami zaginionych – i analizujemy DNA, żeby sprawdzić, czy to nie jest może wasz syn.

W takiej chwili świat wali ci się na głowę z całą mocą. I tak właśnie poczuli się rodzice Nicolasa. Miażdżeni przez lawinę, machając kończynami w śniegu, nie wiedząc, czy toczą się ku jej czołu – ku wyjściu, ku tlenowi, ku życiu, czy zakopują się coraz głębiej we własny grób.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 36.

# INÉS

Na coś takiego nic cię nie przygotuje. To coś, co wymyka się schematom. Jest poza wszelkim prawdopodobieństwem. Ludzki mózg tak bardzo wyewoluował, tak bardzo oddalił się od stadium zwierzęcego, że zapomniał, jak odpierać podobne ciosy i dlatego, w obliczu czegoś tak straszego, kuli się w sobie, niemal do całkowitego zaniku, pozostawiając jedynie automatycznie funkcjonujące minimum połączeń neuronów, umożliwiających przeżycie. Serce bije. Płuca oddychają. Krew krąży. I niewiele więcej. Oczy się nie otwierają. Nogi nie utrzymują ciężaru ciała. Żołądek nie toleruje jedzenia.

Mózg gaśnie, bo nie jest w stanie znieść takiego przygnębienia. Zwinięty w kłębek gdzieś w kącie czaszki przestaje pracować i ceduje wszystkie swoje zadania na nieświadomą część ciała, część mechaniczną, żeby móc w ten sposób zacząć zasklepiać rany, żeby tak nie bolały, jak gdyby płytki i fibryna miały zdolność formowania bariery ochronnej w postaci strupa, który oddzieli nas nieco od emocjonalnej otchłani, w którą spadliśmy. Miesiące lub lata później, kiedy mózg zaczyna się budzić, tkanka mózgowa odtwarza się powoli wokół tego skrzepu bólu, który pozostanie tam już na zawsze, wdzierając się w każdą myśl i w każdy sen. Przez całe życie.

Póki nie umrzesz. A może i po śmierci.

Obudziłam się na szpitalnym łóżku. To pierwsze wspomnienie, jakie mam, a przynajmniej pierwsze, które zachowało się po drugiej stronie otchłani, jaką był strup mojej pamięci. W czasie po. W ciele po. W mózgu po.

Po Pablo.

Personel szpitalny zapewnia, że zanim całkiem wróciła mi świadomość, otworzyłam oczy dwu- lub trzykrotnie. Ale z jakiegoś powodu moja głowa tego nie zarejestrowała. Widocznie mój mózg pozostawał w kompletnych ciemnościach. Odłączony. Pewnie też pomogły środki uspokajające, które podano mi dożylnie.

Obudziłam się na szpitalnym łóżku. W tym samym szpitalu, w którym właśnie zmarł Pablo.

Pamiętam spokój. Może był to ten moment w moim życiu, kiedy zaznałam spokoju. Byliśmy tylko pustka i ja, zawieszeni w nieokreślonym czasie, unosząc się w nim bezwiednie.

Potem pojawił się pierwszy ból. Fizyczny. Pierwsze, co pamiętam, to światło rażące mnie w oczy. Otwarcie oczu sprawiało ból. Okropny. To był powolny proces, świadomie powolny. Stopniowo moje źrenice zwężyły się, ograniczając dostęp jarzeniowego światła obecnego w pokoju i pozwalając mi wreszcie otworzyć odrobinę oczu i popatrzeć.

Potem przyszło drugie ukłucie bólu. Również fizycznego. Poczułam wenflon w żyłę prawego ramienia. Byłam tak świadoma tkwiącej we mnie igły, że w owej chwili moje ciało ograniczało się do zaokrąglonej, elastycznej ściany przekłutej żyły, pulsującej wokół obcego ciała. Plastikowy smak długiej igły rozmiar dwadzieścia dwa wypełnił mi usta, rozlał się po podniebieniu i rozszedł się wraz z krwią po całym ciele. Byliśmy tylko żyłą i wenflonem w bezpośrednim starciu.

Ale to trzecia fala bólu mnie zdruzgotała. Ten ból wkłuł się bezpośrednio w szpik w moich kościach i rozlał się po wszystkich atomach ciała.

Trzecim bólem był Pablo.

Mój mózg ustanowił połączenia niezbędne dla przypomnienia sobie tego, co się stało. Chciałam krzyczeć, ale struny głosowe nie reagowały na moje polecenia. I ani język, ani podniebienie, ani wargi, ani zęby nie chciały ustawić się we właściwej pozycji, żeby wymówić jego imię. Wargi zwarte, częściowo ściśnięte, siekacze lekko oddalone przy „P”. Język nisko i płasko, wargi swobodnie i szeroko otwarte przy „A”. Wargi zwarte przy „B”, lekko wprawione w ruch struny głosowe. Przy „L” język w kształcie odwróconej zjeżdżalni, od tylnej części górnych siekaczy aż po migdałki, pozwala ująć powietrze kącikami ust i wprawia policzki w drganie. A przy ostatniej głosce aparat głosowy się rozluźnia. Wystarczy tylko pozwolić powietrzu przedostać się z płuc do ust, prześlizgnąć w dół po języku i ująć między zębami i wargami, tworząc „O”.

Ale ani wargi, ani język, ani podniebienie, ani struny głosowe, ani płuca nie reagowały na moje polecenia.

Z moich ust wydobył się wówczas głuchy krzyk, który zamiast rozbrzmiewać dźwięcznymi falami i roznosić się po całym pokoju, pozostał w mojej czaszce, eksplodując w moim mózgu jak milion kawałków szkła.

Pablo.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 37.

# ANA

W szpitalu Pablo żył jeszcze tylko kilka godzin. Nie dożył nawet do następnego dnia. Jego obrażenia były zbyt poważne, a mózg przez zbyt długi czas pozostawał niedotleniony. Może to i lepiej, tak naprawdę może to i lepiej, twierdzili lekarze, niż być skazanym na życie w stanie wegetatywnym.

Myślmy zazwyczaj, że tym, co najgorsze w zwłokach, jest ich woń. Ale dla Any najgorszą rzeczą był kolor zwłok, to wrażenie, że ma przed sobą coś bladego i wymizerowanego, coś, co zaczyna już zanikać i zawadzać żywym.

Kiedy wchodzisz do prosektorium, woń zwłok jest czymś, na co się nastawiasz. Idziesz tam przygotowany, że cię dopadnie. Ale nie będzie cię ona prześladowała, ilekroć zamkniesz oczy. Przez dwa, trzy dni będziesz czuł się tak, jak gdyby woń śmierci wydobywała ci się z gardła i wdzierła się – kwaśna i przyprawiająca o mdłości – przez nos bezpośrednio do mózgu. Ana odbierała ją jako mieszaninę odoru wymiocin niemowlaka ze smrodem gnijącej żywności, jaką znajdujesz w lodówce, która zepsuła się, gdy byłeś na letnich wakacjach.

Taką woń wydzielają zwłoki.

Ale stopniowo o tym zapomnisz. W końcu uleci z twojej głowy, z miejsca, gdzie przechowujesz niektóre zapachy, żeby dopaść cię ponownie w lepszym lub gorszym momencie. Ale czymś, czego nigdy nie zdołasz się pozbyć, czymś, co pozostanie w tobie na zawsze, uporczywie niczym bzyczenie komara w letnią noc, jest widok tego, co spoczywa na dwóch metalowych stołach. Na jednym z nich spoczywa ciało. Na drugim lekarz medycyny sądowej układa wszystko, co stanowiło część organizmu, który z istoty ludzkiej przeistoczył się w zwłoki. Wygodne buty, bo owego dnia ta wtedy jeszcze istota ludzka musiała się nabiegać. Stara bielizna wyciągnięta z dna szuflady, bo nowa czekała na wypranie. Sweter kupiony okazjnie na wyprzedaży, który pozostanie na zawsze zaplamiony jej krwią. Bransoletka, którą specjalnie założyła rano, bo przynosiła jej szczęście. Pomięty karteluszek w kieszeni, na którym zapisała: pół kilo pomidorów, mleko, czekolada i masło.

Trywialne poranne wybory, z których utkany jest twój całun. Czy

ubralibyśmy się inaczej w dniu własnej śmierci? Z pewnością tak.

Patrząc na przedmioty rozłożone na tym drugim stole, Ana zastanawiała się, jakie życie wiodła ofiara i jak wyglądała chwila, w której uleciało jej ono z rąk, przygnębiona tak samo jak wtedy, gdy oglądała zaplamiony krwią but na środku jezdni pośród szczątków pozostałych po czołowym zderzeniu. But prowadzi cię do stopy, stopa do istoty ludzkiej, a ludzka istota do rodziny zdruzgotanej na zawsze.

Dlatego właśnie na Anie zawsze robił wrażenie ten drugi stół z przedmiotami osobistymi, i to właśnie on, a nie ten, na którym spoczywało ciało – jeden wyższy, drugi grubszy, jeden młodszy, drugi bardziej śniady lub silniej owłosiony – wracał do niej w sennych koszmarach. Czasami, gdy rano wybierała spodnie, nie mogła przestać myśleć, czy to w nich właśnie zostanie ją śmierć i jak będą się prezentowały na tym metalowym stole w prosektorium. Z tego samego powodu czasami rano przed wyjściem z domu ogarniało ją straszliwe przygnębienie i czuła niepohamowaną potrzebę, by pozostawić wszystko czyste i uporządkowane. Jeżeli umrę, myślała, jeżeli dzisiaj umrę, to niech ten ktoś, kto wejdzie do mnie do domu, zobaczy, że zostawiłam po sobie porządek, że byłam osobą uporządkowaną.

Nadinspektor Arén zmusiła się, żeby wejść do pomieszczenia, gdzie lekarz medycyny sądowej miał otworzyć ciało Pabla, dziecka, które kochała ponad wszystko, jeszcze zanim się urodziło. W owej chwili lekarz i jego asystent kończyli oględziny ciała chłopca znalezionego w opuszczonym domu w lesie Pilar, tego małego, który niemal z całą pewnością był Nicolasem, dzieckiem zaginionym dwa lata wcześniej. Wysłano już próbki DNA do laboratorium w celu identyfikacji.

– Jest dość dobrze zachowane. Chłód piwnicy, stała temperatura i suche powietrze sprzyjały mumifikacji ciała – odezwał się lekarz, nie przerywając czynności, które go zajmowały.

– Coś na ubraniu?

– Wiele różnych włosów. Pochodzących od przynajmniej dwóch różnych osób. Może nawet trzech. Zaplątane w przędzę wełnianego swetra. I sporo nas kosztowało ich znalezienie. Obejrzelśmy sweter pod mikroskopem, szukając jakiegokolwiek poszlaki. Paula – jedna z asystentek – siedziała nad tym całe popołudnie. Wełna jest znakomitym materiałem, bo świetnie przylegają do niej różne rzeczy, co nam z kolei ułatwia życie.

Ana знаła Yona, lekarza medycyny sądowej, od wielu lat i nie była w stanie pojąć, jak człowiek, którego konto na Facebooku pełne jest fotografii kotów,

może emanować takim chłodem podczas sekcji. Zapewne lata praktyki. Któregoś dnia musi go o to zapytać.

– A jeżeli próbki włosów pochodzą od różnych osób, to czy możemy ustalić, czy znalazły się na swetrze w tym samym czasie?

– Myślisz, że zbrodni dokonało kilka osób?

– Na tym etapie niczego nie wykluczam – odparła Ana.

– To trudne, ale możemy spróbować to ustalić. Poza tym, gdybyśmy znaleźli osoby, do których włosy należą, moglibyśmy się dowiedzieć, przez porównanie z aktualnymi próbkami, kiedy spadły one na ciało.

– Co ty mówisz? – Ana nie zrozumiała.

– Wyobraź sobie włos jako drzewo. Tylko że nie przyrasta on wszerz, jak pień, a wzdłuż. W przypadku drzewa każdy słoć to kolejny rok. Mówi on nam wiele o tym, co się w tym czasie z drzewem działo. I podobnie z włosem. Każda warstwa mówi nam sporo, jest unikatowa. Jeżeli wiemy, od kogo pochodzi dany włos i porównamy go z włosem z dzisiaj, będę mógł ci powiedzieć, kiedy wypadł albo kiedy go wyrwano.

To było fantastyczne. Ale w tym celu musiała zaistnieć zbieżność między DNA z włosa a DNA z policyjnej bazy danych. Nie mogli liczyć na aż taki łut szczęścia.

– Ślady agresji seksualnej?

– Trudno określić, ze względu na stan ciała. Posłaliśmy do laboratorium najróżniejsze próbki, na wypadek gdyby okazało się, że są ślady spermy. Ale jeśli nawet doszło do agresji, nie spowodowała ona obrażeń fizycznych.

– Przyczyna śmierci?

– Najwyraźniej żadna.

Był to ulubiony żart Yona w sytuacji, gdy ciało nie nosiło zewnętrznych oznak przemocy. Ale owego dnia Ana poczuła, jakby ktoś ją walnął w żołądek. Yon spostrzegł jej zmieniony wyraz twarzy.

– Przepraszam, pani nadinspektor, to z przyzwyczajenia. Po pierwszych oględzinach nic nie wskazuje, z jakiego powodu zmarł ten chłopiec. Zobaczymy, czy toksykologowie coś nam podesuną. W chwili zgonu miał najprawdopodobniej jakieś cztery, może pięć lat. Owszem, był bardzo szczupły. Czy Nicolás też był szczupły? Ważył poniżej normy wiekowej?

– O ile pamiętam, nie. Muszę sprawdzić w dokumentacji. I zapytam rodziców. Coś jeszcze, co możemy odrzucić?

– Wygląda na to, że ktoś o niego dbał.

– Jak to dbał? – zdziwiła się Ana.



– To, co mówię. Był uczesany, nie wiem, czy zwróciłaś na to uwagę w chwili znalezienia ciała. Miał czyste ręce, ubranie niepokryte kurzem, dlatego właśnie nie znaleźliśmy nic pod paznokciami, na głowie ani na spodniach. Jedyne na tym wełnianym swetrze zachowało się coś, co pochodzi z zewnątrz.

– Jak gdyby ktoś próbował pozacierać ślady?

– To możliwe. Ale możliwe też, że ktoś nad tym małym czuwał. Wskazuje na to pozycja, w jakiej znajdowało się ciało w chwili znalezienia. Ten chłopiec był dla kogoś ważny. Był dla kogoś ważny przez te dwa lata.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

38.

## ANA/JESÚS

Podczas gdy Ana siedziała w prosektorium, nadinspektor Jesús Silvelo nadzorował analizę próbek pobranych w miejscu odnalezienia chłopców. W strefie przebywali jeszcze agenci, przeczesując centymetr po centymetrze opuszczony dom i jego okolice. Patricia mówiła, że widzieli wybiegającego z piwnicy człowieka. Mężczyznę – tak przynajmniej im się wydawało – którego twarzy nie dostrzegli, ale musiał on przecież przeskoczyć przez dwa ogrodzenia: jedno otaczające dom, a drugie las. Gdzieś zatem musiały pozostać jakieś fragmenty odzieży albo, o ile dopisałoby im szczęście, skóry. Żeby ograniczyć obszar poszukiwań i nie musieć przeczesywać dziesiątek kilometrów drutu kolczastego, zaangażowano psy, które miały podjąć ślad podejrzanego.

Ponadto trzeba było przystosować jedno z pomieszczeń w piwnicy komendy do gromadzenia próbek. Silvelo kazał złożyć w jednym miejscu cały gruz z opuszczonego domu, by go starannie przeczesać. Jakiś drobny szczegół mógł naprowadzić na ślad wiodący do Slendermana. Mieli przed sobą tony materiału, który trzeba było starannie obejrzeć pod lupą. Potrzebował więcej ludzi. Zadzwoił do Ruipereza.

– Nie mogę wyrazić zgody – brzmiała odpowiedź.

– Jak to nie może pan wyrazić zgody? Przeszukanie tego wszystkiego zajmie nam kilka tygodni, jeśli nie otrzymamy pomocy.

– Słuchaj, Jesús, masz już tych trzech chłopaków, nie? Znaleziono wszystkich trzech. Co prawda dwóch nie żyje. Nie zdążyliście na czas. Więc przypadek nie jest już nadzwyczajnie priorytetowy.

– Nie jest? – warknął Silvelo. – Mówi pan, że nie jest? Czyli jak porywacz znów ruszy do dzieła i jako że stracił tamtych trzech, porwie kolejne dziecko, to obciąży to pańskie sumienie. I nie tylko sumienie, bo ja osobiście zadbam o to, żeby wszyscy się dowiedzieli.

– Grozi mi pan, Silvelo? Pan mi grozi? Mnie?

Jesús Silvelo, jeden z najspokojniejszych i najbardziej opanowanych ludzi z grupy do spraw porwań – jednostki siłą rzeczy złożonej z najbardziej

spokojnych i opanowanych ludzi w całej policji – zakończył połączenie, zanim rzucił mocnym słowem.

\*\*\*

W prosektorium Yon nacisnął guzik włączający system audio-wideo. Od wielu lat wszystkie sekcje były rejestrowane, na wypadek gdyby prokurator zażądał nagrań jako dowodów w sprawie.

– Pablo Grau Schmidt. Urodzony dwudziestego kwietnia dwa tysiące dwunastego roku. Waga: osiemnaście kilogramów, wzrost: metr siedemnaście. Liczne obrażenia, stłuczenia i rany cięte.

Ana sądziła, że zdoła to wytrzymać, jednak ogarnęło ją przygnębienie bardziej dojmujące niż jakiegokolwiek uczucie, którego doświadczyła przez wszystkie te lata pracy w policji, spojrzała więc na Pabla po raz ostatni i wyszła. Wydawało się to głupie, ale wolała zapamiętać go takim, a nie rozciętego na pół. Na korytarzu oparła się o ścianę, zamknęła oczy i skoncentrowała się na oddechu. Nie mogła sobie pozwolić, by ból i wściekłość ją zaślepiły.

\*\*\*

Podczas gdy wyładowywano drugą ciężarówkę z gruzem z opuszczonego domu, w którym znaleziono chłopców, policjanci starannie segregowali poszczególne elementy zalegające na podłodze przykrytej plastikową folią. Posługując się taśmą mierniczą, odtworzyli układ budynku i umieszczali gruz przywieziony z poszczególnych pomieszczeń w odpowiedniej przegrodzie. Wyglądali niczym ekipa archeologów mająca przed sobą długie lato.

Nadinspektor Jesús Silvelo pozwolił swoim ludziom spokojnie pracować, a sam udał się do laboratorium, by ponaglić tamtejszy zespół. Próbkę z opuszczonego domu miały absolutny priorytet wobec innych przypadków, ale czasami należało o tym przypomnieć laboratoryjnym technikom. Leciutko ich pogonić.

– Cześć. – W laboratorium było zimno. Czemu tam zawsze panuje taki chłód? Czy ci z analityczno-laboratoryjnej to jakieś istoty o temperaturze ciała innej niż reszta ludzkości? – Ekipa pracuje już nad materiałem przywiezionym z domu. Wszystko, co tylko znajdą istotnego, zostanie już wkrótce przekazane do was.

Wyglądało na to, że nadinspektor przemawia w próżnię, jak gdyby powietrze w laboratorium nie przesyłało fal dźwiękowych. Tylko jedna osoba podniosła głowę. Ta, której reakcji Silvelo oczekiwał: szef laboratorium. Pedro Sanz był człowiekiem instytucją w korpucie policji.

– Znaleźliście coś w resztkach ze zbiornika na śmieci? – zapytał Silvelo.

To było drugie zadanie. Musieli przeczesać nie tylko tony gruzu z opuszczonego domu, lecz także masy śmieci, wśród których odnaleziono Pabla. Czy w tym przypadku nie będzie nic choć trochę prostszego?

– Twój chłopcy jeszcze nie przekazali nam nic ze zbiornika na śmieci. Tracą kunszt.

Sanza trudno byłoby spotkać na miejscu zbrodni. Mdlilo go na widok krwi. Wolał nie wychodzić ze swojego królestwa próbek. Tu wszystko miał pod kontrolą. Chociażby pracowali nad gnojem pochodzącym z miejsca zbrodni, na wszystko patrzyli przez mikroskopy, przesłony, okulary, wszystkiego dotykali przez rękawiczki, ubrani w laboratoryjne fartuchy ochronne. Wszystko tu było aseptyczne.

– Lekarz medycyny sądowej zażądał priorytetu dla wielu próbek, jakie znaleziono na zwłokach z opuszczonego domu, przede wszystkim dla włosów na wełnianym swetrze.

Silvelo nic o tym nie wiedział. Nie dotarł jeszcze do niego wstępny raport z sekcji. Lekarz nie sporządzi go, zanim nie przebadają ciał obu chłopców.

– Dokładnie chodzi o cztery włosy, więcej niż sam mam na głowie – mówił dalej Sanz. – Ale mamy szczęście. Dwa mają cebulki, co oznacza, że da się ustalić DNA. Właśnie je obrabiamy. Jak skończymy, przepuścimy dane przez bazę, zobaczymy, czy szczęście znów nam dopisze i pojawi się zbieżność.

To już byłby prawdziwy cud, pomyślał Silvelo. W każdym razie szybko przestaliby mieć wątpliwości. Czy chodzi o jednego zabójcę, czy dwóch? Czy był notowany?

Vertical line of text, possibly a page number or header.

39.

## INÉS/ANA

Kiedy dziewczyna od torebki zadzwoniła do drzwi, leżałam na podłodze. Nie pamiętam, jak się tam znalazłam, w tym konkretnym miejscu w prawym rogu kuchni, dokładnie w kącie na wprost okna, tam gdzie było najciemniej i najzimniej. Nie pamiętałam również, czemu dom jest pusty. Musiałam chyba wszystkich z niego wyrzucić i musiałam to zapewne zrobić osobiście. Wyprosić ich. Bo ludzie przecież tak sami z siebie nie zostawiliby matki, której czteroletni syn właśnie umarł, prawda?

Od wyjścia ze szpitala nawet przez minutę nie byłam sama. Z wielkim trudem udało mi się przekonać ludzi, którzy robili nieustanne zamieszanie wokół mnie, żebym mogła chociaż zamknąć za sobą drzwi do łazienki. Przypuszczam, że się bali, iż popełnię jakieś szaleństwo. W moim domu zadomowił się przedziwny rój ludzi. Koledzy z telewizji, przyjaciele, sąsiedzi z osiedla. Byłam niemal pewna, że z niektórymi z nich nie zamieniłam w życiu słowa i że pojawili się u mnie wyłącznie z czystej, niezdrowej ciekawości, bo nic nie przynosi takiej ulgi jak cudze cierpienie. To, że ktoś cierpi bardziej, o wiele bardziej niż my sami, sprawia, że czujemy się zawstydzająco żywi i szczęśliwi.

Pewnie dzwoniła do drzwi kilkakrotnie. „Słyszałam, że wołasz syna po imieniu już na półpiętrze, słyszałam twój płacz”, powiedziała mi później. „Dlatego się uparłam, przepraszam cię za to”, usprawiedliwiała się. W końcu ją usłyszałam. Pewnie czekała dobrą chwilę, aż zdobędę się na to, żeby wstać i otworzyć drzwi.

Patrzyła na mnie długo, łagodnie i spokojnie, wzrokiem trudnym do opisania. Po raz pierwszy poczułam, że ktoś naprawdę mnie rozumie. Nawet lepiej niż własna matka, która w owej chwili musiała się zająć całą papierkową robotą dotyczącą pogrzebu. Nie zamieniłyśmy słowa. Ujęła moje dłonie w swoje, nie spuszczając ze mnie wzroku, w którym czułość mieszała się z żalem. Nie pamiętam, ile czasu tak stałyśmy, ja w domu, ona za drzwiami, rozdzielone progiem, patrząc sobie w oczy bez słowa. Może zaledwie kilka sekund, ale czas zwolnił wówczas swój bieg wokół nas.

– Pierwsze, co musisz zrobić, to zrzucić z siebie całą winę. – Siedziałyśmy na sofie, Lucía zwrócona w jedną stronę, przysiadłszy ledwie jednym udem, wychylona całym ciałem do przodu, by być jak najbliżej mnie. – Póki nie pozbędziesz się tego poczucia winy, nie zdołasz zrobić kroku naprzód – powtórzyła.

Tak, nazywa się Lucía, przypomniałam sobie nagle. Matka, którą wezbrany strumień zaskoczył w aucie z trójką małych dzieci, późnym wieczorem. Która usiłowała je ratować, walcząc z siłą wody i z ciemnością. Która musiała zdecydować, które z dzieci poświęci, by ratować pozostałe. Która wypuściła z ramion najmłodszego syna, jeszcze niemal niemowlę, żeby móc wydostać pozostałych dwóch z wartkiego nurtu strumienia, który przybrał po ulewnym deszczu i bezlitośnie pchał ich wszystkich ku śmierci. Żegnaj, malutki, żegnaj.

– Szukałam twojego adresu w Google’u. Dzisiaj wszystko da się tam wyszukać, wiesz? Oprócz tego, co naprawdę ważne, całą resztę można znaleźć w Google’u. Grupa twoich fanów ustaliła, gdzie mieszkasz, na podstawie zdjęcia twojego domu. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że przyszłam. Kiedy zginął mój syn, wszyscy mnie obejmowali i pocieszali – ciągnęła – ale ja czułam, że nikt mnie nie rozumie, że nikt nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie, przez co przeszłam.

– Czy to kiedyś zniknie? Ta pustka i ten chłód – czy to kiedyś zniknie?

\*\*\*

– To chyba najgorsza rzecz, co? – Ana weszła do biura, popijając obrzydliwą gorącą czekoladę z maszyny stojącej w głębi korytarza. – Czekanie. Czekanie, aż w laboratorium zapali się światło i maszyny zaczną wypluwać z siebie odpowiedzi.

– I czekać, aż chłopcy z analityczno-laboratoryjnej znajdą coś wśród ton gruzu zwiezonego z domu – odparł Jesús Silvelo, uczestniczący w dochodzeniu. – Czekać, aż nagrania z kamer rzucą nieco światła na tę sprawę. Wczoraj nie znaleźliśmy nic. A dziś mamy dosłownie tony możliwych dowodów, które musimy porządnie przesiać. Byłaś w prosektorium?

– Tak, właśnie stamtąd wracam. Zatrzymałam się tu na chwilę, zanim pójde pogadać z Charo. Mam od niej trzy nieodebrane połączenia. Wiesz może, o co chodzi?

– Nie mam pojęcia. Właśnie zszedłem z laboratorium.

– Mamy coś?

– Nic. Wiedziałas o tym, że Yon posłał do analizy ludzkie włosy znalezione na swetrze chłopca? Jeden z nich, ze względu na długość, pochodzi chyba



z głowy kobiety.

– Tak, właśnie mi o tym powiedział. Ciało dziecka było zadbane, jakby ktoś się nim zajmował i czuwał nad nim przez te wszystkie miesiące. To niemal cud, że zachowały się jakieś resztki biologiczne. Jeszcze nie potwierdziliśmy, że to Nicolás, aczkolwiek ubranie zgadza się z opisem tego, które miał na sobie w dniu zaginięcia. Mamy coś w gruzach z domu?

– Uff! To ładnych parę ton. Trochę to potrwa. Ten cholerny Ruipérez nie chce nam przydzielić więcej ludzi do pomocy. Mówi, że przypadek nie jest już priorytetowy.

– Dam mu w gębę!

– Ano, Ano, siadaj.

Jesús musiał chwycić Anę za ramię, by nie pognąła do biura komisarza. Sam czuł to samo, miał ochotę dać w twarz temu facetowi, ale wiedział, że w ten sposób niczego nie osiągną. Jeżeli zostaną odsunięci od śledztwa, to będzie jeszcze gorzej. Teraz muszą postarać się schwytać Slendermana, żeby nie mógł uderzyć ponownie.

– Muszę na chwilę wyjść.

Ana musiała zadzwonić do Joana. Może znalazł coś w programie informatycznym, który stworzył na potrzebę monitorowania zachowań pedofilów i wychwycenia w porę ich zamiarów.

– Ana, na litość boską, nie wiem, jak się z tobą skontaktować – usłyszała. – Gotów już byłem wsiadać w AVE i gnać do Madrytu.

– Nic by to nie dało. Prawie nie bywam w domu.

– Wiem, wiem, że masz głowę zaprzątniętą wyłącznie tym przypadkiem i że twoje życie prywatne nie istnieje, póki nie zamkniesz sprawy.

– Nie brzmi to zbyt miło – zauważyła.

– Może tak brzmieć, Ano. I ty sama możesz nie być zbyt miła. Gdybym nie znał cię tak dobrze, chyba bym cię znienawidził. Czasami aż mam na to ochotę, naprawdę.

– Znienawidzić mnie?

– Wszystko inne byłoby mniej skomplikowane, zapewniam cię – w głosie Joana dała się wyczuć rezygnacja. – Przypuszczam, że nie dzwonicz, by zapytać, co u mnie, tylko żeby się dowiedzieć, czy gdzieś zabrzmiał sygnał alarmowy.

Cisza po drugiej stronie wskazywała, że się nie myli. Ana nie była zdolna do prowadzenia prywatnego życia, kiedy miała do czynienia z podobnie skomplikowanym przypadkiem. Oddychała, bo robiła to bez zastanowienia, ale wszystkie pozostałe aspekty codziennego życia po prostu zostały wymazane,

nawet te, które wiązały się z uczuciami innych osób.

– Wiesz przecież, jaka jestem – brzmiała jej nieśmiała próba usprawiedliwienia.

– W takich chwilach przyprawiasz mnie o rozpacz. Przede wszystkim dlatego, że nie wiem, co się z tobą dzieje. Ale przejdźmy do rzeczy, bo pewnie nie masz czasu na pogawędki. Nic. Na razie nic nie ma. Gdybym coś odkrył, wysłałbym ci ze dwieście esemesów. Ale nic nie wskazuje na to, by ludzie, których zachowania kontrolujemy, dopuścili się czegoś wykraczającego poza normę.

– Chcesz powiedzieć: czegoś wykraczającego poza ich obrzydliwą, patologiczną normę?

– Zgoda, tak, czegoś więcej niż podniecanie się przy oglądaniu porno z dziećmi. Albo kręcenie porno z dziećmi.

Wyglądało na to, że Slenderman nie znajduje się w gronie osób objętych kontrolą. Nie jest nawet kimś, kto kiedykolwiek objawiłby się na jakimś radarze. Kim zatem jest?

\*\*\*

– Czy to kiedyś zniknie? Ta pustka i ten chłód – czy to kiedyś zniknie?

W owej chwili tylko to mnie niepokoiło. Czy kiedyś ból trochę zelżeje? Czy kiedyś będę umiała żyć bez Pabla?

Dziewczyna z torebką trzymała moje dłonie i mówiła do mnie powoli. Musiała się nauczyć żyć bez swojego najmłodszego dziecka i mierzyć się codziennie z poczuciem winy za to, że pozwoliła mu umrzeć. Bo tylko tak mogła uratować pozostałych dwoje.

– Pustka i chłód nigdy całkiem nie znikną. Nawet wówczas, gdy uznasz, że najgorsze już minęło. Nawet gdy któregoś dnia wyrwie ci się śmiech, czarna dziura wciąż będzie gdzieś blisko ciebie. Ale nadejdzie chwila, kiedy zdołasz zmierzyć się z własnym życiem, nie czując tej ciągłej potrzeby, by myśleć tylko, że chcesz umrzeć.

Kiedy poznałam Lucię w minioną środę – przecież nie upłynął nawet tydzień, a czułam, jakby minęła cała wieczność – moje życie było doskonałe. Dobra praca, sukces po publikacji pierwszej książki, lecz przede wszystkim syn, który nauczył mnie być inną osobą, uzależnioną całkowicie i bezgranicznie od miłości do niego; tego mnie teraz bezwzględnie pozbawiono.

Nie zdarzyło mi się potrzebować Pabla tak bardzo, w tak rozpaczliwy sposób, w jaki kocha się jedynie własne dziecko, aż do chwili, gdy ojciec zabrał go, wówczas zaledwie dwuletniego, na trzy miesiące do Stanów. I nigdy nie

kochałam go i nie potrzebowałam tak bardzo jak teraz, gdy utraciłam go na zawsze.

– Dlaczego przyszłaś? Oszukałam was wszystkich, kiedy przyszłam na seans terapeutyczny, okłamałam przede wszystkim ciebie, bo to ty wówczas opowiadałaś nam o swoich przeżyciach.

– Był taki moment, że wybiegłaś z sali, a potem wróciłaś. I wtedy, sama nie wiem jak, ale rozpoznałam cię. I coś sprawiło, że pomyślałam, że to, o czym opowiadam, śmierć mojego dziecka, przepełniło cię takim współczuciem, jakie potrafią odczuwać tylko nieliczni, jakbyś sama przez coś podobnego w życiu przeszła. Chciałam cię nawet o to zapytać, ale wyszłaś przed końcem spotkania.

Przeraziłam się. W jakim stopniu matka, która przeżyła traumatyczne doświadczenie utraty własnego dziecka, jest wyczulona i uwrażliwiona na to, czego nie widzą inni?

Cierpienie. Winę. Strach. Ta kobieta potrafiła czytać we mnie lepiej niż którakolwiek z osób, z którymi dzieliłam życie.

Chociaż w owej chwili to już nie miało znaczenia.

\*\*\*

Anie ta godzina zapadła w każdy por skóry i każdy neuron w mózgu, jakby zegar stanął w chwili, gdy doszło do tragedii. Była 1.38 w nocy, kiedy zadzwonił jej telefon. Postanowiła pójść do domu i chwilę się przespać, gdyż poszukiwania i analizowanie próbek miały jeszcze potrwać. Musiała być przytomna, żeby móc szukać zabójcy chłopców i powstrzymać tego skurwysyna przed uderzeniem po raz kolejny.

Kike w szpitalu nadal był nieprzytomny. Był jedynym chłopcem, który przeżył uprowadzenie przez Slendermana, i jego zeznania, o ile wybudzi się ze śpiączki, miały być fundamentalne. Kto go porwał? Jak? Co się działo przez te sześć dni, kiedy wszyscy go szukali? Na tę chwilę Ana musiała poczekać.

A czekanie jej nie służyło.

Dlatego też, gdy obudził ją dźwięk komórki, wiedziała, że stało się coś ważnego. Może Kike się wybudził i coś sobie przypomniał? A może analizowane próbki podsunęły jakąś nić, której można się ucześcić?

Telefon wibrował na poduszce. Ana nie kładła go już na nocnym stoliku, ale trzymała obok siebie, w wielkim łóżku, w którym sypiała, na wyciągnięcie ręki, tak by nie mógł spaść na podłogę, gdy po niego sięga. Kilka lat wcześniej, w podobnej sprawie, gdy walczyli o czyjeś życie, telefon zadzwonił o wpół do trzeciej w nocy. Zabójca zdobył jej prywatny numer i chciał ją wciągnąć w grę. Ale kiedy Ana wyciągnęła rękę w kierunku nocnego stolika i na wpół

rozbudzona macała po jego blacie, by znaleźć telefon, jednym niezdarnym ruchem zrzuciła go na podłogę. Aparat spadł i pękł w nim ekran. Połączenie trafiło do skrzynki poczty głosowej. Gdy je odsłuchiwała, było już za późno. Stracili w ten sposób jedyną szansę.

Zanim odebrała, spróbowała odczytać, kto dzwoni, ale nie dała rady. Pogarszał jej się wzrok, może niezbyt mocno, ale widziała już na tyle niewyraźnie, że ekran pozostawał zamazany przez kilka sekund, póki nie zdołała przyzwyczaić oczu do światła i zmusić ich do przeczytania tekstu. Dlatego gdy usłyszała głos kolegi współpracującego śledztwo, była zaskoczona. Jesús Silvelo był wyraźnie zdenerwowany. Porządnie zdenerwowany.

– Ano, musisz tu przyjechać. Natychmiast.

– Jesús, co się dzieje?

– Ano, posłuchaj mnie. Nie zabij się tylko po drodze, ale przyjeżdżaj.

– Zniknęło kolejne dziecko?

– Nie, Ano, nie. Uspokój się. Dokonano analizy DNA włosów znalezionych na swetrze Nicolasa. Należą do trzech różnych osób.

Ana nie była w stanie pytać dalej. Wiedziała, co będzie dalej. Nie wiedziała kto, lecz co.

– I jest zbieżność – dodał Silvelo, zanim się wyłączył. – Przyjeżdżaj, zanim będę musiał zadzwonić do Ruipereza i go o tym poinformować.

Czego inspektor w owej chwili nie chciał powiedzieć, to do kogo należy ów włos. Bo gdyby powiedział, Ana zdolna byłaby popełnić jakieś szaleństwo.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 40.

# ANA

Nikt tak nie wali w drzwi, gdy nie jest to coś ważnego. A tym bardziej o świcie. Jedynie policja, myślał, wali w drzwi tak, jakby je chciała wyważyć. I nie miał wątpliwości, że jak szybko nie otworzy, to do tego dojdzie.

Nie zdążył założyć spodni od piżamy na spodenki, w których sypiał. Ani podnieść koszulki, którą rzucił w nogach łóżka, zanim sam padł wyczerpany na materac. Jak szybko nie otworzę, pomyślał, rozwalą mi mieszkanie.

W ciągu dwunastu sekund, które upłynęły od chwili, gdy obudziło go walenie do drzwi, do chwili, gdy je otworzył, adrenalina dotarła już do wszystkich zakamarków jego ciała. Gdy przekręcał klucz w zamku, był już podminowany. Wśród wielu pytań, które przemknęły mu przez głowę, dominowało jedno: kto, do jasnej cholery, po mnie przyjdzie? Bo nie ulegało wątpliwości, że chodzi o aresztowanie.

Przekręcił czterokrotnie klucz w zamku i zwolnił blokadę.

Przed drzwiami stało siedmiu antyterrorystów gotowych na wszelkie nieoczekiwane działania z jego strony. Patrzyli na niego twardo. Uprzedzając jego własne myśli.

A potem ujrzał ją. Z tyłu, za specjalną grupą interwencyjną, starając się nie upaść, stała Charo. Lecz to nie ona się odezwała, a oficer policji, który jej towarzyszył.

– Przykro mi. Mam nakaz aresztowania.

– Co to za głupstwa? Co się dzieje? – zapytał, patrząc Charo prosto w oczy. Starał się zmusić ją do odpowiedzi.

Ale Charo milczała. Nie była w stanie dobyć głosu. Tylko na niego patrzyła. Choć nawet i to nie. Wydawało się, że wbija wzrok w oczy kolegi, lecz sięga nim gdzieś dalej, jakby chciała spojrzeniem przewiercić czaszkę człowieka, którego miała aresztować. Patrzyła, nie widząc. Reakcja zajęła jej dobrych kilka sekund. A kiedy to zrobiła, nieznacznym ruchem ręki wskazała na kajdanki u pasa.

– Chodzi o aresztowanie? – zapytał lekko podniesionym głosem. – Charo,

spójrz na mnie. Spójrz mi w oczy. Czy chodzi o aresztowanie?

Charo wiedziała, że powinna się odezwać, ale nie była w stanie. Słowa nie chciały jej przejść przez gardło. O co jest oskarżony? O coś tak strasznego, że nie chciała mu tego powiedzieć, bo gdyby to uczyniła, stałoby się to prawdą. A to nie mogła być prawda.

– Skujesz mnie?

– A będzie trzeba? – spytała, wbijając wzrok w podłogę. Antyterroryści bacznie śledzili każdy jej gest.

– Wiesz, że nie. Idziemy – ustąpił.

Wyszedł z domu w asyście policji o drugiej dwadzieścia nad ranem – w noc z wtorku na środę. Pobrane próbki wskazały na niego jako na jedyne podejrzanego.

– Czy mogę wiedzieć dlaczego? – spytał w samochodzie w drodze na komisariat.

Nikt mu nie odpowiedział.

\*\*\*

Nadinspektor Jesús Silvelo miał rację. Byłby mu niezbędny kaftan bezpieczeństwa, żeby uspokoić wściekłość Any. Przyjechała do biura w rekordowym czasie, niemal w dwadzieścia minut od chwili, gdy ją obudził. Musiała jechać madryckimi ulicami z samobójczą prędkością. Nawet z włączonymi światłami i kogutem nie dałoby się przejechać w takim tempie z ulicy Amanuel niemal na drugi koniec miasta.

Kiedy weszła do biura, które oboje zajmowali, pracując nad przypadkiem Slendermana, brakowało jej tchu. Musiała kilkakrotnie głęboko odetchnąć, żeby w ogóle przemówić.

– Co się do cholery dzieje? Co się tu, do diabła, wyrabia? Co znaleziono w próbkach DNA ze zwłok tego dziecka?

– Usiądź, proszę.

– Nie zamierzam. Powiedz mi, co się do cholery dzieje?

– Dobrze już, Ano. Uspokój się.

Nadinspektor Silvelo podszedł niespiesznie i stanął pomiędzy nią a drzwiami. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było, żeby wybiegła, zanim zdoła ją choć trochę uspokoić.

– Chłopiec to Nicolás, próbki DNA to potwierdzają. Chcesz, żebyśmy zadzwonili do rodziców już teraz, czy czekamy do rana?

Wyglądała za skonfundowaną. Na chwilę się odprężyła. Spojrzała na kolegę, jakby nic nie rozumiała. Ale po chwili pojęła. Identyfikacja Nicolasa nie mogła

być jedyną rzeczą, jaka się tej nocy wydarzyła. Gdyby tylko o to chodziło, Silvelo nie wyrywałby jej ze snu i nie kazał przyjeżdżać do biura w środku nocy.

– I ściągasz mnie tutaj tylko po to? W środku nocy? Pędem? Nie jestem idiotką. Powiedz mi, co się stało. Natychmiast!

– Chłopcom z laboratorium udało się wyderywować DNA z wielu próbek włosów przyczepionych do swetra małego.

– Tyle to sama wiem. Do rzeczy.

Dobry znak. Zaczynała wychodzić z niej policjantka. Silvelo poprowadził ją dalej ścieżką racjonalnej analizy, zanim wreszcie wyrzucił z siebie sensacyjną informację.

– DNA wskazuje, że włosy pochodzą od trzech osób. Dwóch mężczyzn i kobiety.

– Tożsamość.

– Poddaliśmy analizie jeden włos męski. I jest zbieżność – inspektor opóźniał, jak mógł, moment wyjawienia prawdy.

– Wyrzucić to z siebie w końcu.

– CODIS wskazał na zbieżność. Jeden z dwóch mężczyzn jest notowany. Ale nie za żadne przestępstwo. Jego profil genetyczny znalazł się w bazie danych zapobiegawczo.

Ana zaczynała pojmować, co te słowa znaczą. I bynajmniej jej się to nie podobało. To, że chodzi o kogoś notowanego nie za przestępstwo, lecz z profilem umieszczonym w bazie, mogło oznaczać tylko jedno: to policjant, któremu pobrano próbki DNA, aby wyeliminować przypadkową zbieżność na miejscu przestępstwa. Albo ktoś z jego rodziny.

– Kto to jest? O kogo z naszych chodzi?

– Ano, proszę, to, co mam ci do powiedzenia, bardzo cię dotknie. – Ana spojrzała na kolegę niewidzącym wzrokiem, nic nie rozumiejąc albo może zaczynając pojmować, o co chodzi. – Musisz się uspokoić, chociaż trochę, zanim chwycisz za telefon albo wypadniesz z biura. Zgoda? Musisz to przyjąć rozumem policjantki, nie sercem.

Inspektor podszedł do niej tak blisko, że niemal naruszał jej przestrzeń osobistą.

– W tej właśnie chwili patrol zatrzymuje w domu podinspektora Javiera Noriego Garcíę.

To była ostatnia rzecz, jakiej Ana mogła się spodziewać. Brutalny, niemal fizyczny cios w żołądek, który sprawia, że ciało zgina się wpół. Czasami ból duszy rani ciało mocniej niż prawdziwe uderzenie. Przez kilka sekund Ana nie



była zdolna ani oddychać, ani myśleć. To niemożliwe, to po prostu niemożliwe. Jej rozum odmawiał przyjęcia tego do wiadomości.

– Mamy próbki DNA. DNA podinspektora znalazło się na swetrze Nicolasa. A jego nie było przecież na miejscu znalezienia ciała, więc nie mogło dojść do przypadkowej zbieżności.

– Ale doszło, Jesús, doszło. Nori jest niewinny. Dam sobie rękę uciąć za niego. Dam się cała posiekać za to, że jest niewinny. Nori tego nie zrobił.

– Wiem, że nie tylko jest twoim podwładnym, ale także przyjaźnicie się i od dawna pracujecie razem. Ale mamy nie tylko włos. Jest coś więcej.

Było coś więcej niż DNA włosa znalezionego na swetrze Nicolasa, co pozwalało postawić zarzuty Javierowi Noriemu. Jego alibi. A raczej, w tym przypadku, brak alibi. W dniach, kiedy doszło do zaginięć trzech chłopców, podinspektor nie był na służbie. Jesús Silvelo właśnie to sprawdził w systemie. Kiedy zaginął Nicolás, w środku lata, Nori był na urlopie. Spędził go samotnie, w Madrycie. Ana pamiętała to doskonale, bo umawiali się kilkakrotnie na piwo, a ponadto prosiła go, żeby wrócił do pracy, gdy zorientowała się, że sprawa zaginięcia się przedłuża i nie trafiają na żaden ślad. W drugim przypadku podinspektor również nie miał alibi. De facto w dniu i w godzinie zaginięcia Kike Nori nie rozpoczął jeszcze swojego dyżuru, a co gorsze – Ana przypomniała sobie o tym, słuchając wyjaśnień Silvela – owego dnia spóźnił się do pracy. A kiedy zaginął Pablo, Javier Nori był gdzieś w Madrycie, spędziwszy noc w Barcelonie. Zmienił pociąg, żeby wrócić jak najszybciej, sam, podczas gdy Ana została w rodzinnym mieście jeszcze do południa.

Trzy porwania, trzy otwierające się możliwości. Zbyt wiele zbieżności? Jesús Silvelo nie wierzył w przypadki.

– Będzie musiał udowodnić, gdzie przebywał każdego z tych trzech dni. Zobaczymy, czy mu się uda. Ale choćby dostarczył solidnego alibi, to i tak nadal będzie podejrzany, jako współnik przestępstwa. DNA nie kłamie.

– Musiało dojść do kontaminacji próbki. Musiało dojść. Nie może być inaczej – upierała się z rozpaczą Ana, wobec logiki jego wyводу.

– Owszem, wszystko jest możliwe, nawet kontaminacja próbki. Nie byłby to pierwszy przypadek. Nauka jest nauką, ale to ludzie badają próbki. Aczkolwiek jest coś, co działa na niekorzyść twojego podwładnego: nie miał żadnej styczności ani z ciałem Nicolasa, ani z jego odzieżą. Praktycznie niemożliwe, żeby doszło do kontaminacji na miejscu zbrodni.

– Prawie niemożliwe, ale nie niemożliwe. Udowodnię ci to.

I Ana wybiegła z biura, podczas gdy Jesusowi Silvelo przypadł w udziale

obowiązek zadzwonienia do komisarza Ruipereza, obudzenia go i przekazania informacji o zatrzymaniu. Wolałby wyskoczyć przez okno, ale cóż było robić. Nie miał wyjścia. Nie mógł czekać do rana.

\*\*\*

Pracował tam od dziesięciu lat, ale kiedy wszedł do komendy w charakterze zatrzymanego, wszystko w niej wydało mu się nowe, jak gdyby po raz pierwszy odwiedzał kompleks budynków, które zajmowała jego jednostka. Zdołał zwrócić uwagę na rzeczy, których przedtem nie dostrzegał. Światło, zapachy, nawet ciężar powietrza wydawały się inne, choć były takie same jak zawsze, inne było jedynie spojrzenie, powonienie i skóra, które to wszystko odbierały, jak gdyby on nie był już tą samą osobą co przedtem i jego ciało inaczej interpretowało otoczenie.

Charo nie odezwała się do niego przez całą drogę. Ani Nori do niej. Oboje wiedzieli, że milczenie jest najlepszym wyjściem. Żeby nie powiedzieć sobie czegoś, czego woleli nie mówić. Nie zawierać paktów, których się nie dotrzyma. Nie podejmować zobowiązań, których się nie wypełni.

Poza tym nie jechali sami. Samochód prowadził kolega z grupy do spraw porwań. Lepiej milczeć, niż pozwolić, by jakiegokolwiek słowo zostało nadinterpretowane.

\*\*\*

Nadinspektor Ana Arén zachowywała się jak wilk zamknięty w klatce. Chodziła długimi krokami po głównej sali komendy. Wstawała. Siadała. Wstawała. Siadała. Była tak zdenerwowana, że nie wiedziała, co robić z rękami. Zaciskała dłonie tak mocno, jakby wyżywała gąbkę do zmywania, aż w końcu z bólu musiała przestać. Dlaczego, zastanawiała się, dlaczego wtedy, gdy jesteśmy zdenerwowani, ręce stają się problemem?

Nie wiedząc, co ma robić, przeszła do sąsiedniego budynku, kierując się do działu analityczno-laboratoryjnego, żeby zorientować się, czy znajdzie kogoś w laboratorium badającym DNA. Paliły się światła – sprzęt przekazywał informacje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – lecz wewnątrz nie było nikogo. Ana pchnęła drzwi wejściowe, ale były zamknięte. Zajrzała przez okienko wentylacyjne, ale nie dostrzegła żadnego laboranta. Było to dziwne. Kiedy wracała do siebie, zadzwonił jej telefon. Wiedziała, kto to, zanim jeszcze odebrała.

– I ty niby jesteś policjantką? Ty niby jesteś policjantką i nie umiałaś tego rozwiązać, mając winnego przez cały ten czas pod bokiem?

Ruipérez nie musiał być całkowicie rozbudzony, żeby dać komuś odczuć, jak

bardzo zły ma charakter. Zły charakter Any także dawał o sobie znać, ale gdzieś, mimo ogromu ogarniającej ją rozpacz, zapaliło się jej czerwone światełko: to samo, które uratowało ludzkość od wyginięcia, a które obecnie uległo awarii, jak zepsute światła hamowania. Jeżeli chciała nadal prowadzić sprawę, nie mogła zadzierać z komisarzem. Nie mogła opuścić Noriego. Nie w ten sposób. Nie teraz. Wytrzymaj. Nori cię potrzebuje.

– Komisarzu, nie wiemy, czy nie doszło do kontaminacji, to w tej chwili najbardziej prawdopodobna hipoteza.

– Twoja najbardziej prawdopodobna hipoteza, pani nadinspektor.

– Ale...

– Ale nic z tego. Posłuchaj. Bo drugi raz nie powtórzę – przerwał jej Ruipérez. – Myśl jak policjant, do cholery. Zapomnij o tym, że to Nori. Wyobraź sobie, że osoba zatrzymana dziś w nocy to ktoś obcy. Co byś sobie pomyślała? Co by ci podpowiedział twój analityczny umysł? Co by ci podpowiedziały twoje lata pracy?

Ana nie mogła odpowiedzieć. Bo odpowiedź była oczywista. Gdyby zatrzymano jakąś obcą osobę, pomyślałaby, że jest ona winna. I to na sto procent.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

41.

## INÉS/ANA

Nie ma nic gorszego niż patrzeć na własne dziecko przez szybę.

Nie ma nic gorszego niż widzieć je tam, w trumnie, za szybą jednej z sal domu pogrzebowego, i nie móc wyciągnąć ręki, żeby je dotknąć. Kiedy otwierasz drzwi i twoje oczy przyzwyczajają się do ciemności – „Członek pani rodziny będzie wystawiony w sali numer sześć za kilka minut”, poinformowano cię w recepcji – pierwsze, co widzisz, to twoja sylwetka w obramowaniu wdzierającego się światła. Ale jest ciemno – jeszcze nie masz odwagi sięgnąć do włącznika, jakby ciemności sprawiały, że wszystko jest mniej rzeczywiste – i nie jesteś w stanie dostrzec, co jest w głębi sali, za ogromną szybą, w której odbija się twoja postać. Intuicyjnie wyczuwasz. W rzeczywistości wiesz. Za tą szybą jest zasłona. A za tą zasłoną ustawiają właśnie trumnę z twoim dzieckiem.

Po kilku sekundach ktoś odsuwa tkaninę.

I wówczas widzisz.

Po drugiej stronie szyby. Sam. Sam już na zawsze.

A po tej stronie ty. Sama już na zawsze.

Po niewłaściwej stronie szyby.

Moja matka i ja wzięłyśmy się za ręce i zaczęłyśmy iść drobnymi kroczkami, chwiejnymi krokami, krokami, które wywracały nam wnętrzości. Nikogo jeszcze oprócz nas nie było. Dopiero co otwarto dom pogrzebowy. Willy, ojciec Pabla, przeskakiwał właśnie z samolotu na samolot, starając się dotrzeć do Madrytu z jakiegoś zapadłego miasteczka w Stanach, do którego wysłała go redakcja jego gazety, by relacjonował jakiś obrzydliwy skandal, w który zamieszany był poważany kongresmen, coś związanego z prostytutką nieletnich, nie wiem, nie do końca zrozumiałam wyjaśnienia. Mało mnie to zresztą obchodziło. Cztery lata wcześniej na widok tego samego numeru telefonu czułam ten sam lęk. Wówczas dzwoniłam, żeby poinformować, że jestem w ciąży. Teraz dzwoniłam, żeby przekazać, że nasz syn nie żyje.

Kiedy dotarłyśmy do parawanu, który oddzielał nas od mojego dziecka, matka i ja nadal trzymałyśmy się za ręce. Nie potrafię powiedzieć, która z nas

ściskała mocniej. Ani kto bardziej potrzebował tej drugiej ręki, żeby ucześcić się tego świata. Pięć czy dziesięć minut, a może godzinę później, sama nie wiem, bo czas nie służył mi już do mierzenia mijającego życia, podniosłam wzrok, spojrzałam na moją matkę, a ona zrozumiała mnie bez słów. Powiedziała: tak, zrób to, jeżeli w ten sposób choć trochę ukoisz ból.

Więc to zrobiłam.

Wstałam i otworzyłam ukryte w kącie sali drzwi. Prowadziły do nieciekawego korytarzyka z posadzką z szorstkiego cementu i ścianami wyłożonymi białymi kafelkami – czy takie łatwiej się czyści? – przyszło mi wówczas do głowy. Jak człowiek w ogóle jest w stanie myśleć przy takim cierpieniu? Było tam zimno. A może nie było zimno, tylko wewnątrz mnie panował chłód. Taki chłód, który wdziera się w duszę i zostaje już na zawsze. Spojrzałam w prawo. To pewnie tam. Otworzyłam następne drzwi, znajdujące się za tymi, przez które weszłam, i znalazłam się po drugiej stronie szyby.

Po stronie mojego syna.

Po stronie, po której powinnam się znaleźć o wiele wcześniej niż on.

Wyciągnęłam rękę powoli, ze strachem. Widziałam drżenie swoich palców, co dziwne, wcale nie czułam, że drżą, jakby nie do mnie należała ta ręka, która usiłowała niemal po omacku wyczuć skórę, jakby coś oddzielało tę rękę od mojego ciała. Dotknęłam Pabla. Zdziwiło mnie, jaki jest zimny. Jego skóra utraciła nie tylko swoje ciepło, ale i swoją miękkość. Mój syn był lodowaty i skamieniały, jak wykuty w marmurze, jakby śmierć zmieniła go, po wieczne czasy, w jedną z tych rzeźb, które zdobią sarkofagi królów i możnych, by upamiętniały zmarłych gnijących wewnątrz. Przesunęłam opuszkami palców po nasadzie nosa. Dotknęłam jego warg. Pogładziłam policzki. Ucałowałam go. Żegnaj, synku, żegnaj. Żałuję, że nie zdołałam cię ochronić. Żałuję, że nie byłam dla ciebie najlepszą matką na świecie. Matką, na jaką zasługiwałeś, a jaką ja być nie umiałam.

Podniosłam wzrok. Moja matka patrzyła na mnie zapłakana, przyklejona do szyby po drugiej stronie. Jej łzy obramowały kawałek tafli zaparowany jej oddechem, coraz większy, tak jak jej cierpienie.

\*\*\*

Ana spędziła noc, próbując zebrać fakty mogące dowieść niewinności Noriego. Jednakże Ruipérez był całkowicie głuchy na wszelkie argumenty. Nikt nie ma prawa się dowiedzieć o zatrzymaniu podinspektora. Ci nieliczni agenci obecni przy aresztowaniu lub sporządzający dokumentację w tej sprawie otrzymali od niego osobiste polecenie, by trzymali buzie na kłódkę. Zabronił

także komukolwiek schodzić do celi, by przesłuchać Javiera Noriego lub z nim porozmawiać, póki nie wyda nowych poleceń.

Zakaz objął także Anę Arén. Nie miała prawa do kontaktu z zatrzymanym ani do udzielania komukolwiek informacji na ten temat. Komisarz Ruipérez usiłował lizać ranę, zanim bomba wybuchnie mu w rękach. Mieć u siebie domniemanego pedofila, porywacza i zabójcę małych było dostatecznym skandalem, który mógł zagrozić jego karierze. Jeżeli w dodatku ten policjant należał do jednostki zwalczającej wszelkiego rodzaju przestępstwa wobec dzieci, to zwolnienia wystrzelą po całym korpusie jak fajerwerki. A w takich przypadkach nigdy nie wiadomo, gdzie dojdzie do końcowego wybuchu, dokąd sięgnie lont. Może wysadzi z siodła nawet ministra spraw wewnętrznych? Tym razem mogą go nie uratować ani sama boska interwencja, ani wszystkie orderzy nadane najświętszym paniąkom za ich nieocenioną służbę na rzecz obrony kraju.

Zasadniczym celem było kontrolowanie kryzysu, póki nie znajdzie się dość argumentów, by ujawnić posiadane informacje przy odpowiednim wsparciu artyleryjskim...

O ósmej rano, godzinie, którą uznała za rozsądną, Ana Arén zaczęła wydzwaniać po znajomych, by pomóc przyjacielowi w znalezieniu alibi. Nie chciała straszyć jego matki, starszej pani chorej na serce, mieszkającej gdzieś w górach pod Huelwą. Spośród przyjaciół podinspektora znała zaledwie kilku jego kumpli z pracy, kompanów od piłki nożnej. Policjanci zazwyczaj kolegują się między sobą. To dość zamknięta grupa zawodowa. Sporo czasu zajęło Anie znalezienie ich telefonów.

– Alejandro? Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze. Tu Ana. Ana Arén, koleżanka z pracy Javiera. Tak, to ja właśnie. Nie, nic złego się nie stało, nie martw się. Mam tu kilka bieżących spraw, nawet sobie nie wyobrażasz, jak nudnych, i kompletnie zapomniałam o raporcie, który miałam oddać wczoraj wieczorem. Tak, sam wiesz, policyjna robota. Wychodzi na to, że więcej czasu zajmuje nam papierologia niż łapanie przestępców. Tak, pewnie, masz rację. No, więc przepraszam za godzinę i za pośpiech, ale kazano mi przygotować raport dla jednostki i nikt się nie może o niczym dowiedzieć. Tak, przynudzanie. No więc chcę, żebyś mi powiedział, czy pamiętasz, czy szesnastego lipca dwa lata temu... Tak, chłopie, tak, dwa lata temu, dokładnie w wakacje przed dwoma laty. Tak, dokładnie, w te wakacje, gdy się urodziła twoja córka. No więc muszę wiedzieć, czy tamtego dnia, w niedzielę, może pamiętasz, czy graliście mecz, a może mieliście jakiś trening? Czy spotkałeś się może z Javierem? Nie

pamiętasz? Jasne. Fakt, sporo czasu minęło. Masz kalendarz w samochodzie? Możesz sprawdzić? Możesz mi przypomnieć, w jakim klubie wy obaj gracie?

Tego samego próbowała Ana w przypadku dwóch innych dat: dat zniknięcia Kike i Pabla. Alejandro nie było, nie dzwonił ani nie wiedział, co wówczas robił jego kolega. Była przekonana, że jak tylko zakończy połączenie, to Alejandro zadzwoni do Noriego, by zapytać o ten dziwny telefon jego szefowej. Tylko że Nori jest odcięty od telefonu i od wszelkich kontaktów, w celi we własnej komendzie.

– Joan...

– Coś takiego, pani nadinspektor Arén dzwoniąca na dzień dobry! – zażartował zaskoczony Joan, nie zdając sobie sprawy z poważnego tonu, jakim Ana wypowiedziała jego imię.

– Joan. Stało się coś bardzo poważnego.

Umilkła, niezdolna do powiedzenia tego, co zamierzała. Słowa utknęły jej w gardle. Gdyby stamtąd wyszły i gdyby wypowiedziała je na głos, stałyby się prawdą.

– Ano, nie strasz mnie.

– Aresztowano Noriego – wyrzuciła w końcu z siebie, jak ktoś, kto zwymiotował to, co mu zaszkodziło.

– Aresztowano? Za co? Za rzucenie rękawicy nowemu komisarzowi? – żartował nadal Joan, starając się zbagatelizować sprawę, której powagi jeszcze się nie domyślał.

I mimo polecenia wydanego przez komisarza Ana opowiedziała, co się stało. Nie dbała o możliwe konsekwencje. Musiała to zrobić, żeby poczuć się troszkę, troszeczkę lepiej. Rozmowa zawsze pomaga. Zaufanie do innych także. Choć nie zawsze. Nie do wszystkich. Ale zaufanie do Joana tak. Właśnie to sobie uświadomiła. I było jej z tym dobrze. Oby tylko nie było jeszcze za późno na rozsądne działania.

– Chcesz mi pomóc?

– Jasne! Jak możesz w to wątpić?

– Wobec tego poproszę cię o coś.

– Proś o cokolwiek.

– Czy my nadal uczestniczymy w eksperymentalnym badaniu zagrożenia parkinsonem?

I Joan w jednej chwili zrozumiał, czego chce Ana. Nie musiała nic wyjaśniać.

– Wiesz, że trudno będzie doprowadzić do tego, żeby uznano wyniki badań za dowód. Program nie ma homologacji, znamy go tylko my i stosujemy go



zapobiegawczo, nie jako dowód w oskarżeniach lub obronie wobec policji czy prokuratury – przypomniał Joan.

– Wiem, ale przynajmniej będę miała jakiś punkt zaczepienia.

– A jeśli wynik będzie niepomyślny, Ano? Zastanowiłaś się, co będzie, jeśli daty i symptomy dadzą wynik pozytywny?

– Jak ty możesz wątpić w przyjaciela? – spytała Ana podniesionym głosem. Po raz pierwszy podniosła na Joana głos.

– Nie wątpię, ale muszę zachować rozsądek. Nie jestem w stanie w ogóle sobie wyobrazić, że Nori byłby zdolny do czegoś takiego. Musisz mieć jednak świadomość, że dane z programu mogą nie być takie, jakich się spodziewasz. Wszyscy nosimy w środku potwora, wystarczy go tylko podrażnić (czasami dosłownie odrobinę), żeby wylał na świat i zaczął go niszczyć.

Czy praca policji nie na tym aby polega? – miał dodać. Nie na tym właśnie, żeby odnaleźć potwora, obojętne, kim on jest? Ana zaś, zakończywszy rozmowę, przypomniała sobie, że ma przed sobą jeszcze jeden ciężki obowiązek. Powiadomienie rodziców o tym, że ich dziecko nie żyje.

\*\*\*

Po zawirowaniach poprzedniego tygodnia kolejny sprawiał wrażenie, jakby ktoś nacisnął guzik i film przesuwiał się w zwolnionym tempie. W rzeczywistości ludzie i przedmioty odnaleźli zwykły rytm, lecz w porównaniu z poprzednim tempem ów ranek w jednostce Any Arén wydawał się spowolniony. Tylko niewielu wiedziało, że domniemany winowajca znajduje się kilka metrów pod nimi, zamknięty w jednej z cel komendy. I że to w dodatku ich kolega. Ale trzech chłopców odnaleziono i choć dwóch wprawdzie nie żyło, to jednak wszyscy nieco odetchnęli.

– Wiesz coś o Norim? – Charo Domínguez usłyszała czyjś szept.

Podniosła wzrok znad ekranu. José Barriga uświadomił sobie, że koleżanka ma zapuchnięte oczy i zaczerwienioną twarz, najpewniej całą noc płakała. Makijaż ledwie maskował ślady po łzach. Charo czuła się samotna i dezorientowana. Pracowała w jednostce zaledwie od czterech miesięcy, ale z podinspektorem bardzo się zaprzyjaźniła. A ten przypadek był tak naprawdę jej pierwszą poważną sprawą od ukończenia akademii. Na poprzednim stanowisku zajmowała się jedynie ochroną ambasad i ich personelu.

– Ja też tu jestem nowy – dodał Barriga, próbując ją uspokoić. – Pracuję tu dopiero od tygodnia i pogubiłem się w tym, co się tu dzieje. Ale ty nie możesz się aż tak bardzo przejmować.

Naprawdę jest jakiś sposób, żeby się aż tak bardzo nie przejmować? –

zastanawiała się Charo.

– Jak policjant może coś takiego zrobić?

– Jak może ktokolwiek coś takiego zrobić?

Barriga wziął jedno ze starych biurowych krzeseł na kółkach i przysunął je do koleżanki. Usiadł obok niej i wyciągnął rękę.

– Trzymaj.

– Co to?

– Oprócz tego, że to pendrive? – zażartował. – Coś, czym zajmiesz myśli. Pendrive wypełniony nagraniami z kamer bezpieczeństwa rozmieszczonych w pobliżu zsypów, w które ktoś mógł wrzucić Pabla.

– Nastrasza mnie.

– Sto pięć kamer. Wybraliśmy dwadzieścia pięć godzin nagrań z każdej z nich, od chwili, gdy Pablo znika, do chwili, gdy pojawia się w rurze odprowadzającej śmieci.

Ponad dwa tysiące pięćset godzin nagrań. Nie licząc tego, co już mieli. Nie licząc ton gruzu z opuszczonego domu. Można się było zniechęcić. Ale lepiej było pogrzebać.

\*\*\*

Wspomnienie rozkładających się zwłok ojca i jego długiej samotnej agonii na podłodze, po tym, jak usiłował przez ponad dobę doczołgać się do telefonu, definitywnie zmieniło Anę Arén, gdy miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. Stała się twarda, szorstka i nieprzystępna dla otaczających ją ludzi. Trzymała dystans i trudno było się do niej zbliżyć.

Ale nie ofiarom.

Ana zmieniała się, rozmawiając z ofiarami. W ciągu piętnastu lat w Korpusie przyszło jej dziesiątki razy przekazywać wiadomość o czyjejś nieoczekiwanej śmierci członkom rodziny niezdolnym nawet wyobrazić sobie, co mieli usłyszeć. Ana zawsze zostawała przy nich dłuższy czas, starając się przeciągnąć tę chwilę zwyczajności, którą miała zniweczyć na zawsze. Jeszcze chwilkę, mówiła sobie, dam im jeszcze chwilkę. Pomimo że jej rozmówcy nigdy nie mieli sobie zdać sprawy z prezentu, jaki im sprawiała.

Rodzina jedząca kolację przed telewizorem. Rodzice śpiący w sobotni rano. Syn uczący się w bibliotece uniwersyteckiej. Nie, nie umarł, to niemożliwe, rozmawiałem z nim dzisiaj rano, słyszała często, jak gdyby rozmowa była jakimś magicznym napojem zapewniającym nieśmiertelność. Jak gdyby sekundy nie mogły przerwać czyjegoś życia na zawsze. Przecież był tutaj, jak może go już nie być? Nie, nie umarł, to niemożliwe. I Ana widziała w tych ludziach

odbicie siebie samej sprzed lat, studentki Akademii Policyjnej, która wkraczała na palcach do swojego domu i posuwała się naprzód, wiedząc, że na końcu korytarza znajdzie martwego ojca; która starała się, jak mogła, odsunąć chwilę, gdy ujrzy zwłoki i śmierć stanie się czymś nieuchronnym. Wejdźmy do środka, mówiła rodzicom zmarłych dzieci, wejdźmy do środka. Chodź, usiądziemy na ławce w słońcu, mówiła do studenta. Dzieciaki, nastawić wam kreskówkę i pogadamy o mamie? – mówiła rodzinom.

I ujmowała ludzi za ramiona, podawała im rękę, obejmowała. W cierpieniu każdy człowiek potrzebuje innego kontaktu fizycznego i Ana potrafiła za każdym razem wyczuć jakiego. Jedni chcieliby, aby ich objąć i nie pozwolić upaść. Dla innych jakikolwiek dotyk był bolesny jak porażenie piorunem. Proszę posłuchać, rozmawiałam z lekarzem medycyny sądowej. Państwa syn zmarł w drodze do szpitala. Miał wypadek samochodowy. Naprawdę strasznie mi przykro. Czy mam do kogoś zadzwonić? W czym mogę państwu pomóc?

W przypadku rodziców Nicolasa sprawa była prostsza, a jednocześnie trudniejsza. Prostsza, gdyż oznaczała koniec wątpliwości, niepokoju i niewiedzy. Trudniejsza, bo póki syn pozostawał zaginiony, zawsze istniała nadzieja, że kiedyś ujrzą go żywego.

A Ana miała ją im odebrać.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

42.

## ANA/INÉS

– Muszę jechać na pogrzeb.

Ana zadzwoniła do Silvela z samochodu. Ciągłe jeszcze trzęsły się jej ręce. Musiała się skoncentrować, żeby dobrze trzymać kierownicę.

– Jak wizyta u rodziców Nicolasa?

– To jedna z najgorszych rzeczy, jakie musiałam kiedykolwiek w życiu zrobić. Obyśmy dorwali tego skurwysyna.

Nadinspektor Silvelo miał jej przypomnieć, że najprawdopodobniej ów skurwysyn znajduje się w celi, dokładnie trzy piętra pod jej biurem, wołał jednak, żeby poradziła sobie z tym ciężarem na swój sposób. Musi to być straszne, kiedy twój kolega z policji, w dodatku przyjaciel, zostaje zatrzymany za dokonanie przestępstwa, którego wykrycie zajęło ci dwa lata i omal nie doprowadziło do obłądu. Winowajca był obok, przez cały ten czas, a ty tego nie widziałaś.

Ana wahała się między negacją a obwinieniem.

– Jechać z tobą?

– Muszę to zrobić sama.

– Nie myśl, że uważam cię za idiotkę, ale pozwól, że ci przypomnę, iż nie możesz nic powiedzieć Inés (tak ona się nazywa, prawda?) o zatrzymaniu podinspektora.

– Ja też cię nie uważam za idiotę, pomimo że pomyślałeś, że jej to powiem.

Dom pogrzebowy przy M30 tylko pogłębiał depresję tych, którzy stanęli w obliczu czyjejś śmierci. Była to zagmatwana szara bryła wybudowana nad trasą przelotową przez Madryt, słynącą z natężonego ruchu i korków. Jego budowę zlecił burmistrz Madrytu w okresie Movidy[15], człowiek, który wydobył miasto z mentalnego i architektonicznego obskurantyzmu panującego przez czterdzieści lat dyktatury, i jego intencje zapewne były dobre, ale w latach osiemdziesiątych tendencje w architekturze były równie straszliwe, co w modzie, zdominowanej przez napuszone do granic wytrzymałości fryzury i niewiarygodnie wielkie poduszki poszerzające ramiona.

Byłoby to miejsce deprymujące, nawet gdyby jego funkcją nie było udzielanie gościny zmarłym i opłakującym ich bliskim.

Nie musiała sprawdzać, w której sali umieszczono Pabla. Na pogrzeby dzieci zawsze przychodzi najwięcej ludzi. Dziwny paradoks życia polega na tym, że im dłużej żyjesz i więcej znasz ludzi, tym mniej osób przyjdzie na twój pogrzeb. Może to dlatego, że im krócej się jest na tym świecie, tym mniej ma się czasu, by kogoś rozczarować albo zranić.

Ana mimowolnie rozejrzała się w tłumie w poszukiwaniu kogoś podejrzanego. Takie przyzwyczajenie, podobnie jak to, że w restauracji nigdy nie siada plecami do drzwi. I może rzeczywiście zabójca dziecka gdzieś tu jest. W jej głowie toczyła się walka, czy wyeliminować Noriego z tego równania z niewiadomą.

W kącie głównego dziedzińca płakał bezgłośnie Sam, zagubiony i zupełnie załamany. Przysiadł na niedużym betonowym parapecie, z pochyloną głową, wsparty o ścianę. Wyglądał jak Matka Boska opłakująca Chrystusa pędzla Caravaggia. Łzy ściekające mu nieprzerwanie po policzkach obezwładniały. Jego widok rozdzierał duszę.

Sama zwolniono natychmiast po złożeniu zeznań. Stwierdził, że przez cały weekend był na imprezie z grupą Brytyjczyków, z którymi się stale spotykał. Wszyscy potwierdzili jego alibi. Choć nawet nie było to konieczne. Na wieść, że Pabla porwano, oszalał z rozpaczy. Takiej reakcji nie da się udawać.

\*\*\*

Ujrzałam Anę, gdy tylko weszła na salę, w której stała trumna mojego syna. Tkwiłam przyklejona przy szybie, wpatrzona w niego, czując go tak blisko. Po raz ostatni mieliśmy być razem, blisko siebie, i nie chciałam się stamtąd odsunąć. Musiałam zachować niczym skarb każdą z tych ostatnich sekund przy moim malutkim. Ale choć z całej siły zaciskałam pięści, czas wymykał mi się z rąk. I zostawało go coraz mniej, zanim ciało zniknie pod ziemią.

Ana podeszła bliżej, nie spuszczając ze mnie wzroku. Tak mi przykro. Tak mi przykro. Tylko tyle była w stanie powiedzieć. Nie udało mi się go uratować. Wybacz mi. Zauważyłam, że cała drży.

Siedziałyśmy objęte – czasami łatwiej kogoś objąć, niż patrzeć mu w twarz i czuć się zmuszonym, żeby wypełnić ciszę słowami – ale potem nas rozdzielono. Więcej ludzi, więcej kondolencji, więcej obejmowania, więcej „musisz być silna”.

Zbyt wiele osób wokół. I może zbyt wiele udręki, że nie udało się Pabla uratować. Ana spuściła wzrok i odeszła bez pożegnania, a ja zostałam,

przechodząc z jednych ramion w drugie. Zobaczyłam jej plecy, szła, jakby ciągnęła za sobą jakiś wielki ciężar przywiązany do kostek.

Kiedy wyszłam ponownie na główny dziedziniec, straciłam ją z oczu, ale Ana dostrzegła w tłumie Willy'ego, ojca Pabla, który zjawił się prosto z lotniska, po ponaddwudziestogodzinnym locie.

\*\*\*

– Ana, obiecaj, że go złapiecie.

To było pierwsze, co powiedział, zanim stopili się w długim, bolesnym uścisku. Mimo że mieszkał ponad sześć tysięcy kilometrów od Madrytu, spędzał dużo czasu z synem i utrzymywał z nim stały kontakt. Nie było tygodnia, żeby choć przez chwilę nie pogadali sobie przez Skype'a.

– Jak się czujesz?

– Nadal nie mogę w to uwierzyć. – Oczy zaczerwienione od płaczu prawie nic nie widziały.

– Idź do Inés – poprosiła. – Potrzebuje cię, choć wydaje się, że nie. Jesteś jedną z osób, które najlepiej ją znają. A ja muszę już iść. Muszę złapać tego skurwysyna. Zadzwoń, jak będziesz czegoś potrzebował, dobrze? A przede wszystkim zadzwoń przed odlotem, chcę się z tobą zobaczyć, nim wrócisz do Stanów.

Poza głównym dziedzińcem, na zewnątrz domu pogrzebowego, zgromadziło się kilkanaście kamer, dziesiątki fotografów i ponad pięćdziesięciu dziennikarzy. Ana spuściła głowę, by nikt jej nie rozpoznał – na szczęście nie miała na sobie munduru – i wyszła okrężną drogą, żeby uniknąć tłumu.

Jej komórka odezwała się, gdy otwierała pilotem samochód.

– Ana, oglądasz telewizję? – spytał Silvelo.

– Wyszłam z domu pogrzebowego, właśnie wsiadam do auta.

– To wsiadaj i włącz radio. Którąkolwiek stację. Cholerne skurwysyny.

Wystarczyły trzy słowa, żeby zorientowała się, kto przemawia. Minister spraw wewnętrznych. Nie odważy się, pomyślała, nie odważy się ta banda sukinsynów zwołać konferencji prasowej, żeby ujawnić nazwisko Noriego.

– W obecnej chwili za wcześnie jeszcze, byśmy mogli powiedzieć coś więcej – mówił minister. – Mogę jednak państwu zapewnić, że jesteśmy w posiadaniu dostatecznych dowodów. Konkretnie chodzi o ślad DNA na zwłokach jednego z chłopców.

– Czy można całkowicie wykluczyć zbieżność w związku z przebywaniem na miejscu zbrodni?

– Całkowicie. Podinspektor Javier Nori nie był na miejscu zbrodni, nie miał

też żadnego kontaktu ani ze zwłokami, ani z laboratorium, które badało próbki. Tę ewentualność należy więc całkowicie wykluczyć.

Pograżano Noriego w kałuży gówna, z którego nigdy nie zdoła się całkowicie oczyścić, nawet gdyby dowiedziono jego niewinności. Ana mogła sobie wyobrazić, jak i dlaczego narodził się pomysł zwołania konferencji prasowej. Zebrali się wysoko postawieni politycy i policja i uznali za wskazane zrobić pierwszy krok, uprzedzając w ten sposób możliwy wyciek informacji. Podczas kryzysu zawsze lepiej wyjść pierwszemu z inicjatywą, a ponadto, przy takiej rewelacji, można zamieść pod dywan śmierć dwóch chłopców. Owszem, nie żyją, ale my rozwiązaliśmy tę zagadkę, złapaliśmy przestępcę i teraz wszystkie matki i ojcowie mogą spać spokojnie. Tak miał brzmieć przekaz z konferencji prasowej ministra spraw wewnętrznych. Osoba tak wysoko postawiona występowała z wyjaśnieniami wyłącznie w przełomowych momentach. A ten do takich należał. Pokazać się. Kolejny order. Kolejna dziurka w pasku.

Kiedy konferencja prasowa dobiegła końca, Ana uświadomiła sobie, że wciąż siedzi w samochodzie, na parkingu domu pogrzebowego, w ciemnościach, i że nawet nie włączyła silnika. Sprawdziła, czy ma zasięg. Właśnie ktoś do niej dzwonił.

– Joan – odezwała się.

– Zaalarmowała mnie konferencja prasowa tego drania. Właśnie zgrillowano Noriego.

– Udowodnimy, że jest niewinny, przysięgam ci. Choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie, nie wolno mi, a jemu zakazano wszelkich kontaktów. Ale to ja nadal prowadzę śledztwo. Przynajmniej o ile wiem. Zarazjadę pogadać z Silvelem, zobaczymy, czy będziemy naciskali na komisarza, żeby nam pozwolił przesłuchać Javiera.

Ana powoli wyjeżdżała z parkingu. Ludzie wciąż napływali. Ilu spośród tych, którzy składają kondolencje, to zwykli ciekawscy? Ile w nich autentycznego, a ile udawanego bólu? Ile niezdrowej ciekawości?

– Poza tym teraz spuścili już całe ciśnienie, otworzyli ujście w pokrywie szybkaru. Będą spokojniejsi – zauważył Joan.

– Być może. Choć ludzie tego pokroju nie rozumują jak inni. Interesuje ich tylko ich własna rozgrywka. A ta rozgrywka jest czystą polityką, nie ma nic wspólnego z nami. Udało ci się już przepuścić dane Noriego z NeuroQWERTY przez program pedofilów?



– Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać. Pojawił się problem. Muszę natychmiast lecieć do Paryża. Ktoś wrzucił boga w centralny komputer jednej z instytucji europejskich, musiał to być ktoś, kto tam pracuje. Odkrycia dokonano przez przypadek, ale trzeba to zatrzymać, zanim się rozpowszechni, bo wtedy nie wiadomo, jakie gówno aktywuje. Trzeba to zrobić tam, na miejscu. Lecę za chwilę.

– Kurwa. Nie możesz odmówić? To jest ważniejsza sprawa.

– Zastanawiałem się, ale nie. Nie mogę odmówić. Gdybym mógł, tobym to zrobił, wiesz przecież. – Zapanowało kłopotliwe milczenie. – Posłuchaj, obmyśliłem, jak to zrobimy. Dam ci zdalny dostęp do mojego domowego komputera, na którym mam zainstalowany program. Ja też postaram się podłączyć, ale teraz będę przez dwie i pół godziny w samolocie, a później w dobrze zabezpieczonym bunkrze, zapewne bez zasięgu. Nie podano nam żadnych szczegółów, a to oznacza, że sprawa jest naprawdę gruba, wyobrażam więc sobie, że odbiorą nam komórki i wszelki sprzęt pozwalający na kontakt ze światem. Będziesz musiała mi pomóc i posunąć robotę naprzód. Wyślę ci instrukcje, jak to zrobić, nie martw się. Napiszę je w taksówce w drodze na lotnisko.

Kiedy Ana dotarła do biura, otworzyła e-mail od Joana. Odczytała go na swojej komórce, nie chciała bowiem, żeby w jej służbowym komputerze pozostał jakikolwiek ślad. Przeczytała instrukcje, ale musiała to zrobić dwa razy, żeby je dobrze zrozumieć. Wyglądało na to, że będzie potrzebowała komputera, by skalibrować dane. Nie mogła pozostawić najmniejszego śladu na sprzęcie jednostki. Musi to przeprowadzić na własnym laptopie. A ten został w domu. Czekala ją kolejna przeprawa przez całe miasto.

– Szefowo! Szefowo! – Do pokoju wpadła Charo z krzykiem. – Szefowo, Kike się przebudził. Jest przytomny i może mówić. Musisz natychmiast jechać do szpitala.

Ana zerwała się z krzesła i pędem wypadła przez drzwi, ale po chwili zatrzymała się i zawróciła. Włączyła swój ciężki i przestarzały komputer stacjonarny i podłączyła się do policyjnej bazy danych. Musiała wydrukować coś ważnego.

Wyszła z budynku, ściskając w rękach plastikową koszulkę. Gdyby mogła sobie przypomnieć jakąkolwiek modlitwę, gdyby wierzyła w Boga, modliłaby się, żeby się udało.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 43.

# ANA

– Kike, kochanie, tak się cieszę, że się przebudziłeś. Jesteś bardzo dzielnym chłopcem. Dzielniejszym niż Superman. Prawda, że tak?

Podeszwy sportowych butów Any skrzypiały na wypolerowanej szpitalnej posadzce wyłożonej winylowymi panelami. Był to niemiły dźwięk, jak gdyby jej buty odzywały się własnym głosem i uskarżały się na udrękę, jaką sprawiało im ocieranie się i zdzieranie na powierzchniach, po jakich musiały się przesuwać. Boli mnie to, boli mnie to, boli mnie to! – krzyczały buty Any. A właściwie nie tyle krzyczały, co raczej potęgowały ból, który krążył w żyłach nadinspektor Arén.

To zapewne ów hałas, słyszalny w tej strefie szpitala, gdzie nawet cisza była aseptyczna, zaniepokoił rodziców Kike. Lola wychyliła głowę przez drzwi pokoju, w którym leżał jej syn, chyba zaskoczona, że ktoś biegnie korytarzem. Policja odcięła tę część OIOM-u, żeby zapewnić ochronę dziecku i jego rodzicom, i jedynie personel medyczny miał do niej dostęp.

Dla pewnych drobiazgów warto było się poświęcić. Na przykład dla uśmiechu Loli, kiedy rozpoznała Anę. Dla szybkiego kroku i otwartych ramion, jakimi ją powitała. Dla ciepłego, szczerego uścisku, wyrażającego ulgę, którą dzięki niej czuła.

– Uratowałaś Kike. Dziękujemy. Będziemy ci dozgonnie wdzięczni, do końca życia.

Tylko jednego, pomyślała Ana. Zdołała uratować tylko jednego chłopca. Dwóch innych zmarło, bo nie potrafiła ułożyć układanki na czas. Ale tego nie mogła przekazać rodzicom jedyne dziecko, które przeżyło.

– Słyszałam, że Kike się przebudził.

– To cud. Zwróciłaś nam dziecko.

Lola wciąż ścisnęła dłonie Any w swoich, jak gdyby były jakimś delikatnym przedmiotem, godnym najwyższego podziwu. To te dłonie zwróciły jej dziecko.

– Jak myślisz, mogłabym z nim przez chwilę porozmawiać? Chciałabym go zapytać o kilka rzeczy. To ważne dla śledztwa. Mogę wejść?

W pokoju przebywał również ojciec Kike, Ricardo. Mężczyzna, którego zatrzymano na jej polecenie, bo uznała go za pierwszego podejrzanego o porwanie syna. Za winnego. Przesłuchiwała go niemal z nienawiścią, raniąc mu duszę, gdy próbowała wyciągnąć z niego prawdę. Podczas przesłuchania powiedziała mu okropne rzeczy.

– Ricardo – odezwała się, wyciągając rękę.

– Coś takiego, pani nadinspektor, teraz doskonale pani pamięta, jak się nazywam – wygarnął, wciąż jeszcze urażony.

– Taką mam pracę.

– W dodatku miała pani zabójcę pod bokiem i nie potrafiła tego dostrzec. Cała policja. Widzieliśmy wystąpienie ministra w sprawie zatrzymanego agenta.

– Nie mogę komentować szczegółów dochodzenia, proszę zrozumieć.

– Ricardo, proszę cię – wtrąciła się jego była żona. – Uspokój się, dobrze?

Ściany pokoju wymalowane były w księżniczki i smoki. Przepiękne rysunki, ale pewnie nie znalazłyby uznania w oczach małego pacjenta noszącego w dniu zaginięcia swoją ulubioną koszulkę Supermana. Koszulkę, która najprawdopodobniej uratowała mu życie.

– Słuchaj, Kike, tak sobie myślę, że brakuje tutaj Supermana, nie sądzisz? Może powiemy lekarzom, żeby go nam tu namalowali?

Ana usiadła przy łóżku. Rodziców Kike poproszono, żeby nie stali zbyt blisko dziecka, by nie wywierać wpływu na jego odpowiedzi. Odsunęli się pod ścianę i uważnie wszystko obserwowali.

Z chwilą, gdy otrzymała przydział do grupy do spraw dzieci i młodzieży w Służbie Pomocy Rodzinie, Ana Arén musiała się nauczyć rozmawiać z dziećmi. Wiele czasu zajęło jej poznanie tajemnic subtelnej techniki przesłuchiwania osób nieletnich. Dzieci w wieku Kike przypisują dorosłym, a przede wszystkim rodzicom i opiekunom, umiejętności superbohaterów: potrafią i mogą wszystko. Wszystko wiedzą. Nigdy nie oszukają. Dlatego należy odsunąć ich na drugi plan, żeby nie mieli wpływu na zeznania dziecka.

– Jestem Ana. Mogę przez chwilę przy tobie posiedzieć?

W odpowiedzi na półśmiech Kike podeszła do krawędzi łóżka.

– Nie mam na sobie munduru, ale pewnie wiesz, gdzie pracuję? – Mały pokręcił głową. – W policji.

– U tych sukinkotów, co wystawiają mandaty?

Odpowiedź zrobiła wrażenie na wszystkich obecnych. Ana nie mogła powstrzymać śmiechu, ale Lola trąciła męża łokciem. „Widzisz? Widzisz? Powtarza za tobą wszystko, nie możesz się w ten sposób wyrażać przy

dziecku!”), wyrzucała mu szeptem.

– Nie, ja nie wystawiam mandatów, Kike. Ten oddział, w którym ja pracuję, nie zajmuje się kierowcami na drodze. Ja ścigam złych ludzi.

– Ale mój tata nie jest zły, a policja wypisuje mu mandaty.

– A nie jeździ trochę za szybko?

– No, ale jak nie – wyjaśniał poważnie Kike – to się spóźniamy do przedszkola.

– To już się nie przejmuj, bo jako policjantka mogę załatwić sprawę mandatów, co ty na to?

Chłopiec uśmiechnął się zadowolony, spoglądając na ojca. Widzisz, tato, jak się załatwia sprawy? W sytuacji tak traumatycznej jak ta, którą przeżył Kike, dzieci rozwijają wszystkie życiowe umiejętności, byle tylko mogły się czuć kochane i podziwiane przez dorosłych. Ana nie mogła jednak pozwolić, by to wywarło wpływ na odpowiedzi chłopca.

– Kike, ale teraz to ja potrzebuję twojej pomocy. Dasz radę mi pomóc?

– Tak – odparł mały, spoglądając na rodziców i szukając u nich aprobaty. Lola skinęła głową, dodając synowi odwagi.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

– Bo sobie zrobiłem krzywdę.

– Ty sobie zrobiłeś krzywdę?

Ana nie mogła wiedzieć, co rodzice opowiedzieli małemu, co mu mówili przez te dwie godziny od chwili wybudzenia ze śpiączki. Takie małe dzieci zwykle wypełniają luki w pamięci zasłyszаныmi później informacjami i magazynują je, jak gdyby rzeczywiście przeżyły dane wydarzenie w taki, a nie inny sposób. Czy Lola i Ricardo niechcący wywarli wpływ na to, co będzie miał do powiedzenia Kike?

– Bardzo się bałem.

– Czego się bałeś?

– Ten chłopiec się nie ruszał... On kazał mi siedzieć przy chłopcu, który się nie poruszał... Kazał mi się... bawić z nim... Ale ja nie mogłem. Bo on się nie ruszał...

Głos chłopca zdradzał, że zaraz się rozpłacze.

– Rozpadał się, jak go dotykałem – ciągnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

– Chyba na dzisiaj wystarczy.

Tak zdecydował lekarz, który właśnie wszedł do pokoju. Ana domyśliła się, że jest lekarzem prowadzącym. Może pielęgniarki zaniepokoiła obecność policji

u chłopca?

– Panie doktorze, bardzo proszę.

Nie zdołała go jednak przekonać.

– Może jutro – odparł stanowczo. – Może jutro. To dziecko ma za sobą trudne przejścia i musimy się postarać, żeby wracał do nich nadzwyczaj powoli i w sposób jak najmniej traumatyczny.

Obiecał Anie, że ją zawiadomi natychmiast, gdy tylko Kike skończy rozmawiać z panią psycholog.

– I chciałbym, żeby pani psycholog była obecna przy następnej pani rozmowie z pacjentem, zgoda?

– Jeszcze tylko jedna rzecz, panie doktorze, najważniejsze pytanie. Bardzo pana o to proszę – powiedziała Ana błagalnie.

Weszła z powrotem do pokoju. Rodzice siedzieli znowu u wezgłowia, przy dziecku. Usiłowali rozmawiać z nim o czymś innym.

– Jeszcze tylko jedna rzecz. – Ana popatrzyła na nich błagalnie. – Kike, już sobie idę, ale obiecuję wrócić jutro i przyniosę ci Supermana na ścianę. Chcesz?

Chłopiec przypatrywał się jej z dziwną mieszaniną radości i obawy. Czemu pan doktor wyrzuca tę policjantkę?

– Ale przedtem muszę ci zadać ostatnie pytanie, dobrze? Pokażę ci zdjęcie. Chcę, żebyś mi powiedział, czy znasz pana z tego zdjęcia. Tylko tyle. Czy go znasz. Dobrze?

Poliuretanowe podeszwy butów nadinspektor Any Arén zaskrzypiały znowu na wypolerowanej szpitalnej posadzce. Ale już się nie uskarżały. Tym razem piszczały przepełnione nadzieją.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 44.

# ANA

Nie dało się. Ruipérez nie odbierał telefonu. Pewnie siedział jeszcze schowany pod stołem w obawie przed furią Any po konferencji prasowej ministra, który oskarżył Noriego. Próbowwała złapać Silvela. Szukała jego numeru, usiłując jednocześnie włączyć się do ruchu na M30.

– Co ci powiedział chłopiec? – spytał Silvelo, gdy tylko odebrał telefon.

– Że to nie Nori – odparła z przekonaniem.

– Jak to, że to nie Nori? Wskazał kogoś innego?

– Nie. Pokazałam mu zdjęcie Javiego i powiedział, że nigdy tego pana nie widział.

– Kurwa, przecież to czteroletnie dziecko. To się na nic nie zda. Nie nadaje się na dowód. Tym bardziej w sądzie. Chłopiec jest mały i dopiero co przeżył traumatyczne doświadczenie, które odcisnęłoby ślad nawet na silnym psychicznie dorosłym.

Jak ta kobieta może się tak upierać? – zastanawiał się Silvelo. Jak może się tak upierać?

– Powiedział mi to bardzo stanowczo. To nie ten pan go porwał – przekonywała Ana.

– Przy stanowczym potwierdzeniu DNA, które działa na jego niekorzyść. Musisz znaleźć coś więcej.

Znaleźć coś więcej. Znaleźć coś więcej. A przecież nie chodziło tylko o dowiedzenie niewinności Noriego. Rzecz była o wiele bardziej skomplikowana, ponieważ Ana musiała także uzasadnić, jak jego włos znalazł się na wełnianym swetrze, w który były ubrane zwłoki Nicolasa. Sweter, który nie wiadomo skąd się wziął, usiłowali to ustalić, ale na razie bez rezultatów. Były dziesiątki identycznych swetrów, pochodzących z krótkiej serii z konfekcji taniej sieciówki, która wprowadziła je na rynek w maju przed dwoma laty. Nicolás zaginął w czerwcu, kiedy zrobiło się już ciepło. Ubrany był w koszulkę i krótkie spodnie. Ktoś musiał mu założyć to okrycie, a to z kolei pasowało do pomysłu, jaki podsunął lekarz medycyny sądowej: że ktoś dbał o Nicolasa lub



o jego ciało przez cały ten czas. Przez całe te dwa lata.

Poza tym, nawet gdyby znaleźli zabójcę, Ana musiała również rozwiać wszelkie spekulacje na temat tego, czy jej kolega mógłby być jego współnikiem lub pomagać w zacieraniu śladów trzech porwań i dwóch zgonów. Czy może się jej to udać?

Podczas jazdy do domu Ana usiłowała dodzwonić się do Joana, lecz jego telefon był wyłączony lub poza zasięgiem. Czyżby już był w samolocie? Miał przed sobą dwie i pół godziny lotu do Paryża, więc nie skontaktuje się z nim przez cały ten czas. Przypomniała sobie, że umożliwił jej zdalny dostęp do swojego komputera, do tego, w którym był zainstalowany program NeuroQWERTY z fiszką Noriego. Ana musiała jedynie ściśle wypełnić instrukcje Joana przekazane jej w e-mailu i przepuścić wzorzec Noriego na klawiaturze przez program dopasowany do stanów emocjonalnych pedofilów. Jeżeli nie odnotuje żadnych zmian, to Javier jest niewinny.

Kiedy dojechała do domu, rzuciła się na sofę. Adrenalina utrzymywała ją na nogach przez całe dwadzieścia godzin. Nie miała nawet czasu, by pomyśleć o jedzeniu, w owej chwili jednak czuła, że nie stać jej nawet na najmniejszy wysiłek, by się odwrócić i ułożyć na boku. Pozwoliła mózgowi pograzać się w nieświadomości. Kiedy już miała zapaść się w ciemną otchłań, całym jej ciałem wstrząsnął nagły spazm, jak gdyby poraził ją prąd. Jakaś ulotna myśl wystarczyła, by ją wybudzić i wyrwać z letargu. Musiała zdobyć więcej próbek świadczących na korzyść przyjaciela. Musiała się więc obudzić i zacząć działać. Ano Arén, nie wolno ci teraz spać.

Otworzyła klapę komputera i zaskoczyło ją podświetlenie ekranu, jakby silniejsze niż zwykle. Musiała przetrzeć oczy, żeby dobrze się skupić. Ewidentnie pogarszał jej się wzrok, nie może już dłużej odsuwać chwili, gdy przyjdzie jej założyć okulary, by lepiej widzieć z bliska. Ponownie zaczęła wczytywać się w instrukcje od Joana.

Miało to się okazać bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażała.

Zajęło jej pół godziny, by wyjść z systemu, zalogować się ponownie i zainstalować programy niezbędne do tego, by móc uzyskać zewnętrzny dostęp do komputera Joana. Ana nigdy nie korzystała ze zdalnego dostępu, czuła się więc nieco zagubiona. Ale jakimś cudem wszystko zadziało i udało jej się otworzyć okno w jego macbooku air, co przekonało ją, że znalazła się w zewnętrznym komputerze. W komputerze Joana. Na szczęście miał on ten sam system operacyjny, co jej własny, tak więc nie sprawiło jej kłopotu poruszanie się po folderach i odnalezienie pliku z danymi Noriego.

Zamykały się jej oczy. Musiała dokonać nadludzkiego wysiłku, by pracować dalej. Wbiła paznokcie w dłonie, żeby poczuć ból, który przez chwilę pozwoli jej skupić uwagę.

Otworzyła program, który odczytywał emocje pedofilów, i wpisała daty zniknięcia trzech chłopców. Zgodnie z radą Joana wprowadziła daty skrajnie siedem dni przed każdym porwaniem i siedem dni po. Zaznaczyła także daty odszukania dzieci. Zabójca musiał przecież mocno się zdenerwować na wieść o ich odnalezieniu.

Teraz należało tylko wstawić do programu dane Noriego i czekać. Ale Ana się pomyliła i zamiast danych Javiera wprowadziła do programu całą zawartość folderu z danymi wszystkich znajomych Joana objętych badaniem Neuro-QWERTY na okoliczność wystąpienia objawów chorób układu nerwowego. W tym także jej własnymi. Szlag. Analiza danych potrwa dłużej, niż myślała. W lewym górnym rogu widziała pasek postępu analizy. Pozostało sześć godzin i trzydzieści minut.

Ana zamknęła oczy i pozwoliła sobie zapaść w sen.

Najpierw poczuła ból w skroniach. Tak intensywny, jakby ktoś wbijał jej w podstawę czaszki dwa druty do robótek ręcznych i wciskał je aż po oczodoły. Potem poraziło ją światło. Mimo zamkniętych powiek. Świtało. Kiedy jej mózg przetworzył tę informację, podniosła się jednym susem. Przespała całą noc skulona na sofie, podczas gdy jej laptop, otwarty na podłodze, przetwarzał dane.

Nacisnęła kilka klawiszy, ale komputer nie odpowiadał. Przy włączonym przez całą noc ekranie padła bateria. Podłączyła laptop do prądu i kiedy ekran zajaśniał, spostrzegła, że brakuje jeszcze pół godziny do zakończenia analizy danych. Miała czas na prysznic. Boże, jak dobrze jej zrobił strumień gorącej wody spadający na plecy! Pozwoliła sobie na luksus pozostania pod prysznicem przez dłuższy czas.

Kiedy wróciła do salonu z pudełkiem herbatników, żeby przestało jej burczeć w brzuchu, usiadła na podłodze po turecku i położyła laptop na kolanach. Jakie rezultaty pokaże program? Ana była przekonana, że potwierdzi się niewinność Noriego.

Absolutnie przekonana.

Zadzwoniła do Joana. Miała ochotę z nim porozmawiać. Tęskniła za nim. A przy okazji mógłby jej pomóc przeanalizować krzywe, gdyby sama miała z tym jakiś problem. Nie wiedziała, co się z nim dzieje od poprzedniego dnia, kiedy wsiadł do samolotu do Paryża. Jednakże znowu usłyszała sygnał poczty głosowej. Komórka ciągle była wyłączona.

Spojrzała na zegarek. Zrobiło się późno. Włożyła laptop do torebki, na wypadek gdyby udało jej się złapać Joana.  
I nagle jej mózg przeszła pewna myśl.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

45.

## INÉS/ANA

Czułam się tak, jakbym stała pośrodku pustki i nagle zerwała się ulewa. Rozglądasz się wokół i nie widzisz żadnego miejsca, gdzie mogłabyś się schować. Możesz tylko zostać tam, gdzie stoisz, wydana na pastwę lejącej się na ciebie z nieba wody, przemoczona do szpiku kości, czekając, aż ból cię dobije. Ale nigdy do końca nie umrzesz.

Przetrzymujesz burzę, ale nic nie możesz zrobić.

Bo nie ma miejsca, gdzie mogłabyś się schronić po śmierci dziecka. Nawet, jak może przypuszczasz, we własnej śmierci. Twoje kości będą nadal rozpaczały w twoim grobie.

Bez względu na liczbę rąk, które będą się starały cię podtrzymać, na liczbę słów, które miałyby cię pocieszyć, stoisz osamotniona w oku najstraszniejszej burzy własnego życia. W strugach deszczu lejącego się na ciebie bez litości.

Pamiętaj, że żyjesz, że masz prawo do życia, że masz prawo nie czuć się źle z powodu tego, co się stało, mówiła mi Lucía, ale ja nie byłam do końca przekonana, że zasługuję na to, żeby żyć.

Tamtego ranka miałam się ostatecznie pożegnać ze swoim synem. Za kilka godzin karawan zawiezie go – biednego, samiuteńkiego tam w środku – na cmentarz, gdzie odbędzie się pogrzeb. A potem spopielimy ciało.

Jeszcze się nie zastanawiałam, co zrobię z jego prochami.

\*\*\*

Owa myśl przeszła korę mózgową Any z taką mocą, jakby poraził ją prąd. Tak brutalnie, że na samą myśl, co to oznaczało i ku czemu wiodło, poczuła ból.

To niemożliwe.

A jednak, na obecnym etapie nie mogła niczego wykluczyć. Nawet tej straszliwej myśli, która właśnie zaświtała jej w głowie.

Wzięła klucze, które od lat spoczywały w szufladzie komódki w salonie i których nigdy nie użyła. Gdyby wierzyła w Boga – ileż to razy w życiu przydałaby się jej wiara w Boga! – modliłaby się, żeby jej udowodniły, że to, co chodzi jej po głowie, jest kompletnym szaleństwem.

Ogarniała ją jakaś paranoja. Była w pełni świadoma, że halucynacje zaburzają logiczne myślenie. Ale co, jeśli ma rację?

Po drodze zadzwoniła do szefa policyjnego laboratorium.

– Pedro.

– Jeśli chcesz mnie zaprosić na śniadanie, to już za późno. Poza tym wiesz przecież, że przyjmuję zaproszenia tylko po nocy spędzonej razem – usłyszała żartobliwy ton kolegi.

– Pedro, jesteś w laboratorium? – Ana biegła ulicą w kierunku garażu, gdzie trzymała samochód.

– *Easy, easy, my dear*. Jest ósma rano. Gdzie tak pędzisz, że aż się zdyszałaś?

Ana pragnęła prosić go o osobistą przysługę. Przysługę, która wiązała się z tym, że Pedro miałby złamać kilka zasad bezwzględnie przestrzeganych w policyjnym laboratorium.

– *My love* – wpadła mu w ton – właśnie wchodzę do twojej ulubionej cukierni, żeby kupić ci tackę twoich ulubionych minirogalików. Mam wziąć kilka nadziewanych? Czekoladą, kremem karmelowym czy budyniem?

– Ach, wy kobiety! Jedzonko za przysługi. Naprawdę wolałbym seks, ale widzę, że będę musiał zadowolić się słodkościami. Dobrze przynajmniej, że nie fabrycznymi. I podniesie mi się poziom cukru, a to zawsze ma dobroczynny wpływ na myślenie.

– Nie każ się prosić, Pedro. Wiesz, że słabo mi to idzie. Jeśli się do ciebie zwracam, to dlatego, że tylko ty mi możesz pomóc. I ślepo wierzę w twoją dyskrecję.

\*\*\*

– Tu, tu jest. Popatrz, tu jest. – Charo zawołała Luisa, by podszedł do jej stołu.

Znalazła coś na nagraniach kamer bezpieczeństwa. Po tym, jak Pablo znalazł się w zbiorniku automatycznego systemu odbioru śmieci, wszyscy w jednostce skoncentrowali się na tym, by znaleźć wlot, przez który ktoś mógłby wrzucić małego. Było ich na całym osiedlu ponad pięćset, aczkolwiek przedsiębiorstwo odpowiedzialne za ich serwisowanie zredukowało tę liczbę do setki. Kanał, w którym utkwiał Pablo, szedł z konkretnej strefy. Był jednak pewien problem: w tej części osiedla większość pokryw do zsyków na śmieci znajdowała się na prywatnych posesjach, przy bramie wjazdowej lub w garażu. A na tych prywatnych posesjach żadna z licznie zamontowanych kamer nie była skierowana na zsyki. Bo i po co? Komu przyszłaby ochota coś stamtąd kraść?

W tej sytuacji uznali, że muszą myśleć na odwrót. Inspektor Jesús Silvelo

wysłał kilka patroli w okolice wszystkich zsypów, do których ktoś mógł wrzucić Pabla, żeby rozejrzeli się tam w poszukiwaniu kamer znajdujących się na tyle blisko, by mogły uchwycić, skąd przyszli chłopiec i jego zabójca. Była to niemal zegarmistrzowska robota.

– Jesteś absolutnie pewna?

– Spójrz, Luis, zmontowałam całą sekwencję z nagrań. Mieliśmy szczęście, bo mogłam przecież zacząć przeglądanie od jakiegokolwiek innego miejsca. Ale potem pomyślałam sobie: „A może jednak?”.

– Niech to szlag, niech to szlag, niech to szlag. To nam wszystko zmienia. Jak mogliśmy się tak strasznie pomylić? Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Musisz natychmiast zadzwonić do Any. Wiesz, gdzie ona jest?

\*\*\*

Ana dotarła do jednostki wczesnym przedpołudniem. Znalezienie tego, czego szukała, kosztowało ją więcej, niż sądziła. Serce jej się tłukło i aż się skręcała z obrzydzenia, ale przewyciężyła mdłości, jak tyle razy wcześniej. Choć nigdy jeszcze śledztwo nie stawało się sprawą tak bardzo osobistą jak w owej chwili. Tak intymną. Tak bolesną. W mieszkanku przy ulicy Nuncio zebrała kilkanaście próbek nadających się do wyizolowania DNA i włożyła je do specjalnych saszetek, które zawsze nosiła przy sobie. Kiedy dotarła do komendy, zamiast udać się prosto do swojego biura, poszła do przyległego budynku. Czuła, że wpada w histerię. Bała się, że w każdej chwili może się porzygać i nawet jak zaciśnie usta, żeby powstrzymać wymioty, to i tak wystrzelą jej przez nos. Albo przez uszy. Czuła, że żołądek i jelita rozdzielają się jej w środku na kawałki, jak gdyby podgrzewano je w mikrofalówce. Gdyby ktoś teraz rozciął jej brzuch, znalazłby jedynie żółć. Gorzką. Kwaśną. Cierpką. Obrzydliwą. Ale musiała się opanować. Musiała poznać prawdę. Choćby była najbardziej bolesna.

– Napijemy się kawy? – spytała, podając Pedrowi pudełko z cukierni pieczołowicie zawinięte w papier. Starła się ukryć drżenie rąk.

– Czuję ten zapach, już jak szłaś korytarzem. Chodźmy.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, kiedy ekspres mieszał kawę z wodą, by wyprodukować jakąś ciecz, której daleko było nawet do średnio przyzwoitej kawy. Herbata z cytryną, którą wybrała Ana, też była jakąś kpina, jak gdyby zawierała więcej gipsu niż teiny. Zaraz, chwilę, zastanawiała się Ana, kto to jej opowiadał o mieszaniu jakiegoś składnika z gipsem? Ktoś z wydziału do walki z narkotykami? Wszystko mi się miesza w głowie, jakby mózg nie umiał umieścić żadnej myśli na swoim miejscu i nie tylko żołądek i jelita mi się

rozpuszczały, ale neurony również.

Rozmawiali o drobiazgach, idąc w kierunku jednego z dziedzińców, które powstały pomiędzy ścianami budynków składających się na kompleks siedziby komendy. Nieopodal przebiegała jedna z głównych arterii przecinających Madryt. Szum samochodów ciągnących M30 uniemożliwiał podsłuchiwanie rozmowy.

Ana postawiła pudełko z rogalikami na betonowej podmurówce, która kiedyś miała stanowić obudowę latarni, i powoli je rozpakowała.

– Kupiłaś te z górnej półki. Zły znak.

– I tak bym je kupiła – odparła. – Wiem, że to twoje ulubione.

– Dobra, dajmy sobie spokój z głupstwami. Nie musisz aż tak zabiegać, żeby mnie uwieść. Łatwy ze mnie gość. – Czasem zaufanie przyprawiało o mdłości. – W czym ci pomóc, Ano?

– W tym.

Wyjęła z torby trzy saszetki z próbkami. Perfekcyjnie zamknięte, bez żadnych nalepek.

– Co to jest?

– Próbkki – odparła, jakby stwierdzała rzecz najoczywistszą pod słońcem.

– Nie wątpię. Czego?

– Nie mogę ci powiedzieć, Pedro. Ale proszę cię, od tego zależy moje życie, powiedz, czy możesz wyizolować z nich DNA i sprawdzić, czy jest zbieżne z DNA kogoś notowanego w policyjnej bazie kryminalistów? Albo z jakąś próbką z nierozwiązanej zbrodni?

– Z takiej nierozwiązanej zbrodni jak casus Slendermana? – domyślił się Pedro. Milczenie Any upewniło go i ustąpił. – Jak mam je oznaczyć?

– Nie każ mi się prosić. Wiesz przecież, że nie możesz ich oznaczyć. Będziesz musiał znaleźć jakiś sposób, żeby nie pozostał po nich żaden ślad w rejestrze. Wiesz, jak to zrobić. Proszę cię.

W torebce odezwała się prywatna komórka Any. Zaczekała, aż sygnał umilknie, tak jak się czeka, aż ucichnie hałas przejeżdżającego auta. Dlaczego dźwięk telefonu wprawia nas w taki zły humor, tak nas drażni wówczas, gdy nie chcemy odbierać połączenia, zastanawiała się, jak gdyby ten, kto dzwoni, wiedział, że go ignorujemy. Ale zanim znalazła na to odpowiedź, komórka zadzwoniła ponownie. Ana otworzyła torebkę i spojrzała na podświetlony ekran. Joan. Telefon omal nie wypadł jej z rąk.

– Pedro, muszę odebrać. To ważne. Proszę cię – spojrzała błagalnie, odchodząc – zadzwoń do mnie, jak tylko coś znajdziesz. Bez względu na porę.



Proszę cię.

Drżały jej ręce. Była cała zlane potem. Musiała przesunąć kilkakrotnie palcem po ekranie, żeby oddzwonić. Nie udało się. Przeklęte komórki bez przycisków. Połączenie zostało przekierowane do skrzynki głosowej. Nacisnęła opcję oddzwonienia, ale Joan rozmawiał. Pewnie zostawiał jej wiadomość. Dwie i pół minuty, jakie musiała odczekać, żeby móc odsłuchać nową wiadomość, wydały jej się wiecznością.

„To jest zupełny koszmar, mówił Joan. Bardzo poważna sprawa, bardzo. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Kompletnie nie to, co sobie wyobrażałem. Zamknięto nas w bunkrze z serwerami i nie mamy prawa wyjść na zewnątrz ze względów bezpieczeństwa. Dopiero teraz po raz pierwszy pozwolono nam użyć telefonów, ale jesteśmy na podsłuchu. Udało ci się podłączyć do mojego komputera? Jest coś? Uważaj na siebie, Ano, uważaj bardzo”.

Odsłuchawszy nagranie, wystukała numer Joana. Ale albo wyłączył telefon, albo nie miał zasięgu. Odezwała się poczta głosowa.

– Joan, gdzie ty jesteś? Staram się ciebie złapać od dwóch godzin. Od wczoraj nie wiem, co się z tobą dzieje.

Ana szeptała do telefonu, żeby nikt jej nie słyszał, ale nawet w jej szepcie dawało się wyczuć, że jest strasznie zagniewana. I zdenerwowana. Uświadomiła sobie, że o mało się nie rozplakała.

– Zadzwoń, nawet w środku nocy. To pilne.

Rozłączyła się. Ale po chwili zadzwoniła znowu.

– Proszę cię – dodała tylko. – Proszę cię.

Dopiero kilka minut później, dopiero, gdy jej mózg odzyskał zdolność skupiania się na istocie rzeczy, zdała sobie sprawę, że ma trzy nieodebrane połączenia od Charo. Poszła do niej.

– Coś znalazłaś?

– Gdzieś ty była? Wydzwaniam do ciebie od pół godziny. Spójrz tylko na to. Nie uwierzysz – odparła Charo, wskazując na swój komputer. – Myliliśmy się. Od samego początku. Przez cały czas.

Kiedy Charo włączyła play i Ana obejrzała nagranie z kamery bezpieczeństwa, złapała się za głowę. Musiała przejrzeć nagranie trzy razy, żeby się przekonać, że to, co widzi, jest prawdą.

Klik. Klik. Klik. Elementy układanki powoli zaczynały kształtować się w całość.

Spojrzała na zegarek. Jeżeli się pośpieszy, zdąży jeszcze na koniec pogrzebu. Aczkolwiek nie wiedziała, czy zdoła powiedzieć Inés, co się przytrafiło jej

synowi.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

46.

## INÉS

Proszę przyjść za kilka godzin, po obiedzie, oświadczył pracownik krematorium tonem, którym równie dobrze mógłby oznajmić, że trzeba poczekać przy barze, bo stół do kolacji nie został jeszcze nakryty.

Nawet teraz, kiedy usiłuję przypomnieć sobie szczegóły pogrzebu, widzę jedynie trumnę Pabla znikającą w otworze w podłodze prowadzącym do pieca krematoryjnego, sekwencję zdarzeń pozbawionych jakiegokolwiek dźwięku, jakby nagrały się w moim mózgu jako niemy film. Albo jak gdyby zaszły kompletnie bezgłośnie.

A potem zawsze dobiega mnie ten głos. Proszę przyjść za kilka godzin, po obiedzie. Z tego, co wydarzyło się owego ranka, pamiętam tylko te słowa. Jedynie to zdanie przetwarza moja pamięć. Czyjś głos oznajmiający mi, kiedy prochy mojego syna będą gotowe do odbioru.

Tylko ten jeden głos.

Aż do chwili, gdy przyszła Ana.

Bo już to, co się zdarzyło później, rozbrzmiewa w mojej głowie wyraźnie. Nawet dziś, mimo że tyle czasu minęło, pamiętam ten moment i wydaje mi się, że znowu słyszę jej kroki za plecami. Kroki stawiane przez stopy, które nie unoszą się wysoko nad ziemią i które czasami nawet nieco szurają, jakby musiały znieść zbyt wielki ciężar poczucia winy. Czasami trzeszczy pod nimi posadzka. A czasami skrzypi.

To była ta chwila, gdy przyszła Ana. Dokładnie wtedy, gdy wychodziliśmy z budynku, gdzie skremowano Pabla, przyszła Ana. A wraz z nią dźwięk. Grzmiące, warczące, dudniące hałasy w mojej głowie, które już mnie nie opuściły.

– Inés.

Objęła mnie mocno, ale odniosłam wrażenie, że to ona drży, a nie ja. Czułam, jak trzeszczą jej stawy pod warstwami żywych, okrywających je tkanek, i ten dźwięk przewiercał mi nerwy.

– Inés. Tak strasznie mi przykro. Tak mi przykro.

– Dziękuję.

Nie wiedziała, co mi powiedzieć. Co mi mogła powiedzieć? Miała uratować moje dziecko. To był jej obowiązek. Jej cholerny, przeklęty obowiązek, z którego się nie wywiązała.

– Przyszłam ci coś powiedzieć.

Od dwóch dni byłam wykończona, oszalała, ogłupiała, jak gdyby ktoś przeniósł moje ciało w strefę śmierci, na wysokość powyżej ośmiu tysięcy metrów, gdzie komórki zaczynają umierać z braku tlenu. A ja, zamiast zbiec na dół, pięłam się nadal w górę, na szczyt swojego Everestu. Alpiniści mówią, że musisz zejść stamtąd w czterdzieści osiem godzin, bo jak nie, to proces staje się nieodwracalny i twoje ciało już się nie zregeneruje. Śmierć jest nieunikniona. Ja przekroczyłam tę granicę i nadal żyłam. Przeklęte szczęście. Z jakiejś perwersyjnej przyczyny moje ciało opierało się śmierci.

I być może z tej samej przyczyny znalazłam w sobie dość energii, by wychwycić i zapisać w pamięci nazwisko. Nori. To Nori, ktoś mi powiedział. Albo ktoś powiedział to komuś, a ja to wyłapałam. Ale nie potrafiłam nawet zareagować. Było we mnie tyle pustki i bólu, że fakt zatrzymania kolegi nie utkwił mi w głowie. Nazwisko, które skądś przyszło i odeszło.

– Przyszłam ci powiedzieć, co się stało z Pablem.

Usiadłyśmy na ławce w słońcu. Słuchałam jej z zamkniętymi oczami. Słyszałam, że Willy, moja matka i Sam odeszli, może dlatego że Ana jakimś gestem im to zasugerowała. Proszę, zostawcie nas same. Na chwilę. Ja wiedziałam, co ma mi do powiedzenia, ale jeszcze milczałam, żeby pozwolić jej mówić. Żeby dokonała tego wysiłku. Nori zabił Pabla. Niech mi to powie. Niech ma na tyle odwagi, żeby to ująć w słowa.

Ale nie. Nie to miała mi powiedzieć.

Nie to. A mimo wszystko miała dość odwagi, żeby tu przyjść i powiedzieć mi to osobiście, choć musiała wiedzieć, że potem nic już nie będzie takie samo jak przedtem. Nigdy już nie będziemy przyjaciółkami, bo za każdym razem, gdy ją ujrzę, za każdym cholernym, przeklętym razem, gdy ją ujrzę, przypomnę sobie tę chwilę. Twarz Any, jej ręce i głos, każda cząsteczka jej ciała pozostaną nierozzerwalnie związane z tą straszliwą wiadomością. Aż do tamtej chwili sądziłam, że nic nie może mnie bardziej zranić niż śmierć mojego dziecka. Nigdy. Nic. Nigdy w życiu. I nigdy w śmierci.

Ale się myliłam.

– Po co poszliście z Pablem w tamtą niedzielę do centrum handlowego?

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą. – Nie pamiętam.

– Opowiadałaś, że się posprzeczialiście przed wyjściem, prawda?

Czemu musiała mi o tym przypominać? Czemu musiała mi przypominać, że jedną z ostatnich rzeczy, jakie przeżyliśmy wspólnie z Pablem, była sprzeczka i doprowadzenie go do płaczu? Z trudem powstrzymywałam łzy. Tak, posprzeczialiśmy się. Pablo był w złym humorze. Tego ranka mieliśmy w domu sprzeczkę, bo porozrzucił po podłodze wszystkie zabawki, a jedną nawet zepsuł, a ja, żeby go ukarać, udałam, że wyrzucam do śmieci jego przytulankę, krowę, bez której nigdy nie szedł spać. „Krowa idzie do śmietnika – oznajmiłam. – Wyrzucam ją do kosza, bo byłeś bardzo niegrzeczny”.

– Inés, posłuchaj mnie, to nie twoja wina. Proszę cię, nie karz się za to, bo to nie twoja wina.

To już wiedziałam. Przy całym bólu, jaki czułam, wiedziałam, że śmierć syna nie nastąpiła z mojej winy. Że to jakiś zboczeniec go porwał. Ale myliłam się.

Ana przysunęła się do mnie tak blisko, że niemal mnie dotykała. Wyciągnęła ręce, żeby ująć moją twarz w swoje dłonie. Poczułam, jakby poraził mnie prąd.

– Twojego syna nikt nie porwał. Sądzymy, że to był wypadek. Wrócił do domu sam. Zarejestrowały go kamery.

Widać na nagraniach, jak Pablo idzie spokojnym, ale zdecydowanym krokiem, mówiła Ana, chociaż ja jej już nie słuchałam. Słyszałam tylko szum. Droga powrotna z centrum handlowego do osiedla domu zajęła mu dwanaście i pół minuty. Brama wjazdowa była otwarta. Przez trzydzieści sekund nie uchwyciła go żadna kamera. Potem pojawił się ponownie przed wjazdem do garażu.

– Przypuszczamy, że otworzył pokrywę zsypu, żeby odzyskać przytulankę. Myślał, że naprawdę wyrzuciłaś ją do śmieci. Pewnie wspiął się na palce, żeby lepiej zobaczyć wewnątrz zsypu. Wyciągnął ramię, nachylił się i wpadł do środka. To był wypadek. Wypadek, Inés. Wypadek. Tak mi przykro. Tak mi przykro. Tak mi przykro.

Chyba się rozpląkała. Ale nie pamiętam.

\*\*\*

Dokładnie wtedy, gdy Ana opowiadała mi, co się stało z Pablem, nadinspektor Silvelo skończył oglądać nagrania z kamer. Poszedł przekazać informacje komisarzowi.

– Wypadek. Przeklęty, straszliwy wypadek.

Ruipérez przyjrzał mu się uważnie. Wyglądał jak tłusta ropucha, jak zawsze, gdy sytuacja go przerastała. Chciał okazać swoją wyższość, nawet pogardę, ale jego twarz w rzeczywistości mówiła: mów dalej, bo ja nie mam pojęcia, co niby

miałbym powiedzieć ani co niby miałbym zrobić.

– To zmienia postać rzeczy, komisarzu.

– To niczego nie zmienia, inspektorze – odezwał się w końcu Ruipérez. – Na razie nic nie może się przedostać do opinii publicznej. Kto jeszcze o tym wie?

– Nikt, nikt więcej – skłamał Silvelo. – Agentka, która widziała nagrania, Ana Arén i ja.

– I tak ma zostać. Na razie. To my zdecydujemy, kiedy to ujawnić.

Gdy Silvelo wychodził od komisarza, zadzwonił jego telefon. Pedro, szef policyjnego laboratorium, szukał Any, ale nie mógł jej znaleźć.

– Nie ma jej w jednostce, jest z rodziną jednego z chłopców. Mogę w czymś pomóc?

– Tak, proszę. Wpadnij tu, jak będziesz mógł. Mamy zbieżność.

Pedro zademonstrował odciski palców, jak tylko Silvelo wszedł do laboratorium.

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym ty mówisz.

– Popatrz, w piwnicy domu, gdzie przebywali chłopcy, znaleźliśmy wiele odcisków palców.

Wyglądało to na sukces. Odciski palców na miejscu zbrodni. Ale Pedro przypomniał, że staje przed nimi fundamentalny problem: jak dowieść, że są świeże? Każdy adwokat broniący klienta rozjedzie taki dowód. Mój klient był tam dawno temu, przed zaginięciem chłopców, nie można go za nic winić. Do widzenia.

Trzeba było odnieść te odciski do okresu, kiedy chłopcy znajdowali się w piwnicy. Tylko tak można było dowieść winy.

Szukając rozwiązania, Pedro przypomniał sobie, że czytał gdzieś kiedyś o nowatorskiej metodzie datowania odcisków palców. Musiał pogrzebać w dziesiątkach czasopism naukowych, które zalegały pod stołem, aż znalazł ów artykuł. Dwaj naukowcy z Narodowego Instytutu Standaryzacji i Technologii[16] z USA dowiedli, że cząsteczki kwasu palmitynowego obecnego na palcach ulegają rozpadowi w stałym tempie. Dzięki temu można określić, w którym momencie odcisk palca został pozostawiony na danej powierzchni.

– I bęc! – oznajmił z tryumfem. – Wystarczy tylko mieć spektrometr mas, żeby określić wiek pozostawionego odcisku. To dla odcisków palców jak datowanie izotopem węgla ce czternaście. Jak zapewne wiesz, tu, w policji – gestem wyrażającym rezygnację wskazał na pomieszczenie – nie mamy takiego sprzętu. Spektrometr? Ha, ha, ha! Jak dostanę dla laboratorium jeden, to będę

skakał z radości. No więc musiałem poprosić o przysługę. Naturalnie na zewnątrz. Próbkę przeanalizował mi kolega z prywatnego laboratorium. Podziękuj za to minirogalikom nadziewanym kremem karmelowym.

Silvelo patrzył na kolegę, nic nie rozumiejąc.

– No więc, panie nadinspektorze, wiem już, o co chodzi.

– O co?

– Jak to: o co? Po raz pierwszy w Hiszpanii zastosowaliśmy tę technologię. I zapewne to jeden z pierwszych przypadków na świecie. – Pedro zapomniał dodać, a był to istotny szczegół, że do tej pory jeszcze żaden sędzia nie przyjął tej analizy za dowód. – To zrewolucjonizuje wiedzę policyjnych laborantów. Dotychczas odciski palców sytuowały daną osobę w miejscu zbrodni, ale nie w czasie jej popełnienia, rozumiesz? A teraz możemy dowieść, że podejrzany znajdował się tam, kiedy popełniono przestępstwo. To genialne! – wykrzyknął zachwycony. – Genialne. Dalej nie wiesz, o co chodzi?

Silvelo owszem, niby wiedział, ale chodziło mu o konkretny wynik. Drażniły go te naukowe umysły, wyjaśniające najpierw drobiazgowo zawiłości problemu, a dopiero potem przechodzące do istoty rzeczy. Do rozwiązania. Ale Pedro zawsze był niepoprawny. Należało cierpliwie czekać, aż skończy swój wywód. Jeśli mu się przerwało, potrafił nie wyjawić konkretów. W jaki sposób próbka przepuszczona przez spektrometr wiązała się ze sprawą?

– A zatem tak – przeszedł do rzeczy Pedro. – Okazuje się, że jeden z odcisków znalezionych przez nas przy chłopcach pochodzi z dnia, kiedy ta dwójka nastolatków widziała ciała. Więc może pochodzić jedynie od porywacza.

– Bingo! – To rzeczywiście była dobra wiadomość.

– Jest coś jeszcze. Mam dla ciebie prezencik. – Silvelo domyślił się, że zaraz usłyszy najważniejsze. – Przepuściłem go przez system CODIS. I mamy zbieżność. Proszę. Przedstawiam ci Slendermana.



Vertical line of text, possibly a page number or header.

47.

## RICHI

Tamtego dnia świeciło słońce. Lubił słońce. Słońce było ciepłutkie i rozweselało go. Tamtego dnia świeciło słońce, więc Richi był spokojny.

Kiedy świeciło słońce, ojciec pozwalał mu wychodzić z domu. Przy słońcu mógł chodzić pilnować swego skarbu. Przy chmurach nie. Chmury nie były jego przyjaciółkami. Richi denerwował się, kiedy na niebie były chmury. Z chmurami było mu nie po drodze. Bolały.

Spojrzał na swoje dłonie. Jeden, dwa, trzy, cztery i pięć. Prawa dłoń ma pięć palców. Jeden, dwa, trzy, cztery i pięć. Lewa dłoń ma pięć palców. Wszystko w porządku. Musiał tylko uważać, żeby ich za mocno nie zaciskać. Bo to mu się czasem zdarzało. Zaciskał palce z całej siły i to, co trzymał w dłoniach, się psuło. Kiedy po raz pierwszy usłyszał, że jest mordercą – była to pierwsza rzecz, jaką pamiętał z życia, jego pierwsze świadome wspomnienie jako istoty ludzkiej – Richi właśnie zepsuł lalkę swojej siostry. I to ona zaczęła wykrzykiwać: „morderca, morderca, morderca!”, aż zaszło słońce i nadeszły chmury, i wówczas Richi zaczął krzyczeć i nie mógł przestać.

Zepsute lalki można naprawić, powiedziała mu tamtego dnia mama, żeby go uspokoić. Zepsute lalki można naprawić, kochanie, powtarzała mama, kołysząc go rytmicznie w ramionach. Morderca, jesteś mordercą, powtarzała mu tymczasem siostra, kiedy nikt nie słyszał. Słowo to zapadło Richiemu w pamięć. Morderca.

Zepsute lalki można naprawić. Ale zepsutego ptaszka już nie. To wówczas po raz pierwszy Richi miał krew na rękach. Ptaszek był taki śliczny, że Richi zapragnął z całej siły go uściskać. I ścisnął tak mocno, aż go zmiażdżył. Pobiegł do mamy z ociekającymi krwią rękami, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. Mamo, mamó, zreperuj mi ptaszka, ptaszek się zepsuł, mamó. Zreperuj go, proszę. Nie płacz, no przecież możesz go naprawić, prawda, mamó? Prawda, że możesz?

Zepsutego ptaszka naprawić się nie da, aczkolwiek on wówczas wierzył, że można. Naprawię go, kochanie, pewnie, że go naprawię, ale musimy go zawieźć

daleko, do szpitala dla ptaszków, żeby go tam wyleczono, bo nie mamy w domu takich specjalnych plasterków dla ptaszków, rozumiesz, Ricardo? Pożegnaj się z nim, a potem ja go podleczę i zawiozę do szpitala.

Widzisz, że nie jestem mordercą, mówił Richi kilka dni później siostrze, gdy znów zaczęła go wyzywać tym brzydkim słowem. Nie jestem mordercą. Mama wyleczyła ptaszka, jest w szpitalu dla ptaszków, wiesz? Nie przezywaj mnie tak więcej. Nie podoba mi się to.

Ale chomika nie dało się naprawić. Choć Richi strasznie płakał i błagał mamę, tym razem okazało się, że nie ma szpitala dla chomików. Czemu nie ma? Czemu nie ma? Czemu nie ma? To zawieź go do szpitala dla ptaszków, mamo, zawieź go do szpitala dla ptaszków, tam na pewno będą wiedzieli, jak go wyleczyć magicznymi plasterkami. Ale mama nadal płakała i powtarzała, że nie, że się nie da, że zepsutego chomika nie można naprawić.

Podobnie jak nie można naprawić słońca. Chmury nadciągnęły, żeby pozostać na długo, na bardzo długo, w głowie Richiego.

Morderca.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

48.

## ANA

– Ricardo Vera. Trzydzieści pięć lat. O ile wiadomo, nigdzie nie pracuje. Mieszka z ojcem.

– Bardzo blisko miejsca, gdzie znaleziono obu chłopców.

Nareszcie jakaś dobra wiadomość. Złapali Slendermana. Wyglądało na to, że złapali Slendermana.

– Wysłałem kilkoro agentów, żeby przeszukali dom. Podejrzany jest w środku – ciągnął Silvelo.

– Wystawiamy już nakaz? Nie chcę ryzykować straty czasu. Im wcześniej wyciągniemy z niego zeznania, tym szybciej wypuszczą Noriego.

– No to jedźmy tam.

Inspektor Jesús Silvelo podniósł słuchawkę telefonu i polecił zatrzymanie człowieka, którego odciski palców odkryto w miejscu znalezienia chłopców. Nie minęła nawet godzina, gdy poinformowano go, że podejrzany znajduje się już w pokoju przesłuchań.

– Dzień dobry, Ricardo, byłeś dobrze traktowany? Chcesz się czegoś napić?

– Poproszę wodę – brzmiała odpowiedź.

Nie zdjęto mu kajdanków, ale też nie przymocowano ich do stołu, co ograniczyłoby mu wszelką swobodę poruszania. Wydawał się spokojny i zrelaksowany, jak gdyby zdjęto mu z grzbietu jakiś ciężar. Ana usiadła przy stole na wprost niego. Silvelo stał za nią. Gdyby zaszła taka potrzeba, mieli grać rolę dobrego i złego policjanta.

– Czy wiesz, dlaczego tu jesteś? – spytała nadinspektor Arén.

– Tak, przez dzieci z domu.

– Wiedziałeś, że tam są. – Jesús oparł się o stół, żeby wypowiedzieć to oskarżenie powoli i dobitnie, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

– Opiekowałem się nimi.

– W jaki sposób się opiekowałeś? – spytała Ana.

– Myłem ich, karmiłem i bawiłem się z nimi.

– W co się bawiłeś?

Ricardo popatrzył na nich oboje, jak gdyby nie rozumiał pytania. Bawić się? W co się można bawić? No przecież w różne rzeczy.

– Bawiłeś się w dotykaniu? Sam też się dotykałeś?

Ponownie milczenie w odpowiedzi i to nic nierozumiejące spojrzenie.

– Podniecali cię ci chłopcy, Ricardo? Podniecali cię? Staje ci przy małych chłopcach?

– To tylko moi koledzy. Ja tylko chciałem mieć kolegów.

– Wiem, Ricardo, wiem, że pragnąłeś mieć kolegów – wkroczyła do gry Ana.

– Jak ci się to udało? Jak ci się udało sprawić, że zostali twoimi kolegami?

Ricardo opowiedział, że dawno, nie potrafi powiedzieć dokładnie jak dawno, wczesnym rankiem znalazł Nicolasa opartego o jedną z bram prowadzących do lasu Pilar. Wyglądał jak lalka. Zaniósł go do opuszczonego domu, żeby nikt mu go nie zabrał. Zawsze mi wszystko zabierają, mówił, zawsze mi zabierają wszystkich kolegów. Pracował przez całe dni, żeby uporządkować kuchnię, otworzyć kłapę w podłodze i wyczyścić piwnicę. Chodził zobaczyć się z chłopcem codziennie. Czasami wymykał się też w nocy, jak wtedy, kiedy natknęli się na niego Patricia z narzeczoną. Tam zajmował się nim przez niemal dwa lata.

– A sweter? Sweter, który miał na sobie?

Nadinspektor Arén chodziło o sweter, w który ubrane było ciało Nicolasa, ten wełniany sweter, na którym znaleziono włosy, kierujące podejrzenia na Noriego. Chłopiec nie miał go na sobie w dniu zaginięcia. Ricardo odparł na to, że w takim ubraniu go znalazł. Że sam jedynie od czasu do czasu przemywał chłopca ręcznikiem. I przykrywał kocem, żeby mu nie było zimno w nocy.

– Możecie państwo podejść na chwilę? – przerwała przesłuchanie Charo, stanąwszy w drzwiach.

– Co masz?

Stali całą trójką w korytarzu i porozumiewali się szeptem.

– Wysłałam Barrigę ze zdjęciem zatrzymanego do szpitala. Kike go rozpoznał. To ten facet go porwał z centrum handlowego.

Zamiast wrócić do pokoju przesłuchań, Ana Arén pobiegła w drugi koniec korytarza. Wbiegła po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz, i wpadła bez pukania do biura komisarza.

– Już go mamy, panie komisarzu, Javier Nori jest niewinny. Możemy go wypuścić.

Za Aną wpadł do gabinetu Jesús Silvelo. Obawiał się reakcji Any.

– To, że chcecie, aby policjant morderca, wasz skorumpowany kumpel był

niewinny, to jedno, ale...

– Panie komisarzu! – przerwała mu Ana podniesionym tonem. – Panie komisarzu! Z całym szacunkiem – dodała nieco ciszej – mamy zeznanie aresztowanego, mamy jego odciski palców w miejscu zbrodni i mamy drugą, żyjącą ofiarę, która na podstawie zdjęcia potwierdziła jego sprawstwo. Czego chce pan więcej?

– Wyjaśnienia, co robi włos podinspektora na swetrze dzieciaka.

– Kontaminacja, to musiała być kontaminacja – odparła Ana, wiedząc, że Nori nie miał żadnego kontaktu ani z miejscem zbrodni, ani z ciałem.

– Wie pani co, pani nadinspektor? – komisarz powoli wstał i obszedł gigantyczny stół, nie spuszczać z Any wzroku, niczym morderca, który ma zadać ostateczny cios. – Taka z pani mądrała? Sądzi pani, że minister osobiście zainteresowałby się sprawą, gdyby miał jedynie dowód, który obrona może odrzucić z powodu możliwej kontaminacji? To niechże pani patrzy.

Komisarz zlecił kolejne badanie laboratoryjne, o czym Ana nie wiedziała. Spojrzała na Jesusa, który również pokręcił głową. Ani ona, ani Silvelo o niczym nie wiedzieli. Pieprzony Ruipérez. Okazuje się, że tuż po zatrzymaniu Noriego pobrano próbkę jego włosów, a komisarz polecił wysłać ją do zewnętrznego laboratorium, aby nie doszło do wycieku. Poprosił o porównanie włosa Javiera Noriego z włosami z miejsca zbrodni. Analiza DNA wykazała, że nie ma wątpliwości, że pochodzą od tej samej osoby, lecz nie zgadza się analiza warstw włosów. Włos ze swetra musiał być o wiele starszy. Być może pochodził z okresu zaginięcia Nicolasa.

– Widzisz? Tutaj stoi jasno. – Ruipérez wskazał ręką na kartkę papieru z wykresem.

Istotnie. Stało jasno. Dane naukowe. Nie do podważenia. Dwa włosy Noriego, jeden sprzed paru dni, drugi sprzed co najmniej pół roku. Ana zaczynała się zastanawiać, czy jej podinspektor nie miał przypadkiem jakiegoś związku ze Slendermanem. Z człowiekiem, którego właśnie aresztowali. Z Ricardem Verą. Ricardo Vera, powtórzyła w myślach. Już go mają. Tak, kurwa, już go mają. Złapali Slendermana, człowieka, którego ona od dwóch lat poszukiwała. Wreszcie miał twarz i imię. Ale Ana nie czuła tego nieopisanego przyływu radości, który sprawia, że człowieka wprost roznosi. Tego „mamy go”, „wreszcie go mamy”, które doprowadzają niemalże do płaczu ze stresu i długo powstrzymywanych emocji. Coś tu nie grało. Rozsypane puzzle w głowie nadinspektora Any Arén jeszcze nie ułożyły się w całość.

Wróciła do pokoju przesłuchań.

– Ricardo, a Kike? Ten drugi chłopiec, który był z Nicolásem? Jak się tam dostał Kike?

– Chciałem, żeby Nicolás miał kolegę, żeby nie był sam w nocy.

Tak po prostu i zwyczajnie. Poszedł w najbliższe miejsce, gdzie mógł znaleźć dzieci, do centrum handlowego. Zobaczył Kike, stojąc przy wyjściu ewakuacyjnym, kiwnął na niego ręką i wyszli tamtędy razem. „Ty też lubisz *Psi patrol*? A *Supermana*?”, pytał. I rozmawiali o kreskówkach przez całą drogę do opuszczonego domu.

Kike szybko zaczął protestować. Chciał stamtąd odejść. Chciał wrócić do mamy. Była noc i Ricardo musiał wracać do domu, więc dał mu jedną ze swoich pastylek na stany lękowe, które lekarz od lat kazał mu łykać. Chłopiec pozostawał więc przez cały czas na lekach. Ricardo faszerował go pastylkami codziennie, żeby nie krzyczał, żeby spędzał czas, na pół śpiąc. Ale któreś nocy Ricardo usłyszał hałasy w pomieszczeniu nad piwnicą, przestraszył się, że zostanie odkryty, i wypadł pędem. To był jego błąd.

Nie mogli przesłuchiwać go dłużej. Pojawił się ojciec Ricarda z adwokatem. A ten oświadczył od razu, że „jakiegokolwiek pytanie, skierowane do mojego klienta, musi być zadane w mojej obecności”. I że „przedtem muszę porozmawiać z nim sam na sam; zajmie mi to dłuższą chwilę, dam znać”.

Ana opadła na krzesło w swoim biurze w stanie zupełnego rozbicia. W jednostce nie było już prawie nikogo, pogasły niemal wszystkie światła i nie dochodził żaden hałas. Aresztowany przyznał się do porwania Kike, a oni mieli dostatecznie dużo dowodów dla prokuratury, żeby sporządzić solidny akt oskarżenia. Ale jak się sprawy miały w przypadku Nicolasa? Kto porzucił go w lesie? Czy kiedy Ricardo go znalazł, był żywy, czy martwy? I czemu na zwłokach pojawił się stary włos Noriego? Ana spodziewała się, że przesłuchanie następnego dnia pozwoli rozjaśnić wszelkie wątpliwości.

Czuła, że głowa zaraz jej pęknie. Zaczęła grzebać w torebce, licząc, że może znajdzie jeszcze ibuprofen. Ale jej ręce natrafiły na coś o wiele większego. Laptop. Nosila w torebce laptop. Wzięła go rano, licząc, że będzie mogła skontaktować się z Joaniem. Jak mogła o tym zapomnieć?

Otworzyła go i przeczytała instrukcje od Joana, w jaki sposób rozszyfrować wyniki. „Znajdziesz dwie krzywe, napisał, zieloną i czerwoną. Zielona określa stopień zdenerwowania danej osoby, a czerwona – stopień jej podniecenia. Musisz jedynie sprawdzić, czy dana krzywa idzie do góry pod kątem powyżej dwudziestu stopni i czy te wypiętrzenia pokrywają się z datami, które cię interesują, w tym przypadku: datami porwań chłopców”.



Kiedy otworzyła zakładkę z wynikami, wszystko wydało jej się niejasne. Widziała mnóstwo nakładających się na siebie linii. Nic nie rozumiała. Potem dotarło do niej, że pomyliła się przy kopiowaniu danych i zaciągnęła nie tylko te dotyczące Noriego, lecz także dane wszystkich przyjaciół Joana. Program prześledził trzy lata wzorca na klawiaturze dwudziestu osób. Dlatego tyle to trwało.

Ale gdy przybliżyła na ekranie daty, które ją interesowały, sprawa się rozjaśniła. Te krzywe były widoczne. W gąszczu linii widać było dwie, zieloną i czerwoną, obie wyróżniały się wyraźnie spośród pozostałych. Wystrzelały w górę dokładnie w konkretnych datach. Nori? Niemożliwe. Zmusiła się, by przyjrzeć się dokładniej.

I nagle dostrzegła. Wyraźnie. Jasne jak słońce. Nie do podważenia.

To był cios zupełnie nieoczekiwany. Niezupełnie taki jak w żołądek albo w plecy. Nie taki, który by miał złamać życie, gdy je druzgocze od góry do dołu. Nie tak silny i z początku nawet nie zabołał, bo to po prostu nie było możliwe. Prawdę mówiąc, nie od razu to sobie uświadomiła – dopiero wówczas, gdy poczuła, jak głęboko została zraniona i jak krew odpływa z niej niepowstrzymaną strugą.

Chwyciła się z całej siły krawędzi stołu.

– Co ty zrobiłaś, co ty zrobiłaś, co ty zrobiłaś? – szeptała, gdy ogarniały ją czarne myśli. – Co ty zrobiłaś?

Owładnął nią tak potężny gniew, że nie była w stanie wyrzucić go z siebie; uwiązał jej w żołądku i podchodził do gardła taką falą, że bała się, iż zwymiotuje żółcią.

Kiedy odzyskała jasność myślenia, może już po kilku sekundach, miała wrażenie, że przebudziła się ze złego snu. Pomyślała, że ten koszmar musiał się jej przyśnić, ale obraz na ekranie monitora dowodził, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Coś, co tkwiło jej w głowie, jakaś myśl uczepiona neuronu, przyczajona w oczekiwaniu, jakimś cudem do niej dotarła. W gonitwie myśli jedno wspomnienie połączyło się w mózgu z drugim, powiązały się zapomniane fakty, wypierając te, które jeszcze przed chwilą tkwiły w pamięci.

Wszystkie elementy pasowały.

W głowie nadinspektor Any Arén wszystko zaskoczyło. Nareszcie.

Cała roztrzęsiona sięgnęła po komórkę. Musiała wykorzystać umiejętności nabyte podczas całego policyjnego treningu, żeby zdołać wystukać numer, który znała na pamięć.

Proszę, tylko odbierz, proszę, tylko odbierz, odbierz.

I odebrał. Po raz pierwszy od kilku dni nie odezwała się poczta głosowa.

– Cześć, wreszcie skończyliśmy. Miałem właśnie do ciebie dzwonić – powiedział Joan. Po drugiej stronie usłyszał histeryczny szloch. – Ana? Ana? Co się z tobą dzieje? Dobrze się czujesz? Ano?

W zdenerwowaniu mówił coraz głośniej, niemal krzyczał.

– Ja, ja... Ona... – bełkotała Ana. Szloch nie pozwalał jej wydobyć słowa.

– Ano, na litość boską, uspokój się. Uspokój się i powiedz mi, co się dzieje. Ano, odpowiedz mi. Ano? Mam po kogoś zadzwonić? Potrzebujesz pomocy?

– To ona – zdołała w końcu powiedzieć Ana.

– Jaka ona? Kto taki? I co: ona? Ano, powiedz mi, co się stało.

Joan wiedział, że rozmowa jest podsłuchiwana. Kontrolowana. Przez kogoś, kto pisze pilny raport, żeby go zanieść komuś wyższemu rangą, kto oceni, czy dokument zostanie przekazany dalej. Lecz było mu wszystko jedno. Wszystko jedno. Niech podsłuchują. Niech wiedzą. Niech się wtrącają. I tyle. Chciał jedynie wyjść stamtąd i pomóc Anie. W owej chwili pragnął zniszczyć wszystkie bariery czasu i przestrzeni, które go od niej oddzielały. Znaleźć się tam, w Madrycie, a nie iść przed siebie, długimi krokami, wyszedłszy dopiero co ze ściśle strzeżonego bunkra stojącego sam nie wiedział dokładnie gdzie.

– To była ona. Przez cały czas, to była ona. Proszę cię, Joan, przyjedź, proszę, nie mogę tego znieść. Zabójczynią jest ona. Slenderman nie istnieje. Przyjedź, przyjedź.

Gdy tylko Ana się rozłączyła, na komórkę przyszła wiadomość. Od Pedra, szefa laboratorium. Nie ma zbieżności w próbkach, które mi przyniosłaś. Nienotowane DNA. Ale odkryłem coś znacznie gorszego. Wiem, do kogo należy damski włos znaleziony na swetrze Nicolasa. Dla pewności porównałem go z innymi bazami danych w systemie, z bazami zastrzeżonymi. I pokrywa się. Pokrywa się z DNA osoby należącej do rodziny jednego z chłopców. Zadzwoń do mnie, zanim będę musiał poinformować o wszystkim Ruipereza.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 49.

# INÉS

Jestem dziennikarką. Umiem opowiadać historie. Umiem wręcz świetnie opowiadać historie. Mam wyjątkowe zdolności, choć nie nazwałabym tego talentem, żeby podłapać jakąś opowieść i przekształcić ją w coś, co przykuje do ekranów wszystkich widzów.

Dlatego nie umiem nic wymyślać. Bo zawsze mam jakąś historię tutaj, na ulicy. Przywykłam do łapania opowieści i upiększania ich. Choć, jakby dobrze pomyśleć, „upiększać” to może nie najwłaściwsze słowo, bo życie, o jakim my, dziennikarze, opowiadamy, nie jest piękne. Może powinnam powiedzieć: sprawiam, że opowieść jest ciekawsza. Barwniejsza. Lżej strawna. Chodzi o to, żeby zainteresowała widzów. Żeby chcieli jeszcze więcej.

Jak wszystkich ludzi dość sławnych, wydawnictwa od lat mnie prześladowały. Pisz, pisz, pisz. Podsunie ci intrygę, proponowały jedno. Podsunie ci wszelkie pomysły, proponowały inne. Podsunie ci pisarza do pomocy, proponowały jeszcze inne. Wiedziałam – po co się mamy oszukiwać – że nie prześladowały mnie tylko dlatego, że umiem świetnie opowiadać, chciały także skorzystać ze sławy, jaką przyniosła mi praca w telewizji. Żeby móc sprzedać więcej książek, to oczywiste. Rynek książki jest tak spieprzony, że jeśli jesteś sławny, lepiej się sprzedajesz. Obojętne, co byś napisał.

Tak więc telewizja dawała mi pewną przewagę. Sławę. Łatwiej byłoby reklamować książkę. Tylko czy potrafiłabym ją napisać? Wydawcy nie mieli wątpliwości. Ja przeciwnie. W telewizji piszemy, żeby ludzie nas słuchali, nasze teksty to najczęściej krótkie zdania, które jedynie wtedy nabierają właściwego sensu, gdy są wypowiedziane głośno, odpowiednim tonem i z konkretną intencją. Ale książkę pisze się po to, żeby była czytana, a słowa mają rozbrzmiewać jedynie w głowie czytelnika. Czy potrafiłabym?

Miałam też, oprócz sławy, tę przewagę, że byłam przyzwyczajona do kontaktu z widzami. Może by mi się udało nawiązać go także za pośrednictwem słowa pisanego?

Chodziło o to, żeby w dalszym ciągu opowiadać coś, z czym publiczność się

identyfikuje. Ból, w który można się wczuć. Strach, który sprawia, że ciarki przechodzą po grzbiecie. Tak, żeby czytelnicy, podobnie jak widzowie, czuli się szczęśliwi, że to, o czym mówię, nie przytrafiło się im.

Ulge.

Żeby mogła o czymś opowiedzieć, to się musi wydarzyć. Potrzebuję wątku, który pociągnę, rzeczywistości, bohaterów z przeszłością.

I te prześladowające mnie wydawnictwa. Niepotrafiące zrozumieć. Nie umiem wymyślać opowieści. Nie umiem, powtarzałam w kółko. Nie umiem.

Do chwili, gdy Albert postanowił zacząć podkładać bomby.

A raczej do chwili, gdy odkryliśmy, że to Albert postanowił zacząć podkładać bomby.

Pierwsza wybuchła na niemal niedostępnej plaży. W nocy. Była to właściwie petarda, a nie prawdziwa bomba, coś, co mogły skonstruować dzieci, korzystając z instrukcji na YouTube. Fakt ten zajął dziesięć sekund w ogólnokrajowych telewizyjnych serwisach informacyjnych, lecz znajdował się przez tydzień na czołówkach serwisów lokalnych. Dwie czołowe telewizje regionalne rywalizowały codziennie o każdy nowy szczegół, o nowy fakt, o nowego podejrzanego. O coś więcej niż sprzedawanie widzom historii o bombie na plaży, która odbiła się echem po całym regionie.

Stopniowo zainteresowanie spadało. W końcu była to tylko niewielka bomba, nic się właściwie nie stało i już nie było czego rozgrzebywać. Wszystkie szczegóły zostały dopowiedziane i nawet najbardziej zainteresowani sprawą miejscowi znudzili się tematem i zajęli czymś innym. Jakiś dziwny ślimak, który opanował część pól ryżowych w delcie Ebro, stał się kolejną dziennikarską telenowelą lata.

Przez kilka tygodni na prowincji panował spokój. Aż do nowej eksplozji. Doszło do niej również w nocy, na wzgórzu w pobliżu kempingu, i wiele osób ją słyszało. Autor lub autorzy udoskonalili swoje dzieło. To już była niezła podróbka bomby. Wykazali się nieco większą odwagą. Zniknął strach, jaki towarzyszył im przy pierwszej eksplozji.

To, co wybuchło przy kempingu, nie było już petardą, lecz najprawdziwszym pociskiem. Telewizje regionalne posłały tam wozy transmisyjne, a temat zapełniał znaczną część wydań wiadomości przez kilka dni. Po czym znowu się skończyło. Nie było czego rozgrzebywać, nikt się niczego nie domagał, żadnego szczegółu, który pozwalałby wydłużać dyskusję. Finito. Lokalne media ciągnęły sprawę, przede wszystkim gazeta „La Terra Avui”, która miała doskonałe źródła w policji kryminalnej i codziennie zaskakiwała czytelników jakimś nowym

nieznanym faktem.

Ale i ta historia stopniowo odeszła w niepamięć.

Aż do nowej eksplozji. Bo przy trzeciej użyto już, owszem, prawdziwej bomby. Do wybuchu doszło w biały dzień w pobliżu ruchliwej autostrady. Policja stwierdziła, że ci, co ją podłożyli – nikt nie odważył się używać terminu „terrorysta” – pragnęli rozgłosu, ale nie chcieli nikomu zrobić krzywdy.

Bomba wybuchła pięćdziesiąt metrów od autostrady prowadzącej znikąd donikąd, na niedostępnym wzniesieniu, w jednym z tych wymarłych miejsc odciętych od reszty świata, pozostawionych na pastwę losu gdzieś między dwoma pustkowiami rozdzielonymi sześciopasmową drogą. Zniszczenia dotknęły co najwyżej kilku mrowisk i roślinności, prócz tego, że wyleciała w powietrze znaczna część pagórka. Pomyśleliśmy wówczas, że autor udoskonala technikę, lecz nie przyszło nam do głowy, że ośmiela się coraz bardziej, bo potrzebuje więcej rozgłosu.

Przeklęty przypadek sprawił, że w chwili eksplozji przejeżdżała tamtędy nowiutkim samochodem para Rosjan, którzy właśnie przeprowadzili się pod hiszpańskie słońce. Pierwsze, co zainstalowali w wozie, mercedesie idealnie skrojonym pod ich nuworyszowski gust, to kamery z przodu i z tyłu, które nagrywały wszystko, co działo się przed i za samochodem od chwili, gdy ruszył z miejsca. Przyzwyczaili się do takiego rozwiązania w Rosji, gdzie oszustwa ubezpieczeniowe rozpowszechniły się do tego stopnia, że niemal nikt nie uwzględniał uszkodzeń samochodów, jeżeli nie było nagrania, które pokazywałoby, że to ktoś inny je spowodował.

Tak więc Rosjanie sunęli swoim mercedesem drogą AP7, kiedy wybuchła trzecia bomba. A obie kamery nagrały precyzyjnie i w kolorze dokładny moment, w którym połowa grzbietu wylatywała w powietrze. Boże! Nagranie doprowadziło do szaleństwa redaktorów serwisów telewizyjnych. Bum! Nie było nic słyhać, bo kamery nie rejestrowały dźwięku, ale i tak to, co było widać, robiło wystarczające wrażenie. Dla dopełnienia obrazu kamera z tyłu uchwyciła całą sekwencję skutków eksplozji. Sześćdziesiąt trzy samochody odrzucone w bok, niczym kostki domina. Nie wiadomo, jakim cudem nie było ciężko rannych pasażerów.

Największe tryumfy ta trzecia eksplozja święciła na portalach społecznościowych. Grzbiet przy autostradzie AP7 znalazł się w przewodnikach turystycznych po miejscach katastrof. Tysiące osób dzień w dzień zatrzymywały się przy budce na plaży, skąd był najlepszy widok na miejsce zdarzenia, i robiły sobie selfie, żeby je wrzucić na Facebooka i Twittera. Unabomber z Tarragony

okazał się być *trending topic* w doniesieniach agencyjnych za granicą i zyskał sobie chwilę sławy.

Aczkolwiek bomba, ta prawdziwa bomba, wybuchła trzy dni po tej ostatniej eksplozji. A tego się bynajmniej nie spodziewaliśmy.

Nigdy nie przyszło nam do głowy podejrzenie, że te bomby podkłada Albert. I nie uwierzylibyśmy w to, gdyby chłopaki z Mossos nie przyłapały go dosłownie na gorącym uczynku, czyli na podkładaniu czwartej bomby na falochronie w porcie w Salou. Wyprowadzali go w kajdankach na oczach setek turystów uzbrojonych w komórki.

Jak się później dowiedzieliśmy, podejrzenia Mossos wzbudziły ambicje Alberta, młodego dziennikarza z gazety „La Terra Avui”. Bo na początku mogło się zdarzyć, że ktoś rzeczywiście przekazywał mu informacje o bombach, gdzie zostały umieszczone i z czego się składały. I że dzięki temu cudownemu źródłu Albert miał szansę, jak żaden inny dziennikarz, opisywać ze szczegółami przypadek Unabombera z Tarragony w swojej gazecie. Początkowo go nie podejrzewali, bo jak można nie dowierzać dobrze poinformowanemu dziennikarzowi? Ale Albert miał w gazecie krótki staż i trudno było uwierzyć, żeby zaledwie w ciągu kilku miesięcy dorobił się tak dobrze poinformowanego źródła, które na dodatek odważyłoby się podjąć ryzyko przekazywania podobnych informacji.

Gdyby był rozważny, może nie zwróciłby na siebie uwagi. Ale komuś w jednostce analityczno-laboratoryjnej zapaliło się czerwone światełko. A jeśli facet tyle wie, bo ma bezpośredni kontakt z kimś, kto te bomby podkłada? Powołano grupę operacyjną, która miała go śledzić, i po kilku dniach go przyłapano. Z bombą, która tym razem być może rzeczywiście kogoś by zabiła.

Po co to robił? Dla nagłówka. Dla utrzymania prawa do wyłączności. Po to, by móc pisać o czymś, o czym inni dziennikarze nie mieli pojęcia. Żeby wprawić w podziw nie tylko czytelników, ale też kolegów po fachu. Najpierw chciał zadziwić tych, którzy rywalizowali z nim o szpalty w gazecie – im więcej słów, tym ważniejszy twój artykuł. Potem nie mógł się oprzeć pochwałom i przejawom zazdrości ze strony dziennikarzy z innych redakcji. To, co się zaczęło jako niewinna petarda na plaży, przeszło w uzależnienie. Nie mógł przestać. Jak narkoman. Za każdym następnym razem potrzebował większej działki. Więcej nagłówek na okładce. Więcej uznania. Więcej praw na wyłączność.

Skazano go na siedemnaście lat więzienia.

Tak więc jeżeli dziennikarz podkładał bomby, żeby zapewnić sobie prawo do

wyłącznie, to czemu ja nie miałabym spreparować historii do napisania książki?

Tylko jakiej historii?



Vertical line of text, possibly a page number or header.

## 50.

# INÉS

Moją specjalnością było ludzkie cierpienie. Nie zrozumcie mnie źle. Umiałam świetnie relacjonować ludzkie cierpienie i opowiadać o nim tak, żeby wywoływało u innych żal, ale także ulgę. Żal z powodu tych, którzy cierpią. Ulgę, że widza to omija.

Mój mózg ma wyjątkową zdolność znajdowania właściwych słów dla oddania odpowiedniego stopnia dramatyzmu, który poruszy serca widzów. Ani zbyt natarczywego, który zmusiłby ich do odwrócenia wzroku, ani zbyt słabego, który nie przyciągnie ich uwagi.

Ale któregoś dnia doznałam blokady. Stało się to kilka miesięcy po zatrzymaniu Alberta, dziennikarza, który podkładał bomby, żeby zyskać tematy na wyłączność.

Czteroletni chłopiec zabłądził w lesie. Jego rodzice spędzali weekend w gronie przyjaciół w wiejskim domu, na chwilę spuścili go z oka i Carlos zniknął. Na początku nie wystraszyli się tak bardzo. Niemożliwe, żeby go nigdzie nie było, pewnie źle szukaliśmy, myślą sobie zawsze rodzice. Serce podchodzi ci do gardła, ale rozum ściąga je gwałtownie na swoje miejsce. Nie przejmuj się, mówisz sercu, jeszcze nie teraz, jeszcze nic takiego się nie stało. Ale szukasz wokół domu i dziecka nie znajdujesz. Ściągasz wszystkich przyjaciół. Zaczynacie wołać małego. W coraz większej odległości od domu, który, niech to cholera weźmie, w internecie wydawał się oddalony od ludzkich siedzib i tak idealny na weekendowy wypad z przyjaciółmi i ich dziećmi.

Przyjechałam tam o dziesiątej wieczorem, trzy godziny po tym, jak Carlos zniknął bez śladu, i chwilę przedtem, nim policja zamknęła drogi dojazdowe do domu, aby zapobiec najazdowi mediów i ciekawskich. Spędziłam całą noc z rodzicami i resztą towarzystwa, które przyjechało na weekend. Wraz z operatorem braliśmy udział w poszukiwaniach i gotowałam gorącą zupę dla ochotników. Jako że znali mnie z telewizji, rodzice uchwycili się mnie, jakbym była wybawieniem, jakbym posiadała magiczne moce i tylko swoją obecnością mogła sprawić cud, że ich dziecko się znajdzie.

Mogło to być zmęczenie albo... sama nie wiem. Nie potrafię wyjaśnić, co się stało. Ale kiedy następnego dnia dostałam z redakcji zgodę na bezpośrednią relację z miejsca zdarzenia, opowiedziałam o nim tak, jakbym przekazywała informacje o tym, że butla z gazem zdrożała o pięć eurocentów. Nie byłam zdolna włożyć w tę historię emocji, przeniknąć przez ekran i dotrzeć do widza. Nie umiałam wyjaśnić, co się może dziać z takim dzieckiem, samym w lesie, jak się porusza, jak bardzo się boi, jak może się poranić w zaroślach.

Szef zadzwonił do mnie z awanturą. Co się, u diabła, z tobą dzieje? Widziałas tę głównianą relację, którą nadałaś? To teraz temat dnia, a ty masz humory. Kurwa, chodzi o zabłąkane dziecko, nie ma większej tragedii, to twój temat, temat, w którym możesz zabłysnąć, nie chodzi tylko o suche fakty, do tego mam tutaj setkę reporterów. Ty jesteś wyjątkowa, umiesz przekazać rozpacz i sprawić, żeby widz poczuł na karku jej oddech. Naładuj baterie, Inés, naładuj baterie!

I od tego wszystko się zaczęło. Od tej awantury zaczęło się coś, co tak naprawdę ma znaczenie dla tej historii.

Od tego zaczęło się umieranie Nicolasa.

Bo ja potrzebowałam takiego Nicolasa, żeby mnie wybawił.

Jak już wiecie, znalazłam go w centrum handlowym. Powtarzaliście setki razy, że puścił rękę matki i poszedł w kierunku rakiety ze Świnką Peppą ustawionej w kącie na poziomie zero. Z powodu gigantycznego błędu ochrony ta atrakcja dla dzieci znajdowała się w martwym polu nieobjętym zasięgiem kamer i w pobliżu wejścia służbowego, którego używali wszyscy, personel i ekipa sprzątająca, żeby poruszać się po całym budynku. Tam straciliście ślad. I nie dowiedzieliście się niczego więcej o Nicolasiu, dopóki kilka dni temu nie odnalazły się jego zwłoki.

Decyzja wiele mnie kosztowała. Nie odpowiadało mi obojętnie jakie dziecko. Musiałam wybierać starannie. Bo jeśli nie, to całe miesiące oczekiwania, pracy i układania w głowie całego planu zdałyby się na nic.

Przyczajałam się w centrum przez kilka dni. Żadne obserwowane dziecko nie przekonywało mnie do końca. Te, które pasowały wiekiem, między czwartym a piątym rokiem życia, za bardzo pilnowały się rodziców. Na nic by się zdało dziecko, które nie przestałoby płakać i zwinęłoby się w kłębek na ziemi, umierając ze strachu. Ja potrzebowałam działania.

Szukałam chłopca. Z bucikami wiązanymi na sznurówki. Jeśli dzieci noszą sznurowane buciki, to znaczy, że są już dość duże, dość niezależne i chcą pokazać swoją samodzielność. Chłopcy w bucikach na rzepy są jeszcze zbyt mali i nie nadawali się do mojego planu.

Widziałam paru dobrze rokujących, ale żaden z nich – ani też żadne z rodziców – nie okazał dostatecznego roztargnienia, żebym zdołała go uprowadzić. Dopóki nie pojawił się Nicolás.

Masz kolejnego, powiedziałam sobie, przypatrz mu się dobrze. Jego ubranie wskazuje, że jest już duży. Niezbyt wysoki, ale ma na pewno cztery lata, może pięć. Popatrz, jak się porusza. Jaki bystry.

I oto właśnie puścił matczyną rękę. Co tam zobaczył? Co zwróciło jego uwagę?

I wtedy pomyślałam, że może tego dnia dopisze mi szczęście. Oczywiście, że się bałam, nawet bardzo. Ale byłam w punkcie bez odwrotu. Gdy to zrobię, to już nie mogę się cofnąć. Wiedziałam, że Nicolás będzie doskonały. To było jak miłość od pierwszego wejrzenia. Wiedziałam, że jak nie pójdę po niego, to przez długi czas nikogo podobnego nie spotkam.

Ten chłopiec miał być moim wybawieniem.

Zaczynała się gra.

Tym razem naprawdę.

Jak to zrobiłam? To proste. Pewnie nie raz dostaliście na WhatsAppie czy Facebooku wiadomość przestrzegającą, że w danym centrum handlowym schwymano pedofila, który zakładał jakiemuś chłopcu w łazience perukę i sukienkę, żeby go stamtąd wyprowadzić jako dziewczynkę, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, i że tylko dzięki temu, że zamknięto wszystkie wejścia, udało się w samą porę schwytać porywacza. Zawsze się z tego śmialiśmy. Brednia. Fake news. Nie zwracajcie na to uwagi, informuje nas policja na Twitterze. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Zalecamy ostrożność, ale nie ma niebezpieczeństwa.

Ale ja właśnie tak zrobiłam. Nie ma lepszego sposobu na ukrycie czegoś, niż pozostawić to na widoku, nie mam racji? Pokazałam Nicolasowi pieniądze, żeby go przyciągnąć do rakiety. Drzwiczki pozwalające wspiąć się do pojazdu, umieszczone były nieco bliżej ściany i gdy podeszłam dostatecznie blisko, mogłam go wyprowadzić do strefy dla personelu. Uśpiłam go połówką orfidalu, który mu włożyłam pod język. Założyłam mu blond perukę i sukienkę i ułożyłam w spacerówce. Wyprowadziłam go stamtąd lewą stroną centrum handlowego, przez strefę dla personelu, za łazienkami, gdzie nie ma kamer. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, ale ja też nałożyłam perukę, szkła kontaktowe i szerokie wypchane ubranie, na wypadek gdyby ktoś miał podać mój opis albo przyłapała mnie jednak jakaś kamera.

Po co był mi potrzebny Nicolás?

Żeby mogła napisać książkę.

Nicolás miał być bohaterem mojej powieści. Chciałam opowiedzieć historię chłopca, który zabłądził w lesie i spędza kilka dni w samotności na gołej ziemi. Jak się zachowuje? Co czuje? Co je? Gdzie się układa do snu? Kiedy krzyczy? Kiedy płacze? Podobno dzieci są urodzonymi survivalowcami, bo bliżej im do zwierzęcych instynktów niż nam, dorosłym. Dlatego musiałam poobserwować zachowanie Nicolasa. Żeby móc je potem opisać.

Wypuściłam go w lesie Pilar, który akurat w tamtym miesiącu był zamknięty dla spacerowiczów, gdyż wykryto jakąś plagę gąsienic na sosnach i nie było jasności, czy aby człowiek nie pomaga w rozprzestrzenianiu się zarazy, która może zniszczyć osiemset hektarów sosnowego lasu.

Nikt nie mógł tam wejść ani stamtąd wyjść. I nikt tego nie robił, gdyż władze rozpowszechniły plotkę, jakoby gąsienice były toksyczne dla ludzi. To gwarantowało mi całkowitą prywatność.

Pomysł polegał na obserwowaniu Nicolasa przez trzy, cztery dni. Żeby nie opadł z sił, podsuwałam mu wodę i jedzenie, kiedy spał.

A co myśleliście? Że wymyśliłam *Gęsty las*? Książka, która pobiła rekordy sprzedaży w Hiszpanii, była w rzeczywistości zapisem tego, w jaki sposób Nicolás przeżył te parę dni w lesie, ale kiedy wyszła... No tak, sami wiecie. Wszyscy myśleli, że to historia Carlosa, tego małego, który parę miesięcy wcześniej zabłądził w górach pod Madrytem i spędził w lesie dobę.

Obserwowałam Nicolasa za pomocą drona, który śledził i nagrywał wszystkie jego reakcje. Sama też tam przebywałam przez te trzy dni. Zabrałam śpiwór i zapas jedzenia i rozbiłam namiot w samym środku lasu. W nocy, przed zniszczeniem zapisów, oglądałam je i notowałam każdy gest chłopca.

Oczywiście, że w pewnej chwili naszły mnie wątpliwości. Kiedy strasznie płakał albo mówił do siebie, że się boi, i rozpaczliwie wołał rodziców. Ale wszystko to macie w książce. Pół Hiszpanii przeczytało, jak Nicolás spędził owe trzy dni.

Jak włos Noriego trafił na sweter, w który było ubrane ciało chłopca? To chyba też potrafię wyjaśnić.

W dniu, kiedy postanowiłam odwiedzić Nicolasa z powrotem, bo miałam już dostatecznie dużo materiału na książkę, nie chciałam ryzykować. Oczekałam do zapadnięcia nocy, założyłam maskę i kiedy spał, otworzyłam mu buzię i wsunęłam pod język trzy pastylki nasenne. Zniosłam go do najbliższego wyjścia, żeby potem zawieźć go samochodem na drugi koniec lasu, tak aby uprawdopodobnić, że sam tam zabłądził. Chciałam go zostawić w pobliżu tej

części ogrodzenia, gdzie są domy, licząc na to, że rano ktoś go znajdzie.

Ale gdy umieściłam go w bagażniku, pojawił się Nori. Nori ze swoją cholerną manią biegania, jak tylko zejdzie ze zmiany, chociażby w samym środku nocy. Biegł dróżką wzdłuż ogrodzenia. Nie miałam gdzie się ukryć. Na szczęście zauważyłam go wcześniej niż on mnie, miałam więc nad nim przewagę. Oparłam się o ogrodzenie i rozplakałam z głową ukrytą w rękach. Zauważyłam, że zwolnił kroku. Zatrzymał się przede mną.

– Proszę pani, czy coś się stało? – Podniosłam głowę. Żebyście tylko zobaczyli jego twarz. Jak gdyby objawiła mu się Matka Boska Bolesciwa w otoczeniu pół tuzina aniołków. Ze skrzydełkami i całą resztą. – Inés? Inés? Co ty tutaj robisz? Co ci jest? – pytał nieśmiało, wyciągając rękę w moim kierunku.

Plakałam dalej, zastanawiając się, co robić. Więc przytuliłam się do niego, żeby uniknąć dalszych pytań. Był policjantem, mógł się zorientować. Miałam w głowie tylko to, że Nori może się zorientować. Ale moje łzy nie były tak do końca udawane. W jego ramionach wypłakałam całą rozpacz, która narosła we mnie, bo zrobiłam coś takiego małemu dziecku. Aż do owej chwili nie byłam tak naprawdę świadoma, co właśnie uczyniłam.

– Jestem taka samotna bez Pabla – wyszłochałam. – Taka samotna. Nie mogę spać, wychodzę na spacer i ogarnia mnie rozpacz.

Pablo spędzał lato u ojca w Stanach. Rozdzieliliśmy się po raz pierwszy, więc liczyłam na to, że moje wyjaśnienia będą brzmiały wiarygodnie. Zaczęłam się trząść. Ze strachu. Z zimna. Z poczucia winy.

– To twój samochód? – zapytał.

Pomyślałam, że mnie oskarża, że coś wyczuł. Cholera. Skoro jestem w pobliżu własnego domu, to po co wzięłam auto? No, myśl szybko, wymyśl coś.

– Odpoczywam za kierownicą – odparłam, łkając. – Chciałam wjechać do lasu od strony Pozuelo – szloch – ale gdy wyjechałam z garażu, przypomniałam sobie – szloch – że jest zakaz wstępu z powodu gąsienic. Więc zostawiłam wóz tutaj i poszłam się przejść.

– Chodź, wsiądziemy do wozu, żebyś się rozgrzała. Ochłodziło się tej nocy.

To fakt. Był czerwiec, ale temperatura spadła do dwunastu stopni.

– Nie, nie trzeba, naprawdę, nie do wozu. – Na Boga, tylko nie do wozu, przecież w bagażniku leży Nicolás, wprawdzie kompletnie odurzony, ale nie chciałam ryzykować.

Zaczęłam więc całować Noriego. Przysięgam, że nie miałam pojęcia, co robić, więc zaczęłam go całować. Skończyło się na tym, że pieprzyliśmy się na

pokrywie tego samego bagażnika, w którym leżał chłopiec. Noriego dzieliło od Nicolasa zaledwie kilka centymetrów. O matko! Nie wyobrażacie sobie nawet, jak nam było. Nigdy w życiu nie pieprzyłam się lepiej. Całe napięcie, zdenerwowanie i strach znalazły ujście w szaleńczym orgazmie.

Nigdy o tym ze sobą nie rozmawialiśmy.

Przypuszczam, że właśnie dlatego znaleźliście włos Noriego na swetrze Nicolasa. Sama musiałam go tam przenieść.

Kiedy miałam pewność, że Nori sobie poszedł, odpaliłam silnik i zrealizowałam swój plan, choć cała drżałam ze strachu i z rozkoszy. Pozostawiłam Nicolasa na drugim krańcu lasu, wiele kilometrów dalej, w nadziei, że ktoś go znajdzie następnego rana. Nie wiem, czy zmarł tamtej nocy. Może dałam mu za dużo środków nasennych, zważywszy na to, że był osłabiony po trzech dniach spędzonych samotnie w lesie. Nie wiem, naprawdę. Kiedy go zostawiałam, żył.

Czekałam wiele dni, żeby o tej sprawie wreszcie zrobiło się głośno. Śledziłam wiadomości i tweety. Przeszukiwałam Google'a. I nic. Żadnej wiadomości o zaginionym i odnalezionym chłopcu. Wpadłam w desperację.

Pewnie go znalazł ten człowiek, którego zatrzymaliście, ten Ricardo, który jest chyba zaburzony psychicznie. Bo nie wiem, skąd u niego ten szaleńczy pomysł, żeby zanieść chłopca do opuszczonego domu, gdzie go przetrzymywał przez cały ten czas. Czy przyszłoby wam do głowy, że mógł porwać Kike tylko po to, żeby dotrzymywał towarzystwa jego koledze?

Nie ma sekundy, żebym się nie zastanawiała nad tym, co zrobiłam.

To był wypadek. Nie chciałam zabić tego chłopca. Chciałam tylko móc napisać opowieść.

Nie patrzcie tak na mnie. Ja też straciłam dziecko.

Nie jestem potworem.

Vertical line of text, possibly a page number or header.



# OD WYDAWCY

Inés Grau napisała tę książkę, przebywając w więzieniu, gdzie oczekuje na proces za porwanie i doprowadzenie do śmierci Nicolasa. Pobiła wszelkie rekordy sprzedaży: ponad milion egzemplarzy w Hiszpanii i dwanaście milionów za granicą. Znany hollywoodzki reżyser zakupił prawa do sfilmowania jej powieści.

Inés pracuje obecnie nad trzecią książką, poświęconą swoim więziennym przeżyciom.

Vertical line of text, possibly a page number or header.

# PODZIĘKOWANIA

W stworzeniu wiarygodnej postaci Any Arén, nadinspektor w Policji Krajowej, pomogło mi troje przyjaciół, troje wspaniałych agentów uwielbiających swój zawód, którzy szczerze dzielili się ze mną doświadczeniami i przeżyciami na przestrzeni lat pracy w Krajowym Korpusie Policji. Esther, Charini i Juan to moja wyjątkowa załoga, która była gotowa rozwiewać wszelkie wątpliwości, w miarę jak posuwała się praca nad książką. W jakiej jednostce może pracować Ana Arén, skoro zajmuje się zaginięciami dzieci? Czy jest nadinspektorem, czy panią nadinspektor? Gdzie podczas sekcji zwłok odkłada się ubranie osoby nieżyjącej? Jaki zapach mają zwłoki? Po jakim czasie z ciała wypełzają robaki?

Mój mąż, Berna, był pierwszym czytelnikiem tego, co pisałam, wiernym i krytycznym. Kiedy wysłałam mu wersję ostateczną – nigdy nie uprzedzałam, jak się zakończy cała historia, żeby nie psuć mu lektury – przebywał w podróży. Nie zmrużył oka aż do świtu, czytając. Nigdy nie zapomnę wiadomości, którą mi przysłał, skończywszy: „Jestem z Ciebie dumny”.

Wraz z Áfriką Silvelo i jej mężem Javierem Rodriguezem Lázaro wypróbowałam fragmenty powieści, które brzmiały najlepiej. Miałam wątpliwości co do wątku historii rodzinnej Any, ale Javiera on zafascynował. „Chcę czegoś więcej”, stwierdził.

Kiedy skończyłam pisać *Nie jestem potworem*, zaczęłam mieć wątpliwości. Czy to dobra książka? Czy zakończenie ma sens? Czy intryga rozwija się właściwie? Czy gdzieś nie grzęźnie? Odłożyłam ją na jakiś czas i dałam do przeczytania trzem przyjaciołkom. Yolando Aguilar, Evo Tribino, Esther Barriga: nie wiem, jak Wam podziękować za to, że pomogłyście mi rozwinąć skrzydła. Nie odważyłabym się pofrunąć bez Waszej serdeczności i entuzjazmu.

Ale brakowało mi ostatniego elementu. Kogoś, kto dostrzegłby wszelkie powiązania. Kto potrafiłby mi powiedzieć, czy to wszystko stanowi sensowną całość. Pisarza. Wysłałam więc tekst do Carmen Posadas. „Daj mi dwa tygodnie na lekturę”, usłyszałam. Nie zdążyłam nawet zacząć się denerwować. Dziesięć dni później wysłała mi długi e-mail, po którym się rozplakałam. Nigdy nie zdołam Ci dostatecznie mocno podziękować, Carmen.

Na drodze ku tej książce, którą trzymacie w ręku, spotkałam przyjaciółkę, Laurę Santaflorentinę, mojego przyszłego wydawcę, i jej współpracownicę, Palmirę Márquez. Nieskończone dzięki Wam obu za to, że tak ułatwiłyście mi podróż w nieznane.

Podróż z najlepszymi poręczycielami, jakich tylko pisarz może sobie wymarzyć, z jurorami Nagrody Primavera. Dziękuję Carme Riera, Anie Rosie Semprún, Antoniowi Solerowi, Fernandowi Rodriguezowi-Lafuente i Ramonowi Pernasowi za wszystkie miłe słowa wypowiedziane na temat mojej książki. Dziękuję, że zakochaliście się w tej powieści, za Waszą serdeczność i entuzjazm wobec niej. Nigdy nie zdołam tego zapomnieć.

Ostatnie szlify nadał książce wspaniały zespół wydawnictwa Espasa y Planeta, który włożył w to całą swoją pasję i umiejętności. Entuzjazm Carlesa Revesa i Myriam Galaz pozwolił mi wyzwolić się ze wszelkich lęków. Praca (i wyścig z czasem) Davida Cebriana i jego zespołu ds. komunikacji była nadzwyczajna.

Dziękuję również wszystkim osobom, które pomagały mi znaleźć informacje kluczowe dla intrygi.

Mojemu przyjacielowi i historykowi, Xavierowi Riera, który odmalował mi Barcelonę w czasach rzymskich i w średniowieczu, co pozwoliło mi umiejscowić dom, w którym Ana Arén mieszkała w dzieciństwie, i nadać mu klimat.

Doktorowi Julio Mayolowi, dyrektorowi ds. medycznych i innowacyjności Kliniki San Carlos, współdyrektorowi konsorcjum Madrid-MIT MVision, dzięki któremu poznałam projekt NeuroQWERTY, służący wczesnemu wykrywaniu choroby Parkinsona poprzez analizowanie sposobu, w jaki uderzamy w klawiaturę. Dziękuję, Julio, za Twoją szczodrość. Bardzo proszę czytelników, pomóżcie w rozwoju badań, pozwalając, by przejrano wasz wzorzec na klawiaturze. Strona [www.neuroqwerty.com/es](http://www.neuroqwerty.com/es) zapewnia całkowitą anonimowość.

Dziękuję także RENFE za techniczne dane dotyczące AVE. Elisie Carcelén Pena, szefowej działu kontaktu z klientem. Dzięki niej poznałam inżyniera Juana Carlosa Lunę, który cierpliwie odpowiadał na moje pytania dotyczące kół, tarcia i osi hiszpańskich pociągów dużych prędkości.

Dziękuję również osobom, którym powierzyłam tę opowieść, zanim stała się ostatecznie książką, którą macie w ręku. To Xavi, Silvia, Dolores, Alba, Paolo, Patricia, Paloma, Pepa i Olga. A także moja matka i brat Xavi.

Na koniec chcę podziękować muzyce. Musiałam poczuć strach, niepokój,

zawrót głowy, rozpacz, wściekłość i pustkę, to wszystko, co druzgocze moich bohaterów. Najtrudniejsze sceny pisałam, słuchając w kółko niezwyklej, wspaniałej wersji *L'Hymne a l'Amour* w wykonaniu Sílvi Pérez Cruz. Przy innych towarzyszyły mi – jak w tylu innych chwilach – piosenki Bruce'a Springsteena. Zawsze.

Ostatnią część dopiszesz sobie sam, drogi czytelniku. Dziękuję za zaufanie pokładane w tej książce. Dziękuję za kupowanie książek, za czytanie, za dawanie ich w prezencie, za dzielenie się nimi. *Nie jestem potworem* pozostaje teraz w Twoich rękach.

- [1] Barriga (hiszp.) – brzuch (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Servicio de Atención a la Familia.
- [3] Palmtop, PDA (od ang. *personal digital assistant*) – komputer kieszonkowy.
- [4] Termin pochodzący od nazwiska hiszpańskiego aktora, Alfreda Landy, grającego główną rolę uwodziciela w filmach produkowanych w latach sześćdziesiątych.
- [5] Rurki z cienkiego ciasta jadane w Katalonii, głównie na Boże Narodzenie.
- [6] Mossos d'Esquadra, w skrócie Mossos – formacja policji katalońskiej z pełnymi uprawnieniami, utworzona przez Generalitat de Catalunya (autonomiczny rząd kataloński) na podstawie Ustawy 19/1983 z 14 lipca 1983 r. katalońskiego Parlamentu; zajmuje się przestępczością, bezpieczeństwem i kwestiami migracyjnymi. Mianem Mosso określa się także funkcjonariusza tej formacji.
- [7] Ruch 15-M (od daty manifestacji 15 maja 2011 r.), inaczej Indignados, powstał na fali protestów, podczas których demonstranci domagali się pogłębienia demokracji, poprawy sytuacji na rynku pracy, demonstrowali przeciwko upartyjnieniu państwa i wykluczeniu społecznemu.
- [8] Chleb z oliwą, czosnkiem i pomidorami, typowa katalońska przekąska.
- [9] Typowa potrawa asturyjska, na którą składają się gotowane razem biała fasola i różne rodzaje wędlin.
- [10] Nazwa hiszpańskich pociągów dużych prędkości, będąca zarazem skrótem od *alta velocidad* (dużej prędkości) i oznaczająca dosłownie ptaka.
- [11] Nazwa jednego z głównych dworców kolejowych w Madrycie; terminal pociągów dużych prędkości.
- [12] Hiszpańskie media, podając czas, zaznaczają zawsze, że na Wyspach Kanaryjskich jest o godzinę wcześniej.
- [13] Przejęcie przez państwo dóbr tzw. martwej ręki, w praktyce przejęcie dóbr kościelnych, także dóbr kleru świeckiego (niezakonnego); postulat w programie liberałów w ramach przekształceń własnościowych na początku XIX wieku.
- [14] Nazwa kliniki wywodzi się od dzielnicy Puerta de Hierro, w której się znajdowała do roku 1998. Nazwa dzielnicy zaś, „Za Żelazną Bramą”, pochodzi od żelaznej bramy zachowanej do dzisiaj, stanowiącej ongiś wjazd na należące do monarchii tereny łowieckie El Pardo.
- [15] Hiszpański ruch odnowy kultury i obyczajowości, który rozpoczął się w Madrycie pod koniec lat siedemdziesiątych XX w., po śmierci generała

Franco i upadku jego dyktatury. Burmistrzem Madrytu był wówczas Enrique Tierno Galván, socjolog, polityk i eseista; od 1978 r. członek PSOE.

[16]

[https://pl.wikipedia.org/wiki/National\\_Institute\\_of\\_Standards\\_and\\_Techno](https://pl.wikipedia.org/wiki/National_Institute_of_Standards_and_Techno)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
ul. Sienna 73  
00-833 Warszawa  
tel. +4822 6211775  
e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)  
Dział zamówień: +4822 6286360  
Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)  
Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz